

TOM CCLXXV.

SERYA 9.

ROK 69.

ZESZYT 825.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

WRZESIEŃ.

1909.

TOM III.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

1909.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. OD KOLEBKII PRZEZ ŻYCIE, — przez <i>Z. Miłkowskiego</i>	425
2. BITWA GROCHOWSKA, — przez <i>Stanisława Szpotańskiego</i>	449
3. GENEZA UPADKU POLSKI, — przez <i>Wł. Studnickiego</i>	495
4. POLSZCZYŻNA NA GÓRNYCH WĘGRZECH, — przez <i>G. Smólskiego</i>	520
5. SZKOŁA POLSKA PRZED CZTERDZIEŚTĄ PIĘCIU LATY, — przez <i>Br. Znatowicza</i>	542
6. REFORMA SĄDÓW HONOROWYCH, — przez <i>Fr. Brzezińskiego</i>	560
7. LUDWIK GUMFLOWICZ, — przez <i>Zofię Bielicką</i>	592
8. PIŚMIENICTWO:	
LEOPOLD MÉYET: „Kiedy się urodził Juliusz Słowacki?“ — przez <i>H. M.</i>	607
„Źródła dziejowe.“ Tom XVII, część II. „Polska XVI wieku pod wzglę- dem geograficzno-statystycznym.“ Tom VI, część II. „Podlasie (województwo), opisane przez Aleks. Jabło- nowskiego,“ — przez <i>I. B.</i>	609
„Etnograficzno-statystyczny Zarys liczebności i rozsielenia ludności polskiej,“ — przez <i>I. B.</i>	611
„Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z Ar- chiwum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie,“ — przez <i>I. B.</i>	613
„Dawne Przywileje cechu Piwowarów miasta Warszawy,“ — przez <i>I. B.</i>	613
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Wystawa Częstochowska. — Nasz przemysł ludowy. — Po wizycie Cze- chów w Warszawie. — Zamknięcie Towarzystwa wpi- sów szkolnych	615
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
Prof. Ludwik Gumplowicz i ś. p. Tadeusz Smoleński. — przez <i>Z. D.</i> . .	628
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	630

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 7.



De. II 1

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE.

(Kartki z pamiętnika).

III.

Do Miszkolca przybywali nam codziennie ochotnicy, którzy na dwie podzielić się dadzą kategorie: bez pretensyj i z pretensjami. Pierwsi wstępowali do szeregów; drudzy domagali się stopni wysokich. Ten ostatni rodzaj sprawiał Wysockiemu ambarasu nie mało i nie mało też tworzył mu nieprzyjaciół. Przypominam sobie dwóch mianowicie, jeden się tytułował porucznikiem, drugi kapitanem. Składali się nominacyami Mieczysława Woronieckiego, który zasłynął walecznością niezrównaną, a w chwili przyhycia swego na Węgry, zamierzył był organizować legion polski. W celu tym w Węgrzech północnych (w Munkaczu, zdaje się) zgromadził około siebie kilkunastu, czy też kilku ludzi, przepisał dla nich unundurowanie, podawał im nominacje i sam pojechał, ażeby u rządu wystarać się o uznanie dzieła zawiązanego. Uznania nie uzyskał i nie wrócił. Niektórzy z nominatów posprawiali sobie wedle przepisu mundury i dwaj z nich, w mundurach na grzbiecie i z nominacyami w zanadru, zjawili się w Miszkolcu, domagając się przyjęcia do legionów, w stopniach przez Woronieckiego im nadanych. Czyż można było żądanie podobne uwzględnić? Wstąpić biedacy musieli do szeregów, z głębokiem w sercach rozżaleniem. Porucznik awansował na podoficera, kapitan na sierżanta w kompanii piątej batalionu trzeciego i kapitan zwłaszcza, nazwiskiem Baczyński, nie znajdował wyrazów dosyć dosadnych na malowanie Wysockiego ze strony ujemnej.

Podobnych zdarzało się więcej. Stoi mi w oczach kawalerzysta jeden, figurka wzrostu małego, ostry, cięty, o wąsietach do góry zakręconych, który tonem głębokiego znawcy krytykował organizację jazdy i wykladał, jak co robić potrzeba, ażeby było jak należy. Widziałem go w szlifach oficerskich — potrafił się wkręcić na instruktora i uchował minę ostrą do pierwszej bitwy, po której spokorniał okrutnie.

Niektórzy przybywali w charakterze amatorów w celu nieokreślonym. Spotkałem się z jednym, co się nazywał Miłkowski i mienił się być z Gorlic, a więc krewny mój. Nosił na sobie mundur gwardyi narodowej. Był to człek barczysty, brodaty, na jedno oko ślepy. Widziałem go dwa razy: w momencie zapoznania się i przy kartach. Następnie z oczów mi znikł.

Zjawiali się także awanturnicy, rycerze przemysłu i szulerzy z profesyi.

Jeden wszakże przedstawił się oryginalnie. Był to kapitan prawdziwy, dezertor z wojska rosyjskiego, rodem z guberni Kałuskiej. Spotkałem się z nim przypadkiem. Przechodząc przez ulicę, zoczyłem dwóch ludzi, ułana i jegomościa jakiegoś w surducie z kołnierzem futrzanym, rozmawiających z sobą językiem, w którego dźwiękach słyszeć się mi dały dźwięki mowy rosyjskiej. Zatrzymałem się. Poznałem, że ułan niemilosiernie kaleczy język rosyjski, albo raczej, tworzy język jakiś, dla interlokutora jego niezrozumiały. Wmieszałem się, zapytując po rosyjsku, o co idzie. Jegomość uradowany do mnie się zwrócił.

— O, jakżem rad—zawołał—że się przecie rozmówić mogę!...

Przedstawił mi położenie swoje. Był w sztabie, zrobił podanie, na które coś mu odpowiedziano, ale on nie wie co. Ułan obecny, podawszy się za władającego językiem rosyjskim, podjął się wytłómaczyć mu odpowiedź sztabową. Tłómaczył i nie wytłómaczył.

— Wykladam, jak na dłoni, no i... gadaj d..po do biskupa, kiedy biskup sam jak d..a.

Ułan mały, wąsaty, miniasty uwagę moją zajął rezolucyjnością, z jaką mówił wyrazy powyższe. Brzmiała w nich nieograniczona pewność siebie.

— Mówisz, kolego, do niego językiem, którego on nie rozumie...

— Właśnie też!... Ja do niego po moskiewsku...

— Czyż po moskiewsku?... — wtrąciłem.

— No, a jakże!... — odrzekł i zapytał: — A skądś, kolego?...

— Z Podola... — odpartem.

— A ja z Litwy... Nazywam się Akord...

— Akord?... — podchwyciłem tonem zdziwienia, nie słyszałem bowiem, ażeby ludzie nosili nazwisko podobne.

— Akord...—powtórzył dobitnie. No i po moskiewsku mówię przecie...

— Zapewne jednak z litewska... — zauważyłem. — O cóż chodzi?...

Chodziło o to, że Rosyanin złożył podanie, żądając, ażeby do szeregów legionu przyjęto go w stopniu kapitana. Odpowiedziano mu, że żądaniu temu uczynić zadość nie sposób, raz, dla braku miejsca, powtóre dla tego, że po polsku nie umie, w końcu dla tej racyi, że oficerowi ze służby rosyjskiej przyszłoby z trudnością nałamać się do praw, jakimi się rządzi legion. Ofiarowano mu stopień podoficera nadliczbowego.

— Czort pabieri!...—burknął, gdym mu, wedle słów Akorda, odpowiedź tę wytłómaczył.—Jaż kasy nie ukradł, ażeby mnie degradowano... Kapitanem jestem i kapitanem być mi należy...

— Porządek u nas taki... — rzekłem.

— Wot poriadok... — odrzekł tonem rezygnacji filozoficznej i dodał:—Zjeśćbym coś chciał, a porozumieć się nie umiem...

Ponieważ właśnie na obiad szedłem, więcem się mu ofiarował na przewodnika i tłumacza. Akord nas pożegnał. Udaliśmy się razem do restauracyi w mieście najporządniejszej i zajęliśmy miejsce przy stoliczku, stojącym obok stołu dużego, przy którym krzesła poręczami o krawędzie poopierane znaczyły, że nakrytym jest dla towarzystwa, które sobie miejsce przy nim zamówiło. Kazaliśmy podać zupę. Zapytałem go, dla czego szeregi rosyjskie opuścił.

— Dla republiki...—odrzekł.—Słyszałem, że tu republika, ot... i uciekłem...

Począł mi opowiadać, którądy i jak przechodził, gdy w sali pokazał się Wysocki, poprzedzający kilku oficerów sztabowych. Wysocki skierował się ku nam i, gdy nas mijał, skłoniłem się mu. Kapitan z krzesła się zerwał, wyprostował się, ręce wzdłuż szwów od spodni wyciągnął i oczami generała przeprowadzał. Wysocki miejsce swoje zajął, on stał wciąż. Szepnąłem mu raz i drugi:

— Siadaj...

Za półę go nawet pociągnąłem.

Stał, jak słup.

Nie usiadł, aż Wysocki, spostrzegłszy się, że on dla niego stoi, ręką skinął.

Usiadł wyprostowany i zakłopotany. Ledwie nie ledwie udało mi się do upamiętania go przywołać, a wówczas do ucha się mi nachylił i następujące mi w słuch wsunął wyrazy:

— *Wot*, (tu zaklął po rosyjsku), *tak gienierał a tak ja... Wot riespublika...*

Zadnego już opowiadania z niego wyciągać nie było można. Wymawiał od czasu do czasu nazwiska: *gienierał Diembinski i gienierał Wysocki*. dodawał klątwę charakterystyczną, ale rozmowność stracił.

Sala coraz to bardziej napełniała się gośćmi, weszło dam kilka: jeden z kątów zajęła orkiestra, w której kobieta na skrzypcach grała. Gdy się orkiestra odezwała, kapitan drgnął i zawołał:

— *Wot* (zaklął znowu), *riespublika!*

Po obiedzie rozstaliśmy się. Więcej go już nie widziałem. Nie wiem, co się z nim stało.

Pod koniec pobytu naszego w Miskolcu, batalion nasz wyprowadzono na kwatery do dużej wsi pobliskiej, leżącej nad szosą do Koszyc prowadzącą. Staliśmy tam tygodni parę. Pobyt nasz w tej wsi upamiętnił mi się tylko imieniami porucznika Brazewicza, Litwina, który nas, oficerów kompanii mojej, na obiad zaprosił i ugościł: dzieląc się z nami zwykłym obiadem swoim. Był to człowiek bardzo zacny i bardzo oszczędny—dusił kota. Kazał zupę wodą rozprowadzić: mieliśmy przeto po pełnym talerzu zupy cienkiej i po czwartej części porcy mięsa i chleba; w stosunku takim samym dostało się nam wino do wypicia za zdrowie solenizanta; na zaokrąglenie zaś uczty zaprowadził nas porucznik do ogrodu i ofiarował deser w postaci wisien na drzewach. Osobliwość przyjęcia tego na tem polegała, że Brazewicz czynił to z akcentem takim, jakby podejmował nas hojnie. Zapraszał i zachęcał:

— Jedzcie, koledzy, jedzcie... nie żałujcie sobie...

Wyglądało to na drwiny, a pochodziło z serca. Dzielił się z nami, bez nadwężenia kota, mającego w przekonaniu jego znaczenie świętości nietykalnej. Legion w szeregach swoich posiadał dwóch takich: jego i Jagmina — obaj zacni, waleczni, ale... oszczędni. Różnili się postawą i obszarem wiadomości. Jagmin poza regulaminem książek innych nie znał. Brazewicz czytywał o tyle, że umotywować... umiał zasady demokratyczne, jakie wyznawał. Waleczność jego nie była tak ślepą, jak tamtego i troskliwość o kompanię, którą dowodził, nie dochodziła do bezwzględności. Jagmin z kompanią swoją obchodził się, jak matka z dzieckiem; upominał się, kłócił o nią; o żołnierzy dbał o wszyst-

kich razem i o każdego z osobna; był ich opiekunem, rzecznikiem, lekarzem—lekarzem dlatego, że posiadał lekarstwo doświadczone jedno na choroby wszystkie, a to: wódka z popiołem. Każdemu, co się poskarżył na ból głowy, ból żołądka, ból w kościach lub na co innego, radził:

— Kieliszek wódki z popiołem... Jeżeli nie poskutkuje od razu, napij się raz drugi i trzeci...

Skuteczność lekarstwa tego na tej polegała zasadzie, że choroby wszelkie rodzaj ludzki trapiące pochodzą z zanieczyszczenia żołądka. Ponieważ zaś rądle popiołem się czyszczą, a zatem i na żołądek popiół jest skutecznym.

Bezwzględność jego w troskliwości o kompanię swoją w ten między innymi manifestowała się sposób, że, gdy się zdezelował karabin jaki, Jagmin kradł karabin dobry w kompanii innej i na jego miejscu stawiał zdezelowany. Dowodził on kompanię pierwszą w pierwszym batalionie, Postać to oryginalna.

Pod koniec pobytu naszego w Miszkolcu, krążyć pomiędzy nami poczęły wiadomości o wznowieniu wojny, która, co do Austrii, uważaną być mogła za skończoną faktycznie. Kraina węgierska oczyszczona była z wojsk austriackich, trzymających się jeszcze w twierdzach niektórych, w Temeswarze na przykład. Przedstawiało się atoli podobieństwo pomocy rosyjskiej. Co do tej jednak zdania się różniły w sferach rządowych i wywoływały wabania się we względzie przedsięwzięcia kroków zapobiegających. Jedni utrzymywali, że jest ona nieprawdopodobną: jakieżby bowiem Rosya powód miała ratowania Austrii? Czyż Mikołaj I nie miał na Sobieskim przykładu i dowodu, jak się dwór rakuski za pomoc tego rodzaju odwzajemnia? Ci, co objękye takie czynili, tego byli zdania, że Węgry zająć się powinny wyłącznie uregulowaniem stosunków wewnętrznych, nie sprawiając sobie dystrakcyj przypuszczeniami niemożliwymi. Zdanie to wszelako nie przemagało. Koszut przypuszczał możliwość pomocy rosyjskiej i wobec możliwości tej przychylił się był z początku do planu, nakreślonego przez Dembińskiego, który doradzał: wkroczenie do Galicyi, zajęcie prowincyi tej i obrócenie jej resursów na stawienie czoła wojskom rosyjskim za pomocą silnego zwrotu zaczepnego, przenoszącego wojnę na grunt posiadłości rosyjskich. Śmiały i zuchwały plan ten miał początek wykonania. Rząd postanowił organizacyę armii północnej, złożonej z dwóch korpusów, pod naczelnem Dembińskiego dowództwem. Jeden z korpusów tych, do którego wcielonym został legion polski, stanął nad granicą; drugi, generała Kazińczi, ku niemu od Debreczyna ciągnął; Dembiń-

ski kwaterę główną założył w Bardyowie i na miejscu się znajdował, czyniąc przygotowania do operacyi, rozpocząć się mającej, jak skoro Kazińczy pod ręką się znajdzie. My znajdowaliśmy się w pogotowiu, pomimo że batalionowi trzeciemu ludzi jeszcze brakło. Plan ten zburzył się nagle. Dnia 16 czerwca Dembiński otrzymał rozkaz, zabraniający mu surowo wkroczenia do Galicyi, a to z powodu, że do Galicyi wkroczyły wojska rosyjskie. Był to powód racjonalny. Plan opierał się na zajęciu krainy, zajęcie więc jej przez wojska nieprzyjacielskie obalało podstawy. Dembiński do dymisyi się podał; dowództwo armii północnej powierzone zostało Wysockiemu.

Objęcie dowództwa przez Wysockiego nastąpiło w chwili nagłej i w warunkach bardzo trudnych: w momencie, kiedy wojska rosyjskie trzema na raz drogami, na każdej w sile o trzy razy przewyższającej siły korpusu stojącego w Bardyowie, przechodziły przez Karpaty. Stawienie czoła korpusowi, idącemu na Bardyów, znaczyło wystawienie się na otoczenie. Nie było dnia jednego, godziny jednej do stracenia. Wysocki, oskrzydłony już z Lewoczy, jak skoro na miejsce przybył, niezwłocznie odwrót nakazał i wycofać się potrafił z matni, w którą był już prawie wpadł.

Legion natychmiast na linię bojową wyruszył, z wyjątkiem rezerw jazdy i czterech kompanij batalionu trzeciego. Z tego ostatniego wystąpiła tylko, pod dowództwem kapitana Horodyskiego, kompania pierwsza o sile dwustu z górą ludzi; cztery inne, co do kadrów kompletne, liczyły w szeregach zaledwie tylu żołnierzy, ilu potrzeba do pełnienia służby strażniczej. Dostały więc polecenie konwojowania magazynów do Pesztu, złożonych z efektów, należących do uzbrojenia, uekwipowania i odzienia żołnierskiego. Sformował się więc park, nad którym dowództwo powierzone zostało choremu wtedy podpułkownikowi Czernikowi; batalionem dowodził major Englert; mnie, z tej racyi, zem kwatremistrzował, będąc podoficerem, dostała się funkcyja kwatremistrza.

Ruszyłem przodem, pełniłem funkcyę moją należycie i nie przytrafiło mi się nic osobliwego, z wyjątkiem etapu najpierwszego na drodze z Miskolca do Pesztu. Na etapie tym, gdym kwatery przygotował i pozaznaczał, zaszedłem, w oczekiwaniu na nadejście kolumny, do oberży, celem przyjęcia posiłku. Zastałem izbę gościnną, napełnioną po brzegi gośćmi płci obojej, przeważnie kobietami i dziećmi. Były to rodziny, uciekające w głąb kraju przed wkroczeniem wojsk rosyjskich. Zaledwie przy jednym ze stołów miejsce dla siebie znalazłem i ledwie nieledwie jadła się

doprosiłem. Kiedym talerz wypróżniał, do izby wszedł siwy jakiś wojskowy, okiem powiódł, zoczył mnie i, zbliżając się, po polsku przemówił:

— Nie znajdzie się tam, kolego, obok ciebie miejsca dla mnie?

Posunąłem się. Przybysz usiadł i odezwał się:

— Głodnym, jak pies... Obyż jedzenia dostać!...

Jedzenie sobie podać kazał i zawiązał ze mną gawędkę, rozpoczynając od zapytania:

— Cóż tam u was słychać?...

Odpowiedziałem, że odprowadzamy do Pesztu magazyny.

— A z linii bojowej?... — dodał.

— Słyszałem, że Wysocki nocami maszeruje, we dnie spoczywa...

W rzeczy samej, w Miszkolcu mieliśmy wieści podobne.

— Hm... — mruknął nieznajomy. — Sposób to nie koniecznie dobry, ze względu na znużenie, jakie marsze nocne sprowadzają... Żołnierz się nie wysypia...

— Śpi w dzień... — wtrąciłem.

— To nie to... Posilnym rzeczywiście jest tylko sen nocny... Nocami się maszeruje w konieczności nie do uniknienia, a konieczności tej Wysocki uniknąć mógł, dałem mu bowiem wskazówki...

Wyraz ostatni tknął mnie. Od początku podejrzewałem w nieznajomym oficera wyższego, wyraz zaś ów podejrzenie moje zwrócił na drogę pewną.

— Czy nie mań zaszczytu — zacząłem — mówić z generałem Dembińskim?...

Nieznajomy głową na znak potwierdzenia skinął i prawił dalej.

Wyraz „Dembiński,” dosłyszany przez tych, co najbliżej siedzieli, poszedł poszeptem z ust do ust, z za stołu do stołu podawany. W stronę naszą zwracały się spojrzenia z sali całej. Gdy generał wstał, wnet otoczony został przez kobiety, które się zwróciły do niego z prośbami, zapytaniami i wynurzeniami, tyczącemi się położenia, wytworzonego przez wkroczenie wojsk rosyjskich. On, ku drzwiom się posuwając, odpowiadał z uśmiechami uprzejmymi. Jakaś piękna, młoda dama wyraziła mu obawy swoje co do kozaków.

— Co pani kozacy złego zrobić mogą!... — odpowiedział.

Jam się za nim przez tłum przeciskał, odprowadzałem go do pojazdu, którym był prosty wózek węgierski w koni parę zaprzężony. Obok bryczki stał młody jakiś, bardzo przystojny ofi-

cer. Dembiński pożegnał mnie głowy skinieniem, do oficera słów kilka po polsku przemówił, obadwa na wózek wsiedli i odjechali.

Nie przypominam sobie, na którym etapie zastaliśmy oczekującą na nas partyę ochotników, liczącą ludzi sześćset z górą, wszystko eks-żołnierze z szeregów austriackich. Kompanie się uzupełniły. Batalion w komplecie, z wyjątkiem kompanii pierwszej, znajdującej się na linii bojowej, wkroczył do Pesztu.

W Peszcie pozostawaliśmy nie dłużej, jak dni trzy. W stolicy panował spokój. Publiczność zajmowała się teatrem i koncertami. Nie dawała się czuć zawieszona nad krainą węgierską groza wojenna. Wyprawiono nas koleją żelazną w drogę tę samą, którą przejeżdżaliśmy siedem miesięcy temu. Przed wyruszeniem każdy z oficerów do wytrzymania miał—obleżenie rodzaju osobliwego. Kolej żelazna zabierała żołnierzy, ale nie zabierała kobiet — kobiet, których przy kompanii każdej było conajmniej czterdzieści. Podczas przemarszu jeszcze ze wsi pod Miskolcem do Miskolca w oczy mi to wpadło. Szosą ciągnęło wojsko, a obok wojska polem tłum niewieści z węzełkami na plecach. Tłum ten doszedł do Pesztu; składał się on z tak zwanych *frajerek*, kochanek żołnierskich, z mazowiecka mówiących. Gdybyśmy dalej byli piechotą pociągnęli, byłby pociągnął i on. Kolej drogę mu zagroziła. Major nakazał kapitanom niedopuszczenia do wagonów więcej, niż po dwie wiwandierki na kompanię, wybierając co najzdrowsze i najsilniejsze i zobowiązując je do prania oficerom bielizny. Wybrano przeto po dwie; reszta z płaczem i lamentem zwróciła się do oficerów, prosząc i błagając, po rękach całując, u nóg się ścieląc. Chciały rzeczy niemożliwej. Zostało to biedactwo w Peszcie na zaprzepaszczenie. Ciekawym do zanotowania szczegółem jest ten, że każda, na zapytanie, skąd przyszła, odpowiadała:

— Ze Sąca (z Sączca)...

Miałżeby Sącz być rozsądnikiem *frajerek*?

Wyruszyliśmy koleją do Solnoka, aleśmy do Solnoka nie dojechali. Wysadzono nas na jednej ze stacyj pomiędzy Pesztem a tem miastem i poprowadzono najprzód do Keczkemetu, następnie do Kereszturu, a może najprzód do Kereszturu, następnie do Keczkemetu. Staliśmy tam na kwaterach tygodni parę. Była to okolica, w której koncentrowały się nowo zrekrutowane wojska i formowały armię, nad którą dowództwo miał generał Perczel. Robiło się to z pośpiechem gorączkowym. Armia owa liczyła ludzi tysięcy dwadzieścia kilka, w części czwartej uzbrojonych w dziły zamiast karabinów. Zabrakło już dla piechoty broni palnej,

formowano więc tak zwanych „pikinierów,“ których bataliony przyłączano do pół-brygad w broń palną zaopatrzonych. Ćwiczo-
no ich na łeb na szyję. I myśmy odbywali ćwiczenia ustawiczne, ale tę mieliśmy z góry wyższość, że żołnierz w szeregach naszych potrzebował jeno oswoić się z komendą w języku polskim, na co wystarczało muszter kilka. Oczekiwaliśmy wymarszu, celem połączenia się z legionem, o którym, gdzieby się obracał, pojęciaśmy nie mieli. Nagle dostajemy zawiadomienie, że Perczel wcielił nas do korpusu swego.

— Jakim tytułem?...

Zdziwiło nas to i poruszyło. Rozporządzenie to sprzeciwia-
ło się układowi z rządem, którego mocą legion nie miał być dzie-
lony pomiędzy korpusy węgierskie. Zebraliśmy się w koło ofi-
cerskie i udaliśmy się do majora; major odesłał nas do pułkowni-
ka Czernika; ten ostatni na przedstawienie nasze odpowiedział,
że dostał rozkaz wyraźny; gdyśmy zaś nalegali na niego, ażeby
Perczelowi niestosowność i nieprawność rozkazu wytłómaczył,
oświadczył, że się tego nie podejmie, albowiem obowiązek żołnie-
rza polega na słuchaniu, ale nie na rezonowaniu.

— W takim razie my sami do Perczela pójdziemy...

— Idźcie!... — odrzekł opryskliwie.

Wybraliśmy z pomiędzy siebie delegację i udaliśmy się do
generała. Do wybranych należałem i ja. Perczel przyjął nas, ale,
skorośmy mu żądanie nasze wypowiedzieli, wpadł w gniew srogi,
palcem nam nakiwywał, wypominał z naciskiem złośliwym sej-
miki polskie i zagroził rozstrzeliwaniem, zaczynając od delega-
tów. Gdy się wygadał, odpowiedzieliśmy mu:

— Wystawialiśmy się, generale, w bitwie każdej na rozstrze-
lanie, więc się pogroźki tej nie lękamy... Służymy na mocy spe-
cjalnego z rządem układu i domagamy się dotrzymania warun-
ku... Inaczej służyć nie chcemy...

— Idźcie z legionem waszym do dyabła!... — krzyknął.

Umitygował się jednak po odejściu naszym, z Czernikiem się
porozumiał i rozkaz odwołał.

W dni parę później ruszyliśmy z korpusem całym w pochód.
Droga, którąśmy przechodzili, prowadziła nizinami podmokłymi.
Brodziliśmy po trzęsawiskach, na których wodę miejscami okry-
wała śnieź czerwona. Dni były upalne, lipcowe. Na trzęsawis-
kach tych pozbyłem się nagniotków, alem się za to nabawił fe-
bry, napastującej mnie co dzień trzeci. Doszliśmy wreszcie do
Solnoka i tam, ku wielkiemu uradowaniu naszemu, złączyliśmy
się z legionem, który droga odwrotu aż tu doprowadziła.

Kiedyśmy się pod Solnokiem znajdowali, sytuacja Węgier była wówczas w stanie nie rozpaczliwym, ale bardzo kłopotliwym, wymagającym tego, czego się wymaga od kapitana i majtków na okręcie miotanym burzą. Rząd, w Peszcie zagrożony, przeniósł siedlisko swoje do Szegiedyna. Siły zbrojne pozostawiały pod naporem dwóch ciśnień, idących, jedno od północy, drugie od zachodu. Od północy następowały wojska rosyjskie i party Görgeya, który, ucierając się szacownie i nie zawsze niepomysłnie, ustępował za Cissą na szachownicę, zaznaczoną wytyczniami Debreczin, Wielki Waradyn i Arad, i ściągał do siebie korpusy w stronie tej operujące. Od zachodu szła armia austriacka pod wodzą feldmarszałka Haynaua. Ta na drodze pochodu swego miała Komorn, w którym zamknął się Klapka; Komorn minęła, pozostawiając przy nim korpus obserwacyjny, zajęła Peszt bez przeszkody i znalazła się wobec musztrujących się w okolicy keczkie-meckiej zaciągów Perczela i korpusu Wysockiego, doprowadzonego w całości pod Solnok, a prowadzącego za sobą część sił rosyjskich, które się na wysokości Pesztu zatrzymały.

W Solnoku siły zbrojne węgierskie skoncentrowały się w armię, mającą za zadanie specjalne stawienie czoła Haynauowi.

W sposób ten powstały dwie armie: północna i południowa—pierwsza pod Görgeyem, dowództwo drugiej powierzone zostało Messaroszowi, który przyjął je pod warunkiem, że szefem sztabu będzie Dembiński. Jedna od drugiej, pod względem wartości bojowej, różniła się znacznie. Armia północna składała się z korpusów w ogniu wypróbowanych; w południowej—pole bitwy znaniem było większości ogromnej jeno ze słyszenia. W skład jej wchodziły bataliony pikinierów; hufce zaś, w broń palną zaopatrzone, były zaledwie obmusztrowane nieco. Najpewniej, pod względem przyniotów żołnierskich, przedstawiał się korpus Wysockiego; innym zaś za zaprawę służyły bataliony pojedyncze, bądź honwedów przykomenderowanych z korpusów, co kampanię wiosenną odbywały, bądź też legionów cudzoziemskich, a mianowicie: legionu niemieckiego, który się umundurowaniem od wojsk węgierskich nie różnił; legionu włoskiego, ściągniętego na siebie oczy odzieżą odmienną, bardziej zaś doborem ludzi rosłych i pięknych. Ludzi tych dobrali Austriacy, legion włoski bowiem był to dawniejszy batalion grenadyerów, pozostawiony w Budzie dla obrony zamku. Batalion ów, gdy Węgrzy z drabinami do szturmowania poszli, broń przez mur wyrzucił i wdzierających się honwedów przyjął marszem Rakoczego, odegranym przez orkiestrę puł-

ku włoskiego ¹⁾. Taką była piechota. Z jazdą działa się nie lepiej. Szwadrony huzarów w hułkach białych i kapeluszach ufności nie wzbudzały. Wśród nich odznaczały się: dwa szwadrony Czikoszów i jeden Roza Szandor — pierwsze sformowali pastuchy stadnin stepowych; bili się dzielnie; władali zręcznie batogami, którymi przy spotkaniu Austryakom oczy wybijali i linewkami, którymi jeźdźców z koni ściągać umieli. Roza Szandor był to rozbójnik przed rewolucją wsławiony; postawił on szwadron, ale z huzarów jego pociechy nie było — używano ich do pędzenia za wojskiem bydła. Wśród kawaleryi do armii tej przyłączonej najwięcej wzbudzały ufności pułki nasze ułańskie, prowadzone przez oficerów doświadczonych i posiadające w szeregach żołnierzy wyrobionych, przeważnie eks-austryackich. Słowem, piechota i jazda w armii tej do życzenia pozostawiły dużo, bez porównania więcej, aniżeli artylerya, która, nie wiem dlaczego, była i liczna i jeżeli nie zupełnie, to dość dobra i należycie w amunicję zaopatrzona. W linii bojowej rozwinąć się mogło bateryj dwadzieścia kilka, obsługiwanych jak należy. Stosunkowo legion polski posiadał artyleryi mało: pół bateryi pieszej i pół konnej. Tą ostatnią dowodził Władysław Bentkowski.

Batalion nasz, pod Solnokiem, po przyłączeniu do niego odkomenderowanej w Miskolcu kompanii, znalazł się w pełnym komplecie—ludzi osiemset bez mała. Jam był w kompanii piątej strzeleckiej.

Z pod Solnoka przenieśliśmy się pod Czegled, gdzie leżeliśmy obozem dni kilka i skąd jazda czyniła wyprawę rekonesansową, celem odgadnięcia zamiarów przeciwnika. Obóz mieliśmy wygodny — w lesie. Żołnierze pobudowali nam z gałęzi szałas.

Szałas przydał mi się ogromnie do odbywania paroksyzminów febrzy, na którą leczył mnie Szpaczek, lekarz nasz batalionowy, jeden z ochotników, co z Galicyi do Miskolca napływali. Zaży-

¹⁾ Załoga, zostawiona przez Austryaków do obrony zamku w Budzie, składała się z dwóch batalionów kroackich, jednego polskiego (z pułku Mazuheli) i jednego włoskiego. W czasie szturm Krowci bronili wnijsia przez wylom, Polacy i Włosi dwóch punktów, ku którym Węgrzy z drabinami szli. Włosi broń wyrzucili. Polacy raz ognia dali, następnie odstąpili i broń do nogi wzięli; Węgrzy się na nich z bagnietami pochylonemi rzucili i byłiby wymordowali, gdyby ich oficerowie nie zasłonili. Krowci z za wylomu zepchnięci w domach się pozamykali i bronili się wściekle. Z batalionów kroackich ani jeden człowiek przy życiu nie pozostał. Węgrzy się nad nimi okrucieństw dopuszczali. Zamek królewski zrabowany został.

wałem chinę. Miño to febra wracała. W lesie napadł mnie paroksyzm silny. Leżałem bez pamięci i, gdy mnie gorączka opuściła, dzwignąłem się, wysunąłem się z szałas i znalazłem się wobec widowiska, które mnie zajęło. Ustawione bębny reprezentowały stół zielony, który otaczało grono liczne, złożone z oficerów od piechoty i jazdy i zabawiało się dyabelkiem czy faranem do puli. Gra szła raźnie. Uczestnicy, podając karty jeden drugiemu, ciągnęli kolejno. Ten przegrywał, ów wygrywał; siedziałem za Łuczyńskim, batalionowym adyutantem naszym: temu karta nie służyła—przegrywał ustawicznie. Dwie czy trzy koleje obeszły i on do puli płacił. Irytowało go to; wtem zjawił się podoficer służbowy, odsalutował i głośno się odezwał:

— Podporucznika Łuczyńskiego major prosi...

Łuczyński się zerwał. Ktoś zauważył:

— Rękę stracisz...

— Ano...—Łuczyński na to, oglądając się — zajmuj miejsce moje...—rzekł do mnie.

— Kiedyż ja grać nie umiem...—odpartem.

— Nauczysz się... Filozofia nie wielka...

Śledząc grę poznałem, że w rzeczy samej, nie wielka to filozofia. Zająłem więc Łuczyńskiego miejsce; gdy kolej na mnie nadechodziła ciągnąłem i w rękach moich karta zmieniła zwyczaj. Wygrywałem. Szczęście sprzyjało mi szalenie, tak, że podczas kiedy inni ostatki z pugilaresów i sakiewek wytrząsali, jam zgartywał z bębna banknoty, ewanzygiery, dukaty nawet, z których ułan jeden, nazwiskiem Jan Tyszkiewicz, trzosik, na gołem ciele noszony, wypróżnił. W krótkim czasie wygrałem tysiąc kilka złotych reńskich. Zawadzało mi to. Ponieważ szczęścia spróbowałem przypadkowo, uśmiech ten przeto fortuny uważałem za nieprawdy i grałem dalej w celu przegrania. Byłbym zapewne celu tego dopiął, gdyby mnie od gry wezwanie do majora nie oderwało. Wezwanie przyniósł Matuszyński, kolega mój z kompanii piątej. Kiedym, ustąpiwszy miejsce swoje komuś innemu, wstał i kroków kilka postąpił, Matuszyński pochwycił mnie pod ramię jedno, brat jego pod drugie, w las prowadzili, perswadowali i prosili, ażeby gry zaniechał. Major nie wzywał mnie wcale. Był to z ich strony podstęp, którego dopuścili się, ażeby mnie do zabastowania przyprowadzić. Osłabiony po paroksyzmie opierać się im nie mogłem; gniewać się nie było za co: do gry przeto nie powróciłem i wygrana cała przy mnie została. Nie zachęciła mnie ona. Część znaczna wygranej z rąk moich wyszła następnie, ałem graczem nie został. Wypadek niemirowski stał mi w pa-

mięci zawsze; zresztą do kart nie czułem pociągu najmniejszego— uważałem je za stratę czasu obrzydliwie głupią.

W obozie pod Czegledem zdarzyła się sprawa, której istota z pamięci mi wypadła całkowicie. Nie wiem o co chodziło, przypominam sobie jeno, że kwestya polegała na interpretacji zasad demokratycznych i z tego powodu do pułkownika, dowódcy piechoty, którym był Idzikowski, wezwany został cały korpus oficerski. Pułkownika Idzikowskiego widywałem dotychczas zdaleka. Był to mąż wzrostu dużego, tuszy dobrej, okazały, mający wygląd żołnierski i sposób mówienia, utkany conceptami, które w szeregach powtarzano. Gdyśmy go otoczyli, jał nam istotę demokracji wykładać i rozpoczął wykład od następujących mniej więcej wyrazów:

— Kroć set dyabłów!... czy myślicie, zem nie demokrata?... Z was żaden z parobkami z misy jednej kartofli nie jadał, a jam jadał... o... i smakowały mi lepiej, niż pulardy z truflami...

W rodzaju tym ciągnął dalej, powiedział przypowiastek parę i pożegnał nas. Przemówienie to nie zbudowało i nie przekonało nikogo, nie osłabiło jednak powagi pułkownika, opierającej się na tem, że go powszechnie uważano za człowieka w rzemiośle wojskowym biegłego. Nie każdemu ze śmiertelników dano być wszechstronnym — znać zarazem i rzemioło wojskowe i zasady demokratyczne.

Przy końcu miesiąca lipca ruszyliśmy z pod Czegledu w pochód traktem, na Nagy-Keres i Felegyhaza, prowadzącym do Szegedynu. W marszu niepokoiło nas tylko słońce, które naprzód przypiekało, a następnie sprowadziło na nas ulewę z gradem. Powietrze się oziębiło. Zmoknięci i zmarzli stanęliśmy pod stolicą prowizoryczną na polu, przysposobionem na pole bitwy. Jak okiem ogarnąć, ciągnęły się mniejsze i większe szańce polowe. Wojska się w nich rozstawiły. Nam wypadło miejsce na lewem skrzydle, opierającym się o samotnie wśród pól wznoszący się domek, otoczony obmurowaniem wysokiem i przylegający do ogrodu, pełnego drzew owocowych. Przed nami rozciągały się łąny, zbożem i kukurydzą obsiane, a na lewo widniało coś, w czem, po rozpatrzeniu się bliższem, rozpoznać się dała szubienica murowana, wyglądająca naksztalt bramy gotyckiej. Domek był mieszkaniem kata. Żołnierze w marszu mają zwyczaj do mieszkań ludzkich zaglądać. Gdy się wieść rozeszła, kto mieszkanie to zajmował, ani jeden z żołnierzy do wrót zamkniętych nie zapukał. Wrota owe nie otworzyły się przez czas cały pobytu naszego w szańcach, osłaniających Szegiedyn od strony zachodniej.

Pobyt nasz w tych szańcach trwał bodaj czy nie tydzień cały; nie wymagał zaś ustawicznego pogotowia bojowego, albowiem i żołnierzom i oficerom udzielano pozwolenia udawania się do miasta pod lada pretekstem. Razu pewnego przybiega do mnie podoficer od ułanów, Wołyniak, ten sam co mi w Aradzie, w szpitalu, oznajmił o formowaniu jazdy, i wzywa mnie, ażebym do miasta jaknajprędzej szedł.

— Po co?... — pytał.

— Nie powiem... Niespodzianka... Chodź!... zobaczysz...

Dopytywałem się. Mówić nie chciał, ale wzywał w sposób tak nalegający, że mi się majorowi zameldowałem i z nim razem do miasta udałem. Wprowadził mnie do jakiegoś domu z podwórkiem i na podwórku w oczy mi się rzucili żołnierze rosyjscy, odziani w mundury pułku ułanów woznesieńskich. Zdziwiło mnie to; zdziwienie moje pod postacią zapytania wyraziłem.

— Chodź dalej... — odpowiedział mi przewodnik. — Zdziwisz się bardziej jeszcze...

Wprowadził mnie po wschodach do izby i ujrzałem Rulikowskiego, oficera z pułku woznesieńskiego, który czasu onego wraz z Bolesławem Popowskim i innymi należał do zromy, związanej w tym pułku. Wysłano go z podjazdem; dotarł do wsi jakiejś i przesłał do czat węgierskich karteczkę z wezwaniem, ażeby go zabrano. Wkrótce wpadł oddział huzarów, otoczył probostwo i wziął do niewoli podjazd cały, ani się domyślający podstępu. Rulikowski, do sztabu dostawiony, zadeklarował, że służyć chce w legionie polskim. Odesłano go też do legionu wraz z ułanami, karteczka zaś jego w aktach sztabowych pozostała. Nieszczęsna karteczka! Na jej podstawie Rulikowski rozstrzelany został!

Łatwo wyobrazić sobie uradowanie moje, z jakim powitałem pierwszego z okolic moich rodzinnych przybysza, z którym znałem się osobiście. Rulikowski był nie swój niby, zmieszany i niespokojny. Wojna brała obrót niepomyślny, uważał więc postępek swój za niewczesny. Mocno był zakłopotany.

— Co to będzie?... — pytał.

— A cóż!... — odrzekłem. — Lękasz się zginąć?...

— Zginąć mniejsza... Gdybym nie zginął jednak?...

Pytania tego nie zadawałem sobie, nie umiałem przeto odpowiedzieć na nie. Uspokajałem jak mogłem i umiałem Rulikowskiego, który do rezerwowego szwadronu wraz z komendą swoją przyłączony, później dopiero do pułku wcielonym być miał.

Dzień widzenia się z nim był przededniem wymarszu naszego z okopów. Nazajutrz od rana nakazano nam być w pogoto-

wiu bojowym, domyślaliśmy się i spodziewali bitwy; około czwartej czy piątej jednak po południu spostrzegliśmy się, że w okopach rozległych pozostajemy sami jedni; równocześnie kazano nam ku miastu się cofać. Przez Szegiedyn przeciągnęliśmy krokiem zwyczajnym, nie domyślając się niczego. Zagadka rozwiązała się nam dopiero nad brzegiem Cissy, wobec dwóch mostów na łyżwach, z których jeden, złamany już, z wodą płynął, drugi zaś otaczali pontonierzy z narzędziami do zrywania. Na ten ostatni weszliśmy. Ponieważ maszerowaliśmy prawem skrzydłem naprzód, ja zaś we froncie rozwiniętym batalionu zajmowałem miejsce na skrzydle lewym, szedłem przeto ostatni i widziałem, jak za mną deski z pomostu do wody rzucano. Na brzegu przeciwnym, za pomocą zajścia prawem ramieniem naprzód, uszykowaliśmy się frontem równolegle do rzeki. Na lewo od nas znajdowała się gromadka jeźdźców, a na jej czele siwy jegomość, w którym z łatwością rozpoznałem Dembińskiego, dalej zaś trochę widzieć się dawał szanńczyk, a na nim działa jedno.

Skoro batalion uszykował się, wnet major podszedł do Dembińskiego, poczem za chwilę powrócił i rzekł:

— Generał kazał batalionowi odejść, zostawiając na brzegu pluton i oficera roztropnego...

Wymówiwszy wyraz ostatni zmiarkował się, że był to wyraz zbyt cichy, za język się więc ugryzł i dodał:

— Ij, co tam!... Zostanie pluton ostatni, dziesiąty i oficer, co nim dowodzi...

Powiedziawszy to, zakomenderował:

— Pluton dziesiąty... stój!... Inne plutony... w prawo!... Batalion!... krok podwójny, marsz... marsz!...

Batalion rotami drogą pod górę ruszył; major, na mnie palcem kiwnąwszy, udzielił mi półgłosem instrukcyi, wedle której powinienem był wybrzeże osadzić, uważać pilnie, co się na rzece dzieje, nie przepuszczać na brzeg lewy nikogo, pozostawać aż się dobrze ściemni i wówczas pluton odprowadzić drogą, która mnie zaprowadzi do obozu.

Major odjechał. Pozostałem sam. Obejrzałem się: i Dembińskiego już nie było. W szanńczyku widziałem oficera, stojącego na wale, kanonierów siedzących i lont kurzący się, a nieopodal stamtąd przodek zaprzężony z furwerami na siodłach.

Do obsadzenia wybrzeża skorzystałem z wierzb grubopienych, ciągnących się wzdłuż. Pluton ustawiłem za wierzbami, po żołnierzu za każdą. Dokonawszy tego, zwróciłem uwagę na rzekę. Most jeden spłynął już; drugi, z pomostu ogołocony, łamał

się; woda go częściowo unosiła; pontonierzy się w czółenkach uwijali, tu coś odrywając lub odrabując, ówdzie popychając tratwy ku środkowi prądu. Czynność ta zajęła mnie mocno. Przypatrywałem się jej, póki ukończona nie została. Gdy zaś pontonierzy, most z wodą puściwszy, zwrócili się z czółenkami w górę rzeki i za firanką wierzb z oczów mi znikli, zwróciłem spojrzenie na szańczyk. W szańczyku ani działa, ani kanonierów nie było. Wynieśli się tak, że nie spostrzegł tego. Zdawało mi się, że i mnie wynieśćby się można, ale rozkaz wyraźny trzymał pluton póki się nie ściemni zupełnie. Zostawiłem więc żołnierzy za wierzbami, sam zaś, ujawszy pałasz pod pachę, rozpocząłem przechadzkę nad brzegiem, idąc od żołnierza ostatniego na prawo do żołnierza ostatniego na lewo i zatrzymując się od czasu do czasu dla obejrzenia krajobrazu, przedstawiającego się pod postacią Szegiedyna przy zachodzie słońca. Tu dachy blaszane połyskiwały, ówdzie okna zaczerwienione iskrzyły się, z pośrodku domów wystawały do góry ciężkie mury starego zamku, zaopatrzone w baszty i krenele. Zajmowało mnie to i wspomnienia w duszy budziło, wspomnienia najprzód miast, potem osób, w końcu tych ludzi sercu memu najbliższych, a tak oddalonych, co mnie wychodowali i wychowali. Łzawo mi się niby zrobiło. Oddałem myśl moją całkowicie wspomnieniom lat dzieciennych moich. Słońce się coraz to bardziej ku zachodowi chyliło—aż zaszło, zapadło się poza stary zamek i zmrok na rzekę zachodzić począł. Zmrok od wspomnień mnie oderwał. Spojrzałem na niebo — na niebie szarzało; zwróciłem oczy na rzekę, na której z mostów śladu już nie było: z wodą poszły, znikły; rzeka płynęła cicho, spokojnie, przybierając coraz to wyraźniej połysk szkła w cieniu i tonąc już w mroku w oddaleniu. Mrok ów, zwyczajnie jak mrok, budzący pojęcie tajemniczości, zaciekał mnie. Puściłem wzrok w lewo, z biegiem rzeki—tam nic nie było; zwróciłem oczy w prawo i po niejakiś czasie wydało się mi, że widzę tam czarny jakiś, ruchomy punkt. Jałem się w punkt ten wpatrywać. Ruszał się, w rzeczy samej. Co by to być mogło? Nie długo mi potrzeba było czasu, ażeby się domyśleć. Wiedziałem, że nieopodal od zajmowanego przezemnie stanowiska wpada do Cissy rzeka Marosz i że ujściu jej towarzyszą z prawej strony nie do przebycia trzęsawiska, pod których osłoną nieprzyjaciel mógł bezkarnie przygotowania do przeprawy przez Cissę czynić. W przygotowaniach tego rodzaju rolę nie małą odgrywają tratwy — rodzaj promów — służące do przeczucenia na brzeg przeciwny znacznego oddziały wojska. Uczyniłem w myśli przypuszczenie, że musi to być to

i ruszyłem wnet wzdłuż wierzb, zalecając żołnierzom baczność, przygotowanie broni do strzelania i czekanie na mój rozkaz. Niebawem przekonałem się, że przypuszczenie moje z rzeczywistością się zgadza. Na tratwie znajdowali się żołnierze w ilości, o ile zmiarkować mogłem, batalionu. Na głowach chwiały się in pióropusze, po czem poznałem strzelców. Tratwę prąd rzeki unosił w stronę naszą. Wyczekałem, ażeby minęła żołnierza naszego na prawo stojącego i wygłosiłem rozkaz do strzelania dowolnie. Wnet z poza wierzb, jeden po drugim, padać poczęły strzały. Przechodząc od żołnierza do żołnierza upominałem:

— Wytrzymuj na celu dobrze!... Nie spiesz się!... Prochu nadaremnie nie psuj!...

Nie zdaje się, ażeby prochu na wiatr poszło dużo. Żołnierze strzelby o wierzby opierali, na celu wytrzymywali i palili w kupę. Kule musiały trafiać, widziałem bowiem w kupie tej zamieszanie, wicie się na miejscu, kurczenie się niejako, połączone z okrzykami jękliwemi i rozkazującemi. A żołnierze nasi palili, palili. Ogień z poza wierzb szedł rzadki, ale ustawiczny. Wreszcie tratwa oddalać się poczęła. Jam ognia przerywać nie kazał; strzelanina odkonwojowała Austryaków aż na brzeg przeciwny i wówczas dopiero zaniechać jej kazałem, kiedy się wojsko z tratwy wysypało. Musiało tam być sporo rannych i zabitych. Nie mogłem dojrzeć tego w ciemności wieczornej. Później dopiero — o wiele później — z opisów historycznych wojny węgierskiej dowiedziałem się, że w rozprawie tej ranionym został Benedeck, wówczas generał brygady, który oddział ów prowadził osobiście. Z racji tej dostał miano generała-bohatera. Był to początek jego kariery, jutrznia jego wielkości. Pasowałem go wtedy na wodza naczelnego w przyszłości i w ten sposób przyczyniłem się do zguby Austrii w roku 1866, a zatem i do zaprowadzenia w niej konstytucyi. Nie żałuję tego, że dla państwa rakuskiego smutnych kolei stał się przypadkowym, a mimowolnym sprawcą. W chwili tej tegom się ani domyślał. Kazałem strzelania zaprzestać, poczekałem jeszcze, aż się ściemniło zupełnie, ściągnąłem pluton na drogę i odszedłem. ¹⁾

Droga prowadziła po pochyłości w górę. Zanim szczytu wzgórza dosięgnąłem, zawiązała się pomiędzy brzegiem jednym

¹⁾ Raporty urzędowe austryackie zdarzenie to podają inaczej. Według nich Benedeck na brzeg lewy jakoby wysiadł i batalion, którym dowodził, cofnął się na brzeg prawy, wskutek kilku rozpaczliwych ataków węgierskich. Austryacy brzegu ani dotknęli. Węgrów nie było ani jednego.

a drugim kanonada działowa. Kule i granaty przenosiły się nad głowami naszymi. Granaty nasze, padając na miasto i pękając, oświecały je światłem błyskawicznym, w którym fantastycznie się przedstawiały budowle, mury i przesuwane się nad brzegiem wojska. Oglądałem się i przypatrywałem temu. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej malowniczego. Na górze przeszliśmy przez jakiś wał; około północy dostaliśmy się do stanowiska batalionu naszego w obozie.

Od wieczora tego rozpoczęła się bitwa, która trzy dni trwała i polegała całkowicie na ogniu działowym. Artyleria miała głos główny. Nazajutrz około południa batalion nasz postawiono w pierwszej linii bojowej. Stanęliśmy za wałem usypanym przeciw wylewom Cissy i dotykającym pod kątem prostym wału, który się wzdłuż Maroszy ciągnął. Mieliliśmy wał przed sobą i wał na prawo. Na pierwszym, na lewo nieco od stanowiska naszego, wznosiła się mogiła, która Dembińskiemu służyła za obserwatorium militarne. Na szczycie jej stał z lunetą w rękę, śledząc ruchy wojsk nieprzyjacielskich. Widziałem go tam przez dzień cały. Zdaje się, że Austriacy dostrzegli go, albowiem na mogiłę zwróciła się istna zawierucha kul działowych; uderzały w spód i z boków, trafiały w wał, za którym staliśmy, odbijały się i przenosiły nas rikoszetami wielkimi. Zachwycał mnie widok generała starego. Na kule nie zważał zgoła. Od czasu do czasu przybywali do niego na koniach spienionych adjutanci. On się do nich zwracał, ręką dawał znak, ażeby na mogiłę nie wjeżdżali, słuchał co mówili, mówił do nich, uśmiechał się dobrodusznie i tabakę zażywał. Na noc zeszedł. Kazano nam wystawić gęste straże, pozostać na stanowisku, kompanię jedną pod bronią trzymać, a innym pozwolić się położyć i spać, ale tak, jak w szeregu stały i z bronią w rękę. Oficerowie kolejno dyżur odprowadzali, bacząc, ażeby żołnierz i oficer każdy na swoim znajdował się miejscu.

Kiedy w nocy dyżur wypadł na mnie, począłem chodzić przed stojącym i leżącym frontem i przechadzka ta wyprowadziła mnie poza batalionu skrzydło prawe, aż do wału nad Maroszą. W rowie wału tego wydało mi się, że ktoś leży. Zeszedłem w rów. W rzeczy samej, leżało osób dwie płaszczami z głową nakrytych. Byłem przekonany, że dwaj z szeregów batalionu naszego żołnierze wykradli się w celu przespania się spokojnie. Huknąłem na nich; gdy jednak na hukanie głuchymi się okazali, kopnąłem nogą raz i drugi.

— A nuże, wstawaj!...

Na kopnięcie wysunęła się z pod płaszcza głowa siwa i o słuch mój obity się wyraził:

— A co tam?...

— Ach! przepraszam...—zawołałem.—Myślałem, że to który z żołnierzy naszych...

— No dobrze... dobrze...

I głowa się płaszczem okryła.

Był to Dembiński, szef sztabu armii południowej. Obok niego noc w rowie spędzał wódz naczelny, Messarosz. Ta ich główna kwatera znaną być musiała adyutantom i dowódczom korpuśnym, alem ja o niej nie wiedział i dlatego dopuściłem się względem starego generała niegrzeczności, której, ściśle rzecz biorąc, nie powinienem się był względem szeregowca nawet dopuszczając. Ale... *à la guerre comme à la guerre.*

Nazajutrz o świcie Dembiński znów się na mogile znajdował. O południu zluzował nas batalion pierwszy i ten ucierpiał więcej, aniżeli nasz, który miał kilku rannych; z pierwszego zaś zabitych odnoszono, i to zabitych od kul karabinowych. Tak zginął Janiszewski, postrzelony w udo: żartował z rany otrzymanej i nagle skonał. W oczach moich frajerce, co żołnierzowi obiad przyniosła, kula nogi obie urwała. W nocy zauważyłem znaczny ruch batalionów węgierskich. Spodziewaliśmy się zmiany stanu rzeczy w dniu następnym; cały dzień jednak upłynął, jak poprzedni. Pojedynek artyleryjski ciągnął się dalej. Aż trzeciej nocy niespodzianie nakazano nam pochód.

Nakaz ten pochodził stąd, że się w Mako, a więc poza nami, przeprawił przez Marosz korpus rosyjski. Była to dla nas niespodzianka. Na szachownicy, osłaniającej tę przeprawę, operował Görgey, który, uwiadomiony o rozprawie pod Szegiedynem, powinien był uwiadomić o niemożliwości utrzymania drogi do Mako. Nie uczynił tego. Gdyby się był Dembiński w porę przypadkiem nie dowiedział, bylibyśmy wzięci we dwa ognie.

Zamiar Dembińskiego polegał na tem, ażeby Austryaków przez Cissę puścić i zgnieść. Zamiar ten nie powiódł się. Nastąpił więc odwrót pospieszny. W nocy wyminieliśmy wojska rosyjskie i zatrzymaliśmy się nazajutrz o południu, spokojni już o tyły nasze. Zatrzymanie się to w porę dla mnie nastąpiło, napadł mnie bowiem paroksyzm febry, która, przerwana dzięki chinie, znów wróciła. Maszerowaliśmy krainą spustoszoną, teatrem wojny domowej. Wsie i miasta leżały w gruzach; na każdym niemal kroku widzieć się dawały ślady pogorzeli. Na drugi dzień pochodu w nocy spotkał nas wypadek, ktorego znaczenia nie zro-

zumieiliśmy od razu. Zbudził nas nagle huk i tentent w obozie. Zerwaliśmy się. Kazano nam pod bronią stanąć. Mówiono o napaździe kozaków. Staliśmy pod bronią do rana i pokazało się, że jeździe naszej całej konie się od kółków poodrywały i uciekły. Kilkadziesiąt szwadronów pozostało na piechotę. Rozesłano na wsze strony w step celem odszukania koni, piechotę zaś i artyleryę ustawiono w szyku bojowym, oczekując łada moment ataku nieprzyjaciela, który za nami zbliżka ciągnął. Godziny jednak upływały—nieprzyjaciel się nie pokazywał. Wreszcie luzary odszukali konie przy stertach siana w stepie i przypędzili. Nastąpiło rozbieranie ich pomiędzy szwadrony. Godziny znów upływały — nieprzyjaciel nie atakował. Wydawało się to dziwnem, tembardziej, że w wigilię dnia tego, legion polski, który szedł w straży tylnej, stawił czoło straży przedniej austriackiej, legion zaś włoski z zasadzki w kukurydzach zgromił szwoleżerów. Po rozebraniu koni, ruszyliśmy w pochód dalej. Tajemnica, dla czego nas Austriacy nie atakowali, wyjaśniła się później. I im konie w nocy uciekły. Sprawilo to trzęsienie ziemi, które konie przestraszyło.

W dniu następnym wyruszyliśmy o świcie i znajdowaliśmy się w marszu pełnym, kiedy, około ósmej zrana, zatrzymać się nam kazano. Po pół godziny może stania w miejscu, dostał się do nas, z powietrza niby, wyraz: Bem.

Bem nadjechał z rozkazem ministeryalnym, oddającym mu nad armią naszą dowództwo naczelne. Dowództwo objął i w miejscu, w którym armię spotkał, postanowił bitwę stoczyć. Powiadają, że Dembiński, zdając mu władzę, odwoził go od tego postanowienia, przedstawiając niestosowność jego strategiczną i taktyczną. Armia szła do Aradu, celem połączenia się z armią północną i nic jej na przeszkodzie nie stało. Takim był wzgląd strategiczny, o którym słówko powiem później. Co się warunków taktycznych tyczy, te przedstawiały się tak: do boju rozwijać się należało tyłem do Temeswaru, fortecy, znajdujacej się w rękach austriackich. Przytem cały park rezerwowy, wiozący amunicyę zapasową zarówno dla artyleryi, jak dla piechoty, wysłany był przodem i oddalenie jego od armii wynosiło mil trzy. Artylerya posiadała ładunków tyle tylko, co w jaszczykach, a i piechota zaopatrzona dobrze nie była. Niektóre bataliony strzeleckie nawet nabojów w ładownicach więcej nie miały, jak po kilkanaście. Przedstawienie tego stanu rzeczy nie wpłynęło na zmianę postanowienia Bema, tak że Dembiński powiedzieć mu miał:

— Kiedy masz robić głupstwo, to rób-że je sam...

Armia z uniesieniem radości przyjęła wiadomość o objęciu dowództwa przez Bema. Poczęto wnet do boju nas szykować. Stanowisko batalionowi naszemu dostało się przy szosie, nad kanałem Bega, obok mostu murowanego, na kanale zbudowanego. Stanęliśmy na lewo od mostu i, na rozkaz Bema, zeszliśmy do kanału, w którym wówczas, zamiast wody, dno okrywało błoto, tworzące kałużę, podrywającą pochyłe, murawę okryte brzegi. Nad kanałem owym batalionowi usiąść kazano. Rozkaz ten dogodził mi wielce, albowiem w chwili tej właśnie febra mnie trząść poczęła. Usiadłem i położyłem głowę na kretowinie. Zaledwem legł, tuż nad głową huknął mi wystrzał, tak nagle i niespodzianie, że od drgnięcia podskoczył ciałem całym. Nad kanałem rozwinęła się bateria węgierska. Bitwa się rozpoczęła. Dalej nieco na prawo odezwała się pół-bateria polska, a dalej strzelanina działowa zabrzmiała na linii długiej i wyzwała odpowiedź ze strony przeciwnej, wyrażającą się pod postacią kul, granatów i szrapnelów, padających na nas w obfitości znacznej. Te ostatnie zrazu przenosiły nas, w kanale schronionych, następnie w kanał nurzać się poczęły, wbijając się bądź w murawę, bądź w błoto. Mnie ziębienie opuściło, miejsce jego zajęła gorączka. Leżąc na kretowinie, czułem pragnienie, dla którego zaspokojenia dzwignąłem się, zsunąłem, nad kanałem nachyliłem i kiedym czapką wodę czerpał, kula dwunastofuntowa wpadła w kretowinę. Gdybym się był chwilę spóźnił, w kretowinie tej byłaby została głowa moja. Febra mi życie uratowała. Nie masz tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wkrótce potem Bem, który na szosie na koniu stał, kazał dowodzącemu nami w dniu tym, z powodu choroby majora, kapitanowi Horodyskiemu, przeprowadzić batalion z lewej strony mostu na prawą. Uczynił to w tym zapewne celu, ażeby nas z pod ognia usunąć. Kiedysiny przez szosę przechodzili, wówczas, po raz w życiu mojem pierwszy, Bema zobaczyłem. Stał na środku szosy, siedząc na gniadym koniku, patrzył na nas, jakieśmy przed nim rotami defilowali. Przedemną, o kroków kilkanaście biegł dobosz z bębniem na ramieniu, młody, szykowny chłopak; kula gwiznęła, dobosz głową kiwnął; Bem z przekąsnym w głosie akcentem zawołał:

— A dobosz, hunewot!... Kulom się kłaniasz?...

Dobosz się wyprostował, kroków kilka postąpił i—runął kulą w sam łeb trafiony.

Na prawej stronie mostu, z miejsca mego na lewym skrzydle batalionu, miałem możność przypatrywania się Bemowi, ilem chciał. Używałem też. Oglądałem się ustawicznie. Na szosę

i obok padały kule i granaty. Bem ani zważał na nie. Konik jego tylko, gdy granat przed pęknięciem kręcił się na miejscu i burczał, szyję ku niemu wyciągał i uszami strzygł. Po niejakiś czasie, Bem z kieszeni od atylli chustkę białą wyjął i do policzka przycisnął. Na chustce pokazała się krew. Co chwila przyjeżdżali do niego adytanci, brali rozkazy i odjeżdżali. Po między nimi zauważyłem jednego, chłopca setnego, w fezie z kutasem na głowie, siedzącego na koniu skarogniadym, którego prowadził nie na munsztuku, ale na trenzli zaopatrzonej w eugle jedwabne. Później się dowiedziałem, że był to Aleksander Hliński, inaczej Skinder-bej. W oczach moich Bem, raniony czerepem od granatu w obojczyk, z konia spadł i w karecie, która wnet nadjechała, odwieziony został.

Położenie nasze na stronie prawej mostu pogorszyło się w stosunku do tego, jakie było na stronie lewej. Tam nie straciliśmy człowieka ani jednego; tu nastął moment morderstwa prawdziwego. W szeregach nasze wpadała kula po kuli, wpadał granat po granacie; zabitych i kaleczonych padało na raz po kilku. Zdarzyło się to w kompanii piątej. Żołnierzy opanowało przerażenie paniczne; rzucili się kupą pod most, a gdym się temu oprzeć chciał i szablą im drogę zagrażał, wyrócili mnie, w błoto wdeptali i pod most się pogarnęli. Kilkunastu uciekło. Potrzeba ich było uspakajać, ośmielać, każdego niemal za rękę do szeregu prowadzić, z każdym, jak z dzieckiem pomówić.

— Czegóż się lękaasz?... Cóż?... Zginiesz dziś, czy umrzesz za lat kilka: czyż to nie jedno?..

W sposób ten przywróciliśmy porządek w batalionie przepołowionym prawie przez śmierć i przez ubytek tych, co rannych odprowadzili. Zawierucha kul i granatów od nas się odwróciła. Swobodniej się nam niby zrobiło. Odetchnęliśmy w oczekiwaniu wypadków dalszych, które się w ten przedewszystkiem wyraziły sposobem, że, około trzeciej czy czwartej godziny po południu, baterie nasze jedna po drugiej milknąć poczęły. Stało się to w chwili przybycia na pole bitwy korpusu wojsk rosyjskich pod generałem Paniutinem. Nie pomogła pomyślność na prawem skrzydle naszym szarża jazdy, w której się odwagą i zimną krwią odznaczył Wład. Bentkowski, dowódca półbaterii konnej. Rozwiniętych przez Rosyan czterdzieści dział, wówczas kiedy działa nasze odpowiadać nie mogły, poniosły zniszczenie i trwogę w szeregach żołnierstwa młodego. Bataliony pikinierów pierwsze, za ich przykładem inne w rozsypce pole bitwy opuszczać poczęły. Rozsypka szła od skrzydła prawego ku lewemu i nie ogarnęła nas

dla tego zapewne, żeśmy, w kanale stojąc, nie widzieli, co się na polu bitwy dzieje. Aż nad kanałem zjawił się na koniu jakiś nieznany nam, słuszny, chudy jegomość, słów kilka z Horodyskim zamienił i, głos podnosząc do nas, przemówił:

— Bracia!... — odezwał się. Spodziewam się, że uratujecie honor imienia polskiego.

Jegomością onym był, jakieśmy się później dowiedzieli, Władysław Zamoyski. Zjawił się on na teatrze wojny w charakterze asystenta politycznego, reprezentującego księcia Adama Czartoryskiego. Na razie nie wiedzieliśmy, co on za jeden, ani skąd się wziął. Słowa przezeń wyrzeczone sprawiły na nas wrażenie. Dostaliśmy wiadomość o bitwie przegranej. Horodyski, wyprowadzwszy nas z kanału, uszykował frontem rozwiniętym przed mostem i, zakomenderowawszy: „Na lewo w tył, zwrot!“ uprowadzać począł batalion polem szerokim, na którym na prawo widniały wzgórza, na lewo trzęsawiska, za nami zaś siniały we mgle lasy. Pole to w dali usiane było gromadą ludzką, pospieszającą ku lasom. W kierunku tym, w szyku takim, w jakim wojska na placu parady maszerują, posuwaliśmy się i my. Wkrótce za nami przez most przeniósł się pędem, ze szczękiem i tententem, szwadron jazdy austriackiej, zatrzymał się, uszykował i na nas ruszył.

— Batalion, stój!... Na lewo w tył, zwrot!... — zagrzmiął głos komendy.

Horodyski kazał następnie wziąć broń na „tuj!“ Szwadron stanął, a w ślad za nim przez most przeszło pędem dział dwa i szwadronów dwa jeszcze. Działa się naprzód wysunęły i odprzodkowały. W chwili tej Horodyski batalionowi zwrot w tył wykonać kazał i zakomenderował:

— Krok podwójny... marsz... marsz!...

Działa kartaczami raz, drugi, trzeci i czwarty plunęły, zaprzodkowały, a szwadrony tymczasem naprzód posunęły. Batalion uszedł kroków kilkaset. Znowu stanął, do jazdy frontem się zwrócił i broń na „tuj“ wziął. Przed szwadronem wyjechała artylerya.

Powtórzyło się to razy trzy na przestrzeni kilometrów paru. Jazda wreszcie zaniechała ochoty rozbicia nas. Rozbiliśmy się sami. W lesie, skorośmy weszli do onego, batalion stopniał. Po czasie niedługim na drodze pozostali oficerowie sami. Żołnierze, co przed chwilą pod kartaczami, wobec jazdy, taki świetny dowód odwagi złożyli, rozbiegli się. Odwaga ich przechodziła w dniu tym smutnym—w dniu bitwy pod Temeswarem, 9 sierpnia 1849 r.—przez fazy różne. Zrazu nie zarysowała się wyraźnie, potem zesza niżej zera, następnie zajaśniała w sposób imponujący, w koń-

cu rozbiła się o ponętę mchów i liści, które zwabiły do siebie ludzi znękanym fizycznie i moralnie.

Znękanie czuć się dawało wszystkim nam, mnie mianowicie, w którego organizmie nurtował jeszcze paroksyzm febry, manifestujący się pragnieniem w gardle i bólem w krzyżach, bokach, kościach wszystkich. Ledwie się włókł. Przysiadalem, ustawałem i znów szedłem. Przychodziło mi na myśl pozostać, na liściach się położyć i dać się Austryakom wziąć. Wstawałem jednak i szedłem dalej, unoszony niejako w tłumie żołnierzy broni różnej, który drogą płynął. Na drodze przydałem się niesionemu na płaszczu rannemu jednemu. Dźwigali go ułani i on sam był ułanem. Po oznakach poznałem w nim oficera. Twarz miał bladą, w oczach i na ustach świecił mu uśmiech łagodny, kobiecy prawie, harmonizujący z jasno-płowemi włosami, które mu głowę okrywały. Nadszedłem na spór ostry pomiędzy tymi, co go nieśli, a żołnierzami węgierskimi, o wóz. Jedni drugim wóz ów wydrzeć chcieli. Ułani, ujrzawszy mnie, do mnie się zwrócili o pomoc, tłumacząc, że na wóz ten, będący własnością legionu, złożyć chcą rannego porucznika. Zainterweniowałem. Powaga moja oficerska zaimponowała snąc Węgrom. Wóz się dostał ułanom i ci wnet zawinęli się około usłania na nim legowiska dla rannego. Poszedłem dalej. Bardzo mi się chciało z woza tego dla siebie skorzystać. Poszedłem jednak piechotą, oddawszy żołnierzowi, co mi posługiwał, pałasz, płaszcz i wszystko, co mi ciężyło. Wlokłem się. Dopędziło mnie huzarów kilku; jeden z nich konia osiodłanego luzem prowadził. Zatrzymali się. Ten, co konia luzem prowadził, kiwnął na mnie i siedzenie na koniu mi ofiarował. Przyjąłem ofiarę z radością. Gdy się na siodle znalazłem, doznałem sensacyi takiej, jakbym się do raję dostał. Pamiętam maść konia — bułaną. Jechałem na nim do późna w nocy. We wsi jakiejś zsiadłem; za wsią nade drogą przespałem się i szedłem dalej, wciąż z tłumem bezładnym; żywiłem się chlebem i winem; noc drugą na drodze przespałem, a w dniu następnym dostałem się do Lugosza, mimo bateryi dział ustawionej przed miastem na pozycyi i mimo warty, która mi wskazała punkt zborny legionu.

Przeigrana przez nas bitwa pod Temeswarem należy do rodzaju bitew decydujących. Rozstrzygnęła ona losy wojny. Przeegraliśmy ją z kretelem. Jest, co do niej, jedna do zanotowania osobliwość, ta mianowicie, że na dział dwieście armia nasza nie straciła w bitwie tej ani jednego dział.

BITWA GROCHOWSKA.

W papierach generała Wojciecha Chrzanowskiego, znajdujących się w posiadaniu rodziny, znaleźliśmy niniejszy, przezeń uczyniony opis bitwy grochowskiej, zatytułowany: „Mój opis bitwy grochowskiej.“ Jak widać rzecz ta pisana była po latach 55-ych, czyli na schyłku życia generała, zmarłego w Paryżu roku 1861. Sam w sobie „Opis bitwy grochowskiej“ stanowi całość, jest jednak niewątpliwie fragmentem monografii generała Chłopickiego, która albo została w sferze nieurzeczywistnionych zamiarów, albo zaginęła. To ostatnie wydaje mi się wątpliwem, gdyż spadkobierca Wojciecha Chrzanowskiego, Leon Chrzanowski, znany krakowski publicysta, poseł do Rady Państwa w Wiedniu i do Sejmu we Lwowie, przywiózł wszystkie papiery swego stryja w doskonałym porządku i przechowywał je aż do swej śmierci, która nastąpiła w 1897 r., poczem przeszły w ręce najbliższej rodziny. Przejrzawszy je, przekonaliśmy się, że niema wśród nich rękopisu pamiętnika generała Chrzanowskiego, jak to podał Hirschberg w bibliografii powstania: zapewniono nas, że nigdy w archiwum rodzinnem pamiętnika tego nie było, i że nigdy pamiętników swoich generał Chrzanowski nie pisał. Może więc Hirschberg otrzymał od Leona Chrzanowskiego niewystarczającą, albo nieściłą informację, która go w błąd wprowadziła.

Rękopis bitwy grochowskiej, w wielu miejscach przekreślony, nosi na sobie poprawki i uzupełnienia inną ręką czynione — mianowicie ręką Leona Chrzanowskiego, co ze względu na jego charakterystyczne pismo, wątpliwości nie ulega. Nasuwała się kwestya, czy je uwzględnić, czy też wydobyć z pod przekreśleń redakcyę pierwotną i tę do druku podać. Poszliśmy za pierwszym, a to z następujących powodów: poprawki mają charakter stylistyczny, jest ich niewiele, stylu autora i sensu w niczem nie

wypaczają i są czynione wtedy, gdy budowa zdania zupełnie się rozpada, gdy z trudnością doszukujemy się podmiotów i orzeczeń: uzupełnienia są treści rzeczowej, czasem podana cyfra, przedtem pominięta, czasem wyszczególnienie gatunków broni, którego przedtem nie było, to znów ściślejsze określenie jakiejś pozycyi militarnej. Rzucą się w oczy, że uzupełnienia owe czynił człowiek kompetentny. Leon Chrzanowski w kwestyach strategii i historii wojskowej powstania listopadowego kompetentnym nie był. Zagadkę wyjaśniono nam, powtarzając opowiadanie Leona Chrzanowskiego, że niedługo przed śmiercią swego stryja bawiąc w Paryżu, rękopis wspólnie z nim odczytywał i uzupełnienia pod jego dyktandem czynił. Przyjeliśmy to więc za pewnik i nim kierowaliśmy się. Nie potrzebujemy przypominać, że Wojciech Chrzanowski, jeden z najpoważniejszych talentów w polskiej armii, był wówczas szefem sztabu dywizyi Zymirskiego, że posiadał wysokie wykształcenie fachowe, że udział w tureckiej wojnie w roku 1828—29 dał mu sposobność, jako dowódcy, poznać zalety i wady armii rosyjskiej, którą to znajomość generał Puzyrewski najzupełniej mu przyznaje. Nie zapuszczamy się w ocenę poglądów i planów strategicznych generała Chrzanowskiego. Nie mamy swego zdania, czy ze względów strategicznych i taktycznych należało pójść na Litwę w pierwszych chwilach powstania, jak Chrzanowski wtedy radził, czy odrazu przyjąć plan Prądzyńskiego, plan obrony w sławnym trójkącie, oznaczonym przez Warszawę, Modlin i Serock, kierując się między innymi tem, że podczas pochodu na Litwę można było zniszczyć jądro armii, a uganiając się za niepewnymi rezultatami, udaremnić nową organizację wojska, czy po bitwie grochowskiej Dybicz mógł być atakować Warszawę, jak sądzi Puzyrewski, czy też w tej chwili dla obu armij krok zaczepny był niemożliwy, jak dowodzi Chrzanowski. Polemika z krytykami, wyrzucającymi Chłopickiemu, że zgodził się na trzydniowy rozejm w dn. 21 lutego, ma, zdaje się, głównie na celu dzieło Mierosławskiego ¹⁾. Pozostawiając te wszystkie kwestye do rozstrzygnięcia specjalistom, sądzymy, że „Opis bitwy grochowskiej” jest cennym dokumentem historycznym i za udzielenie nam go do druku dziękujemy właścicielowi rękopisu, panu Janowi Chrzanowskiemu. ²⁾

ST. SZPOTAŃSKI.

¹⁾ L. Mierosławski: Powstanie Narodu Polskiego. T. I, str. 226 i nast.

²⁾ Pisane przed ukazaniem się pamiętników generała Prądzyńskiego.

OPIS BITWY GROCHOWSKIEJ

przez generała Wojciecha Chrzanowskiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Zarys działań wojennych od początku kampanii do bitew grochowskich.

Nie będziemy tu kreślić dziejów wiosennej kampanii 1831 r., podany jedynie te wypadki wojenne, w których generał Chłopiński miał czynny udział, nie mając już wprawdzie żadnej urzędowej posady w armii polskiej.

Pierwszy okres powstania od początku grudnia do końca stycznia, okres, w którym można było prowadzić kampanię zaczepną daleko sięgającą, minął bezpowrotnie. W tym to tylko peryodzie — nim armia rosyjska wykonała najtrudniejsze zawsze dla siebie działanie, skoncentrowanie wojsk, rozrzuconych na ogromnych przestrzeniach i kiedy rozkazy z Petersburga polecały wojskom rosyjskim w Litwie, pod dowództwem generała Rosena stojącym, cofać się z tej prowincyi przed atakiem Polaków ku właściwej Rosyi, dopóki nie połączą się z korpusami, śpieszącymi dopiero z głębokiej Rosyi ku granicom Litwy — w tym tylko pierwszym, powtarzamy, peryodzie, można było wykonać plan wojny zaczepnej, przedstawiony 7 grudnia przez generała Chrzanowskiego, plan następującej treści: „Ruszyć z 40,000-ną armią polską na Litwę, rozbić jeden po drugim w wielkiej od siebie odległości, jakby schodami dążące za sobą korpusy rosyjskie i zając całą Litwę, Żnudz, Polesie, słowem wszystkie prowincye polskie, i wówczas z całego dwudziestomilionowego narodu ciągnąć siły i zasoby do prowadzenia walki na daleko dogodniejszym dla nas teatrze wojennym, jaki przedstawia Litwa, gdzie, w kraju zarosłym lasami, poprzerywanym jeziorami i bagnami, stosowne ma do działania pole samodzielności pojedynczego żołnierza, przymiot właściwy wojsku polskiemu, a brakujący armii rosyjskiej, której organizacya i wady nakazują działać wielkimi masami, ściśle dozorowanemi.“ Gdy cała ta dawno miniona sprawa z upływem czasu wyjaśniła się, stało się widocznem, że plan ten był wykonalnym i zbawiennym. Nie tyle strategiczne, co polityczne przy-

czyny spowodowały nieprzyjęcie tego projektu wojny zaczepnej. Nie można nikogo obwiniać, że nie został wykonany; a od każdego jasno i bezstronnie widzącego te rzeczy daleką jest myśl, aby była zła wola w jego odrzuceniu. Dzisiaj łatwo nam jest sądzić i krytykować, kiedy wiemy wszystkie tameczne okoliczności, znamy dokładnie położenie ówczesne wojsk rosyjskich i rozkazy im dane, gdy bieg czasu wykrył jak najwidoczniej usposobienie mocarstw europejskich dla Polski. Lecz wówczas zdawało się wielu ludziom stanu, że powstanie w granicach Polski kongresowej jest legalne i przez gabinety zachodnie poparte będzie; marsz zaś na Litwę, przerywając szranki ustawy międzynarodowej europejskiej, szranki traktatu wiedeńskiego, zniszczy położenie legalne Królestwa, uświęcone traktatem tym i konstytucją, postawi Polskę na polu rewolucyjnym przeciw wszystkim mocarstwom, traktat wiedeński podpisującym, i odepchnie spodziewaną pomoc Zachodu. Dzisiaj, poznawszy terażniejszy system polityczny, przekonawszy się dwudziestoletniem doświadczeniem, że on łatwo uświęca tylko czyn spełniony (*fait accompli*) i wspiera silnego, a opuszcza słabego, nie wdając się w słuszność i legalność lub niesłuszność sprawy — dzisiaj dopiero widzimy mylność powyższego rozumowania konstytucjonistów polskich z 1831 roku i błąd popełniony zaniedbaniem natychmiastowego marszu na Litwę. Zresztą mniemało wielu, że pierwszy peryod powstania, t. j. czas, zaczem armia rosyjska zgromadzić się i walkę rozpocząć będzie mogła, użyć należy przedewszystkiem na przygotowanie się do wojny, na uorganizowanie i powiększenie wojska. W istocie armię polską, liczącą w chwili wybuchu listopadowego 30 tysięcy, doprowadzono do pięćdziesięciu kilku tysięcy.

Gdy już peryod kampanii zaczepnej minął bezpowrotnie, i w chwili, gdy armia rosyjska, licząca 120,000 żołnierzy, 106 batalionów piechoty, 156 szwadronów jazdy regularnej, 11 pułków kozackich, 348 dział, a złożona z 1-go i 6-go korpusów pieszych, z 3-go i 5 korpusów jazdy rezerwowej, z korpusu grenadyerów, a nakoniec z oddziału gwardyi Wielkiego Księcia, przekraczała w pierwszych dniach lutego granice Królestwa kongresowego, powziął generał Chłopicki plan działania, mogący być streszczony w następujących słowach:

Nachodząca Polskę armia rosyjska posuwać się będzie dwoma drogami: szosą augustowską od Łomży i szosą podlaską od Brześcia przez Siedlce. A ponieważ szosa podlaska jest krótszą, wygodniejszą i pada prostopadle na nasz środek, po niej więc pójdą główne siły rosyjskie, od Łomży zaś posuwać się będzie mniej-

szy korpus dla zagrożenia lewemu skrzydłu naszemu i zrobienia dywersyi. Te dwa maszerujące korpusy armii nieprzyjacielskiej rozdzielać będzie Bug. My zgromadzimy całe wojsko w strategicznym trójkącie między Warszawą, Serockiem i Modlinem, czekając sposobnej chwili uderzenia na Rosyan. W chwili, gdy te dwa oddziały rozdzielone będą najbardziej przeszkodami i odległością, wówczas, zatrudniwszy główne siły rosyjskie szosą podlaską idące, małym lecz odważnym korpusem, przejdziemy Bug pod Serockiem i uderzymy przeważnemi siłami na drugi, mniejszy korpus wojsk rosyjskich, maszerujący szosą augustowską, zniesiemy go łatwo, a zwróciwszy się na prawo, rzucimy się z flanki na główne siły rosyjskie i kolejno je rozbijemy.

Równocześnie podali odmienne plany kampanii generałowie Prądzyński i Chrzanowski.

W chwili wtargnięcia armii rosyjskiej do Królestwa kongresowego i otwarcia kampanii, wojsko polskie, rozłożone dotąd około Warszawy, rusza w pierwszych dniach lutego naprzód i zajmuje linię bojową wzdłuż bagien Muchawca i Liwca, w przypuszczeniu, iż tą drogą posuwać się będą główne siły rosyjskie. Ten pierwszy, chwilę trwający, szlak wojsk polskich jest następujący: Środek stanowią dywizye piesze Skrzyneckiego i Żymirskiego z jazdą Ziemięckiego, mając w drugiej linii dywizye Szembeka i Krukowieckiego. Front tego środka, wyciągnięty wzdłuż bagien Muchawca i Liwca, przecina prostopadle szosę siedlecką i równoległy do niej gościniec stanisławowski. Na lewym skrzydle staje dywizya konna Jankowskiego, na prawem dywizya konna Suchorzewskiego, z przednią strażą w Siedlcach. W takim szyku wojsko polskie zamierzało najprzód przyjąć główne siły rosyjskie, spodziewając się, że takowe posuwać się będą szosą podlaską od Brześcia i Siedlec, a następnie, po rozbiciu lub odparciu tego głównego korpusu, rzucić się na drugą część, mającą iść po szosie augustowskiej.

Chociaż ten przewidziany kierunek marszu i ataku Rosyan był najprawdopodobniejszy, i istotnie się sprawdził, z początku jednak armia rosyjska nie tą drogą wkracza i posuwa się w głąb Królestwa. Najprzód, dnia 5-go lutego, przechodzą granicę dwa skrajne oddziały, stanowiące dwa ostateczne skrzydła tej armii: grenadyerski korpus Szachowskiego, będący ostatecznem prawem, rusza z Kowna szosą do Augustowa, Geismar i Kreutz, stanowiący kraniec lewego skrzydła, maszerują, pierwszy z Włodawy do Radzymina, drugi z Uściługa ku Krasnemustawowi. Nazajutrz, t. j. 6 go, główna siła rosyjska, złożona z korpusów Pahlena, Ro-

sena i Witta, pod wodzą samego feldmarszałka Dybicza, wkrocza w widły między Narew i Bug, między szosy augustowską i podlaską, nie trzymając się z nich żadnej. Wszystkie te korpusy przebywają rzeki po lodzie, jedne Niemen i Narew, drugie górny Bug. Wtem 7-go lutego następuje odwilż, topnieją śniegi i lody na całej bagnistej przestrzeni między Narwią i Bugiem, w którą wtoczyły się główne siły rosyjskie. Odwilż ta zaskoczyła w następującym porządku całą armię rosyjską, rozstawioną na szerokiej linii bojowej od Krasnegostawu do Maryampola: Kreutz w Krasnymstawie nad Wieprzem, Seismar między Radzynem i Łukowem, Anrep na szosie podlaskiej między Międzyrzeczem i Siedlcami, korpus Witta już na lewym brzegu Bugu w pochodzie ku Węgrowu pod Sokolowem i Kosowem, główne siły, t. j. korpusy Rosena, Palena i rezerwy między Bugiem a Narwią w Czyżewie, w Zambrowie i w Łomży, nakoniec przednią straż grenadyerów w Rajgrodzie, a sam korpus w Maryampolu. Podczas tej odwilży, przez 8-my i 9-ty lutego, waha się i namyśla feldmarszałek Dybicz nad planem ataku, czy zatrzymać projekt pierwszy, przerzucić główne siły na prawy brzeg Narwi na szosę augustowską i, wzięwszy ją za linię operacyjną, uderzyć na Warszawę od północy przez Serock, czy też przeprowadzić jądro armii na lewy brzeg Bugu, na szosę podlaską i tę obrać za linię operacyjną. Skłania się nakoniec ku drugiemu planowi i korpusy stanowiące środek armii odbierają rozkaz przejść na lewy brzeg Bugu, a wzięść szosę podlaską za główną linię operacyjną i posuwać się nią od wschodu ku Warszawie. To trudne działanie, zmianę frontu i niebezpieczny marsz flankowy, oraz przejście na lewy brzeg Bugu, wykonała armia rosyjska w ciągu trzech dni. Rosen, wysunięty naprzód, zasłaniał ten marsz, a poza jego frontem przesuwały się szybko kolumny Palena i rezerwy, a nakoniec sam Rosen przeszedł za Bug. Dnia 14-go lutego już główna siła armii rosyjskiej, z 100,000 ludzi i z 300 dział złożona, znajdowała się na nowej linii operacyjnej, na szosie podlaskiej, z frontem zwróconym na zachód, wyciągniętym wzdłuż Liwea i Muchawca. Jedyne tylko korpus grenadyerów pozostał na północnej linii operacyjnej, na szosie augustowskiej.

Równocześnie wojsko polskie wprost przeciwne odbywało ruchy. Rozstawione już w części, według planu generała Chrzastowskiego, przyjętego przez generała Chłopickiego, wzdłuż Liwea i Muchawca frontem na wschód, i przygotowane właśnie do działania przeciw armii rosyjskiej, atakującej po szosie podlaskiej, jak istotnie się stało i stać musiało—zmienia pierwotny front i linię

operacyjną. W złudnem mniemaniu, iż główne siły rosyjskie kierują się ku szosie augustowskiej i armia najeźdnicza tą szosą i doliną Narwi od północy główny atak wykona, sztab generalny porzuca plan Chrzanowskiego, daje rozkazy korpusom polskim zwrócić front armii na północ, skoncentrować siły pod Serockiem, by działać w dolinie Narwi i na szosie augustowskiej. Mimo przeto rozkazu generała Chrzanowskiego, wówczas szefa sztabu w korpusie Żymirskiego, by oddziały wojsk polskich zajmowały wspomnianą i oznaczoną wyżej linię obronną, przecinającą szosę podlaską, linia bojowa polska zwróciła się frontem na północ i wyciągnęła prostopadle do szosy augustowskiej od Liwca do Modlina.

To przerwienie się armii polskiej z szosy podlaskiej na augustowską, rosyjskiej zaś przeciwnie z pod szosy augustowskiej na podlaską, odbyło się prawie równocześnie. Gdy 12-go lutego spostrzegli Polacy, że armia rosyjska uczyniła wyżej wymienioną zmianę linii operacyjnej, jeden już tylko korpus Żymirskiego zastępował jej drogę i znalazł się we właściwym do walki miejscu, pozostawszy na dawnej linii obronnej nad Liwcem, a tworząc w nowem rozstawieniu się wojsk polskich lewe ich skrzydło. Generał Chrzanowski, szef sztabu w tym korpusie, który od początku przewidywał, że Rosyanie szosę podlaską za operacyjną obrać muszą, i nakreślił stosowny plan, zrazu przyjęty, następnie opuszczony—zaczął powtórnie sam z tem co miał pod ręką wykonywać swój plan, zniweczony już w części przez rozporządzenia sztabu głównego. Na jego przedstawienie wódz naczelny znów plan ten przyjął i wydał rozkaz koncentrowania wojska na szosę podlaską. Zanim jednak wojska te nadeszły, dywizya Żymirskiego, stawiając wprawdzie opór, ustępować jednak musi przed naciskiem 100,000 Rosyan, z nad bagien Liwca i cofa się po szosie ku Mińskowi i Miłośnie. Armia rosyjska przekracza pas bagien nadliwcowych, tę polską linię obronną, ogołoconą z sił odpowiednich, a przekracza ją rozdzielona na dwie kolumny: większa kolumna złożona z korpusów Palena, Witta i rezerw, posuwa się po szosie, ucierając się wciąż z Żymirskim — mniejsza, składająca się z korpusu Rosena idzie równoległym do szosy gościńcem stanisławowskim od Węgrowa ku Dobremu. Wojska polskie, wracając z doliny Narwi do pierwotnego frontu, wstępują także częściowo na szosę podlaską. Lecz już pas bagien przebyła armia rosyjska, już jest zapóźno stawić na nim opór i wykonać plan Chrzanowskiego. Najpierwszy, bo najbliżej stojący, generał Skrzynecki, zwróciwszy się do dawnego frontu, posuwa się naprzód po gościńcu stanisławowskim na spotkanie Rosena, a chcąc wyrównać

się na wysokość Żymirskiego, ustępującego po szosie, zajmuje miasteczko Dobre.

Takim więc sposobem wyrodziło się w tej chwili następujące położenie rzeczy na głównym teatrze wojennym, na szosie podlaskiej i po obu jej stronach: Środek i główna potęga armii rosyjskiej, przeszedłszy bagna Liwea, posuwa się dwoma nierównej siły kolumnami szosą podlaską i gościńcem stanisławowskim, od wschodu ku Warszawie. Tym dwom potężnym kolumnom zastępują drogę dwie tylko dywizye polskie: Żymirski na szosie podlaskiej pod Kałuszynem większej kolumnie Dybicza, Skrzynecki na gościńcu stanisławowskim pod Dobrem mniejszej kolumnie Rosena. Reszta wojsk polskich wykonywa jeszcze marsz flankowy z doliny Narwi na szosę podlaską. Dnia 17 lutego Skrzynecki pod Dobrem stawia dzielny opór Rosenowi z połową korpusu z 3 dywizyi złożonego, odpiera go, rozbija dwie brygady Brizemana i Lindena, a zabiwszy nieprzyjacielowi 1300 ludzi, cofa się dopiero w nocy w porządku ku Stanisławowu. Tu generał Skrzynecki odznaczył się świetnym talentem dywizyonera. Równocześnie Żymirski na szosie, cofając się zwolna i w najlepszym porządku od Kałuszyna ku Mińskowi, opiera się głównej kolumnie wojsk rosyjskich, złożonej z korpusów Pahlena, Wittta, Geismara i W. Ks. Konstantego, wynoszącej 52 bataliony, 72 szwadrony i 118 dział, lecz rozwleczonej w przykrym marszu po rozgrzężłym trakcie—i tym sposobem wstrzymuje i utrudnia jej postęp.

Oddział Żymirskiego doszedł w odwrocie do Mińska w chwili, gdy Skrzynecki cofnął się z pod Dobrego do Stanisławowa. Obydwa zatem polskie oddziały znajdowały się znów na jednej wysokości. Na tej wysokości Mińska i Stanisławowa postanowił sztab główny dać silniejszy opór obu kolumnom rosyjskim, wzmoćniwszy dwie zastępujące im dywizye polskie nadeszłymi posiłkami. Z właściwym korpusem Żymirskiego połączyły się już dywizye komie Suchorzewskiego i Łubieńskiego, nadeszłe z Pragi, ze Skrzyneckim miały się połączyć dywizye Szembeka i Krukowieckiego. Lecz generał Skrzynecki, party przeważnemi siłami Rosena, nie mógł zatrzymać się w Stanisławowie i cofnął się dalej gościńcem do Pustelnika ku Okuniewowi, przez co kolumny Sackena i Rosena oskrzydlać zaczęły lewe skrzydło Żymirskiego, chcącego oprzeć się Pahlenowi pod Mińskiem. Wskutek tego Żymirski cofać się musiał po szosie przez Dębe ku Miłosnie.

Znowu w tej chwili i w tem położeniu, gdy dwa oddziały polskie dochodziły w odwrocie jeden do Okuniewa, drugi do Miłosny, a dwie kolumny rosyjskie, posuwające się dwoma równo-

ległymi traktami, były jak najwięcej rozdzielone i nie mogły mieć z sobą związków, gdyż nie było żadnej drogi łączącej te dwa szlaki najazdu—powzięli generałowie Chłopicki i Prądzyński plan następujący: korpus Żymirskiego zatrzyma na szosie pod Miłosną przez czas niejaki główną kolumnę wojsk rosyjskich Palena i Dybicza, równocześnie zaś główne siły polskie, zgromadzone na trakcie stanisławowskim pod Okuniewem, leżącym na jednej z Miłosną wysokości, uderzą na rozwleczoną kolumnę Rosena, rozbijają go i, pędząc za nim, zagrożą z boku Palenowi, który z tego powodu cofać się także musi. Jakoż, wykonywując ten plan, zgromadzono już 18-go lutego znaczne siły pod Okuniewem, gdyż dywizye Skrzyneckiego, Szembeka i Krukowieckiego, lecz Żymirski, nie uwiadomiony na czas o tym planie, aby całą moc swego korpusu wyteżył dla zatrzymania Palena na szosie przed Miłosną,—ustępował dalej 18-go bez przerwy aż za Miłosną, napierany sześć razy liczniejszymi siłami rosyjskimi, ciągle z niemi mały bój wódząc, a Palen, posuwając się ciągle po szosie, zachodził z boku armii polskiej, pod Okuniewem stojącej, i groził nawet odcięciem jej od Pragi. Znów więc plan generała Chłopickiego zniweczony został, a wojska polskie, zgromadzone pod Okuniewem, musiały ustępować ku Grochowu, ku któremu z drugiej strony cofa się po szosie Żymirski.

Obie drogi (szosa podlaska i gościniec stanisławowski), po których cofają się w dwóch oddziałach wojska polskie, a posuwa się za nimi armia rosyjska, rozdzielona również na dwie kolumny, łączą się na polach grochowskich. Podmokła równina grochowska, półkolem bagien przerznęta, jest węzłem obu dróg, a przeto punktem, w którym zejść się musiały oba oddziały wojsk polskich, po tych dwóch drogach ustępujące; równina zatem grochowska jest stosownem i korzystnem strategicznie polem boju, na którem połączona już armia polska wydać mogła bitwę rozdzielonej jeszcze na dwie kolumny armii rosyjskiej, a zatrzymawszy jedną z tych kolumn małym oddziałem, uderzyć tymczasem całemi siłami na drugą, a następnie zwrócić się na pierwszą. Nadto na polach za Grochowem łączą się dwa większe jeszcze szlaki: szosa podlaska i szosa augustowska: przeto tutaj jest punkt zejścia się obu linii operacyjnych: *wschodniej*, na której działała główna armia rosyjska, i *północnej*, po której posuwa się grenadyerski korpus Szachowskiego. W szczegółowym, niżej skreślonym obrazie terenu płaszczyzny grochowskiej, ujrzymy, że to pole, korzystne dla Polaków na plac bitwy pod względem strategicznym, było także korzystne dla nich pod względem taktycznym.

Patrząc dzisiaj bezstronnie, gdy ucichły już osobiste namiętności, na te minione i wyjaśnione już wypadki, widzimy, że po przebyciu przez armię rosyjską pasu bagien nadliwcowych, jeżeli wojsko polskie miało się jej opierać na prawym brzegu Wisły, naturalnym i koniecznym prawie placem boju były dla niego pola grochowskie. I rzeczywiście, na tych polach grochowskich nastąpił cały szereg walk, zakończony walną bitwą, w której generał Chłopicki najczynniejszy brał udział i był istotnym wojska polskiego wodzem. Dlatego, rzuciwszy ogółowy zarys poprzednich wypadków wojennych, skreślimy teraz szczegółowy obraz potyczek na polach grochowskich i bitwy, w której po raz ostatni walczył i dowodził generał Chłopicki, zamykającej przeto wojskowy zawód i publiczne życie tego wojownika.

CZĘŚĆ DRUGA.

Bitwy Grochowskie.

§ I. Obraz pola tych bitew.

Na prawym brzegu Wisły przed Pragą ciągnie się wzdłuż tej rzeki wielka i podmokła równina, milę szerokości mająca i stanowiąca część szerokiej w tem miejscu doliny wiślanej. Równina ta spływa na lewo płaskim i piaszczystym brzegiem w wody Wisły; na prawo zaś, w odległości jednej mili od rzeki, zaczynają się piętrzyć z niej piaszczyste wzgórza lasami porośłe. Wśród tej niskiej równiny ciągnie się przed Pragą, w milowym od tego miasta procienniu, ogromne półkole bagien, zaczynające się nad Wisłą o milę wyżej Pragi przy Saskiej Kępie, przez pola Zasławia, Gocławia, Olszynkę grochowską, dalej przez pola Kawęczynskie, Ząbkowskie, Drewnicy i Brzeziny aż do Białoleki i lasów tarchomińskich, leżących znów nad Wisłą o milę niżej Pragi. To półkole bagien, przecinające wszystkie drogi, idące od wschodu i północy ku Pradze i Warszawie, stanowiło przeto naturalną linię obronno-bojową dla wojsk polskich, chcących bronić przystępu do Warszawy i stoczyć bój z armią rosyjską, posuwającą się obu szlakami wschodnim i północnym. Od wschodu z piaszczystych wzgórz Miłosny, zarosłych lasami, spuszczały się na tę równinę grochowską dwie drogi, prowadzące w poprzek niej na zachód, od Siedlec i Stanisławowa do Pragi — szosa podlaska i gościniec stanisławowski. Drogami temi posuwa się armia rosyjska. Te

dwie drogi łączą się z sobą już na równinie, na polach grochowskich, przebywszy półkole bagien. Punkt połączenia się tych dróg przy karczmie grochowskiej, w pobliżu sławnej Olszynki, jest kluczem całego pola bitwy. Od północy, wzdłuż tej równiny Wisły, idzie ku Pradze przez Jabłonnę i lasy nieporęckie i tarchomińskie trzecia główna droga — szosa augustowska (nią maszeruje korpus grenadyerów Szachowskiego). Szosa ta łączy się bezpośrednio z podlaską, od wschodu idącą, w samej Pradze, pośrednio jednak połączoną jest poprzecznymi drózkami, obiegającymi zewnątrz całe półkole bagien, przez Białolekę, Brzeziny, Grodzisk, Marki, Ząbki i Kawęczyn. Prócz tego, między szosą podlaską a szosą augustowską, przechodzą przez półkole bagien dwie drogi do Pragi idące—jedna z Nieporętu przez Białolekę, druga z Kobylki przez Ząbki i kolonię Elznera. Oto główny zarys pola bitew grochowskich.

Środkowym i wyskakującym punktem tego wielkiego półkola bagien, przez które przechodzą wszystkie drogi od wschodu do Pragi i Warszawy idące i które, w takim położeniu rzeczy, w jakim obie armie 19-go lutego się znajdowały, było naturalną linią bojową dla wojska polskiego,—jest las olszowy wśród bagien na lewo obu dróg wschodnich, blisko ich zejścia położony. Lasek ten, panujący z boku nad obydwoma drogami, jest kluczem całej pozycji i stanowi czoło jej środka, gdy prawe jej skrzydło zasłonięte jest nieprzebytymi bagnami aż do Saskiej Kępy i Wisły ciągnącemi się, lewe zaś trzęsawiskami półmilowej szerokości, rozciągającemi się milę wzdłuż od Kawęczyna do Brzezin. Obsadzić w ten sposób całą tę pozycję i na tej obronnej linii bojowej, niedozwalającej nieprzyjacielowi rozwinąć i użyć swoich sił przełamujących, stoczyć bitwę z armią rosyjską i w częściowym boju zniszczyć ją i odeprzeć—było planem generała Chłopickiego, wówczas powziętym, gdy nie przyszły do skutku jego poprzednie plany bitwy na wysokości Okuniewa, rozbitcia najprzód kolumny Rosena na trakcie stanisławowskim, a następnie odparcia głównej kolumny feldmarszałka i Palena. Lecz bieg wypadków i zapata wojsk nie dozwolił wykonać tego planu w boju grochowskim, 19-go lutego stoczonym, i posunął pole bitwy naprzód, na owe piaszczyste wzgórza Miłosny, piętrzące się zwolna ponad równiną nadwiślańską.

§ 2. Bitwa Wawerska.

Dnia 18-go lutego wieczorem dywizya Skrzyneckiego i Żymirskiego, cofając się przed armią rosyjską, pierwsza gościńcem stanisławowskim, druga szosą podlaską, zbliżały się do owego pola grochowskiego i do połączenia ze sobą. Przez noc z 18 na 19 pierwsza (Skrzyneckiego), zeszedłszy już na równinę nadwiślańską, obozowała pod Kawęczynem, niedaleko wyżej wspomnianej Olszynki; druga (Żymirskiego) wypoczywała po forsownym pochodzie w lasach Miłosny po obydwóch stronach szosy. Inne oddziały wojsk polskich częścią ściągały się na to pole grochowskie, częścią na nim już przez noc tę obozowały. Dywizya jazdy Łubieńskiego rozwinięta od Olszyny do Wawra, dywizya piesza Szembeka dalej na prawo przy bagnach goławskich, oddział jazdy Suchorzewskiego za Grochowem; dywizya piesza Krukowieckiego nocowała jeszcze o milę od pola boju grochowskiego w Kobylce, a Jankowskiego dywizya konna pod Grodziskiem. Główna kwatera była w Grochowiu.

Dnia 19-go lutego przed 8-ą z rana, zagrzniały działa w lesie Miłosny: to artylerya Żymirskiego ucierała się z artylerją przedniej straży korpusu Pahlena, a przy tym grzmocie dział wojska polskie zaczęły stawać w następującym szyku bojowym, wysuniętym jednak nieco naprzód poza linią obronną bagien przez nas wyżej opisaną, a ciągnącym się skośnie od Wygody i Olszynki do bagien goławskich w poprzek gościńca stanisławowskiego i szosy podlaskiej. Na krańcu lewego skrzydła rozwinięta się, nieco w tyle, od Kawęczyna aż za Olszynkę, zajmując zarazem ten las, dywizya Skrzyneckiego. Na prawo tej dywizyi i nieco naprzód stanęła w dwóch liniach dywizya Krukowieckiego, pod Wygodą, po obydwóch stronach gościńca stanisławowskiego. Dalej na prawo stanąć miała dywizya Żymirskiego, cofająca się z pod Miłosny, zajmując szosę podlaską i połowę przestrzeni między szosą a gościńcem. Za nią na prawem skrzydle i na prawo szosy rozwinęła się dywizya Szembeka, sformowana w dwie linie, mając w pierwszej brygadę strzelecką, w drugiej pułk grenadierów. Nakoniec na krańcu prawego skrzydła przed bagnistym strumieniem goławskim ustawiono 12 szwadronów z konnej dywizyi Łubieńskiego. W rezerwie pod Grochowem, gdzie była główna kwatera, stał pułk weteranów czynnych, reszta dywizyi konnej Łubieńskiego i dywizya ułańska Suchorzewskiego, rozłożona przy szosie pod Słupem Żelaznym. Resztę jazdy, to jest

dywizję Jankowskiego i rezerwową, to rozstawiono dla asekuracji dział, to rozesłano na prawo i lewo na patrole i obserwacje. Całe to wojsko polskie, w taki szyk do walki sprawione, liczyło 42 bataliony, 60 szwadronów i 110 dział, razem około 42,000 ludzi (30,000 piechoty, 10,000 jazdy, 2,000 artylerji). Przeciw niemu obydwoma drogami, podlaską i stanisławowską, w dwóch rozwleczonych kolumnach marszowych nadciągająca armia rosyjska liczyła 83,000 ludzi i 240 dział (60,000 piechoty, 17,000 jazdy i 6,000 artylerzystów).

Około w pół do 9-tej rano dywizya Zymirskiego, cofając się szosą przed przednią strażą rosyjską, wynurzyła się z lasów i ukazała na stoku wzgórz Miłosny. Za tą ustępującą dywizją wyjrzała nagle z lasu szeroka linia pogoń rosyjska, cała awangarda armii dowodzona przez Sackena, a składająca się z trzech dywizyj jazdy, huzarskiej Łopuchina, strzelców konnych Geismara i ułańskiej Sackena, oraz z brygady pieszej jegierskiej Aforyzmo-wa z odpowiednią artylerją. Brygada jegierska postępuje szosą, a 50 szwadronów jazdy na lewo niej, naprzeciw krańca naszego prawego skrzydła. Generał Szembek, ujrawszy cofającą się dywizję Zymirskiego i ścigające ją kolumny rosyjskie, zwija swoją brygadę strzelecką w kolumny do ataku i posuwa się szybko naprzód. Dywizya Zymirskiego zatrzymuje się, obie dywizye stają w jednej linii, a 4 baterje do nich należące ustawiają się między niemi i żywym ogniem przyjmują przednią straż armii rosyjskiej. Front obu dywizyj polskich porusza się: brygada strzelecka Szembeka (pułki 1 i 3 strzelców) zwija się znów w kolumny, biegnie z bagnetem prawym brzegiem szosy, uderza na 2 pułk jegierski, wywraca go i pędzi do lasu. Równocześnie brygada strzelecka z dywizyi Zymirskiego (pułki 2 i 4 strzelców), sformowana w kolumny, pędzi po lewej stronie szosy, uderza na 1 pułk jegierski, rozbija go, rozgramia następnie kilka batalionów liniowych z III-ej dywizyi rosyjskiej, które już w tyle jegierskiej brygady rozwijały się z kolumny marszowej w szyk bojowy, i zabiera uciekającą baterję rosyjską. Konne dywizye Łopuchina, Geismara i Sackena, które rozwijały się na lewym skrzydle armii rosyjskiej, cofają się pośpiesznie w tył i w lewo ku bagnom Zastawu.

Lecz główny oddział rosyjski, korpus Palena, z trzech dywizyj pieszych złożony, przybywa częściowo ze swoją awangardą na pole boju i z kolumny marszowej usiłuje rozwinąć się pośpiesznie w szyk bojowy. Sam feldmarszałek Dybicz, przestraszony kanonadą na wzgórzach Wawra, pędzi wraz z całym sztabem szosą naprzód i nagli pochód batalionów Pahlana. W chwili, gdy

dwie brygady strzeleckie z dywizyi Szembeka i Żymirskiego, rozbiwszy brygadę jegierską Aforyzmowa, pędzą za pierzehającymi jego batalionami, zajmują wzgórze wawerskie i zmagają do cofania się 50 szwadronów jazdy Łopuchina i Geismara, już III-cia dywizya rosyjska, idąc biegiem, rozwija się na prawem skrzydle rosyjskiem przed Żymirskim; I-sza dywizya zaczyna formować się na lewo szosy przed Szembekiem, a bataliony II-ej, idące na końcu całej kolumny marszowej, szykują się w drugiej linii poza I-szą i III-cią. Zanim jednak sprawił się do bitwy ten cały korpus Pahlena, polskie pułki 2 i 4 strzelców z dywizyi Żymirskiego, rozbiwszy właśnie 1 pułk jegierski z brygady Aforyzmowa, wpadają na jegierską brygadę Meftodoskoja, postępującą na czele III-ej dywizyi, wywracają ją i rozpraszają. Lecz już inne brygady Pahlena rozwijają się na prawo, lewo i z frontu obu brygad polskich, obramieniają je z obu stron; baterye rosyjskie przybiegają jedna po drugiej na linię bojową, ustawiają się, odprzodkują i zasypują kartaczami cztery pułki polskie, a równocześnie dywizye konne Sackena, Geismara i Łopuchina posuwają się naprzód na lewem skrzydle rosyjskiem, w 50 szwadronów następują na 12 szwadronów Łubieńskiego i oskrzydłają prawe skrzydło polskie.

W takim położeniu były rzeczy o 12 godzinie w południe. Tu musimy wstrzymać na chwilę opis bitwy i zrobić następującą uwagę: nominalnym wodzem wojska polskiego był książę Radziwiłł, rzeczywiście dowodził jednak niem generał Chłopicki, który chociaż po zajściach, jakieśmy wyżej wspomnieli, złożył dyktaturę, oświadczył jednak, iż nie odmówi swej rady i pomocy Radziwiłłowi. Lecz ten rozdział dowództwa nominalnego i istotnego odejmował dowództwu sprężystość, a rozkazom generała Chłopickiego potrzebną siłę i powagę. Jak tylko do uszów generała Chłopickiego, będącego w głównej kwaterze w Grochowie, doleciał pierwszy huk dział z pod Wawra, gdzie zawiązywał się niespodziewany, wyżej opisany bój między Szembekiem, śpieszącym na pomoc cofającemu się Żymirskiemu, a przednią strażą armii rosyjskiej, natychmiast pośpieszył Chłopicki na pole bitwy i chociaż niezadowolony z rozpoczęcia jej w tem niedogodnem miejscu, stanął przy dywizyi Szembeka i naczelnie kierował ruchami obu dywizyj. Teraz wróćmy do opisu bitwy.

W krytycznem położeniu, jakie około godziny 12 w południe przybrał bój na prawem skrzydle polskiem—gdzie dywizye Żymirskiego i Szembeka, zapędzone za rozbitą awangardą rosyjską na wzgórze Wawra, otaczane być zaczęły i zewsząd naciskane przez

korpusy Sackena i Palena, gdy równocześnie korpus Rosena, postępujący gościńcem stanisławowskim, stał się czołem swej kolumny z dywizjami Krukowieckiego i Skrzyneckiego, a bokiem już zaczął dotykać korpusu Pahlena—w tej, mówię, chwili generał Chłopiński nakazał dywizjom Żymirskiego i Szembeka odwrót w schody. Żymirski cofa swe dwa pułki strzeleckie ze zdobytych przez nie wzgórz wawerskich, a równocześnie odstępami między batalionami tych dwóch pułków posuwa bataliony 7-go liniowego, w drugiej linii dotąd stojącego, dla wstrzymania i odparcia nacierających na nie brygad III-ej dywizyi. Dzielną pułk 7 rzuca się naprzód, rozbija trzy naczelne bataliony rosyjskie, a wstrzymawszy i odparłszy pogoń nieprzyjacielską, cofa się znów i przechodzi w tył przez ustępy brygady strzeleckiej, która zatrzymała się, odwróciła do frontu i rotowym ogniem przyjmuje nieprzyjaciela, gdy osłonięte baterye witają go kartaczowymi strzałami.

Gdy takim sposobem w porządku i w schody cofa się Żymirski, równocześnie z nim ustępuje ze wzgórz wawerskich Szembek, party przez dywizję I-szą i przez cały korpus jazdy Sackena. Lecz w najtrudniejszym położeniu jest 12 szwadronów Łubieńskiego, stojących na krańcu prawego skrzydła, mających za sobą bagna goćławskie i jedyną wąską drogę odwrotu do Wawra. Cały korpus Sackena, liczący 50 szwadronów jazdy prze ich na bagna i gotuje się do stanowczej na nich szarży. Łubieński widzi, że jeżeli nie odepchnie części szwadronów rosyjskich, które przypierają go do bagien, jeżeli nie zyska miejsca i czasu do porządnego odwrotu przez wązki mostek i ścieżkę, wrzucony będzie na te trzęsawiska. Pułk 4-ty strzelców konnych, wsparty przez 4-ty ułanów, formuje się do ataku i w zapamiętałej szarży pędzi naprzód, rąbiąc wszystko przed sobą i nie licząc, ile wrogów przed nim stoi. Przewraca on kolejno dwa bataliony piechoty, odłączone od I-ej dywizyi na pomoc Sackenowi. Dopada już do lasu, pędząc przed sobą pierchających, gdy wtem uderza na niego ze wszystkich stron dwadzieścia kilka szwadronów rosyjskich. Pułk ułanów Elizabetgrodzkich z jednej, huzarów Klastyczowskich z drugiej strony na niego wpadają. Wprawdzie otoczony pułk 4-ty strzelców konnych, z pomocą 4-go ułanów, odbija szarżę rosyjską, straciwszy tylko naczelny szwadron, który, pędząc wciąż naprzód, tonie w tłumach wrogów, a oba pułki cofają się w porządku ku pułkowi grenadyerskiemu, w rezerwie stojącemu, zasłaniając się kolejnymi szarżami—lecz cała jazda Sackena i Łopuchina naciska ich na bagna. Dywizya jazdy Geismara i brygada piechoty Dobryszyna wciska się między Szembeka a Łubieńskiego i zagraża

temu ostatniemu odcięciu. Dybicz sam przybiega na to swoje lewe skrzydło, popycha naprzód jazdę i piechotę, przyśpiesza atak i zajście kolumn od lewego, przewidując już prawie zwycięstwo.

Położenie było groźne, jazda Łubieńskiego w niebezpieczeństwie odcięcia i wrzucenia na bagna. W tej stanowczej chwili, generał Chłopicki, obejmując orlim rzutem oka całe położenie rzeczy formuje w kolumny do ataku pułk grenadyerów Milberga, tworzący dotąd drugą linię dywizyi Szembeka, a natchniony, gorący zapałem, wiezie go sam na pędzące pułki jazdy i biegnące bataliony piechoty rosyjskiej. Kolumny grenadyerów idą śpiesznie, w milczeniu i bez ognia, z bagnietem w rękę, przeciw dziecięcy raz liczniejszym tłumom jazdy i piechoty. Mijają cofające się za nie szwadrony Łubieńskiego — przepuściwszy je za siebie, rozsuwają się, żelaznym murem bagnietów i piersi zasłaniają przesuwając się w tyle ku Wawrowi przez wązki mostek znużone bojem szwadrony przed atakiem mas jazdy rosyjskiej, chcącej na nich uderzyć w chwili tej niebezpiecznej przeprawy. Konne pułki Sackena i Łopuchina, pędząc w pogoni, dopadają już do grenadyerów — dzielny ten pułk zwija się szybko w czworoboki, przypuszcza na pół strzału lecając na siebie jazdę i przyjmuje ją żywym ogniem. Chłopicki widząc, że jazda Łubieńskiego już jest ocaloną przez ten jego ruch śmiały, każe czworobokom grenadyerskim cofać się w szachownicę, ostrzeliwując się wzajemnie, a pułk mimo szarż rosyjskich dochodzi w porządku do Wawra, straciwszy jedynie część 4-go batalionu.

Wstrzymawszy tym sposobem groźny atak rosyjski, wycofawszy dywizye piesze Żymirskiego i Szembeka i konną Łubieńskiego z niepotrzebnie na wzgórzach wawerskich związanego boju, na niekorzystnym dla nich polu — generał Chłopicki rozkazuje tym dywizyom zająć dawniej oznaczoną, obronną i silną linię bojową, za częścią owego półkola bagien od szosy i stawu goćławskiego do trzęsawisk Saskiej Kępy. Na linii tej stanęły te dywizye około 4-ej godziny po południu.

Cofnięcie się to i nie upieranie się przy posiadaniu pół wawerskich tem więcej było konieczne, że wskutek późnego, bo dopiero o 1-ej godzinie po południu rozpoczętego boju na lewym naszym skrzydle, na gościńcu stanisławowskim, między dywizyami Skrzyneckiego i Krukowieckiego z jednej, a korpusami Rosena i Włodka z drugiej strony — nie można było już przeszkodzić połączeniu się korpusów z główną armią feldmarszałka i Pahlena i palić każdego z osobna, gdyż korpusy te zetknęły się już swe-

mi skrzydłami i weszły z sobą w związek, a wszelka bitwa, toczona przed półkolem bagien, w klinie między szosą podlaską a gościńcem stanisławowskim, na wysokości Kawęczyna, Wygody i Wawra, rozdzieliłby już nie mogła połączonych dwóch kolumn armii rosyjskiej.

Rozszerzyliśmy się nad opisem ustępu bitwy, zwanej wawerską, na prawem skrzydle polskim, gdyż w niej czynny, jak widzieliśmy, miał udział generał Chłopicki: krócej skreśliłmy równoczesny bój na lewem skrzydle polskim, po obu stronach gościńca stanisławowskiego.

Na tem skrzydle stały, jak wiemy, dywizye Skrzyneckiego i Krukowieckiego, rozstawione na linii od Kawęczyna aż za karczmę Wygoda, ku szosie podlaskiej. Skrzynecki przed Kawęczynem, Krukowiecki po obu stronach gościńca stanisławowskiego. Miały one wstrzymać i odeprzeć korpus Rosena, gościńcem tym posuwający się. Niektórzy krytycy wojskowi zarzucają, że dywizye te powinny były, jak tylko rano 19-go rozpoczął się bój na prawem skrzydle na szosie, posuwać się naprzód drogą stanisławowską i, wstrzymawszy częścią swych wojsk pochód Rosena, rzucić się z resztą z boku na kolumnę Pahlena, postępującą po szosie w chwili gdy z jej czołem walczyli Szembek i Zymirski. Tym sposobem, mówią krytycy, można było pobić Palena, zaczem tenże połączył się z Rosenem. Inna to jednak rzecz zupełnie prowadzić kampanię, a inna ją krytykować. Krytyk, przypatrujący się działaniom wojennym, kiedy już każdy ruch wojsk został opisany, zna dokładnie siłę obu armij, ich stanowiska i położenia, wszystko dla niego jest jawne i odkryte, żadne wywrócone działo na drodze, żaden złamany mostek nie wstrzymuje postępu jego kolumn po równej drodze, dobrze oznaczonej na mapie. Nakoniec ma on kilka miesięcy czasu do namyslenia się nad każdym wojennym ruchem. Wódz działać musi, że tak powiemy, w ciemności; zna on tylko z pewnością jedną stronę—położenie wojsk swoich; druga strona, nieprzyjaciel, zakryta jest dla niego mgłą niewiadomości, przez którą musi przewidywać, macać, domyślać się położenia, siły i ruchów wojsk nieprzyjacielskich. Stojąc wśród tych ciemności i pomroki, musi z tych przewidywań, domniemań lub natchnień, tworzyć w jednej błyskawicznej chwili plany i je wykonywać. Niekiedy ma tylko parę minut czasu, by rozporządzić jaki ruch i działanie, oparte na mylnem niekiedy doniesieniu. Jakże często mała przeszkoda na drodze jednej kolumny, niewykonanie rozkazu przez jednego podrzędnego dowódcę, zwichnię cały najlepszy plan. A cóż dopiero mówić, jak ogromny a niszc-

czący wpływ na ułożenie i wykonanie każdego planu ma owo tarcie między wszystkimi częściami tej wielkiej maszyny, jaką jest armia. Nakoniec wódz w każdym ruchu swoim dźwiga odpowiedzialność za losy wojska i narodu, a dźwiganie tego ciężaru zużywa część jego sił, odwagi i przedsiębiorczości. Krytyk może być śmiałym i przedsiębiorczym. Nakazując najryzykowniejszy ruch armii, nie wystawia na niebezpieczeństwo ani jednego żołnierza, a prowadząc na pewną zgubę całe wojsko, nie jest odpowiedzialnym nikomu, owszem z łatwością na papierze piórem może bronić przed drugim krytykiem swej armii, ocalić ją, a nawet zwyciężyć. Łatwo jest krytykom zarzucać, dlaczego lewe skrzydło polskie nie posunęło się naprzód dla wstrzymania Rosena, łatwo im jest twierdzić, że to posunięte lewe skrzydło nie dopuściłoby połączenia z Pahlenem i odrzuciwszy Rosena uderzyłoby mogło z boku na Pahlena. Lecz trudno było wodzowi nakazywać ten ruch niebezpieczny i zamiast skoncentrowaniem wojskiem, stojącym na węźle dróg, uderzyć na kolumnę nieprzyjacielską, najprzód przybywającą, rozdzielać szczupłą dość armię i rzucać słaby oddział przeciw niezupełnie znanym, a zawsze przeważnym siłom; łatwo, powtarzamy wytłómaczyć można pozostawienie na miejscu lewego skrzydła, tem bardziej, że posunięcie w najlepszym razie byłoby może spóźniło, ale bynajmniej nie wzbroniło Rosenowi, połączyć się z Pahlenem. Winę zaś bezczynności generała Krukowieckiego aż do godziny pierwszej nie można rzucać na generała Chłopickiego. Cokolwiekby, lewe skrzydło polskie nie posunęło się naprzód na spotkanie korpusu Rosena, lecz stało na jednej wysokości z prawem skrzydłem i było bezczynne aż do godz. 1-ej po południu. W tej bowiem chwili, gdy II-ga dywizya rosyjska, idąca szosą na końcu korpusu Pahlena i przybywając ostatnia z Miłosny, zaczęła się formować na prawo III-ej i sięgać aż poprzez lewe skrzydło polskie, czoło kolumny Rosena, postępującej gościńcem stanisławowskim, wychyla się z lasów i ukazuje na wysokości Grzybowej Woli i Karczmy Zielonej. Dywizya Włodka, maszerująca w przedniej straży korpusu Rosena, zwraca się w tem miejscu z gościńca na prawo i ciągnie przez rzadki las przed lewym skrzydłem polskim ku Kawęczynowi. Za nią idące w dwóch kolumnach dywizye piesze XIV i XV przyśpieszają marszu, a przybywszy na wysokość rozwiniętego frontu Pahlena, rozwijają na prawo i lewo gościńca stanisławowskiego i lewym swem skrzydłem dotykają do korpusu Pahlena. Wówczas polski pułk 5-ty z dywizyi Krukowieckiego posuwa się naprzód, zajmuje wyżynę Dąbrowej Góry na lewo go-

ścińca, by wstrzymać pochód Rosena, którego dalsze posuwanie się mogłoby zagrozić prawemu skrzydłu polskiemu, walczącemu jeszcze z Pahlenem. Ten pułk 5-ty uderza następnie na formujące się z szyku pochodowego w szyk bojowy bataliony Rosena, rozbija 93-ci i 100-ny pułki rosyjskie, a następnie walczy uporczywie o posiadanie Dąbrowej Góry przeciw sześciu pułkom (93-ci, 94-ty, 96-ty, 98-my, 99-ty i 100-ny); nakoniec, gdy za tymi sześcioma pułkami stanęły w drugiej linii cztery nowe (95-ty, 97-my, 89-ty i 49-ty), ustępuje z wyżyny w porządku, utraciwszy jednak wielu ludzi w poległych. Następnie po godzinie 3-ej cała dywizya Krukowieckiego cofa się za bagna i Olszynkę, albowiem bój w tem miejscu rozpoczęty jedynie dla wstrzymania Rosena i przeszkodzenia mu, by nie obszedł prawego skrzydła polskiego — był już niepotrzebnym, gdyż dywizye Żymirskiego i Szembeka cofnęły się już za stawy i bagna gołławskie ku Grochowu. Również Skrzynecki, stojący na krańcu lewego skrzydła naszego, po krótkim starciu się jednego pułku jazdy z dywizją Włodka pod Kawęczynem cofa się nad wieczorem do Olszyny, stosując się do ruchu całej armii. Takim sposobem całe wojsko polskie cofnęło się wieczorem ku Grochowu, a stanawszy poza obronną linią półkola bagien, nocowało, ścisnąwszy front swój na szczytłej przestrzeni od Olszynki do bagien gołławskich, na przestrzeni, będącej jedyną od wschodu bramą przez półkole trzęsawisk do Pragi i Warszawy.

W boju tym 19-go lutego, zwanym bitwą wawerską, armia rosyjska utraciła w zabitych, rannych i jeńcach do 6,000 ludzi (korpusy Pahlena i Sackena, walczące przeciw prawemu skrzydłu, utraciły przeszło 4,000, Rosena 1,500), wojsko zaś polskie 2,500. W tej, na niekorzystnem dla Polaków polu, stoczonej walce okazała się dzielność wojsk polskich. Na prawem skrzydle pięć pułków rozbiło najprzód całą dywizję, a następnie walczyło długo przeciw trzem dywizjom piechoty i trzem dywizjom jazdy, na lewem zaś jeden pułk rozproszył początkowo dwa pułki, następnie opierał się długo atakowi sześciu pułków. Wojskowe przymioty generała Chłopickiego, orli rzut oka, przytomność i bystrość, któremi odznaczał się na polach walk napoleońskich, za jaśniały znów w tej bitwie.

§ 5. Pierwsza Bitwa Grochowska.

Noc po bitwie wawerskiej z 19-go na 20-ty lutego spędziło wojsko polskie skupione około Grochowa poza tą linią obronną bagien, na której jutro bój stoczyć miało. Armia rosyjska rozłożyła swe nocne ogniska szerokiem półkolem na wzgórzach Wawra i Grzybowej Woli aż ku Miłośnię, a jej przodowe dywizye piechoty i jazdy przesunęły front swój aż ku młynowi gochławskiemu, karczynie „Wygoda,” ku Dąbrowej Górze i Kawęczynowi. W ciągu nocy nadsunęły Rosyanom rezerwy, to jest dywizya kirasyerska Witta, dywizya piesza grenadyerów i gwardya Wielkiego Księcia.

Zaraz z wieczora i nazajutrz rano rozpoznawał dokładniej generał Chłopicki pole przyszłego boju i wydał rozporządzenia do bitwy, których stosowność i celowość taż walka okazała. Sucha lub mniej bagnista przestrzeń między trzęsawiskami Kawęczyna a gochławskimi jest jedyną bramą, którą armia rosyjska przedrzeć się mogła przez półkole trzęsawisk, stanowiących polską linię obronną, wkroczyć na równinę grochowską i posuwać ku Pradze i Warszawie. Pozyceya pod Grochowem, to pole bitwy wybrane przez generała Chłopickiego, było bardzo korzystnem dla Polaków i jedynem, jak wyżej powiedzieliśmy, na którem wojsko polskie mogło stawić opór przed Warszawą. Armia rosyjska atakując tę pozycyę nie mogła rozwinąć i użyć wszystkich sił swoich, musiała uderzać na Polaków tylko z czoła i na szczupłym froncie, bagna po jednej i po drugiej stronie nie dozwalały Rosyanom oskrzydlić i obejść z boku wojsk polskich. Bagna kawęczyńskie stanowiły oparcie dla lewego skrzydła polskiego, trzęsawiska gochławskie dla prawego, szczupły front, wystawiony jedynie na atak, mógł być silnie obsadzony i dozwalał pozostawić połowę wojska w rezerwie, a nadto zakrywał go i umacniał ów laszek olszowy, wstawiona w tej bitwie Olszynka, będąca wystającym punktem frontu i kluczem pola boju. Generał Chłopicki w wydanych w nocy rozporządzeniach tak kazał rozstawić baterye polskie po prawej i lewej stronie tej Olszynki, iż ogień ich krzyżował się przed nią i panował nad wszystkimi przystępami do frontu wojsk polskich. Dywizye Skrzyneckiego i Szembeka postawiono w pierwszej linii. Pułki Skrzyneckiego zajmowały Olszynkę i tworzyły lewe skrzydło polskie, oparte o bagna kawęczyńskie; Szembek stał na prawem, dopierając do bagien gochławskich. Drugą linię

stanowiły dywizye Krukowieckiego i Żymirskiego; cała jazda, zgromadzona około Grochowa, składała ostateczną rezerwę.

Chociaż równo z wieczorem 19-go bój ustał na całej prawie linii, jednak przez całą noc, oddzielając dzień potyczki wawerskiej od dnia bitwy grochowskiej, toczyła się wolna walka przed Olszynką. Generał Rosen poznał ważność tego stanowiska i usiłował go w ciemności nocnej opanować; posuwa on cicho kolumny ku laskowi, lecz odpiera je bagnetem i ogniem to 4-ty pułk pieszy, to 1-szy i 3-ci, które kolejno luzują się na straży tej pozycji i bacznością swoją niszczą usiłowania nieprzyjacielskie. Nad ranem dopiero umilkł zupełnie ogień, cichość zaległa obozy wojsk spoczywających dla nabrania sił do nowej walki — była to cisza przed burzą.

Jeszcze przed świtem, późnym w tej porze roku, stają wojska polskie pod bronią. Generał Chłopicki wraz z szefem sztabu objeżdża linię, poprawia szyki, sam ustawia dwie baterye piesze po lewej stronie Olszynki, dwie drugie po prawej, wszystkie zaagięte do lasku pod kątem rozwartym. Ujrzymy w ciągu bitwy o ile ogień tych bateryj przyczynił się do odparcia ataku Rosyan. Równocześnie armia rosyjska stanęła w szyku bojowym. Rosen prawe, Pahlen lewe skrzydło zajęli. Trzy dywizye piesze Rosena uszykowały się w kolumnach batalionowych w lesie, zakryte krańcem wzgórz Dąbrowej góry, poprzód Olszynką i lewem skrzydłem polskiem; na krańcu prawego skrzydła Rosena stanęła w lesie przed Kawęczynem dywizya ułanów Włodka, a przed całym frontem na stoki pagórków wysunęły się i ustawiły liczne baterye 80 dział liczące. Na lewym skrzydle rosyjskiem, na wzgórzach wawerskich rozwinął się gotowy do boju korpus Pahlena, uszykował się jednak nieco w tyle, a przed siebie wysunął tylko cały szereg bateryj. Nie miał on bowiem brać czynnego udziału w bitwie, lecz jedynie swoją artyleryą i obecnością przyczynić się do osiągnięcia jej celu, Rosen miał wykonać główny istotny atak, uderzyć na lewe skrzydło polskie i Olszynkę. Opanować tę ostatnią było jedynym zamiarem wodza rosyjskiego w tej bitwie.

Około 8-mej godziny zagrzmiały działa rosyjskie ustawione przed frontem armii na stoku wzgórz ogromnym półkregiem, kierując swój dośrodkowy ogień głównie na Olszynkę. Celnymi strzałami odpowiedziały im cztery polskie baterye po obu stronach Olszynki stojące, demontując działa nieprzyjacielskie i wysadzając jaszczyki. Dwie godziny trwała nieustanna kanonada, a grad kul i granatów padał wciąż na Olszynkę, łamiąc gałęzie i druzgocząc drzewa lasku, w którym i obok którego stała spokojnie dywizya

Skrzyneckiego, z zimną krwią, lecz nie bez strat, wytrzymując ten deszcz pocisków. Około 10-ej zluźowała ją dywizya Krukowieckiego, a pułki Skrzyneckiego stanęły w drugiej linii. Ogień działowy trwa nieustannie, a nawet coraz bardziej się wzmacnia. Około południa wódz rosyjski, mniemając, że czterogodzinny ogień działowy zachwiał mężstwo polskiego żołnierza i sprawił nieład w pułkach zajmujących Olszynkę—formuje bataliony XV-ej dywizyi w kolumny do ataku i posuwa je naprzód. Kolumny te trzema szlakami wysuwają się z lasu — spuszczają się z pagórków — suną przez pola ku Olszynie. Dwie baterye polskie, stojące na lewo Olszynki, przestają strzelać do dział rosyjskich, zwracają swój ogień przeciw postępującej piechocie, i biją to kulami w ściśnięte kolumny, to kartaczami do rozsypanych przed nimi tyralierów. Zgruchotane czoła kolumn zwracają się i pierzchają, cofają całe kolumny. Lecz w tyle formują się i szykują do nowego ataku.

W tej chwili przed krańcem lewego skrzydła polskiego, przed Kawęczynem, ukazują się masy jazdy rosyjskiej, idąc jakby do szarży na lewoskrzydłowe baterye polskie. Baterye te muszą część swego ognia zwrócić przeciw następującej z boku jeździe. Sprawiwszy tę dywersyę, Rosen popycha swoją piechotę do drugiego na Olszynkę ataku. Dziesięć tysięcy piechoty zbiega w ściśniętych kolumnach z pagórków na równinę, a mimo kul i kartaczy, wywracających w nich całe szeregi, posuwa się uparcie do lasku, wkracza nawet w brzeg jego aż do rowu, podczas gdy szwadrony jazdy, idące od Kawęczyna, docierają z boku do Olszynki. Była to pierwsza godzina z południa. 5-ty pułk pieszy, stojący wówczas w środku Olszynki, odpiera bagnetem szturm frontowy; dwa bataliony 1-go pułku odrzucają ataki boczne, ogień dział Bielickiego wstrzymuje postęp jazdy, miesza i odpiera jej szarżę. Po tym zaciętym boju odparte bagnetem kolumny piechoty cofają się w nieładzie, gruchotane kulami i kartaczami dział polskich, palących ciągle wśród największego niebezpieczeństwa z zimną krwią i celnie; nakoniec w dalszym odwrocie rozsypując się prawie pod tym ogniem kolumny chowają się w lasy, z których wyszły, pozostawiając po sobie szeroki ślad trupami wysłany. Równocześnie wszystkie rosyjskie baterye prawego i lewego skrzydeł, zdwajając siłę swego ognia, chcą nim zakryć odwrót piechoty.

W całym tym boju korpus Pahlena, na lewym skrzydle rosyjskiem stojący, wspierał tylko ataki Rosena flankowym ogniem swej artylerji. Sam nie mógł wejść w bój czynny przed opano-

waniem Olszynki, gdyż ogień dział polskich za nią stojących wzbraniał mu posuwania się szosą i przystępu do bramy między bagnami, prowadzącej na równinę grochowską. Polacy nie ścigają piechotą cofających się batalionów Rosena — jedynie kulami dział pędzą uchodzące kolumny rosyjskie. Miejscowość i szczupłość sił polskich wzbrania ich piechocie ścigać z bagnetem cofającego się nieprzyjaciela i wyjść z zakrytych stanowisk na odsłoniętą płaszczyznę, ostrzeliwaną przez sto dział rosyjskich, rozstawionych na wzgórzach nad nią panujących. Korpus Rosena nie śmie już trzeci raz powtarzać ataku — działa tylko rosyjskie grzmia aż do wieczora, chcąc bój, chociaż ogniowy, aż do nocy utrzymać i zmniejszyć przez to moralne wrażenie poniesionej klęski. Na noc z 20-go na 21-szy lutego obie armie pozostają na swych ranniejszych stanowiskach.

Bitwa ta, przyprawiająca nieprzyjaciela o znaczne straty, okryła chwałą wojsko polskie, a szczególnie jego kilka pułków, chwałą okupioną bardzo małemi ofiarami. O piersi dwóch pułków polskich, liczących zaledwie żołnierzy 4,500, wspieranych dzielnie przez cztery baterye, rozbiło się dwukrotnie uderzenie dwóch prawie dywizyj rosyjskich, uporczywy atak 15,000 bagnatów, wspartych ogniem stu dział i zastępem całej dywizyi jazdy. Szczególniej artylerya polska okazała swoją wyższość moralną i biegłość fizyczną. Trzydzieści dwa działa wytrzymały ogień stu armat z górującego stanowiska strzelających, a umiejętnością rozstawienia i użycia dział, z zimną krwią w ogniu i celnością strzałów odbiły pierwszy atak, a zniszczyły połowę impetu drugiego uderzenia. Gdy tylko parę pułków polskich było w walce, strata polska i 500 ludzi nie dochodziła w tej bitwie. Korpus Rosena na płaszczyźnie między Olszynką a Dąbrową Górą i na stoku tego wzgórza pozostawił 1,500 w zabitych i rannych.

§ 4. Trzy dni spoczynku, rozdzielające pierwszy bój grochowski od drugiej walnej bitwy. Potyczka na lewo Grochowa pod Białoleką.

Rano 21-go lutego zatykają Rosyane białą chorągiew przed Olszynką i zjawia się parlamentarz rosyjski, generał Witt, dowódca rezerwowego korpusu jazdy. Dla rozmówienia się z nim przybywa podpułkownik Mycielski, a następnie generał Krukowiecki. Generał Witt proponuje trzechgodzinne zawieszenie broni dla pogrzebienia poległych, leżących na polu wczorajszego boju na płaszczyźnie pod ogniem dział stron ohydwoché. Propozycya

ta zostaje przyjętą, staje trzechgodzinny rozejm. Rosyanie i Polacy, chwilowo pobratani, grzebią wspólnie poległych.

Ten umówiony trzechgodzinny rozejm przeciąga się i przemienia w trzechdniowy spoczynek obu armij. Krytycy tej kampanii zarzucają generałowi Chłopickiemu i sztabowi polskiemu, dlaczego zaraz po bitwie nie przedsięwzięli działań zaczepnych, dlaczego dopuścili trzydniowego spoczynku i zwłoki korzystnej tylko dla Rosyan, albowiem przez ten czas nadciągał od północy szosą augustowską w pomoc Dybiczewi korpus grenadyerów Szachowskiego. Zarzut ten pod każdym względem jest zupełnie bezzasadnym, a spoczynek ten nietylko że był *korzystniejszy* dla Polaków niż dla Rosyan, lecz przypuszczając nawet, że nie był korzystny, był *konieczny*. Wprawdzie przez czas tego spoczynku zbliżał się ku polu grochowskiemu i ku połączeniu się z feldmarszałkiem Dybiczem 25 tysięczny korpus grenadyerski, posuwający się zwolna szosą augustowską przez Ostrołękę, Pułtusk, Zegrz, i 24 lutego dociągnął do Białoleki na lewo pola grochowskiego i armii polskiej. Lecz i armia polska ściągnęła przez ten czas znaczne posiłki: dwa pułki jazdy, pułk piechoty, trzy bataliony strzelców, tak iż wojsko polskie w dzień walnej bitwy grochowskiej mimo strat poniesionych w potyczkach wawerskiej, grochowskiej i białolekiej, wzrosło do 46,000 ludzi. W ciągu tych kilku dni Polacy obozując i wypoczywając w pobliżu wielkiego miasta, obfitowali we wszystko, wojska zaś rosyjskie umierały przez ten czas z głodu i niewygód, żywiąc się owsem i napojem z kory olszowej, a każdy dzień bezczynności zmniejszał ich siły, przerzedzał szeregi. Gdy podczas tego spoczynku głód i nędza walczyły z wojskiem rosyjskiem, zabijały im tysiące ludzi, dezorganizowały moralnie i materyalnie armię bez żadnej straty polskiej — umarłych w ten sposób zaledwie zastąpić zdołał przybyły korpus Szachowskiego. Wojsko feldmarszałka, które w dzień bitwy wawerskiej liczyło 84,000 ludzi, w poranku bitwy grochowskiej, po przybyciu 20,000 Szachowskiego, wynosiło zaledwie 90,000 żołnierzy, a jeszcze te 20,000 oddzielone były od głównej armii bagnami i byłyby pobite, zanim się z nią połączyły, gdyby generał Krukowiecki wykonał rozkazy generała Chłopickiego, jak to zobaczymy przy opisie bitwy.

Nadto Polacy użyli tego trzechdniowego spoczynku nietylko na umocnienie swojego odpornego stanowiska pod Olszynką, lecz nadto fortyfikowali Pragę, kończyli szaniec przedmostowy, aby wrazie porażki mieli zapewniony odwrót i utrzymując się na prawym brzegu Wisły zasłonić mogli Warszawę przystępną wówczas

z powodu zamarznięcia tej rzeki. Nakoniec przewidywana i zbliżająca się odwilż mogła, co istotnie się stało, zniszczyć lód na Wiśle i uczynić z niej zapórę dla armii rosyjskiej i zasłonę dla Warszawy, natenczas wódz polski, widząc zabezpieczone siedlisko narodowego rządu i ognisko powstania, mógł popchnąć armię na niebezpieczniejsze działania.

Przypuszczając nawet, że ta trzedniowa zwłoka i bezczynność nie była korzystniejszą dla Polaków, musimy uznać, że była konieczną. Polacy zajmowali pozycję odporną, atakować nie mogli, bój zawiązać mógł się tylko przez atak Rosyan, a gdy ci stali bezczynnie, doświadczywszy poprzednio męztwa Polaków w dwudniowym boju, musiał nastąpić spoczynek, w ciągu którego ginęła z głodu armia rosyjska. Krytykujący tę kampanię i plan generała Chłopickiego wołają: przeważna siła wojsk polskich winna była rzucić się z pola grochowskiego szosą augustowską ku Zegrzu, naprzeciw Szachowskiemu, zastąpić mu pod Zegrzem, pobić, odrzucić rozproszone szczątki grenadyerów, a następnie szybkim marszem wrócić do Warszawy lub pod Grochów, uderzyć na główną siłę Dybicza i tym sposobem częściowo pokonać armię rosyjską. Każdy spojrzawszy z zastanowieniem na kartę teatru wojennego ujrzy, jak bezzasadnym i złudnym jest powyższy plan tych teoretyków, którzy wojska swoje przerzucają błyskawicą z jednego miejsca na drugie, a przykuwszy przez ten czas nieprzyjaciela, jakby gwoździem na miejscu, zabraniają mu się posuwać. Gdyby wódz polski wykonywując ten plan, niebezpieczny aż do śmieszności, odszedł z większą częścią wojsk swoich z pod Grochowa i pociągnął 7 mil na północ pod Zegrz — wówczas 80,000 armia rosyjska, widząc z pagórków Miłosnej każdy ruch pułku na płaszczyźnie nadwiślańskiej, zbiegłaby w ciągu godziny ze wzgórzy, uderzyłaby z całą siłą na Olszynkę, na tę cieśninę prowadzącą między bagna na pola Grochowa, sforsowałaby to przejście bronione przez szczupłe bardzo siły, przebiegłaby milową przestrzeń, oddzielającą ją od bezbronnej Pragi i Warszawy (lód bowiem był silny na Wiśle), a zanim wojsko polskie zasłoby do Zegrza i pobiło Szachowskiego, który zresztą nie będąc przygwożdżony mógł cofając się unikać bitwy, armia rosyjska zajęłaby ognisko narodowego powstania—Warszawę.

Przeciwnie, wielbić musimy wojskowy talent generała Chłopickiego, który umiał pojąć jasno położenie rzeczy i obrać tak korzystne stanowisko. General ten, koncentrując wojsko pod Grochowem, a dla stawienia czoła Szachowskiemu, rozszerzając tylko linię bojową aż po Białolekę, zasłaniał Warszawę, a zara-

zem zajmował dośrodkowe stanowisko przeciw nieprzyjacielowi z dwóch stron się zbliżającemu, oceniwszy bystrym rzutem oka wyższość takiego centralnego stanowiska, z którego mógł działać na obie strony skupionemi w jednym punkcie siłami i, nie dzieląc swej armii, walczyć z rozdzielonym nieprzyjacielem, z większą przeto nadzieją zwycięstwa.

Zbiwszy zarzuty czynione generałowi Chłopickiemu, przejdźmy do wypadków. Zważywszy co być mogło, opiszmy co się stało.

Po pierwszej potyczce grochowskiej, 20-go lutego stoczonej, nastąpił, jak powiedzieliśmy, trzygodzinny rozejm dla pogrzebania poległych, który przeciągnął się w trzechdniowy spoczynek. Przez ten czas armia Dybicza, umierając z głodu w lasach Miłosny, oczekiwała przybycia Szachowskiego; Polacy zaś, nie mogący działać zaczepnie i uderzać, a nieatakowani, odpoczywali i umacniali się na swoim centralnem i korzystnem, w takim położeniu, stanowisku, ściągali posiłki z lewego brzegu Wisły i, stojąc na środkowej pozycji, gotowali się do dania odporu to na lewo Szachowskiemu od północy przychodzącemu, to naprost głównej armii rosyjskiej od wschodu. Generał Chłopicki rekognoskował nieprzyjacielskie stanowiska, rozpoznawał ich siły i rozporządzenia. Co wieczór sam pojedynczo podsuwał się ku forpocztom, przebiegał je przed łańcuchem przedniej straży, badając wszystko: położenie gruntu, wojsko nieprzyjacielskie i swoje. Resztę nocy przepędzał pod gołym niebem przy jakim biwaku żołnierskim.

Tymczasem korpus grenadyerski, postępujący szosą augustowską, przybliżał się do pól Grochowa. 23-go stanął w Serocku, przysunął się do Zegrza, gdzie szosa przechodzi Narew. Trudno było Polakom usadowić się w Zegrzu i bronić, by Szachowski nie przebył Narwi, gdyż rzeka ta, jak również Bug, były mocno zamarznięte, a po silnym lodzie najcięższe działa przejść zdołały; mogli więc Rosyanie Zegrz obejść i wyżej lub niżej Narew przebyć. Jeden więc batalion piechoty stojący w Zegrzu w niedokończonym szańcu przedmostowym musiał po krótkim odporze, danym brygadzie Mandersterna, cofnąć się, gdyż inne oddziały rosyjskie przeszły po lodzie rzekę wyżej mostu.

Rano 24-go lutego korpus Szachowskiego stanął w Nieporęcie o sześć mil od Grochowa, gdzie połączył się z oddziałem jazdy generała Sackena, wysłanym na jego spotkanie drogami okalającemi stanowisko polskie, feldmarszałek Dybicz bowiem obawiał się, ażeby wojsko polskie nie uderzyło na grenadyerów, i dlatego pragnął połączyć ich jaknajprędzej z główną swoją armią. Z Nie-

porętu Szachowski, wzmocniony jazdą Sackena, ruszył zaraz dalej wprost ku Białolece, zamierzając od północy uderzyć na stanowisko grochowskie.

By stawić czoło temu atakowi i wogóle aby wojsko polskie stojące na pozycji grochowskiej, frontem przeciw głównej armii rosyjskiej, zasłonić od uderzenia z boku od północy, generał Chłopicki przedłużył linię bojową polską aż za Białolekę i postawił pod tą wsią dywizję konną Jankowskiego i brygadę pieszą Małachowskiego. Oddział ten stanowił ostateczne lewe skrzydło polskie, a milowe bagna ciągnące się od Białoleki i Brzezin aż ku Olszynie i Kawęczynowi i mogące być przebyte tylko po jednej od trzęsawisk wijącej się drodze Załękowskiej, wypełniały ustęp między tem lewym skrzydłem a głównym korpusem i uzupełniały linię obronną. Wieczorem 23-go Jankowski posunął się ku Radyninowi i Nieporęтови dla spalenia reszty zapasów tamże pozostawionych. Wracając 24-go przed południem tylna straż jego zetknęła się z awangardą grenadyerów i grzmot dział przy tem krótkim starciu przerwał trzechdniową ciszę osiadłą na polach grochowskich. Za cofającą się jazdą Jankowskiego posuwa się szybko dwoma drogami Szachowski z Sackenem. Na pierwszy odgłos dział generał Małachowski sprawnia swoją brygadę w następujący szyk bojowy: na lewym swem skrzydle na lewo drogi nieporęckiej stawia trzy bataliony 2-go pułku liniowego z czterema działami; w środku w Nieporęcie batalion 6-go liniowego, a za nim w rezerwie batalion kurpiów; na prawem skrzydle dwa bataliony 6-go z dwoma działami; konny pułk mazurów, przed wsią postawiony, tworzy straż przednią, zaś dywizya jazdy Jankowskiego, nadciągnawszy w odwrocie, staje w tyle, zakryta bagnami w ogólnej rezerwie, tworząc rezerwę oddziału.

Zaledwie Małachowski sprawił swój szczupły hufiec do boju, wysuwają się z lasu nieporęckiego pułki jazdy Sackena, idące w awangardzie, a za nimi liczne bataliony grenadyerów. Po krótkim starciu mazurski pułk jazdy cofa się w porządku za lewe skrzydło—liczne szwadrony rosyjskie posuwają się naprzód przeciw temu skrzydłu, lecz przyjęte celnymi strzałami z czterech dział i rotowym ogniem piechoty mieszają się, łamią i pierzchają poza brygadę pieszą Mandersterna. Lecz już piechota korpusu grenadyerskiego stoi w szyku bojowym, brygada liniowa Mandersterna i dwa pułki grenadyerskie postawione w pierwszej linii posuwają się całym frontem, sformowane w kolumny batalionowe i poprzedzone łańcuchem tyralierów. Mimo ognia z dziesięciu dział polskich kolumny rosyjskie docierają do frontu polskiego i rozpo-

czyna się bój piechoty: brygada Mandersterna uderza na prawe skrzydło i środek, na trzy bataliony 6-go; dwa pułki grenadyerów nacierają na lewem skrzydle na dwa bataliony 2-go. Zacięta toczy się walka. Pięć batalionów polskich walczy dzielnie z szesnastoma batalionami wyborowego wojska rosyjskiego. Na lewem przeredzone i zmordowane dwa bataliony 2-go uporeczywym atakiem ośmiu batalionów grenadyerskich, zaczynają cofać się ku środkowi, a równocześnie ustępują także zwołna dwa bataliony 6-go, walcząc wciąż z brygadą Mandersterna. Takim sposobem oba skrzydła zwijają się ku środkowi, który wciąż broni się we wsi. W tej krytycznej chwili dzielny generał Małachowski, przebiegający ciągle linie walczących, chwytą z rezerwy batalion kurpiów i prowadzi go do wsi. Tym szczupłym posiłkiem ożywieni Polacy zdobywają bagnetem utracone stanowiska i wypierają zupełnie nieprzyjaciela z Białoleki. Lecz brygada Mandersterna, wzmocniona drugą brygadą grenadyerską (pułki Astrachański i 2-gi karabinierski), uderza powtórnie na wieś; w tej samej chwili jazda Sackena obchodzi prawe skrzydło polskie od Brzezin, a pierwsza dywizya grenadyerów lewe skrzydło od tarchomińskiego lasu. Mimo tak przeważnych sił rosyjskich brygada polska odpiera bagnetem ataki i kilkakrotnie rzuca się zaczepnie. Bój ciągnie się aż do wieczora; wieczorem jednak znużona brygada Małachowskiego, wyczerpawszy wszystkie środki obrony, a nie otrzymując znikąd pomocy, nawet od stojącej w tyle dywizyi Jankowskiego, oskrzydłona z obydwóch boków, parta z frontu przeważnemi siłami, cofa się w porządku w schody do Brudna, gdzie dopiero spotyka przybywającą jej w pomoc z pod Grochowa brygadę Gielguda, a za nią brygadę jazdy generała Bukowskiego i zatrzymaną przez Krukowieckiego dywizyę jazdy Jankowskiego. Na widok ten korpus grenadyerski zatrzymuje się i cofa do Białoleki, gdzie rozkłada się na nocleg. Generał Krukowiecki obejmuje dowództwo nad zgromadzonemi przy Brudnie siłami polskimi, a posunawszy za ustępującymi Rosyanami straż przednią i obsadziwszy las tarchomiński, resztę skupia na noc około Brudna.

W potyczce tej pod Białoleką odznaczył się świetnie przytomnością i talentem wodza i walecznością żołnierza generał Małachowski; brygada zaś jego, walcząca w ręcznym boju przez pół dnia z trzema brygadami wyborowej piechoty rosyjskiej, z czterema pułkami jazdy, popieranymi z tyłu przez resztę korpusu, złożyła chlubne dowody męstwa i wyrobienia żołnierza.

§ 5. Druga bitwa Grochowska.

Zapadająca noc z 24 na 25 lutego, poprzedzając walną bitwę grochowską, zastała wszystkie siły polskie i rosyjskie zgromadzone na równinie nadwiślańskiej przed Pragę, stojące przeciw sobie wielkiem półkołem trzechnilowego frontu od lasu tarchomińskiego i Białoleki do bagien goćławskich, i gotujące się do zaciętego boju. Wojsko polskie stało na owej obronnej linii bagien, którą opisaliśmy na początku tego rozdziału i którą słusznie generał Chłopiński uważał za najdogodniejszą pozycję do stoczenia odpornego boju, gdy przodowe stanowiska nad Liwcem, Muchawcem i pod Okuniewem opuszczone zostały.

Przez to półkoło bagien dwoma tylko bramami i trzecią środkową furtką przedrzeć się mogła armia rosyjska większemi masami i w porządnym szyku. Przestrzeń między bagnami Brzezina a lasem tarchomińskim, którądy idzie droga z Nieporętu do Pragi, tworzy bramę od północy, w poprzek której stoi Białoleka, a następnie Brudno, jak tamujący wnijsie szaniec. Bramą wschodnią w tym wale bagien jest owa cieśnina między trzęsawiskami Kawęczyna a Goćławia, którą przesuwają się ku Pradze łączące się z sobą gościńce podlaski i stanisławowski: Olszynka, jakby wysunięta naprzód warownia, broni przystępu do tej głównej bramy i jest kluczem całego pola bitwy; a jak w boju 21-go lutego Rosyanie, usiłując sforsować to przejście, kusili się najprzód o opanowanie tego przedbramnego szanca, tak również w nadchodzącej bitwie tu główne zapasy znieść trzeba było. Miłowe bagna, rozciągające się między dwoma temi bramami, przebyć można jedynie wąską, wśród trzęsawisk wijącą się drogą Ząbkowską, którą nazwaliśmy środkową furtką. W tych bramach stoczyć się musiała bitwa, a bronić przejścia niemi było zadaniem armii polskiej.

Rankiem 25-go obie armie stoją w szyku bojowym. Przejrzymy cały szyk półkrężny obu armij, najprzód szyk polski, zaczawszy od lewego, od lasów tarchomińskich nad Wisłą, aż do bagien goćławskich, przytykających znów do Saskiej Kępy i Wisły. Lewe skrzydło, oparte o lasy tarchomińskie, w których postawiono na szosie od Jabłonny część dywizji Jankowskiego, rozwija się od lasu aż do bagien za Brudno, w bramie północnej w następującym porządku: 2-gi pułk przy lesie, a częścią w nim, dalej ku prawemu 5-ty, następnie 6-ty, nakoniec 1-szy na Brudnie. Te cztery pułki, ustawione w dwanaście kolumn bataliono-

wych we dwie linie, mając przed sobą 24 dział w czterech półbateriach, zagradzają bramę wschodnią gęstą sztachetą bagnietów. Za Brudnem, za prawem skrzydłem tego oddziału, stoi reszta jazdy Jankowskiego i Bukowskiego. Całem tem lewem skrzydłem, liczącem 9,000 piechoty i przeszło 3,000 jazdy, dowodzi generał Krukowiecki. Idąc dalej ku prawemu, przedłużenie frontu polskiego tworzą milowe nieprzebyte trzęsawiska, rozciągające się od Brudna aż do Olszynki i zajmujące całą przestrzeń między lewem skrzydłem a środkiem. Jedyną drogę przez te trzęsawiska od Ząbków na pola grochowskie wiodącą, zajmuje bateria konna (Konarskiego) i jeden batalion z 1-go pułku (Kiekiernickiego), zamykając furtkę środkową i mając w tyle przy wyjściu tej drogi z bagien na płaszczyznę dwa pułki jazdy. Oddział ten przeznaczony bronić drogi ząbkowskiej i łączący lewe skrzydło ze środkiem, zostaje pod dowództwem generała Umińskiego.

Dalej jeszcze ku prawemu, wielką bramę wschodnią, ową klasyczną cieśninę między bagnami kawęczyńskimi i goctawskimi zajmują główne siły polskie, rozwinięszy się w następującym szyku. W wysuniętej przed linią Olszyncy, w tym szańcu przedbramnym, stoi dywizya Żymirskiego w dwóch liniach: w pierwszej linii, zaraz za rowem, idącym wzdłuż zewnętrznej krawędzi lasku, stoją dwa pułki liniowe (3-ci i 7-my) w sześciu kolumnach batalionowych, gotowe do ataku i mające przed sobą, przed rowem, łańcuch tyralierów; w drugiej linii, w tylnej części lasku dwa pułki strzeleckie (2-gi i 4-ty strzelców), także w sześciu kolumnach batalionowych. Na lewo Olszynki nieco w tyle, w trzech naplecznikach trzy baterie piesze; na prawo tegoż lasku po obu stronach szosy cztery baterie piesze. W tyle Olszynki, za tym przedbramnym szańcem, zajęty przez dywizję Żymirskiego i ostrzelany (lubo niedostatecznie) przez siedm bateryj, stoją dwie dywizye Skrzyneckiego i Szembeka, wyciągnięte w dwie linie wpoprzek całej bramy od bagien kawęczyńskich do goctawskich. Dywizya Szembeka przypiera prawem skrzydłem do bagien goctawskich, które ciągną się aż do zalewów Saskiej Kępy nad Wisłą i zasłaniają dostatecznie wojsko polskie z prawego boku. Korpus jazdy generała Łubieńskiego, złożony z czterech pułków ułanów, z dwóch pułków strzelców konnych, z pułku mazurów, z pułku poznańskiego i z trzech bateryj konnych, rozstawiony na płaszczyźnie pod wsią Grochowem, tworzy ogólną rezerwę. (Z korpusu jednak tego rozesłano w ciągu bitwy jedną część dla zabezpieczenia bateryj). Przy tej rezerwie stoi także pułk artylerji.

Przeciw tak uszykowanym wojskom polskim armia rosyjska rozstawiona jest ogromnem opasującym półkolem. Na prawem skrzydle (rosyjskiem), naprzeciw bramy północnej i korpusu Krukowskiemu, stoi korpus grenadyerski Szachowskiego, wzmocniony jazdą Sackena, sprawiony w szyk następujący: na krańcu prawego skrzydła, dotykając lasu tarchomińskiego, dwa rozbite nieco pułki jazdy należące do korpusu grenadyerskiego; następnie przed Białoleką *środek* oddziału, trzy brygady, grenadyerska, karabinierska i Mandersterna liniowa w kolumnach batalionowych; dalej na lewo na drodze z Białoleki do Brzezin dywizya jazdy Sackena tworząc lewe skrzydło; za *środkiem* w Białolekę dwie, lubo niekompletne, dywizye grenadyerów wraz z artylerją korpusu. Między tem prawem skrzydłem a *środkiem* rosyjskim wielka przerwa od Brzezin aż do Ząbków i Kawęczyna. Dopiero od Kawęczyna do młyna gociaławskiego rozciąga się front głównej armii rosyjskiej, to jest jej *środek* i lewe skrzydło w porządku niewiele odmiennym, jak w bitwie 21 lutego: korpus Rosena tworzy *środek*, korpus Pahlena lewe skrzydło. Korpus Rosena stoi, jak następuje: dywizya ułanów Włodka na prawym krańcu naprzeciw Kawęczyna, obok niej naprzeciw Olszynki w lesie dywizya XIV; dalej ku lewemu w tej samej linii, także naprzeciw Olszynki za Dąbrową Górą dywizya XV-ta, przytykając lewem ramieniem do dywizyi III-ej. Dywizya ta, stojąca jeszcze po prawej stronie gościńca Okuniewskiego, zaczyna lewe skrzydło i korpus Pahlena. Obok niej, naprzeciw Wygody, po drugiej stronie tegoż gościńca dywizya II-ga, nakoniec na ostatecznem lewem na szosie naprzeciw młyna gociaławskiego dywizya I-sza. W rezerwie za korpusem Rosena brygada grenadyerów litewskich, a za lewem skrzydłem, za korpusem Pahlena dywizya II-ga grenadyerów, dywizya huzarów Łopuchina i dywizya strzelców konnych Geismara. Ogólną rezerwę tworzył korpus gwardyi Wielkiego Księcia Konstantego, spoczywający w lasach Miłosny, kirasyerski korpus jazdy rezerwowej Wita i cały pułk artylerji rezerwowej, uszykowany w dwóch kolumnach na szosie i na gościńcu stanisławowskim.

Z takiego szyku obu armij wynika, że Polacy, ustawieni przez generała Chłopickiego na półkolu wewnętrznem, mogli odbywać ruchy po najkrótszych drogach, po cięciwach, szybko wojska swoje z jednego skrzydła na drugie przetrzucać i w danym punkcie siły koncentrować; Rosyanie, zajmujący półkole zewnętrzne, opasujące, musieli ruchy wykonywać po najdłuższych drogach, po łukach jeszcze większego promienia, chcąc wojska z jednego skrzydła na drugie przesunąć i w potrzebnem miejscu je skupić.

Lecz za to naprzeciw każdego pułku polskiego stoi dywizya rosyjska, armia bowiem nieprzyjacielska liczyła 90,000 żołnierzy, gdy polska zaledwie 46,000 dochodziła. Mimo to, dzięki męstwu i wyrobieniu polskiego żołnierza, Polacy byliby odnieśli stanowcze zwycięstwo, gdyby nie nieposłuszeństwo niektórych dowódców, nie chcących wykonywać poleceń generała Chłopickiego, jako nie będącego wodzem *de jure* i niszczących przez to biegle i bystre jego rozporządzenia.

Równo ze świtem wojsko polskie staje w wyżej opisanym szyku. Generał Chłopicki objeżdża jego szeregi i rozpoznaje, o ile można, rozporządzenia nieprzyjaciela, ukrytego po większej części w lasach, nad którymi unoszą się jeszcze mgły ranne i dymy gasnących ognisk. Armia rosyjska spoczywa w wyżej opisanym szyku, gotowa wprawdzie do boju i do ataku, lecz nie zamysławiająca dzisiaj uderzyć i rozpocząć walnej bitwy. Feldmarszałek Dybicz przegląda dywizye, szczególnie ulubioną dywizyę grenadyerską, a w ciągłej obawie, aby Polacy nie uderzyli na korpus Szachowskiego, oddzielony od niego dwumilowemi bagnami, posyła jeszcze w nocy powtórny rozkaz, aby Szachowski jak najspieszniej połączył się z główną armią i śpieszył drogą okrążającą bagna przez Brzeziny, Grodzisk, Marki do Ząbków, gdzie na spotkanie jego wyprawia cały korpus Witt'a i brygadę grenadyerów litewskich. Dybicz chce naprzód ściągnąć Szachowskiego i połączyć wszystkie siły, a dopiero 26-go lutego uderzyć na Olszynę i wydać stanowczą bitwę.

Stosownie do rozkazów wodza Szachowski o 7-ej rano rozpoczyna marsz flankowy naokoło bagien ku Ząbkom. Już bataliony jego piechoty ruszają z Białoleki i zaczynają przesuwać się poza lewem swem skrzydłem, za jazdą Sackena, ku bagnetom Brzezin i Grodzisk. Sam Szachowski wraz z całym sztabem jest na lewem skrzydle i z wiatraków rekognoskuje wojsko polskie. Półbateria polska stojąca naprzeciw wiatraków, ujrzawszy tam sztab rosyjski, daje do nich ognia. Na huk tego wystrzału, jakby na hasło, rozpoczynają ogień wszystkie cztery półbaterie polskie, a pułki piesze 5-ty, 6-ty i 2-gi biegną w kolumnach do ataku na Białolekę i uderzają, jak piorun, na cofającą się jazdę Sackena i na korpus grenadyerski wyciągnięty już w części w kolumnę marszową. Na tyle tej kolumny marszowej idące bataliony grenadyerskie zwracają się i dają chwilowy odpór—zacięty bój szybko się zawiązuje i przemienia w bezładny odwrót tylnej części korpusu grenadyerskiego. Później przypatrzymy się tej utarczce, rozbiciu małej części grenadyerów, a pochodowi reszty korpusu

Szachowskiego ku Ząbkom, spoczynkowi Krukowieckiego na pierwszych laurach, słowem wszystkiemu, co się stało do południa 25-go na lewem skrzydle polskiem; teraz zaś, odwróciwszy oczy od tej utarczki Krukowieckiego i Szachowskiego, patrzmy najprzód, co się dzieje w środku na głównym polu, przed Olszynką i Grochovem, w chwili gdy tam doleciał pierwszy huk strzałów z pod Białoleki.

Usłyszawszy grzmot dział pod Białoleką, ujrzał feldmarszałek Dybicz, że jego ciągła obawa o korpus grenadyerski nie była próżną. Polacy uderzyli na Szachowskiego zanim go zdołał do siebie ściągnąć. Oddzielony od grenadyerów Szachowskiego trzechniłową przestrzenią, nie mogąc mu ani śpiesznie dać pomocy, ani szybko go ściągnąć do siebie, widząc zaś, że Polacy, dzięki ich środkowemu stanowisku, zdołają daleko prędzej z swego prawego skrzydła przetrzucić część sił na lewe w pomoc Krukowieckiemu i zgnieść Szachowskiego, postanowił, aby temu przeszkodzić, wydać natychmiast bitwę, uderzyć z całą główną armią (korpusem Rosena, Pahlena i Witta) na Olszynkę, na środek i prawe skrzydło polskie.

Na rozkaz feldmarszałka Dybicza wszystkie baterie rozstawione gęsto, z małymi tylko ustępstwami dla przejścia kolumn piechoty, na stokach wzgórz od Kawęczyna i Dąbrowej Góry aż do pagórków wawerskich, rozpoczynają gwałtowny ogień: równocześnie dywizye Rosena i Palena przysuwają się ku sobie, postępują nieco naprzód i szykują się do ataku na Olszynę. Na ogień dwustu blisko dział rosyjskich odpowiada natychmiast siedem baterij polskich, stojących na lewo i prawo Olszyny... Pół godziny grzmia działa bez przerwy z największą żywością... grad kul i granatów sypie się z obu stron, przebiegając i krzyżując się nad szczupłą płaszczyzną między obydwoma frontami... Dwie szczególnie lewoskrzydłowe baterie polskie (Nieszokocia i Szateckiego) rażą celnymi strzałami i demontują działa rosyjskie, lecz zarazem najmocniej cierpią od ognia pięćdziesięciu dział rosyjskich. Po półgodzinnym ogniu połowa armat w baterji Szateckiego cichnie... daleko więcej dział rosyjskich już zdemontowanych, lecz natychmiast zastąpione są innemi. Ogień dział rosyjskich coraz bardziej koncentruje się na Olszynę, coraz gęściej grad pocisków rwąc gałęzie i obalając drzewa i ludzi pada na ten laszek, w którym pod tym ogniem spokojnie oczekując na atak piechoty nieprzyjacielskiej, stoi dywizya Żymirskiego, mając brygadę Rolanda (pułki liniowe 3-ci i 7-my) w pierwszej, brygadę strzelecką Czyżewskiego w drugiej linii.

Jak tylko wódz rosyjski ujrzał, że baterye jego stłumiły nieco ogień dział polskich i przygotowały atak, daje rozkaz generałowi Rosenowi uderzyć z dywizyami pieszemi na Olszynę, a dla wsparcia tego ataku posuwa III-cią i II-gą dywizyę z korpusu Pahlena.

Wódz polski, generał Chłopicki, widząc rozpoczynający się atak piechoty, a przenikniony głęboko tą napoleońską zasadą taktyki, aby w bitwach odpornych, korzystając z zawał, stosunkowo małemi siłami wytrzymać jak najdłużej atak nieprzyjacielski, a zachować jak najwięcej nietkniętego wojska w tyle stojącego i pozostawić jak największe rezerwy do zwrotu zaczepnego i do uderzenia na zmęczonego już atakiem wroga,—daje rozkaz Żymirskiemu bronić się do upadłego ze swoją dywizyą w Olszynie i postanawia nie posyłać świeżego wojska dla wsparcia lub złuzowania tej dywizyi, dopóki tylko ona opierać się będzie mogła.

Wśród ciągłego gromu dział posuwa się i uderza na Olszynkę cała prawie piechota rosyjska. XIV-ta dywizya, mając z tyłu i z prawego boku XV-tą, z lewego III-ą i II-gą, rozpoczyna atak. Całe stoki wzgórze i część płaszczyzny zalewa piechota rosyjska. Kolumny XIV-ej zbiegają szybko z pagórków i mimo morderczego ognia jednej bateryi polskiej (Nieszokocia), która wzdłuż całych kolumn pali to kulami, to kartaczami, kolumny posuwają się naprzód, następne hufce wypełniają luki wybite w przodowych, w miejsce stu padłych wchodzi tysiące, i kolumny płynąc po własnych trupach dosięgają Olszyny. Frontowe bataliony zakryte już krawędziami lasu od bocznego ognia bateryj polskich, rzucają się z bagnietem na piechotę polską, inne opasują ją jasnym płomieniem karabinowego ognia. Dwa polskie pułki 3 i 7 odpicierają atak bagnietem i kulami, bronią się uporczywie na krawędzi lasu, nad zewnętrznym rowem. Całą godzinę trwa zacięty bój ręczny. Z obu stron padają żołnierze—trupcy rosyjskie zapełniają rów frontowy, lecz mimo to liczba ich coraz bardziej rośnie płynącymi wciąż batalionami, w miejsce jednych pułków tłoczą się drugie. Przerzedzone dwa pułki polskie ścieśniają swój front, zacinają ustępować w głąb lasu. W tej chwili Żymirski wspiera ich drugą swą brygadą w drugiej linii w lasu stojącą: 2-gi i 4-ty pułk strzelców biegną na pomoc osłabionym godziną walką żołnierzom 3-go i 7-go liniowego i wspólnem uderzeniem wypierają z lasu bataliony rosyjskie. Znowu toczy się bój nad zewnętrznym rowem na brzegu Olszyny.

Lecz wódz rosyjski, widząc cofającą się z Olszynki XIV-tą dywizyę i część XV-ej, pcha do powtórnego ataku wszystką swo-

ją piechotę, porusza wszystkie rezerwy. XV-ta dywizya rzuca się cała na lewy kraniec lasku, III-cia i II-ga, prowadzone przez szefa sztabu, generała Tolla, uderzają na prawy jego kraniec; sam Dybicz szykuje z tyłu dla wsparcia atakujących II-gą dywizyę grenadyerską, a Witt z całym korpusem rezerwowym kirasyersko-ułańskim pcha i wspiera korpus Rosena, zagrażając zarazem od Kawęczyna baterjom polskim. Nawet gwardye W. Księcia posuwają się z lasu, chociaż sam cesarzewicz nie bierze udziału w bitwie, lecz ponury ze smutkiem przygląda się uporczywej walce. Cztery dywizye rosyjskie biegną naraz z rozgłośnym okrzykiem na Olszynę, a baterje konne wysuwają się z pomiędzy nich pędem i ogniem swoim chcą ułatwić im atak. Huk dział i hurra pięćdziesięciu batalionów rosyjskich grzmi na całym froncie, a 40,000 bagnetów opasuje dywizyę Żymirskiego. Te cztery pułki polskie dają opór—walka chwilę się waha — lecz przeredzone okropnie żelazem, osłabione poprzednim bojem, gną się, kupią ku środkowi, przechodzą za rów wewnętrzny, cofają się prawie zupełnie z Olszynki, gromadzą ku baterjom Szateckiego i Nieszokocia... Była to prawie pierwsza godzina z południa.

Jeszcze przed 11-tą rano Chłopicki, ujrzawszy, że Szachowski opuścił Białolekę i okrążając bagna przez Grodzisk i Marki ciągnie ku Ząbkom i Kawęczynowi, posyła rozkaz generałowi Krukowieckiemu, aby natychmiast przybywał pod Grochów i łączył się z głównym korpusem. Generał Krukowiecki rozkazu tego nie słuca, mówiąc, że nie uznaje Chłopickiego za wodza i tłómaczy się zarazem tem, iż strzedz musi Szachowskiego, który pociągnął zapewne w lasy tarchomińskie i może od Jabłonny uderzyć z boku na armię polską. Takim sposobem zniweczony został plan i pomysł generała Chłopickiego, aby przygotować za sobą rezerwy, któreby dokonały zwycięstwa, jakieby on na czele nietkniętych dywizyj Skrzyneckiego i Szembeka otrzymał nad armią rosyjską, zmęczoną długim bojem z dywizyą Żymirskiego w Olszynie. Nieposłuszeństwo Krukowieckiego cały ten plan zniweczyło i wytrąciło Polakom tryumf z ręki — jak to wkrótce zobaczymy.

Gdy dywizya Żymirskiego, wyczerpawszy wszystkie środki oporu, cofając się z Olszynki zaczyna z niej wychodzić, ujrzał generał Chłopicki, że nadeszła chwila poprowadzenia do ataku drugiej linii, dywizyj Skrzyneckiego i Szembeka — że nadeszła chwila zaczepnego zwrotu i odwetu. Rozkazuje generałowi Skrzyneckiemu sformować swoją dywizyę do ataku i uderzyć na lewy kraniec Olszynki; sam zaś prowadzi do ataku na prawy kraniec

tego lasku pułk grenadyerów z dywizyi Szembeka, z którym w marszu już łączą się reszta tej dywizyi, to jest brygada strzelecka prowadzona przez generała Prądzyńskiego. Bębny polskie grzmiały marsz do ataku... Chłopicki z promieniejącą natelnieniem twarzą, z palającym okiem, które w jednej chwili ogarnia całe pole bitwy, kombinuje wśród ich biegu zdarzenia i ruchy, kłębam dymu i ognia jeszcze osłonięte, śpieszy po odwet i zwycięstwo... Była to najpiękniejsza może chwila w życiu generała.

Obie polskie kolumny, lewa i prawa, ruszają równocześnie— w tej samej chwili masa piechoty rosyjskiej, uszykowawszy się w Olszynie, wylewa się dwoma potokami z lasku ku polom grochowskiemu, wspierana ogniem 12 bateryj, które posunęły się naprzód. Przy huku dział i bębnow obie strony spotykają się na równinie paręset kroków z tej strony Olszyny. Lewa kolumna polska, to jest Skrzynecki na czele pułków 4-go, 8-go, części 20 wpada na XIV-tą dywizję rosyjską—przezwraca ją, przepędza za Olszynkę—wybiegając z lasku uderza na dywizję XV-tą, uszykowaną tutaj—rozbija ją, i bezładne tłumy obu dywizyj Rosena pędzi na stoki Dąbrowej Góry. Chłopicki z prawą kolumną, przebywszy krzyżowy ogień dział rosyjskich, rzuca się na czoło III-ej dywizyi, wysuwającej się z Olszyny ku Grochowu, rozgramia ją—przechodzi prawą krawędź lasku, uderza na sformowaną powtórnie dywizję—rozbija ją, pędzi ku Wygodzie wraz z II-gą dywizją, która przerażona klęską poprzedniej mięsza się, rozsypuje i cofa bezładnie za Wygodę ku lasom.

Jest to chwila stanowcza! Oto dwie dywizye polskie wybiegają z Olszyny, pędząc przed sobą całą prawie piechotę rosyjską w bezładny tłum się rozbiegającą, jest to chwila stanowcza, powtarzamy! Armia rosyjska w jednej połowie rozbita, w drugiej przerażona i zmieszana—trzeba ją tylko rozproszyć, zwycięstwo zaczęte, trzeba go tylko dokonać! Lecz to rozproszenie, to zwycięstwo dokonać może jedynie atak świeżej siły — rezerwy. Na tę ważną i rozstrzygającą, a przewidywaną chwilę, chciał generał Chłopicki przygotować sobie silną rezerwę. Dla rozstrzygnięcia całej sprawy i rozproszenia osłabionego, a następnie przełamania, nieprzyjaciela chciał Chłopicki ściągnąć z pod Białolęki Krukowieckiego, postawić za drugą linią, a po przełamaniu przez tę linię szyków nieprzyjacielskich (co nastąpiło), rzucić na zmieszanych Rosyan rezerwową dywizję Krukowieckiego, wzmocnioną przez całą jazdę, lub przynajmniej uderzyć korpusem jazdy Łubieńskiego. Znał bowiem dobrze zasadę taktyki, że ta sama siła nie może i nieprzyjaciela przełamać i przełamawszy go pobić,

zwycięstwo rozpocząć i dokonać; w pierwszym bowiem boju, przełamując nieprzyjaciela, sama się dezorganizuje, a dla dokonania zwycięstwa jest potrzebna rezerwa.

Lecz z powodu nieposłuszeństwa i nieobecności generała Krukowieckiego nie było, gdy nadeszła stanowcza chwila, żadnej w rezerwie piechoty. Stał jednak na polach grochowskich w odwodzie cały korpus jazdy Łubieńskiego, a właśnie jest to zadanie jazdy, stojącej w rezerwie, dokonywać rozpoczęte zwycięstwo. Wprawdzie korpus ten liczył tylko sześć pułków, przy męstwie jednak i znanym pędzie szarż jazdy polskiej byłaby to może dostateczna siła do rozgromienia pomieszanej piechoty rosyjskiej, gdyby w tej chwili na plac boju nadbiegła i śmiała szarżą na te tłumy uderzyła.

Generał Chłopicki, biegnąc na czele swej kolumny z lasku ku Wygodzie i widząc z jednej strony cztery dywizye rosyjskie, pierzchające w nieładzie, lecz zarazem odsłaniające szereg swych baterij, z drugiej strony znużenie swojej i Skrzyneckiego dywizyj—pojmuje w jednej chwili całe położenie i daje rozkaz, aby nadchodziły śpiesznie rezerwy, śle adjutantów z poleceniem, aby Łubieński ze swym korpusem jazdy przybył i uderzył. Lecz Łubieński nie przybywa—drogie momenta mijają—generałowie rosyjscy wstrzymują siłą, głosem i pałaszem swoje pierzchające dywizye, szykują je na nowo, popychają na front dwa nietknięte wojsk oddziały, dywizye grenadyerską i I-szą, a odsłonięty szereg baterij, rozstawionych wzdłuż stoku pagórków, silnym ogniem zakrywa przez chwilę armię szykującą się na nowo. A Łubieński jeszcze nie przybywa, a nawet przybyć nie myśli. Przybiegającym z rozkazami adjutantom odpowiada to, że Chłopicki nie jest wodzem, nie może przeto na jego rozkaz i odpowiedzialność puszczać swej jazdy na niebezpieczną szarżę: to, że rozkazy nie są wyraźne i nie na piśmie od ks. Radziwiłła, a szarża niepodobna, bo w jednym miejscu krzaki, w drugim błota, w trzecim zagony na poprzek zoraue; to nakoniec, że niema pod ręką dostatecznej siły, lecz tylko dwa pułki. Wprawdzie część korpusu Łubieńskiego rozrzuconą była na polu grochowskiem dla zabezpieczenia dział, lecz prędko zebrać było ją można. Nieposłuszeństwo to i Krukowieckiego zapewne nie miałyby miejsca, a bitwa byłaby może stanowczo wygraną, gdyby generał Chłopicki był wodzem *de jure*.

Łubieński nie przybywa, a tymczasem chwila stanowcza mija i minęła bezpowrotnie. Wstrzymane w odwrocie i uszykowane na nowo cztery dywizye rosyjskie (XIV, XV, III i II), przetrzebione wprawdzie okropnie, lecz i sformowane jako tako pod zasłoną ognia dział i rezerw, wzmocnione dwoma świeżemi (grena-

dyerską i I-szą), pchane z tyłu przez cały korpus jazdy Witta i gwardye W. Księcia, a z boków przez dywizye konne Łopuchina i Geismara, nakoniec ożywione zbliżaniem się Szachowskiego, wykonywują zwrot zaczepny. Cała armia rosyjska wychodzi z płochu i czyniąc ostatnie wysilenie, uderza *po raz trzeci* na Olszynkę.

Obie kolumny polskie, Chłopickiego i Skrzyneckiego, mając na czele swoim pułk grenadyerski i 4-ty, wytrzymują na płaszczyźnie przed Olszynką przez pół godziny natarcie całej armii rosyjskiej, nie tracąc w tak nierównym boju ani stopy ziemi. Na zasypujący je grad kul działowych i kartaczy i na najstraszniejszy ze wszystkich ogień karabinowy kilkudziesięciu batalionów, odpowiadają celnymi strzałami, wspierane dzielnie ogniem dwóch baterij Nieszokocia i Ryłskiego. Legli już wszyscy prawie naczelnicy batalionów w obu pułkach polskich—pułki te jednak nie ustępują z pola. Generał Chłopicki przebiega ich front, zachęcając do oporu przed łaskiem, by jeszcze zostawić pole do szarży Łubieńskiemu, którego wygląda z niecierpliwością. Zacięty bój trwa przed Olszynką. Ogromna bateria rozwija się na krańcu prawego skrzydła rosyjskiego przed Kawęczynem, zgłusza lewo-skrzydłowe baterie polskie, razi z boku rześystym ogniem piechotę polską i lasek olszowy. Zawzięty bój trwa przed Olszynką. Obie dywizye, Skrzyneckiego i Szembeka, walczą z nadzwyczajnym męstwem — przed frontem ich pada dwa razy z zabitym koniem generał Chłopicki, płaszcz jego przeszyty kulami, sam ranny lekko kartaczem. Nakoniec, nie mogąc doczekać się pomocy, sam pędzi pod Grochów przyspieszyć nadejście rezerw, zdawszy dowództwo nad swą kolumną generałowi Milbergowi. Była to godzina druga po południu. Pędząc szosą za Grochów pod Słup Żelazny, gdzie stał sztab główny, dowiaduje się, że Łubieński nie chce go słuchać, nie chce uderzyć, a równie nieposłuszny Krukowiecki jeszcze jest w Białolegę. Przybywszy pod Słup, oświadcza wszystko szlachetnemu Radziwiłłowi, który mimo swej woli i jedynie na rozkaz rządu i przez poświęcenie dźwiga ciężkie dla siebie naczelne dowództwo. Radziwiłł ze swej strony posyła natychmiast rozkaz Łubieńskiemu i Krukowieckiemu.

Lecz już było zapóźno, zapóźno by ciągnąć dalej zaczepny zwrot, wykonany tak śmiało i szczęśliwie przez Chłopickiego, by rozbić atakiem rezerw przełamaną armię rosyjską, zapóźno, by przypuścić szarżę, gdyż bój cofnął się już z pola przed łaskiem do Olszyny, a nawet przygniecione całym ciężarem armii rosyjskiej dwie dywizye polskie, zmęczone przeciągłym z nią bojem,

cofały się już z lasku ku Grochowu. Chłopicki, widząc wydarte sobie prawie z ręki zwycięstwo przez nieposłuszeństwo dwóch generałów, widząc jak zmarniał przez to waleczny opór dywizji Zymirskiego, następnie pełen zapału atak oddziałów Skrzyneckiego i Szembeka i bohaterska ich wytrwałość w boju pod Olszyną, zapragnął śmierci. Lecz przedewszystkiem, pomny na obowiązek wodza, wraca na plac boju wstrzymać ile możności i jak najdłużej odwrót tych dywizyj, by dać czas do ściągnięcia Krukowieckiego i Umińskiego, do ustawienia reszty armii na drugiej linii obronnej. Już dobiega do swojej kolumny, walczącej jeszcze na krańcu Olszyny, gdy granat pęka pod jego koniem, rani mu ciężko obie nogi i obala go wraz z koniem na ziemię. Ranionego generała odnoszą na Pragę. Było to po 2½ godzinie.

Z tą chwilą kończy się polityczno-wojskowy zawód generała Chłopickiego, a my moglibyśmy zamknąć obraz tej bitwy i wojny, a nawet dzieło nasze, poświęcając tylko kilka ostatnich jego kartek opisowi reszty prywatnego życia tego męża. Lecz dla przedstawienia w całości rozpoczętej rzeczy, kończymy lubo treściwie opis bitwy grochowskiej.

Zatrzymawszy się w opisie głównego boju przed Grochowem w chwili, gdy po dwukrotnej walce o posiadanie Olszyny ustępują z niej dwie dywizje polskie przed parciem całej armii rosyjskiej—spójrzymy na lewe skrzydło pod Białoleką i wspomnijmy pokrótce, co się tam działo podczas zaciętego boju pod Olszynką.

Szybko, nagłym atakiem całego korpusu Krukowieckiego na Szachowskiego zawiązana utarczka zmieniła się, jak widzieliśmy, w beładny odwrót części korpusu grenadyerskiego, zasłaniającej resztę korpusu, będącą już w marszu ku Grodziskowi i Markom. Zwycięzcy Polacy zajmują Białolekę, a ścigając dalej rozproszonych kilka batalionów zabierają przeszło 1000 karabinów. Lecz rozbita część grenadyerów pierzcha w dwóch kierunkach: jedna część biegnie za korpusem swoim, maszerującym ku Markom; druga część ucieka to drogą ku Nieporętowi, to w lasy tarchomińskie. Polacy nie wiedzą, gdzie się podział główny oddział korpusu grenadyerskiego, nie wiedzą, że on, na rozkaz Dybicza, ciągnie ku wielkiej armii rosyjskiej naokoło bagien ku Ząbkom, by stamtąd ruszyć przez kolonię Elznera na pola Grochowa i uderzyć z boku na walczące koło Olszyny wojsko polskie. Dwa tylko bataliony z pułkownikiem Rybińskim i 6-iu działami ścigają ten korpus po istotnej drodze jego odwrotu ku Brzezinom i Grodzisku, generał zaś Krukowiecki, mniemając, iż Szachowski fałszywy tylko manewr wykonywuje, małym oddziałem przez Gro-

dzisk, z całym zaś korpusem wszedł w lasy tarchomińskie i stamtąd szosą Jabłonny posuwa się ku Pradze — posyła brygadę Małachowskiego do lasu tarchomińskiego, brygadę konną Bukowskiego na szosę od Jabłonny, brygadę Jankowskiego rozsyła na wszystkie strony na patrole, Rybińskiemu każe się wracać z pod Grodziska, a sam z resztą piechoty staje w Brudnie.

Tymczasem Szachowski, śpiesząc do Ząbków, ciągnie w rozwleczonej kolumnie wązką drożyną naokoło bagien. Lecz trzy mile ująć musi zanim stanie na miejscu swego przeznaczenia i może wziąć udział w bitwie; a tu droga wązka i bagnista, kolumna się rozwleka i co chwila zatrzymuje, zatamowana to ugrzęzłem działem, to wywróconym jaszczykiem. O godzinie 10-ej jest dopiero w Markach, o 1-ej dochodzi do karczmy Mutki, przesuwa się ku Ząbkom, gdzie łączy się z brygadą grenadyerską Murawjewa. Po dojściu do Ząbków przednia straż grenadyerów wraz z brygadą Murawjewa zamierza wykonać plan feldmarszałka Dybicza: przedrzeć się drogą ząbkowską do kolonii Elsnera, przez trzęsawiska wodącą, i uderzyć z lewego boku na armię polską pod Grochowem walczącą. Na drodze tej stała, jak wiemy, wśród trzęsawisk bateria Konarskiego, przy niej batalion piechoty Kiekiernickiego, w tyle zaś za bagnami, pod kolonią Elsnera, gdzie droga ta wychodzi na równinę grochowską, parę pułków jazdy Umińskiego, który miał oddane dowództwo nad całym oddziałem i obronę tego przejścia, które nazwaliśmy furtką środkową. Grenadyeryz ściśniętą kolumną posuwają się drogą ząbkowską, lecz ogień dział Konarskiego wywraca ich szeregi. Powtórnie posuwają się grenadyery, a inne ich bataliony przybywając do Ząbków, przechodzą z szyku marszowego w szyk bojowy i całym frontem zwracają się do bagien, a kilkanaście dział ustawionych w tyle kieruje swe strzały do baterii Konarskiego, by rozdzielić jej ogień. Lecz bateria Konarskiego wstrzymuje celnym ogniem ataki grenadyerów po drodze, rozbija ich kolumny i odpiera jedno uderzenie po drugim. Wspiera go i zabezpiecza dzielnie batalion Kiekiernickiego, usadowiony przy mostku na drodze, i to ręcznym ogniem, to bagnietem odpiera natarcia Rosyan. Po dwugodzinnej zaciętej walce i gwałtownym ogniu batalion Kiekiernickiego zdejmuje mostek i cofa się za niego; lecz ani on, ani działa Konarskiego nie ustępują ze stanowiska, ale żelazem i ogniem zamykają przejście Rosyanom, którem, gdyby się przedrzeć zdołali, wpadliby z boku na cofającą się już wtenczas armię polską. Dzięki nieustraszonosci tych dwóch drobnych oddziałów, zdołał generał Umiński obronić powierzone sobie przejście przeciw tak prze-

ważającym siłom, nie otrzymując od generała Krukowieckiego żadnych posiłków.

Lecz kiedy część korpusu grenadyerskiego usiłowała przedrzeć się przez bagna po drodze ząbkowskiej, reszta tego korpusu szła dalej w dawnym kierunku wprost do głównej armii rosyjskiej, przesuwając się poza walczącymi, jakby za zasłoną, gościńcem od Ząbków do Kawęczyna i łączyła się już w tem miejscu z wojskami Rosena i Witta. Albowiem feldmarszałek Dybicz, ujrzawszy, że już jest zapóźno na atak boczny przez kolonię Elsnera, nakazał Szachowskiemu przybywać do Kawęczyna, a łączywszy się tam z głównym korpusem, brać udział w ataku rdzennym na Grochów. Ale dopiero o w pół do czwartej Szachowski, ukończywszy swój wielki marsz flankowy z Białoleki pod Grochów i obszedłszy bagna, przybył na pole bitwy właśnie gdy bój w Olszynie był już się skończył, armia polska cofała się z lasku tego pod Grochów, a wódz rosyjski, a raczej szef sztabu generał Toll, gotował wielki atak jazdy, by rozbić zachwiane wojsko polskie. Równocześnie (o w pół do czwartej) nadciągał przeciw pod Grochów korpus Krukowieckiego, który przez cały dzień nie miał udziału w bitwie i błakał się zdaleka między Białoleką a tarchomińskimi lasami. Brygada Giełguda, za nią Małachowskiego i jazda Jankowskiego, składające korpus Krukowieckiego, mijają Targówek i rozwijają się na polach grochowskich.

Wracamy przeto wraz z tą dywizją na plac głównego boju pod Grochów w chwili, w której opis jego przerwaliśmy, to jest gdy po ranienu i odniesieniu z pola bitwy Chłopickiego, dwie dywizye polskie cofają się z Olszynki pod parciem całej piechoty rosyjskiej, a generał Toll szykuje przeszło 90 szwadronów jazdy, chcąc nią przełamać i rozbić zachwiane szeregi polskie. Lecz zanim szef sztabu rosyjski sprawił te tłumy jazdy do ataku, minęła cała godzina. Generał Skrzynecki objął faktycznie dowództwo w tej krytycznej chwili, a podczas przygotowań jazdy rosyjskiej do ataku uszykował z wielką przytomnością i szybko wojsko polskie, dając inny kierunek jego linii bojowej. Cofające się dywizye, swoją i Żymirskiego, zatrzymuje i ustawia w ukośnym szyku do dawnej linii bojowej, od kolonii Mazyasza do Słupa Żelaznego na szosie, na skrzydłach stawia baterye piesze do dywizyi należące, a które ustąpiły z pod Olszynki, oraz baterye konne, należące do korpusu jazdy Łubieńskiego; w rezerwie za prawem skrzydłem staje korpus jazdy Łubieńskiego, za lewem korpus Krukowieckiego i przybywające z drogi ząbkowskiej baterye Konarskiego i Masłowskiego. Tym sposobem przed 4-tą godziną,

w chwili, gdy jazda rosyjska zamierza rozpocząć szarżę, armia polska gotowa już jest na jej przyjęcie.

Szef rosyjskiego sztabu, generał Toll, uszykował swoją w cztery następujące kolumny na całym froncie od Kawęczyna do młynów goścawskich: *prawą* kolumnę, idącą koło kolonii Mazyasza, tworzy dywizya ułanów litewskich Włodka; *pravo-środkową*, postępującą po prawej stronie Olszynki, dywizya gwardyi cesarzewicza; *lewo-środkową*, główną kolumnę, posuwającą się szosą po lewej stronie Olszynki, tworzy korpus rezerwowy jazdy Witta, a na jej czele idzie dywizya kirasyerów; *lewą* nakoniec kolumnę, maszerującą na Szembeka około bagien goścawskich, tworzą dywizya luzarów Łopuchina i brygada strzelców konnych Geismara. Cztery te kolumny ruszają równocześnie. Lecz muszą jeszcze niektóre z nich przebyć rów wielki, obejść Olszynkę, a zanim wykonały te manewra przygotowawcze, mija znów pół godziny. Nakoniec równają swe czoła na wysokości Olszynki i cała ta masa jazdy pędzi czterema potokami na armię polską, uszykowaną skosnie do linii rosyjskiego ataku. Przed każdy potok jazdy wysuwają się z niego jeszcze szybciej liczne baterye artyleryi konnej, ryją mu koryto kulami i kartaczami, a zarazem osłaniają go swoim ogniem. Tentent pędzących tłumów jazdy przygłusza nawet grzmoty strzałów. Bataliony obu linii polskich zwijają się szybko w czworoboki i stają w milczeniu, gotowe przyjąć ogniem i bagnetem wpadające na nich pośluzem kolumny jazdy. Krótką chwilę trwa ze strony polskiej cisza—ta złowroga, przedburzowa cisza, co na jedno hasło: „zaczynaj“ ryknie gromami i zmieni się w ulewę kul i ognia. Wśród tego milczenia rozlega się tentent pędzących pułków jazdy rosyjskiej. Mniejsze, skrajne kolumny rosyjskie, *prawa* i *lewa*, wyprzedzają wielką *środkową*, wstrzymaną przeszkodami gruntu i złożoną z ciężkiej jazdy, a mającą szerszą do przebieżenia przestrzeń. *Prawy* potok, złożony z pułków ułańskich, wpada na czworoboki 4-go liniowego pułku; milezące czworoboki przypuszczają go blisko i nagle palą całą ścianą; potok jazdy odbija się o ogień ziejące żelazne piersi pułku, rozdziela na kilka fal, które zwracają się na bagna kaweczyńskie, a tam pod ogniem bateryj Konarskiego i Masłowskiego rozpryskują się w pojedyncze krople i uchodzą, zostawiając przed czworobokami i baterjami polskimi wał trupów, który tamuje drogę następnym szwadronom. Pomyślnie zrazu uderza *lewa* kolumna huzarsko-szaserska; rozbija jakiś batalion strzelców, lecz kartacze bateryi Piętki wstrzymują pęd tego potoku, rozbijają go i zwracają na lewo, na bagna goścawskie, gdzie jego frontowe fule rozpluwają się i nikną.

Srodkowa, główna ciężka kolumna kirasyersko-ułńska, na której czele postępuje pułk kirasyerów ks. Alberta, zwany „niezwyciężonym,” za nim trzy inne pułki kirasyerskie, a dalej ułńskie—posuwa się zwolna i w porządku. Lecz nagle czoło kolumny odrywa się od reszty, dwa dywizyony tego pułku frontowego rozwijają się, puszczają galopem po szosie i po lewej jej stronie przebijają się przez obie linie polskie, które jednak zasuwiają się zaraz po przebiegu tej pierwszej fali potoku. Jeden dywizyon tego zapędzonego pułku, przedarłszy się za drugą linię, zwraca się na bok w pole, spotyka 8-my pułk pieszy, który daje ognia całą ścianą czworoboku i ściele trupem lub rozbija zaawanturowany zastęp rosyjski. Na drugi dywizyon, zapędzony pod Słup Żelazny, wpadają ułani 5-go i 2-go pułku, łamią go, rozbijają, kłują, a resztę biorą w niewolę.

Cała środkowa kolumna, zmieszana tym wyskokiem czołowego pułku, zatrzymuje się i przypatruje chwilę w osłupieniu, jak pułk ten utonął w kłębach dymu i ognia, w tunanach kurzawy, a za nim zamknęły się szeregi polskie. Po kilku minutach kolumna posuwa się naprzód, chce biedz za zginionym pułkiem, lecz baterie konne (od korpusu Łubieńskiego) witają ją kartaczami i mieszają naczelne szwadrony, a kirasyerzy widzą, jak przez dym tych strzałów błyszczą przed nimi gęstą linią groźne bagnety czworoboków polskiej piechoty. Dywizye Skrzyneckiego i Żymirskiego, wzmocnione brygadą Giełguda, stoją nieprzepartą ścianą przed tą środkową szarżą, a dwie nadbiegające baterie piesze (Konarskiego i Bielińskiego) wzmocniają ogień baterij konnych, palących do tej szarżującej jazdy. Wreszcie wielka kolumna kirasyerska, zachwiana niefortunnym atakiem czołowego pułku i wieścią o niepomyślnych szarżach bocznych kolumn, zmieszana postawą piechoty polskiej, w nieporządek wprawiona ogniem artylerji, cofa się w nieładzie, i cały potok jazdy, wywracając własną piechotę, odplywa pędem za Olszynkę ku Dąbrowej Górze i niknie w mroku zapadającego wieczora. Gromy dział polskich, grzmiały za ustępującą jazdą, zakończają bitwę.

Mrok wieczorny padł już na pole bitwy i okrył obie armie. Wśród tej pomroki cofają się od siebie oba wojska: zdezorganizowana jazda rosyjska ustępuje za Grochów, a za nią organizują się, uzupełniają i formują rozbite dywizye piechoty w Olszynie i na wzgórzach ponad polami grochowskiemi; wojsko polskie cofa się do Pragi, najprzód zwijają się skrzydła, a środek, to jest dywizya Skrzyneckiego i cała jazda, uszykowana na pagórkach Targówka, zakrywają ten odwrót. Następnie cała armia polska,

zostawiwszy tylko silny korpus w okopanej Pradze i w szańcu przedmostowym, przechodzi po moście na lewy brzeg Wisły do Warszawy. Zdezorganizowana zupełnie bojem armia rosyjska przez pięć godzin formuje się i organizuje, zapelnia na pół wybite pułki, zgromadza rozproszone, za ledwie przed północą posuwa się naprzód i nocuje w następującym porządku: w przedniej straży przed Grochowem jazda rezerwowa Witta, w tyle Grochowa po obu stronach szosy główna armia, a mianowicie, korpus Pahlena na lewo szosy, korpus Rosena na prawo, rezerwy i korpus grenadyerski Szachowskiego między Wygodą, Olszynką i Kawęczynem.

Krytycy rosyjscy i polscy zarzucają swym wodzom, że dalej nie ciągnęli bitwy i nie usiłowali przeważyć zwycięstwa stanowczo na swoją stronę, lecz zostawili bój nierozstrzygnięty. Krytycy polscy czynią zarzut sztabowi głównemu, dla czego po odparciu wielkiej szarży nie kazał uderzyć zaraz wszystkimi siłami na osłabioną bojem i zdemoralizowaną armię rosyjską; krytycy zaś rosyjscy zarzucają feldmarszałkowi Dybiczowi, dla czego nie uderzył natychmiast w nocy na Pragę. Samo zestawienie i porównanie tych zarzutów okazuje ich bezzasadność. Obie armie tak były osłabione całodziennym bojem, że nie zdołały na siebie uderzać, a jakkolwiek każda była dość silna na swym stanowisku, nie mogła drugiej bez wielkiego niebezpieczeństwa atakować. Trzy dywizye piesze, Żymirskiego, Skrzyneckiego i Szembeka, zużone i przeredzone zaciętym bojem w Olszynie, a następnie na płaszczyźnie grochowskiej, nie mogły już zaczepnie działać; czwarta zaś dywizya Krukowieckiego dopiero wieczorem nadszła z pod Białoleki przed Pragę i była za słaba, aby sama uderzyła na armię rosyjską, która jakkolwiek w połowie rozbita, miała jeszcze nietknięte prawie: korpus grenadyerski Szachowskiego, gwardye W. Księcia i jedną z dywizyj Pahlena, oraz bardzo liczną jazdę, zdemoralizowaną wprawdzie, lecz nie zniszczoną. Krytycy rosyjscy, a mianowicie szef sztabu, generał Toll, więcej w tym pychę niż zdrowym rozsądkiem kierujący się, obwiniali Dybicza, iż zaraz w nocy nie uderzył na Pragę. Chcą oni tylko tym zarzutem wywalczyć sobie w opinii publicznej zwycięstwo pod Grochowem, trudno albowiem aby mniemali, iż armia, która nietknięta nie mogła na otwartem polu pokonać wojska polskiego i w pół została rozbita, zdołałaby tembardziej po swem zdezorganizowaniu zwyciężyć wojska, które stały za szańcami w 100 dział. Zresztą zapominają o niebezpieczeństwie wszelkich ataków nocnych. Wiedział o tem feldmarszałek Dybicz, chociaż wiedzę swą

niemocy pokrył wspaniałomyślnością w odpowiedzi, danej generałowi Tollowi.¹⁾

Walna bitwa grochowska, największą była i najkrwawszą, obok ostrołęckiej, z bojów w otwartem polu od czasów wielkich wojen napoleońskich aż do dni dzisiejszych, nie wyjmując ani bitwy nad Alną, ani bojów pod Sewastopolem. W bitwie nad Alną 20 września 1854 r. walczyło pół dnia 64,000 Anglików i Francuzów przeciw 33,000 Rosyan; strata Rosyan wynosiła przeszło 4,000 ludzi w poległych i rannych; Anglicy stracili ogółem 1,500, Francuzi 1,200 w zabitych i ranionych. W bitwie pod Akermanem 5-go listopada bój wiodło przez cztery godziny 36,000 Rosyan, a raczej tylko czoło tej kolumny, z 9,000 Anglików, którym w końcu przyszło na pomoc 10,000 Francuzów; Rosyanie stracili, według raportów angielskich, w poległych i ranionych do 8,000 ludzi (3,000 poległych i 5,000 ranionych); strata angielska i francuska wynosiła ogółem 4,000 ludzi. W bitwie nad Czarną 16 sierpnia 1855 r. było w istotnym boju tylko 30,000 Rosyan i to częściowo, a przeciw nim walczyło 40,000 Francuzów, Piemontczyków i Anglików, również częściowo działających i po większej części tylko ogniem artyleryi, poczem szturmujących pozycyę. Ogólną stratę rosyjską w poległych, ranionych ciężko i lekko, podają raporta sprzymierzonych na 7,000 ludzi, sprzymierzeni stracili ogółem 1,800 ludzi. Jedynie w ostatnim szturmie Sewastopola 8 września 1855 r. rozwinięto podobne siły, jak w bitwie grochowskiej, i walka była równie krwawą; lecz ogień (szczególniej działowy) największą odgrywał przy szturmie tym rolę i najcięższe straty sprawił; w boju zaś grochowskim broń chłodna, bagnet, równy z ogniem miał udział — zresztą szturm ten nie był bitwą w otwartem polu. W szturmie Sewastopola, od 12-ej w południe do wieczora trwającym, walczyło 70,000 blisko sprzymierzonych z 70,000 Rosyan; strata Rosyan wynosiła ogółem w poległych, rannych ciężko, lekko i wziętych w niewolę, do 12,000; sprzymierzeni, według raportów francuskich, mieli stracić 9,700. W bitwie grochowskiej bój wiodło 90,000 Rosyan przeciw 46,000 Polaków; niekiedy, jak widzieliśmy, 50,000 Rosyan uderzało naraz z bagnetem w rękę lub 90 przeszło szwadronów pędziło równocześnie do szarży. Walka trwała dzień cały bez przerwy; strata rosyjska wynosiła 14,000 ludzi, Polacy stracili przeszło 5,000. Znakomite sprawiła ta bitwa

¹⁾ Miał wówczas Dybiez powiedzieć, że nie chce planić imienia rosyjskiego powtórnem wyrznięciem Pragi (*Przyp. red.*).

skutki. Rosya, która mniemała, że na sam widok jej armii upadnie powstanie, poznała jego siłę i potęgę... Z drugiej strony zaufanie wzrosło w narodzie: niektórzy z Polaków, nie ufający we własne siły, widząc te kilkodniowe, szczęśliwe lub nierozstrzygnięte zapasy wojska polskiego z całą potęgą cesarstwa, spojrzeli z silniejszą wiarą i nadzieją na przyszłość powstania, z większym jeszcze szacunkiem na obrońców sprawy narodowej, którzy sami zdobyli większą w siebie ufność.

Znakomitym był również wpływ tej bitwy pod względem strategicznym i wojskowym. Wojsko polskie wprawdzie cofnęło się na lewy brzeg Wisły do Warszawy, zachowując sobie jednakże przejście przez zatrzymanie szanцу przedmostowego praskiego—lecz stało i walczyło, utrzymało się na prawym brzegu tak długo, jak było potrzeba; tam pozostanie nie było konieczne, już Wisła puściła i zaporę strategiczną wód jej stanęła między armią najezdniczą a stolicą powstania. A nawet zaporę ta nie była potrzebną—armia rosyjska była zupełnie zdezorganizowana: korpus Rosena całkiem rozbity, korpusy Palena, Szachowskiego i Witta poniosły ciężkie straty. W bitwie ogółem ubyło z szeregów armii rosyjskiej 14,000 ludzi w poległych, ranionych i jeńcach, w samej Olszynie padło trupem 5,000. Część znaczna artylerji straciła konie, 40 dział zdemontowano, żadnego prawie oddziału nie było nietkniętego. Najdotkliwszą dla wojsk rosyjskich była klęska moralna. Armia zwątpiła w swą siłę i była zdemoralizowana, nie mogła nawet myśleć o atakowaniu Warszawy, do której wejść bez boju marzyła.

Polacy stracili wprawdzie w tej krwawej bitwie przeszło 5,000 ludzi, lecz prócz brygady Rolanda żaden pułk, żaden batalion nie stracił spoju i związku, owszem, każdy nabrał większej ufności w siebie i spójności. Wojsko osiągnęło cel swój w tej bitwie—wstrzymało armię rosyjską, uczyniło ją niezdadną do atakowania Warszawy, a potem w porządku cofnęło się na Pragę. Sam zaś tok boju, w którym niekiedy jedna dywizya walczyła długo, a czasem pomyślnie przeciw czterem, jedna bateria przeciw 50 armatom, okrył wiekopomną chwałą żołnierza polskiego. O czynach i talencie jego wodza, generała Chłopickiego, sam opis bitwy dość już powiedział.



GENEZA UPADKU POLSKI.

Nie tylko historyków, ale polityków polskich, jak i wrogich Polsce, zajmowała i zajmować będzie przyczyna upadku Polski, jej politycznego ujarznienia i podziałów.

„Zbrodnia popełniona nad Polską mścić się będzie na wazych dzieciach“—mówił Liebknecht w parlamencie niemieckim.

„Myślny wyzwolili chłopą z pód ucisku szlacheica, szlacheica z pód ucisku magnata“—piszą publicyści rosyjscy.

Pokolenia narodowej ekspazyi uznawały rozbiory za zbrodnię, wołającą o pomstę do nieba. Pokolenie narodowej rezygnacyi wyłoniło przekonanie, że nasze własne wady i błędy doprowadziły nas do upadku, że przemoc obca rozebrała już rozkładający się organizm. Polska, zdaniem jego, nie miała racyi bytu. Socjalizująca i radykalizująca młodzież nasza, pod wpływem historyozofii rosyjskiej, uznawała upadek Polski za naturalną konsekwencję ucisku chłopą, upośledzenia mieszczanina.

T. Korzon przez swe *Wewnętrzne Dzieje*, w których z kolasalnym nakładem pracy udowodnił, żeśmy się w epoce rozbiorów odradzali, że mogliśmy pod wielu względami uprzędzić nawet inne narody, gdyby nie spadły na kraj rozbiory, przyczynił się do wzmóżenia prądu patryotycznego u nas.

Nie społeczne, ale polityczne, częstokroć przypadkowe czynniki wywołały nasz upadek —oto twierdzenie, które uznajemy za uzasadnione przez liczne fakty, ujawnione przez obcych i naszych historyków. Musimy to stwierdzić, gdyż jest to niezbędnem dla prawidłowego ujmowania naszych politycznych i społecznych zadań.

Historyk rosyjski *Siemiewskij* w znakomitem dziele *Włóścianie i kwestya włóściańska za panowania Katarzyny II*, pisze:

„Skargi na ucieczkę chłopów pańszczyźnianych do Polski znajdujemy w nakazach szlachty we wszystkich miejscowościach mniej więcej bliższych granicy. Podług słów właścicieli ziemskich z gubernii Smoleńskiej uciekło do Polski przeszło 50,000 osób płci obojga. Właściciele ziemscy wskazywali powody, ściągające włościan do Polski: — Wiedzą oni—mówiła szlachta powiatu opoczyńskiego—że tam wolna sprzedaż soli i niema rekrutacyi. Podług słów szlachty pustomirskiej włościanie nietylko na właścicieli, ale i na ojczyznę swą narzekają—przedewszystkiem na niewolę, podatek pogłówny i pobór rekruta—ciężki z powodu rozłąki z rodziną, skarbowe roboty bezpłatne, a oprócz tego na ciężary pańszczyźniane, jakich w Polsce niema. Można sobie wyobrazić zadowolenie szlachty rosyjskiej, gdy granice, za które uciekali włościanie, odsunęły się daleko na zachód“—pisze Siemiewskij.

Znakomity badacz niemiecki, Knapp, podaje, że w 1708 r. wobec ucieczki wielu chłopów do Polski, król pruski zaproponował stanom pomorskim oraz kamerze pomorskiej rozważyć pytanie, czyby nie należało znieść chłopskiego poddaństwa w majątkach, w dobrach prywatnych. (Knapp: „Die Bauerbefreiung,“ I, str. 116). Dla nas nie jest ważną odpowiedzią stanu „niemożliwe,“ ale to, że ucieczka chłopów z Prus do Polski zmuszała królów pruskich do podjęcia sprawy włościańskiej. Analogiczne zjawiska względem Ślązka, naówczas austriackiego, podaje Grünberg, historyk zniesienia poddaństwa i pańszczyzny w Austrii.

Fakta powyższe dowodzą, że położenie chłopów w Rzeczpospolitej nie było gorsze, lecz raczej lepsze, niż w państwach ościennych, że więc nie ucisk chłopów był przyczyną jej upadku.

Względnie nieznaczne ciężary publiczne w Rzeczpospolitej i brak rekrutacyi, wyjaśnia to nam w znacznej mierze. Oprócz tego należy wziąć pod uwagę, że pomimo postanowień sejmowych z końca XV i początku XVI wieku, ażeby prawo wychodu kmieci jaknajbardziej ograniczyć, a nawet sprowadzić do zera, jeszcze w ostatnich dniach Rzeczpospolitej chłopci przesiedlali się na całym jej obszarze z północy na południe, z zachodu na wschód. „Ludność wiejska znajduje się jakoby w stanie płynnym“ pisze w swym pierwszym memoriale z 1773 r. gubernator galicyjski, Pergen. Brak aparatu policyjnego w Rzeczpospolitej, uniemożliwiał faktycznie przytwierdzenie chłopów do gleby, pomimo jego przypisania de jure.

Pisano u nas dużo o upadku miast w Polsce. Nie udowodniono jednak, że był to faktyczny upadek, nie zaś brak rozwoju. Istnienie większych miast, zwłaszcza przed zaprowadzeniem ko-

munikacyi ulepszonej, jest niemożliwością tam, gdzie ludność jest rzadka. Polska już nawet po pierwszym rozbiornie, po odpadnięciu od niej na rzecz Rosyi jej kresów wschodnich, słabo zaludnionych, należała do najmniej zaludnionych krajów Europy, miała 931 mieszkańców na milę kwadratową, t. j. 18 na kilometr kwadratowy, gdy tymczasem ówczesna Francya w 1776 r. miała 2,668 mieszkańców na milę kwadratową (52 na kilometr), Prusy w 1791 r. 1,613 na milę, licząc 37 mieszkańców na kilometr, na Ślązku w 1775 r. — 46, w ks. Magdeburskiem 46 — 1733 r., 52 w 1800 r. Królestwo Saskie, należąc do najgęściej zaludnionych krajów Europy, posiadało w 1786 r. 76 mieszkańców na kilometr kwadratowy, Anglia 3,127 na milę kwadratową.

Polska w końcu XVIII w. co do gęstości zaludnienia bardziej była zbliżona do Francyi z IX w., której ludność L'Assesseur szacuje na 9 milionów, niż do Francyi lub Anglii owoczesnej. Rzecz więc naturalna, że gdy w końcu XVIII wieku Paryż liczył już 400,000 mieszkańców, Warszawa nie dochodziła i 100,000, owoczesna Francya posiadała 79 miast z ludnością przeszło 10,000, Polska nie miała nawet 10 takich miast, Francya miała już wówczas Lyon o 135,000, Marseille 80,800, Bordeau 75,800, Rouen 68,040, Lille 68,909, Nantes 51,000. W Polsce, poza Warszawą, w 1873 r. tylko jedno Wilno przekraczało 50,000 mieszkańców, Kraków liczył 23,590, Lwów 15,000, Lublin 8,550, Kowno w 1873 r. 22,000, w 1796—8,500, Poznań przy okupacyi 12,500.

Miasta polskie, wobec rzadkiej ludności Rzeczypospolitej i częstych uszkodzeń mechanicznych przez najazdy, musiały zasilac się obcym pierwiastkiem. Dostarczały go nam Niemcy, co jest zrozumiałem wobec znacznej różnicy gęstości zaludnienia Niemiec i Polski; stąd szło niemieckie i zgermanizowane językowo mieszczaństwo żydowskie.

Otóż względna nieliczność żywołu miejskiego, którego znaczną część stanowiły pierwiastki obce, wywołała abstynencyę polityczną miast na Sejmach lub zredukowanie uczestnictwa do niewielu spraw kilku ważniejszych miast.

Ograniczone prawa miast i polityka ekonomiczna, zwracająca się częstokroć przeciw nim, była rezultatem stosunku sił między miastami a szlachtą, przedstawicielką interesów agrarnych.

Niezamozność szlachty zradzała zapotrzebowanie na produkty tanie; cechy były czynnikiem zabezpieczającym jakoś, ale utrzymującym na dosyć wysokiej normie produkty przemysłowe, stąd naturalna dążność szlachty do usuwania cechów: dążność ta spotykała się z interesem Żydów w Polsce, którzy nie mogli należeć

do cechów, gdyż cechy były związkiem na śmierć i życie; każdy cech miał swego świętego w niebie i swe ołtarze na ziemi. W walce cechowych rzemieślników z partaczami, t. j. rzemieślnikami do cechów nie należącymi, przeważnie z Żydami, szlachta staje po stronie tych ostatnich. Widzimy szereg uchwał sejmowych z 1423, 1538, 1550 i t. d., usuwających cechy. Sama jednak ilość tych uchwał wskazuje, że nie bywały one częstokroć wykonywane, zniesiony cech wyjednywał znów przywileje królewskie. W zniesieniu cechów widzimy próby, częstokroć nieudolne, przystosowania cen towarów do niezamożnego rynku polskiego i o ileby ów rynek rozszerzył się, sama słabość i chwiejność cechów ułatwiłaby rozwój form przemysłowych, powstanie rękodzieł na większą skalę.

Za ujemny i wielkiej wagi czynnik, tamujący rozwój handlu, uważają historycy prawa polskiego ustawy z 1496 i 1507 r., na których mocy szlachcie przyznana została wolność od ceł, t. j. opłat za przewóz towarów, uiszczanych nie tylko na granicach państwa, ale i w kraju samym, na rozmaitych komorach celnych. Było to zwolnienie nie tylko od ceł za wyprowadzane produkty, ale i przywożone do kraju. Sądziemy jednak, że było to bardziej fiskalnym, niż gospodarczym minusem, gdyż szlachcie, nie mając prawa trudnienia się handlem (ustawa 1505 r.), sprowadzał towary obce tylko dla własnego użytku, co nie mogło podkopać przywozowego handlu do Rzeczypospolitej. Bardziej ujemnie na rozwój handlu polskiego musiały wpływać uchwały z 1507 r., 1538 r., zezwalające cudzoziemskim kupcom na detaliczną sprzedaż przywożonych przez się towarów.

Wolnohandlowa dążność, przenikająca politykę ekonomiczną Rzeczypospolitej, była jednak rzeczą naturalną, — w kraju słabo zaludnionym, nie mającym przez to wiele szans rozwinięcia się przemysłu, wymagającego obcych kapitałów w handlu, wobec częstego spustoszenia, jakie dawały wypadki polityczne w kraju.

Zbyt rzadkie było zaludnienie Rzeczypospolitej, aby polityka uprzemysłowienia mogła mieć powodzenie takie, jak we Francji system Colbert'a.

Rzadkość zaludnienia utrudniała obronę i potęgowała chciwość sąsiadów na jej ziemi, zwłaszcza sąsiadów zachodnich. Zadaniem politycznym XVII i XVIII w. było możliwe zwiększenie ludności państwa. Kameralista austriacki końca XVIII w., Sonnenfels, upatruje w zwiększeniu ludności główne zadanie państwa.

Mniemając, że kolonizacya Litwy i Rusi rozpraszała ludność Polski i tem przeszkadzała zagęszczeniu się jej ludności, niektórzy

nasi historycy i politycy uważają za czynnik naszego upadku kolonizację Litwy i Rusi.

„Na Polskę—pisze M. Bobrzyński—spadło olbrzymie zadanie cywilizowania i kolonizacji niezmiernych ruskich i litewskich obszarów. Spełniała je z chlubą, ale zadanie to pochłonęło nasze najżywotniejsze siły, rozproszyło je na daleki wschód, zamiast żeby się miały na ciasniejszej przestrzeni wzmódz, zjednoczyć i do głębszego a ruchliwszego obudzić życia. Chciejmy tylko pomyśleć, że te miliony ludności polskiej, ten kapitał i praca, któreśmy na wschód popchnęli, pozostały w naszych etnograficznych granicach, jakąż odmienną kolej byłby obrał wewnętrzny nasz rozwój! Gęściejsza ludność, nie znajdując utrzymania na roli, byłaby musiała rzucić się do przemysłu i handlu, zapełnić miasta żywiołem mieszczańskim, stworzyć przeciwwagę szlachcie. Trudniejsze warunki codziennego życia, trudniejsza walka o byt byłaby zostrzyła nasz narodowy charakter, zbudziła by namiętności, stworzyła by energię, pogłębiła by dziedzinę myśli, a podniosła by dziedzinę czynu. Popchnięci do walk domowych, groźnych, ale stanowczych, byłibyśmy z nich wynieśli silny rząd i jasny kierunek dalszego dążenia i pracy. Bez Unii nie mogliśmy się ostać, a Unia nas wewnętrznie trawiła.“ („Dzieje Polski w zarysie.“ Wydanie drugie. Tom II, str. 337).

P. Bobrzyński nie uwzględnia tego, że emigracja, nie przechodząca zbyt znacznych rozmiarów, nie wyludnia kraju. W Europie jeden tylko kraj, mianowicie Irlandya zredukowała swą ludność pod wpływem emigracji, przepołowiła ją w porównaniu z r. 1840 (w 1840 r. 8,171,000 mieszkańców, w 1890 r.—4,130,000). Anglia, która zaludniła swą emigracją Amerykę i Australię, rozwijała swe kolonie we wszystkich częściach świata, przeszło potroiła swą ludność w XIX w. (z 9,250,000 w 1800 r. do 30,728,000 w 1898 r.).

Emigracja, współdziałając ułatwieniu warunków bytu, współdziałała zmniejszeniu się śmiertelności; czasami niewiadomo, czy więcej istnień ludzkich zaoszczędza ona w metropolii, czy więcej ludzi przenosi do kolonii. W Polsce etnograficznej przenoszenie się ludności na Wschód przeciwdziało wzrostowi ciężarów pańszczyźnianych, zmuszało szlachcica bardziej dbać o chłopą; wszystko to musiało wpływać dodatnio na przyrost ludności.

„Gęściejsza ludność, nie znajdując utrzymania na roli, musiałaby rzucić się do przemysłu“—pisze p. Bobrzyński, zapominając, że w Europie częstokroć ludność, nie znajdując zatrudnienia

na roli, rzuciła się do włóczęgostwa, że dla rozwoju przemysłu w państwie potrzebne było jej bezpieczeństwo na zewnątrz.

Przyrost ludności do XVIII, a w wielu krajach nawet do XIX w., nosił odmienny charakter, niż obecnie, nie był bowiem stały, ale ulegał olbrzymiemu wahaniu się. Czarna śmierć w Anglii w 1348 r. zabrała prawie dziewiątą część ludności. W końcu XIV w. szacują ludność Anglii na 2 $\frac{1}{2}$ miliona; w XVI w., wedle obliczeń Rogers'a, ma Anglia też 2 $\frac{1}{2}$ mil. ludności, w końcu XVII wieku (1690 r.), na mocy wykazów podatkowych, obliczają ludność Anglii na 5 milionów, na początku XVIII w.—na 5 $\frac{1}{2}$, w 1770 r.—8 mil. W Anglii od XVI stul. rozpoczyna się stały wzrost ludności.

Francya za czasów Karola Wielkiego, na początku IX w., posiada od 8 do 9 milionów ludności, a więc gęstość zaludnienia Polski z XVIII w., w XIV w. liczy przeszło 20 milionów. Potem czarna śmierć XIV w., stuletnia wojna zmniejsza znacznie ludność Francyi i ludność jej za czasów Henryka III (1574—1580) równa się 14 milionom, w połowie XVIII w. Francya dochodzi do zaludnienia, jakie już posiadała w w. XIV.

W Niemczech w XIV stuleciu czarna śmierć zdziesiątkowała ludność, okresem wzrostu ludności były XV i XVI stulecia, okresem nadzwyczajnego zmniejszenia wojna 30-letnia.

Jeżeli ilość ludności do XVIII w., a dla wielu krajów do XIX, podlegała znacznemu wahaniu się dla całych państw, tem znaczniejszem było wahanie się dla prowincyj poszczególnych. Stąd im w mniejszych granicach byłaby Rzeczpospolita Polska, tem łatwiej, pod wpływem lokalnych warunków, nastąpiłoby mogło zmniejszenie się jej ludności. Bez Unii z Litwą, bez pleców od wschodu, jakie ta Unia nadawała, Polska musiałaby znaleźć się wśród krajów dziedzicznych Habsburgów, jej bowiem panujący nie wytrzymałoby współzawodnictwa z nimi. Spotkałby nas los Czechów, do niepozazdroszczenia, gdyż polskie ostatki są więcej warte, niż czeskie dostatki. Czyż mogło większe pole rozwinąć się dla nas w dziedzinie czynu, jak Unia z Litwą, otwierająca nam drogi na wschód.

Nie zniweczył nas gniew tatarski w Krymie, skąd szły spustoszenia naszych miast, wyludnienie naszych wsi. Gdy naturalnym sprzymierzeńcem Polski i Litwy był chan tatarski, naturalnym sprzymierzeńcem Moskwy był przez długi czas, aż do upadku tatarskiego chaństwa, chan krymski; otóż zniszczenie krymskiego państwa musiało być politycznym zadaniem Rzeczpospolitej.

Kozaczyzna, nie skierowana przez nas przeciw Tatarom, nie zaabsorbowana zaczepną wojną z nimi, musiała zwrócić się prze-

ciw nam. Tu leży źródło buntów kozackich, które siały spustoszenie i wyludnienie nie mniej od napadów tatarskich. Dyzunia, przywiązanie do prawosławia, było tu czynnikiem pochodnym, hasłem bojowym, jako antyteza religijna z katolicyzmem Lachów, jako spójnia z Moskwą, z którą przymierze było niezbędne dla kozactwa do walki z Rzeczpospolitą. Magnateria polska, urosła na kolonizacji, odczuwała większą potrzebę ludzi, niż ziemi. Stąd nie do zdobyczy terytoryalnych parła, ale do zmniejszenia ilości kozaków, zwrócenia znacznej ich części, nie wniesionej do rejestrów, do pracy rolnej, pańszczyźnianej.

Zbyt rzadką miała ludność Rzeczpospolita, zbyt dużo obszarów było jeszcze do skolonizowania na Rusi, aby dalsze zdobycze na południu pociągać mogły szlachtę i panów; brakowało tu podniety natury materialnej. Ale państwo, które reprezentuje nie tylko teraźniejsze, lecz i przeszłe interesy narodu, winno było dokonać niezbędnych podbojów. Realną siłą, uosabiającą państwo i pchającą je do zdobyczy, jest zwykle dynastia, odczuwająca państwo, jako swój majątek dziedziczny, którego przymnożenie, t. j. rozszerzenie granic, jest punktem honoru panującego. Ale nieszczęściem wygasły w Polsce dynastye, nastąpiła elekcya, uniemożliwiająca ciągłość w polityce zewnętrznej, wykoszlawiająca jej prowadzenie.

Wygaśnięcie dynastyi Jagiellonów było nieszczęśliwym przypadkiem; jakkolwiek też przypadek — wygaśnięcie dynastyi Piastów — spowodował Unię Polski z Litwą, jednak nie była ona tylko przypadkiem, miała znaczniejsze podstawy naturalne, niż związek z Czechami lub Węgrami, z którymi też mieliśmy wspólnych królów. Szujski powiada, że „mieszczanie ujrzeli się przez połączenie Polski z Rusią i Litwą w świetnych ekonomicznych warunkach, które obok głównych miast: Krakowa, Sandomierza, Poznania, Kalisza i Lwowa, dozwoliły się rozwinąć licznym pomniejszym. Materiał, dawniej dostający się z dalekiego Wschodu, szczególnie skóry i wełna, przerabiany na miejscu, dostawał się i za granicę i w kraju miał znaczny popyt.“ (Szujski: „Historya Polski wieku XIII,“ str. 113).

Ani Czechy dla narodu polskiego, ani Polska dla czeskiego, nie stanowiły terenu kolonizacyjnego, oba te kraje ulegały w większym lub mniejszym stopniu kolonizacji niemieckiej. Węgry, jakkolwiek na znaczniejszej przestrzeni przyległe, analogiczne ze względu na kulturę społeczno-polityczną, będąc częstokroć wzorem, na którym urabiały się prawa polityczne Polski, nie mogły mieć spójni naturalnej z Polską w interesach kolonizacyjnych,

gospodarczych żadnego z obu krajów. Z Czechami spajało nas wspólne niebezpieczeństwo ze strony Niemiec, z Węgrami niebezpieczeństwo niemieckie i tureckie, za czasów Jagiellonów to ostatnie.

Ta spójnia mogłaby wytworzyć unię na stałe, ale Polska, która za czasów Piastów musiała wyteńczyć swe siły dla obrony od Niemców, za czasów Jagiellonów posiadała zadanie dziejowe — zdobywanie Litwy i Rusi dla kultury zachodniej, walkę o Litwę i Ruś z Moskwą, która z małego księstwa rozrosła się w duże państwo. Po Grunwaldzie, t. j. po 1410 r., na trzy przeszło stulecia odsunęło się niebezpieczeństwo niemieckie.

Walki z Turcyą XV i XVI st. mogły za Jagiellonów spoić Polskę z Węgrami na stałe, lecz Austria zdołała wytworzyć silniejszą, opartą na kolonizacji, spójnię z Węgrami, spójnię częstokroć żywotnym ich interesom zagrażającą, co wywołało chwianie się ich między Austrią a Turcyą. Przez obronę Wiednia Sobieski przeciwdziałał wyjarzmienu się Węgier.

Kolonizacya wytwarzała spójnię między Polską a Litwą i Rusią. Była czemś naturalnem wobec różnicy zaludnienia tych krajów, wobec urodzajności stepów południowych w porównaniu z mazowieckimi piaskami.

Stosunek liczbowy Litwy do Korony w końcu XV wieku przedstawia Papée w sposób następujący: „Pospolite ruszenie wszystkiego W. Księstwa przedstawiało cyfrę 40,000 ludzi. Natomiast pospolite ruszenie Korony wynosi za Kazimierza Jagiellończyka 60,000 ludzi. Otóż uważmy dobrze ten stosunek liczbowy, 4:6 czyli 2:3, jaki zachodzi między pospolitem ruszeniem Litwy a Polski, miejmy dalej na względzie, że obszar W. Księstwa był wówczas trzy razy większy od obszaru Korony, a dojdziemy już prostą rachubą do wyobrażenia, że zaludnienie Litwy było przeciętnie $4\frac{1}{2}$ razy rzadsze od zaludnienia Polski.“ (Fr. Papée: „Litwa i Polska na przełomie wieków średnich,“ str. 12.) Ludność Litwy ówczesnej szacuje Papée na 1 milion, Korony na $1\frac{1}{2}$ miliona, a Prus i Mazowsza na $\frac{1}{2}$ miliona. W końcu XVIII wieku (1796 r.) nabytki Rosyi po trzech rozbiorach, mniejsze niż Litwa z XV w. wobec strat Zadnieprza XVI w., posiadały ludności 8,400,000, gdy reszta Polski 8 milionów. Otóż, gdy ludność Polski w ciągu trzech stuleci zwiększyła się $2\frac{1}{2}$ raza, ludność Litwy i Rusi przeszło osiem razy. Przypuśćmy, że szacunek ludności W. Księstwa dla końca XV stulecia, przyjęty przez Papée'go, był zbyt mały, jeżeli nawet go zwiększymy $1\frac{1}{2}$ raza, wypada, że w Wielkiem Księstwie Litewskiem ludność wzrastała

znacznie szybciej, niż w Koronic. Był to wynik zarówno kolonizacji polskiej, jak i większej płodności mieszkańców na czarnozemiu Rusi, niż na piaskach mazowieckich.

„W końcu XVI w. kolonizacja polska nowe, ogromne przybrała rozmiary — pisze M. Bobrzyński — a tak dalece na żyzną Ukrainę garnęła się szlachta i chłopci, że wiele okolic w dawnej Polsce, mianowicie na Mazowszu, wyludniło się i stało odłogiem. A jednak cała ta ludność polska na Rusi traciła prędko poczucie swej narodowości. Nie troszczono się bynajmniej o potrzeby duchowe polskiej ludności wieśniaczej, na Rusi przebywającej. Nie zakładano dla niej kościołów katolickich, a tem samem prędzej czy później przrzucano ją na łono wschodniego kościoła, który obrządkiem swoim ją ruszczył. Błędowi temu Unia wcale nie zapobiegła, owszem ona go jeszcze zwiększyła, bo skoro teraz kościół ruski i łaciński był jeden, a podrzędna tylko między nimi zachodziła różnica w obrządku, to już panowie nie uznawali potrzeby budowania dla ludności polskiej na Rusi łacińskich kościołów.“

Nie kolonizacja, ale unia kościelna i niedbałość o potrzeby duchowe kolonistów zmarnowała masę sił narodowych polskich. Pomimo to, ileż sił duchowych otrzymała Polska z Litwy i Rusi, sił wzmagających naszą żywotność, a pochodzą one z tej ludności polskiej, z przymieszką krwi ruskiej lub litewskiej. Ludzie ci „zbudzieli namiętności, stworzyli energię, pogłębili energię myśli, podnieśli dziedzinę czynu.“

Było to całkiem naturalnym i zdrowym procesem przesuwania się ludności Polski na Wschód i Południe, ale błędem było nierozpostarcie mocno i szeroko ekspansji naszej na wybrzeże morza Czarnego. Moskwa występowała jako groźny współzawodnik Polski już w XV i XVI w. Cesarz austriacki, Maksymilian II i car moskiewski zawarli umowę o podział Polski. „Cesarz — powiada protokół z r. 1573 — wyjaśnił życzenie, aby Królestwo (to znaczy Polska), zostało podzielone: Korona dla cesarza, a Wielkie Księstwo Litewskie dla cara moskiewskiego i aby obaj zjednoczyli swe siły przeciw władcy Turcyi i władcom Tatarów.“

O ileby Moskwa zawładnęła ziemiami litewsko-ruskiemi, podział taki urzeczywistnił się sam przez się, gdyż Polska nie zdołałaby się ostać państwu Habsburgów i obniżyłaby się do poziomu krajów czeskich.

Zadania swego walki z Moskwą Polska nie spełniła należycie, gdyż siły jej zostały rozstrzelone między walkę z Turcyą a Moskwą.

Zajęcie Konstantynopola przez Turków w 1453 r. było erą szachowania Rzeczpospolitej przez Turcyę. Od połowy więc XV stulecia niebezpieczeństwo tureckie było czymikiem, wpływającym na politykę Rzeczpospolitej. Trwa to aż do końca XVII w., jakkolwiek na schyłku tego okresu Turcyja już nie jest najniebezpieczniejszym sąsiadem Rzeczpospolitej, chociaż przez inercyę myślenia politycznego jest jeszcze za takiego uważana, np. Sobieski zrzeka się na rzecz Moskwy Kijowa dla sojuszu polsko-moskiewskiego przeciw Turcyi. W 1686 r. odbyła się pierwsza wojna rosyjsko-turecka, od tego czasu Turcyja staje się faktycznie naturalnym sprzymierzeńcem Polski.

Walka o Litwę i Ruś Polski z Moskwą, ów proces nie zakończony po dziś dzień, pomimo zniesienia państwa polskiego, trwa już pięć wieków. Moskwie Litwa była potrzebną, jako plecy dla kraju Nadbałtyckiego, jako błona łączna z krajem Nadbałtyckim; Ruś, t. j. Ukraina, Wołyń i Podole, stały się potrzebne, gdy poczyniła zdobycze nad morzem Czarnem i pragnęła owoładnąć Turcyją, a więc w końcu XVIII w. Litwa pogańska, zdobywszy Ruś, wyżej od niej kulturalnie stojącą, poddała się jej wpływowi i była na drodze do zupełnej asymilacji. Język białoruski stał się oficjalnym językiem Litwy.

Prawosławie spajało Ruś litewską z Moskwą. Po zrzuceniu jarzma tatarskiego przez Moskwę, Litwa niechybnie stałaby się jej zdobyczą, gdyby nie uprzednia Unia z Polską. Dzięki jej, Litwa nie tylko osiągnęła bezpieczeństwo ze strony zagrażających jej Krzyżaków, lecz uchroniła się na kilka wieków od ustroju państwowego Rosyi.

Polska reprezentowała katolicyzm, Moskwa — prawosławie. Walka między Polską a Moskwą była walką między katolicyzmem i prawosławiem. Bez aktów przymusu nad prawosławnymi, Litwa, pozostająca dotąd w pogaństwie, przyjęła chętnie katolicyzm. Na Rusi Małej i Białej, obok ludności prawosławnej, zjawiała się coraz to liczniej ludność katolicka, byli to nie tylko koloniści polscy z Korony, ale i przedstawiciele miejscowej ludności, zwłaszcza warstw wyższych, ciążących do kultury polskiej.

Szerząca się na Litwie reformacyja czyniła tam zdobycze w prawosławiu, gdy zatryumfował katolicyzm. Ożywiony, dzięki walce z reformacją, katolicyzm stał się przez siłę swej propagandy, bez pomocy państwa, zdobywczym nad prawosławiem w ciągu XVI w. i mógłby podbić dla kultury zachodniej Ruś. Ale w 1596 r. zawiera kompromis, t. j. Unię, mieszaninę obrządków wschodnich, słowiańskiego języka w liturgii, służącego jako-

by do zasilania filologicznego ruszczyzny, oraz dogmatów katolickich, całkiem obojętnych dla naszych celów narodowych, oraz uznawanie władzy papieża, który przeto, wiedziony zamiarem rozciągnięcia swej władzy na Moskwę, stawał się protektorem unii, osłaniając ją od zdobywczego katolicyzmu.

Szkodliwość unii dla polskiego państwa wybornie wyjaśnił Bobrzyński: „Nie wszyscy Rusini—pisze on—przystąpili do unii, znaczna część ich pozostała przy dawnym kościele, przedewszystkiem kozacy, a ci Rusini ujrzeni teraz swój punkt ciężkości w Moskwie, do której popychały ich nadto coraz to częstsze, a bezcelowe, bo sporadyczne ze strony unitów uciski. Rząd polski zbyt już był słabym, ażeby biskupów unickich poprzeć całą swą siłą i prawosławia na swoim terytorjum bezwzględnie nie dopuścić. Biskupi polscy zbyt byli dumni, ażeby biskupów ruskich dopuścić do Senatu, do politycznego wpływu, do zsolidaryzowania się z polskimi interesami. Urokowi krzesła senatorskiego nie byłby się z pewnością oparł żaden biskup ruski i każdy za tą cenę do unii by przystąpił. Ludność ruska, widząc swych biskupów w Senacie, nie miałyby powodu do skarg na uposledzenie. Więcej niewątpliwie byłiby dla Polski znaczyli biskupi nieunicy, zasiadający w Senacie, niż unicy, odsunięci od Senatu i poniżeni. Unia taka, jaką przeprowadzono, była wprost politycznym błędem.“ Następnie Bobrzyński, jak już cytowaliśmy uprzednio, mówiąc o kolonizacji Rusi, zaznacza słusznie, że unia religijna była czynnikiem rutenizacji kolonistów polskich.

Instytucje polityczne polskie, w których tkwiło źródło słabości Rzeczypospolitej w wieku XVIII, a nawet XVII, które osłabiały jej dążności podbojowe już za Jagiellonów, były czynnikiem podboju moralnego Litwy i Rusi; wywierały nawet wpływ atrakcyjny na Nowogród i Psków, stwarzały w Moskwie, jeszcze w XVIII wieku, partje polonofilów, pragnące wzorować ustroj państwowy Rosyi na ustroju państwowym Rzeczypospolitej.

Instytucje polskie, jako źródło słabości państwa, zostały zanalizowane przez Szujskiego i Bobrzyńskiego, lecz były one i źródłem siły. Od 1387 r., wprowadzenia Jagiełły na tron polski, do 1556 r., Unii Lubelskiej, przeszło sześć pokoleń, niemal lat dwieście, wypełnionych zjednoczenia dwóch organizmów politycznych.

Instytucje polskie, na gruncie cywilizacji zachodniej wyrosłe, uznające samodzielne prawa jednostki, niezależne od panującego, zagwarantowana wolność osobista szlachty przez prawo

neminum captivabimus nisi jure victum — wszystko to pociągało szlachtę litewską.

Ustrój społeczny Ks. Litewskiego charakteryzuje Lelewel w sposób następujący: „W Księstwie Litewskim byli również szlachta i chłopci poddani, byli mieszczenie i klasy mieszlacheckie wolne, ale cała szlachta nie posiadała znaczenia politycznego, nie było jakiej bądź władzy publicznej przy niej, tylko w całym Księstwie Litewskim, południowym i północnym, jednostajna była płatanina zwierzchnictw jednych nad drugimi, służebność jednych ku drugim, a tak osobistej zależności ku drugim pełna, że wolnego człowieka prawie nie zoczył. Litewskie prawodawstwo nazywało niektórych wolnymi, niektórych niewolnikami; jeżeli jednak powiedzieć można, że niewolnika nie było w ścisłym jego rzeczywistym znaczeniu, tak podobnie i wolnego nie dostawało.“ (Lelewel: „Polska. Dzieje i rzeczy jej.“ 1863 r. Tom V, str. 207).

W 1387 r. otrzymuje szlachta litewska przywilej rozporządzania majątkiem i sądy ziemskie na wzór polskich. Potem idzie przywilej horodecki z 8 października 1410 r., nadający litwinom i mieszkańcom Litwy, katolickiej wiary, prawo dziedziczenia własności. Osobnym aktem panowie i szlachta polska przyjmują możnych i szlachtę litewską do rodów i herbów swych rycerskich.

Ruś Czerwona zostaje wcieloną do Polski i otrzymuje też same prawa.

Przywileje szlachty polskiej przez Jagiełłę w Jedlnie w 1430 roku zatwierdzone, obejmując Ruś, znosiły w niej ciężary służebności, daniny i podatki; szlachta i książę ruscy odtąd byli obowiązani do płacenia takich podatków, jak w Polsce, t. j. dwa grosze od łanu. Przywilej z 1433 r. zapewnił szlachcie ruskiej obrządku łacińskiego też same i równe przywileje i prerogatywy, z jakich korzystała dotąd szlachta polska. Przywileje, otrzymane przez Ruś Czerwoną, zwiększały ciężenie ku Polsce szlachty Ks. Litewskiego. Antypolską była tylko partya panów litewskich. Ona to sprowadza Tatarów na Polskę w tym samym czasie, gdy ta była zajęta wojną z Prusami. Po śmierci Kazimierza Jagiellończyka separatyzm panów litewskich objawił się przez wyniesienie na Wielkie Księstwo Aleksandra, gdy Polska Jana Alberta na króla powołała. Lecz niebezpieczeństwo rosyjskie zwraca znów Litwinów ku Polsce. Postępy wojenne cara Iwana III zmuszają ich do zatwierdzenia w Wilnie Unii Jagiellońskiej, a w 1499 r. na wieść o śmierci Jana Alberta wyprawiają do Polski poselstwo z zapewnieniem związku z Koroną i z przyrzeczeniem, że odtąd zawsze król polski i wielki książę litewski w jednej i tej samej

osobie będzie. W końcu XV w. Polska stanowczo jest bardziej atrakcyjną nawet dla panów litewskich, niż Moskwa. Jeszcze raz na początku XVI w. widzimy objawy zdrady panów ruskich na rzecz Moskwy, emigrację Glińskiego do Moskwy po spełnieniu zabójstwa.

Porażka stanowcza wojsk moskiewskich przez polskie w 1509 i 1514 r., zapewniła przewagę Polski na Litwie; Litwa odzyskuje zabrane uprzednio przez Moskwę: Czernihów, Nowgorod Siewierskij, Starodub.

Zygmunt August polonizował Litwę, nadając szlachcie prawo obierania sędziów i posłów ziemskich, rozciągnięciem swobód szlachty polskiej na Rusinów wyznania greckiego, którzy nie mieli herbów polskich. W języku ruskim ogłoszony Statut litewski z 1530 r. był objawem wpływów polskich na Litwie. Oznacza on konstytucję W. Księstwa Litewskiego, poręcza przywileje szlachcie, Senat z wojewodów, kasztelanów, dostojników i dziedzicznych kniazów złożony, składa Sejm prawodawczy. Szlachta sama pełni służbę rycerską, sprawuje urzędy, może z kraju swobodnie wyjeżdżać, gdy w Moskwie stany, nie wyłączając szlacheckiego, nie miały prawa opuszczania kraju.

W Wilnie 1560 r. pozwolił Zygmunt August obierać posłów, co stworzyło reprezentację narodu litewskiego (szlachty) na wzór polskiej.

Panowie litewscy nie chcieli zejść na skromniejszą rolę dożywotnich senatorów, Zygmunt August musiał więc w swych unifikacyjnych dążeniach oprzeć się na szlachcie litewskiej i ruskiej; dlatego zwiększał jej prawa polityczne, siły społeczne.

W końcu odbył się ostatni akt, Sejm lubelski z 1569 r., ustanawiający ostateczną Unję Litwy z Koroną, przyczem wcielono do Korony Podlasie i ziemię wołyńską. „Społecznie używać i z tego weselić się po wieczne czasy oni i potomkowie ich będą.“ (Zapewnienie wszystkich swobód koronnych.) Posłowie tych nowych województw zajęli chętnie wskazane im miejsce i domagali się, aby niewolnictwo litewskie było z nich zdjęte jaknajrychlej.

Rozkwit literatury polskiej w dobie humanizmu wytworzył i podbił wykształcone warstwy Litwy dla języka polskiego. Nie ulega wątpliwości, że dalszy proces, o ileby nie został przerwany przez podział Polski, doprowadziłby do polonizacji ludu litewskiego.

Ustrój państwowy Polski wywierał wpływ atrakcyjny na ziemię ruską poza Litwą leżące: Nowgorod i Psków pragnęły szukać u Rzeczpospolitej opieki przed zabobrozością i despotyzmem

Moskwy i weszłyby chętnie z nią w Unię, gdyby tylko znalazły ze strony Rzeczypospolitej odpowiednie poparcie. Zajęta jednak na zachodzie Rzeczypospolita dała upaść dwom rzeczpospolitom miejskim. Car Wasyl III w 1517 roku już był panem całej Rusi wschodniej. Już uprzednio Moskwa Joana III okazywała tendencje zaborcze względem Litwy. W 1443 r. Iwan III zabrał Litwie włości w Siewierszczyźnie i Smolenszczyźnie, uzyskał znaczne ustępstwa terytoryalne w 1494 r. i rościł pretensje do krajów ruskich po Berezynie.

Cały wiek XVI jest wypełniony wojnami Litwy i Polski z Moskwą. Mamy je w 1507—1508 latach, w 1512—1522 latach, w 1554—1557 latach, w 1558—1582. Potem następuje pochód na Moskwę polskich panów, osadzających tam na tronie Dymitra Samozwańca w 1601—1604 r., bardziej akt awanturniczy, niż czyn o myśli politycznej; pozostaje, jako wspomnienie dziejowe, przysięga Moskwy Władysławowi w 1609—1610 r.

Następnie znów wrogi występ Moskwy przeciw Rzeczypospolitej, sukurs Chmielnickiemu, odpadnięcie od Rzeczypospolitej Rusi Zaporoskiej, którą Moskwa bierze pod swój protektorat i przeobraża stopniowo w zwykłą swą prowincję. Znów wojna z Polską w 1658—1667 r. W XVII wieku widzimy mniej wojen Rzeczypospolitej z Moskwą, przytem wojny, z wyjątkiem początku XVII w., stają się dla Polski mniej pomyślne, niż wojny XVI w. Rzeczypospolita traci żyzną Ruś Zadnieprzańską. „I z wolą Bożą zajęliśmy Litwę i staliśmy się W. Carem na Litwie, Białej Rusi, Wołyniu i Podolu i nazwaliśmy W. Hosudar, Carskoje Wielicestwo w swym tytule, mianować się W. Księciem Litewskim, Białej Rusi, Wołyńskim i Podolskim“ — czytamy w ukazie z 1655 r.

W tym samym czasie car moskiewski, Aleksiej, najeżdżając ziemie Rzeczypospolitej, stawiał swą kandydaturę na tron Polski, obiecując za elekcję wrócić Litwę bez Białej Rusi i Ukrainy. Słusznie zaznaczył w swej rezolucyi Senat Rzeczypospolitej, że „sprawy elekeji łącznie z kwestyą pokoju traktować nie można, bo wyglądałoby to na kupienie sobie pokoju, czegooby wolny naród nie zniósł.“ Wkrótce jednak potem Sejm z 1658 r. wybrał cara Aleksieja na króla polskiego, jako następcę Jana Kazimierza (wprawdzie, dzięki staraniu biskupów, uchwała ta została umiarkowaną). Litwa, najeżdżana przez wojska rosyjskie, ruda była okupić na stałe spokój przez elekcję; panowie wielkopolscy i małopolscy ofiarowywali natomiast koronę cesarzowi austriackiemu. „Jedynie Litwa pochlebia carowi i chce przeprowadzić jego elekcję i Polacy przeciwdziałają temu, brzydząc się nim cale“ — pisał

jeden ze współczesnych. („Przyczyny dla których car moskiewski korony Polski, której się nadzieją karmi, ani bądź sam, ani dla swego następcy otrzymać nie może,“ zebrane przez Piotra Baugolta, posła francuskiego, art. M. Hawlika, „Kwartalnik Historyczny“).

Nie obawiano się separatyzmu litewskiego i przejścia Litwy znów na stronę cara, gdyż „u Litwinów poszanowanie wolnej elekcji, a w wolności urodzeni Litwini i przywiązani do wiary katolickiej.“ Car moskiewski „urodzony w tyranii odmienić się nie będzie mógł.“ Szczyściem dla Rzeczypospolitej, car moskiewski nie został koniec końcem wyniesiony na tron polski.

Połączenie tronów Rzeczypospolitej i Moskwy, blizkie urzeczywistnienia w 1610 i 1654 r. musiałyby wieść do okropnych walk między biegunowo sprzecznymi organizmami politycznymi i gdyby nawet rozluźniło ustrój państwowy Rosyi, na tradycjach chańskich i bizantyńskich ugruntowany, to wzmocniłoby jej wpływ na Litwie i Rusi.

Przewaga militarna Moskwy nad Polską XVII w. zależała od różnych czynników. Przedewszystkiem od zdobycia chaństwa Kazańskiego w 1552 r., Astrachania w 1553 r. Moskwa nie miała drugiego frontu i tylko w 1897 r. przez usadowienie się w Port-Arturze, a następnie przez przegraną wojnę w 1905 r. staje się znów państwem o dwóch frontach. Gdy dawniej naturalnym sprzymierzeńcem Rzeczypospolitej był chan kazański, a Moskwy chan krymski, od połowy XVI w. narusza się polityczna równowaga w Europie wschodniej.

Zwyciężywszy chaństwo Kazańskie i Astrachańskie, rozpoczęła się Moskwa na wschodzie równiny rosyjskiej i po niezmiernych przestrzeniach Syberji. Spotęgowana liczebnie przez proces kolonizacyjny, sprzyjający przyrostowi naturalnemu, Rosya nabrała sił do przesunięcia swych granic na terytorjum Rzeczypospolitej. Nie siła jednak liczebna zdecydowała o wielowiekowej walce polsko-rosyjskiej. Zasadnicze pierwiastki państwowe: armia i skarb rozwijały się w Rosyi szybko, częstokroć kosztem jej sił gospodarczych, czasami nawet, jak za Piotra I, za cenę zmniejszenia się jej ludności o 10%. Ustrój państwowy Rosyi był jakoby prasą, wytłaczającą obficie—dochody skarbowe.

Z powiększeniem wojska, utworzeniem oddziałów piechoty wprowadzony zostaje w połowie w. XVI cały szereg specjalnych podatków wojennych. w XVII w utrzymanie wojska staje się jeszcze kosztowniejszem, rząd sprowadzać zaczyna z zagranicy oddziały gwardji, najmuje żołnierzy i oficerów cudzoziemskich całymi pułkami. Na początku XVII w. wydatek skarbu na woj-

sko szacuje prof. Milukow na 250 tysięcy (3 miliony dzisiejszych rubli) i na połowę blisko budżetu, w 1670 r. na 750,000 rb. (12 milionów na pieniądze współczesne), co wynosiło połowę budżetu.

Wydatki na armię i flotę za Piotra zwiększały się do $\frac{2}{3}$, a w latach wojny dochodziły nawet $\frac{4}{5}$ budżetu; wywołuje to tak olbrzymi wzrost ciężarów państwowych, że ludność państwa już nie wzrasta, ale zmniejsza się o 20%. „Podstawą skarbowości rosyjskiej było wdrożenie ludności do bezwzględniego ucisku podatkowego chanów. Stawszy się ich spadkobiercami, carowie Moskwy rozwijali ten sam fiskalizm, skupiając w rękach państwa znaczną część dochodów kraju. Życie państwa nad stan społeczeństwa mogłoby jednak doprowadzić je do upadku przez rabunkowe niszczenie jego środków. Nie nastąpiło to w Rosyi, gdyż, używając budżetów na cele militarne, dokonywała ona wciąż nowe zabory.“ (Studnicki: „Historja ustroju państwowego Rosyi,“ str. 84—85. Lwów, 1906.)

Ustrój Polski był zupełną antytezą ustroju Rosyi. Wygasanie dynastji, a następnie elekcyja, powstrzymywały dążność do rozrastania się skarbu państwa, niwecząc ciągłość polityki zewnętrznej, niweczyły dążność do wielkich przedsięwzięć politycznych. Prawa finansowe monarchów zostały przeniesione w 1374 r. przywilejem koszyckim na Sejm. Król Ludwik Węgierski dla zapewnienia tronu dla jednej ze swych córek, uwolnił na zjeździe w Koszycach „ze szczególnych ku szlachcie względów“ od dotychczasowych ciężarów „miasta, grody, posiadłości, miasteczka i wsie, mieszkańców, baronów i szlachtę w Królestwie Polskiem zamieszkałych,“ zastrzegając sobie tylko, aby nadal z każdego łanu na św. Marcina płacono po dwa grosze „na znak najwyższego zwierzchnictwa i uznania Korony Królestwa Polskiego.“ Przywilej koszycki przeobraża więc daniny w naturze na pieniężne i znosi wszelkie pobory nadzwyczajne bez zezwolenia Sejmu. Ustalony podatek pieniężny w Polsce przez Ludwika był mniejszy od pobieranego przez Kazimierza W., który nakładał poradne 12-groszowe, a nadto pobierał daniny w naturze. Miał on stałą tendencję do zmniejszania się wobec pogorszenia monety w Polsce, a od XVI w. wskutek upadku wartości kruszców szlacheckich w Europie. Grosze Kazimierza W. miały wartość $\frac{1}{14}$ czerwonego złotego, w drugiej połowie XV wieku zeszły do $\frac{1}{32}$, w połowie XVI w. $\frac{1}{20}$, z końcem XVIII w. do $\frac{1}{340}$ części czerwonego złotego. Wprawdzie ilość łanów w miarę wzrostu ludności rolniczej wzrastała, ale nie było to rekompensatą dla skarbu państwa dostateczną upadku wartości grosza polskiego. Nie nakładanie po-

datków nadzwyczajnych bez przyzwolenia Sejmu, wobec braku zapasów w skarbie polskim, uniemożliwiało politykę agresywną Rzeczypospolitej i siły, które wyłaniała i które użyte na zewnątrz wzmacniałyby jej potęgę, zwracały się przeciw niej (kozactwo). Litwa w 1505 r. uzyskuje przywilej w Nieszawie, analogiczny koszykiemu.

Zastój budżetowy Rzeczypospolitej stał się źródłem jej niemocy. Dla charakterystyki tego zastoj przytoczymy cyfr parę. W końcu XVI w., podług obliczeń Pawińskiego, dochód roczny skarbu koronnego oznaczyć należy na 500—530 tysięcy złp.; na Litwie 103,000, doliczywszy do tego kwartę, czyli dochód ze starostw, wypadnie 750,000 złp. Dochód z 1764 r. w Koronie, według Korzona, równał się 10 mil. złp., na Litwie 3.5 mil., razem 13.5 milionów złp. Złoty jednak z 1764 r. zawierał w sobie o 10.8 mniej złota, niż w wieku XVI; wobec tego dochód Rzeczypospolitej raczej zmniejszył się, niż zwiększył w ciągu dwóch ostatnich stuleci jej bytu. W uszczuplonej pierwszym rozbiorem Rzeczypospolitej wskutek reform finansowych z jednej strony, wskutek odradzania się z upadku z drugiej, widzimy wzrost dochodów państwowych; w latach 1776 i 1777 określa Korzon dochód Rzeczypospolitej, Korony wraz z Litwą, na 17,000,000 złp., oprócz skarbu królewskiego, który miewał w owym czasie od 6—8 mil. rocznie. Od 1780 r. do 1790 dochody skarbu koronnego wynosiły w ciągu dwulecia 63.2, czyli 31.6 mil. rocznie, dochód skarbu litewskiego 24.4 miliony, przeciętnie 12.2 mil. złp., roczny więc dochód Rzeczypospolitej z doliczeniem skarbu królewskiego wynosił 48,8 milionów złp.

Widzimy więc, że dochody państwowe Rzeczypospolitej po zastoj dwóchsetletnim w ostatnim dziesięcioleciu wzrastały szybko. Lecz nie zdołało to uratować państwa polskiego, gdyż rozwój skarbowości w sąsiednich mocarstwach był znaczniejszy, albo nie znał długiego okresu zastoj. Podatki Rosyi za rządów Katarzyny II wzrosły z 17.2 milionów rubli w 1763 r. do 65 mil. rubli w 1795 r. (rubel równał się 5 złp.), w dziesięcioleciu od 1781—91 roku wzrosły z 19.2 mil. do 70 mil. rb. Budżet Austrii wzrósł od 1771 do 1792 r. z 65.7 do 76.6 mil. zlr. (zlr. równał się 4 złp.), t. j. z 262.8 mil. złp. do 346.4 mil. złp.

Dochody elektora Brandenburskiego wynosiły w 1682 r. 2.5 mil. talarów, z czego 1.6 mil. tal. szło na wojsko, w 1740 r. budżet Prus wynosił 6 mil. talarów, z czego 3.6 mil. talarów szło na wojsko, w 1776 r. budżet równał się 19.6 mil. talarów, czyli około 114 mil. złp. Jakkolwiek Prusy posiadały wówczas 5.5 mil.

ludności, gdy Rzeczpospolita 8.7 milionów (dane dla obu państw z 1791 r.). Budżety każdego z ościennych państw przewyższały kilkakrotnie budżety Rzeczpospolitej i to zadecydowało o jej losie.

Czy siły gospodarcze Polski były tak nikłe, że niepodobna było wytworzyć większego budżetu, niezbędnego dla ostania się w walce o byt? Jeden z najgłębszych pisarzy polskich owego czasu, Staszic, stanowczo temu zaprzecza. „We wszystkich państwach — mówi Staszic — dzisiaj w Europie z mocy sławnych, podatki w jednych trzech częściach dochodów czystych równają się, a w drugich 60 od sta czystego dochodu wnoszą.“ Zwraca on uwagę na to, że w Prusach i Austrii Komisya Skarbowa nakłada na dziedziców 24 od sta z dochodu, że sama Galicya płaci rocznie 40 milionów. W 1788 roku Staszic oblicza „pożytek z pól, łąk i pastwisk,“ stosuje do tych trzech kategorii podatków normę galicyjską (7½, 13, 15 groszy i 4 zł.) wnioskuje, że cała Polska mogła płacić na rok jeden z gruntu podatku 71,667,088 złr.

W 1789 r. Rzeczpospolita zaprowadza nowy podatek gruntowy ofiarą 10% od dochodu dóbr ziemskich, 20 z intraty majątków duchownych, wyłączając z tego podatku poniżej 10 korcy wysiewu. Wydajność tego podatku zawiodła, nie dał on spodziewanych 35 mil. złp., lecz tylko 9.1 mil. Mówiono wówczas i pisano o nierzetelności, krzywoprzysięstwie szlachty i duchowieństwa w szacowaniu swych dochodów. Korzon podaje jednak fakt ważny, obalający owe przesadne oskarżenia — *ofiara mało się różniła od dziesiątej części dochodu, wyciągniętego z transakcyi kupna i zastawu dóbr.* W braku katastru ofiara była przez wszystkie rządy w Królestwie brana za podstawę przy wymiarze podatku rolnego. Coraz bardziej odbiegała ona od realnych stosunków, jednak na początku nie mogła zawierać rażących braków. Nie ulega wątpliwości, że szlachta polska nie uświadamiała sobie całej grozy położenia i przystępowała do szacunku swych dochodów z uczciwością zwykłych podatkowców, wymagających kontroli organów skarbowych. Wydajność podatkowa Rzeczpospolitej w końcu XVIII w. nie mogła być znaczna, ani nawet ściśle odpowiadać jej siłom gospodarczym, gdyż brakowało jej rozgałęzionego aparatu administracyi skarbowej, niezbędnego dla bardziej złożonego systemu podatkowego.

Ze słabym rozwojem skarbowości szło w parze osłabienie drugiego podstawowego organu państwowego — armii. W 1696 r. rezydent rosyjski, Nikitin, komunikuje swemu rządowi słowa hetmana koronnego, Jabłonowskiego: „Staram się wciąż i publicz-

nie, i prywatnie, wszystkim senatorom mówiłem i mówię, że wojsku trzeba zapłacić żołąd i spełnić sprzymierzeńczą umowę z J. C. Mością, ale konwokacyjny Sejm został zerwany, trzeba czekać na elekcyjny.“ (Sołowiew: „Historja Rosyi.“ Tom XIV, str. 230.) W 1724 r. pisał do Petersburga oddany Rosyi biskup prawosławny mohilewski, Rudakowski: „Zasługuje na pośmiewisko odwaga tutejszego narodu, który niema ani pieniędzy, ani składów, ani armat, ani strzeli, oprócz nadziei na swe szable, ale i te już porzewiały“ (Sołowiew, tom XIX, str. 35). Jakkolwiek w powyższym sądzie jest dużo przesady, podyktowanej niechęcią, jednak okres saski doprowadził w rzeczy samej — do zupełnej ruiny siły zbrojne polskie.

Wojska po pierwszym rozbiorze pozostało tylko 11,000, zwiększano je systematycznie, a w roku 1788 doprowadzono do 17,000.

Miała jeszcze Rzeczpospolita wówczas więcej oficerów, niż żołnierzy, całe regimenta nie przechodziły trzechset głów, pułki po sto i sto kilkadziesiąt.

„W kancelaryi narodowej — pisze autor myśli patryotyczno-politycznych — oprócz zwykłej liczby oficerów, znajdowali się towarzysze z rangami oficerskimi w chorągwiach niezbyt obsadzonych... Połowa w nich towarzyszków była oficerami, połowa szeregowcami. Nadto szli zwyczajni oficerowie.“

Tak zorganizowana armia musiała być względnie drogą i nie mogła być odpowiednio wyćwiczoną, tembardziej, że w magazynach brakowało zapasów broni. Oficerowie, przed otwarciem korpusu kadetów, nie mieli odpowiedniego militarne go wykształcenia. Znaczna ilość oficerów w armii polskiej przed Sejmem czteroletnim ułatwiała jednak rozszerzenie kadrów wojsk polskich. Zachodziła tylko trudność w posiadaniu odpowiedniej ilości i jakości wyższego kierowniczego personelu wojskowego i ten, z wyjątkiem Józefa Poniatowskiego, Kościuszki i paru innych, był jeszcze w 1792 r. bardzo niezadawalającym, co przyczynia się do niepowodzenia tej kampanii, zwłaszcza na terenie litewskim.

Pospolite ruszenie Rzeczpospolitej wobec zorganizowanych stałych armij w krajach ościennych i opieszałości szlachty wydaje się czemś niedostatecznem. Mogło być jednak podniesione znacznie i doprowadzone do pierwszorzędnej potęgi bojowej, ale to wymagałoby też znacznych ofiar ze skarbów oraz radykalnych reform społecznych, na jakie zdobyć się nie była zdolna szlachta.

Staszic pisał: „Starostwa, które dawniej pracy i straty przy obronie ojczyzny poniesionej nagrodą bywały, dziś, kiedy już

służba wojenna usług nie czyni, byłyby najużyteczniej rozrządzone, gdyby Rzeczpospolitej około 100,000 piechoty dawały. Niechaj tym końcem Rzeczpospolita grunta w starostwach, tak chłopskie, jak i pańskie, na równe działły rozmierzy i chłopów od pańszczyzny uwolniwszy, rozda im te grunta z prawem dziedzictwa, pod takimi warunkami: że każdy chłop osiadły, w pewien dzień w tygodniu na mustrę chodzić będzie powinien i że każdy, kto jeden taki grunt obsiadzie, jednego człowieka, a ten, kto dwa lub trzy pola obsiadzie, dwóch lub trzech ludzi dostarczyć powinien. A ponieważ wydział tych gruntów zamiejszyć nie powinien, więc prawo tylko starszym synom, a w starszego niedołęstwie synowi drugiemu, albo najbliższemu krewnemu dziedziczyć pozwoli. Miejsce dzisiejszych podstarości, ekonomów, komisarzy, zastąpią najbieglejsi w służbie wojennej oficerowie. Broń i mundur dla tych ludzi opatrzą miasta, propinacye i inne potoczne starościńskie dochody.“ (Staszic: „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego,“ wydane poraz pierwszy w 1775 r., wydanie Turowskiego z 1861 r., str. 78, 79.)

Myśl Staszica nie była zbawczą dla Rzeczpospolitej dlatego tylko, że nie stała się myślą narodu, jakkolwiek książka Staszica cieszyła się względem powodzeniem.

W organizacyi siły zbrojnej Rzeczpospolita, jej Wielki Sejm zapragnął pójść śladami pruskimi. Uchwalono 100,000 wojska, ale zdołano zorganizować zaledwie 45,000, gdy na kraj spadła klęska Targowicy i najazdu rosyjskiego. Sam żołd dla owych 45,000 wojska wynosił 23 miliony rocznie. Był to postęp znaczny w porównaniu z 11,000 wojska, pozostałego w Polsce po pierwszym rozbiore.

Ta armia polska była jeszcze niedostateczną dla odparcia klęsk, które na kraj spadły, lecz była tym organem państwowym, który, przeżywszy polskie państwo, przyczynił się następnie do jego częściowej restytucyi.

Nie słabość jednak polskich sił zbrojnych zgubiła Rzeczpospolitą, ale Targowica, która wprowadziła w chwili krytycznej rozstrzelanie sił w narodzie i przyspieszyła napad Rosyi. Targowica była ostatnim ogniwem uciekania się do obcej pomocy przeciw władzy państwowej polskiej.

„Gdy za Jana Kazimierza możnowładztwo wygórowało do najwyższego zuchwałości stopnia—mówi Staszic w „Przestrodach dla Polski”—kiedy panowie polscy zaczęli wprowadzać wojsko obce do kraju, łącząc się z nieprzyjacielem przeciw samemu królowi i swej ojczyźnie, upadł naówczas rząd, upadła siła narodu,

upadła zupełnie nadzieja przywrócenia męstwa i charakteru polskiego. Wówczas to Radziejowski na króla i naród wprowadzał Szwedów, Lubomirski Austryaków i Tatarów, a Chmielnicki, zbuntowawszy chłopstwo ukraińskie, do tej już zuchwałości przyszedł, że przy nim ministrowie rosyjski, węgierski i innych dworów rezydowali.“

Były to rażące nadużycia, które cytował powyżej Staszic: pochodziły one jednak stąd, że w Polsce, wskutek elekcji, nie było nie tylko ciągu polityki zewnętrznej, ale nie było jedynego jej organu. Król i rząd Rzeczypospolitej nie był jedynym organem polityki zewnętrznej. Samodzielnymi jej organami byli magnaci. Kiedy np. po śmierci Ferdynanda Ketlera nadał August III inwestyturę Kurlandyi Ernestowi Bironowi, kandydatowi carowej Anny, ulegając we wszystkim Rosyi, hetman koronny, Józef Potocki, usiłował skonfederować Rzeczypospolitą i połączyć ją przymierzem z Turcyą, Szwecyą i Francyą. Akcja ta do skutku nie doszła, zwycięstwo Münnicha nad Turcyą w 1737 roku i zawarty 17 września pokój Münnicha położyły jej kres. Zjawiają się znów okoliczności przyjazne dla podniesienia powyższej myśli politycznej, mianowicie wojna turecko-rosyjska z 1741 roku, ale zamiary Potockiego zneutralizował stronnik dworu, Wacław Rzewuski, wojewoda podolski, któremu udało się pozyskać szlachtę podolską, chełmską, krakowską i sandomierską. Widzimy tu politykę Potockich, zgodną z rzeczywistym interesem Rzeczypospolitej.

Podczas każdej elekcji różni kandydaci na tron polski, popierani przez różne państwa, pragnące wciągnąć Rzeczypospolitą do swej konstelacji politycznej, wchodzili w porozumienie z różnymi oligarchicznymi rodami polskimi. Każdy z tych rodów uważał się za stronnika, a nawet za sprzymierzeńca jakiegoś mocarstwa, otrzymywał na akcję elekcyjną odpowiednie środki. Często służył interesom Francji, Austrii lub Rosyi nie dla tych subwencyj, ale upatrując w związku z danym mocarstwem dobro Rzeczypospolitej; bywało i stawało się pod wpływem demoralizacji, którą rozsieli królowie sascy, że sprawy Rzeczypospolitej podporządkowywali nasi magnaci sprawom osobistym, chęci wzbogacenia się, wyniesienia swego rodu. Związek obcych mocarstw z magnatami, nawiązywany najczęściej podczas elekcji, nie ustawał z jej zakończeniem, lecz wznawiał się, skoro tylko na porządek dzienny występowała sprawa doniosła dla którego z mocarstw i do udziału w niej pragnięto użyć Rzeczypospolitej.

Mocarstwa ościenne, współzawodniczące w Polsce, musiały wpadać na plan i myśl o kompromisach, stąd występowały koncepcje podziałowe.

Elekcyje królów, wadliwa organizacya Sejmów, umożliwiająca ich zrywanie jednemu nawet posłowi, opartemu na nieznacznej mniejszości, były to wadliwości ustroju Polski, znamionujące słabość Rzeczpospolitej.

Demoralizacya czasów saskich, pojęcie utarte w naszej historii, da się objaśnić tem, że dwór Augusta II obyczajami i zbytkiem naśladował dwór wersalski, przytem panowało wyuzdanie płciowe, któremu przykład dawał August II. Weszło w zwyczaj, że żony wielkich panów polskich (np. Lubomińska) były kochankami Augusta II. Obyczaje, panujące na dworze Augusta II, przenosiły się do dworów magnackich, a te demoralizowały szlachtę. Ubogie w zasoby materialne społeczeństwo polskie, zaznajomiwszy się ze zbytkiem dworu XVIII wieku, dla używania indywidualnego, usiłowało zaoszczędzić na wydatkach publicznych. Stąd ów Sejm z 1717 r., Sejm zwany słusznie przez Szujskiego aktem abdykacyi politycznej, gdyż na nim „postanowiono sobie nie mieć siły i nie mieszać się do niczego, aby wyjść z zawikłań europejskiej polityki.“ Na Sejmie owym ograniczono wojsko w Rzeczpospolitej w Koronie do 18,000, na Litwie do 6,000 ludzi.

„Długoletni zabójczy pokój zapanował teraz w Polsce“— mówi Szujski o panowaniu Augusta III. Może nie byliśmy gorsi od innych. Łapownictwo w XVIII wieku rozwieliło się na wszystkich dworach europejskich. Ogromnie niski poziom etyczny miał dwór petersburski za czasów od Piotra I do Katarzyny II włącznie. Ale forma państwowa Polski, ograniczająca przymus do minimum i wymagająca dobrowolnej ofiarności bardzo dużo, wymagająca świadomości politycznej rozlanej w narodzie, wymagała też naprężenia w nim sił moralnych i umysłowych. Moralnych sił pozbawiło nas zepsucie wieku, umysłowych reakcyja religijna w Polsce.

Po pokoleniu bohaterskiem, które olbrzymim wysiłkiem uratowało Rzeczpospolitą od zagłady za czasów Jana Kazimierza, przyszło pokolenie gnuśne i bierne. Każde pokolenie jest ogniwem w życiu narodu, musi robić historję, stwarzać wielkie wypadki dziejowe, kombinować swe czyny z wypadkami dziejowymi ościenych państw.

Od końca XVII w. rozpoczyna Rosya wojny z Turcyą, prowadzi je peryodycznie, korzystając z ziem południowych Rzeczpospolitej dla przemarszu swych wojsk; od początku XVIII w. do 1808 r. prowadzi peryodycznie wojny ze Szwecyą.

Stałe przymierze z temi dwoma państwami, aktywność Rzeczpospolitej podczas wojen turecko-rosyjskich i rosyjsko-szwedzkich leżała w racyi jej stanu. Wobec sporu, prowadzonego na wielkiej arenie dziejowej między Francją i Austryą, która, chcąc stać się państwem dunajskim, brała udział w wojnach rosyjsko-tureckich XVIII wieku, występując przeciw Rosyi, mogłaby mieć Rzeczpospolita, jako stała aliantka Turcyi, poparcie Francyi. Prusy, składające się z kilku oddzielnych kawałków, przez długi czas nie mogły być groźnemi Rzeczpospolitej, mogła ona je zawsze neutralizować przez związki dynastyczne w Rzeszy niemieckiej, ale na to trzeba było mieć dynastję.

Elekcyja utrwałała się u nas, gdyż z wyjątkiem Batorego, który był bezdzielny, nie mieliśmy prawdziwie wielkiego króla, zdolnego do utrwalenia tronu w swym rodzie. Nieszczęściem Polski był brak wielkich ludzi na tronie w ostatnich stuleciach jej bytu, na co już wskazywał Bobrzyński: „W czasach, kiedy Francya posiadała Franciszka I-go, Henryka IV, Ludwika XIV, Anglia Henryka VIII, Hiszpania Karola V i Filipa II, Austrya Ferdynanda, Szwecya Gustawa Wazę, Karola Sudermańskiego i Gustawa Adolfa, Rosya wreszcie Iwana i Piotra, my jedni mieliśmy słabego poczciwca w Zygmuncie Starym, tchórzącego przed każdym czynem i przekonaniem Zygmunta Augusta, spiskującego na naszą zgubę Zygmunta Wazę. Błysnął geniusz Batorego, ale tylko na chwilę, stworzył dzielniejszych ludzi, ale nie miał czasu, ażeby stworzyć lepsze instytucye. Z późniejszych ludzi jeszcze zaznacza się pięknymi chęciami Władysław IV, najgorzej je przeprowadzając, o Wiśniowieckim i Sasach nie warto wspominać, animusz wojenny Sobieskiego zdaje się na to tylko stworzony, ażeby nieustannym błędem jego polityki służył za tem jaskrawszy kontrast. Jest to złowrogie fatum, jakiego nigdzie indziej nie wskazują dzieje.“ (Str. 340).

Wbrew szkole socyologicznej, w historii stwierdzić musimy, że jednostka odgrywa olbrzymią rolę w dziejach, ale na siłę gatunkową jednostki składa się szereg czynników, zdolności umysłowe, wiedza nabyta, charakter, środki materyalne, pozycya społeczna. Te ostatnie czynniki nadają szczególniejszą siłę wybitnym indywidualnościom na tronie. Król polski przez rozdawnictwo starostw i urzędów, przez urok swego monarszego położenia mógł zrobić bardzo dużo. Brak energii Stanisława Augusta ułatwiał rozbiory, jak uporeczywa energia Jana Kazimierza uratowała byt Rzeczpospolitej; zdolności umysłowe i wiedza Stanisława Augusta były jednym z czynników wzmoczenia gospodarczego i cywili-

zacyjnego państwa w czasie między pierwszym a drugim rozbiorem.

Może nie było to przypadkiem, że nie mieliśmy, oprócz Batoroego, wielkiego człowieka, gdyż wielki człowiek nie mógł być narzędziem ślepej partji lub mocarstwa, które go wyniosło. Mierność duchowa królów dziedzicznych była przypadkiem. Czy przypadkiem, czy zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności należy uważać rozbiory Polski? Wysuwała je elekcya, umożliwiała osłabienie militarne Rzeczypospolitej. Idea rozbiorów Polski wyłania się kilkakrotnie, wysuwał ją nawet król polski, August II. Nie odbyły się one jednak za Augusta II. Sprzyjająca konstelacya polityczna zachowała byt Rzeczypospolitej, zbieg nieprzyjaznych konstelacyj politycznych uwarunkował rozbiory.

Zniesienie wolnej elekcji, liberum veto, umożliwiającego mniejszości zrywać narady sejmowe, zwiększenie armii, organizacya skarbu, niecofanie się przed ciężarami państwowymi — oto objawy odrodzenia się państwowego Polski, wykazujące, że mogliśmy być, jako państwo. Widzimy reformy społeczne, wywołane dążnością państwową, przeświadczeniem konieczności zwiększenia siły państwa. O ludzie wiejskim czytamy w konstytucyi: „Lud rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę, ten przez sprawiedliwość i obowiązki chrześcijańskie, jak i przez własny nasz interes dobrze zrozumiany, *pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy*, stanowiąc, iż odtąd jakiebykolwiek swobody, nadania i umowy dzielzica z włościanami dóbr swoich autentycznie ułożyli, czyliby te nadania i umowy były z gromadami, czyli też z każdym z osobna wsi mieszkańcem zrobione, będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek pod opiekę rządu krajowego podpadający.“

Prawo to odpowiadało prądowi owoczesnemu polepszenia bytu chłopu przez dobrowolną z nim umowę dziedziców, przez zmianę pańszczyzny na oczynszowanie.

Widzimy też chęć podniesienia miast, nadanie im udziału w Sejmie. Konstytucya pragnie uszlachcenia narodu, nie chce jednak opierać siły narodu wyłącznie na szlachecie.

„Konstytucya 3-go Maja—powiada słusznie Balzer—przyszła do skutku nie przez siłę i przemoc dobijających się o swe prawa klas upośledzonych, nie przez nacisk ze strony rządu, dążącego do wzmocnienia swej władzy, nie przez wolę lub poparcie jakiegokolwiek potęgi obcej, lecz owszem przeciw ich woli; zrodziła się bez zamachu stanu, z własnej, niczem nie skrepowanej woli na-

rodu samego.⁴ Negująca ją Targowica mogła przyjść do skutku i zdołała pociągnąć pewne siły narodu tylko wskutek obcej przemocy.

Z dzieł twórców Konstytucyi 3-go Maja wiemy, że ustawa ta nie była przez nich uważaną za ostatnie słowo w demokratyzacyi narodu, ale możliwym krokiem, aktem dopasowanym do psychologii owoczesnej doby dziejowej.

Wzmożony przyrost ludności, polityka uprzemysłowienia, wszystko to dowodzi, że naród był zdolny do samodzielnego życia państwowego, do przeobrażania swej konstrukcyi społecznej dla wzrostu swej potęgi i zawarowania swej samodzielności. Uległ zaś nieszczęśliwemu przypadkowi.

Przez ten ostatni wyraz: przypadek,—rozumiemy oczywiście zbieg okoliczności zewnętrznych, umożliwiających rozbiory. Przypadkiem nieszczęśliwym, warunkującym pierwszy rozbiór była dekadencya polityki zewnętrznej Francyi po upadku Choiseille'a, dekadencya, która wstrzymała pomoc francuską zarówno Turcyi w wojnie z Rosyą, jak i konfederatom barskim, którzy dzięki swej uporczywej walce postawili już Rosyę na granicy wyczerpania jej sił militarnych. Niedawna porażka Austrii w wojnie z Prusami, utrata przez nią Śląska uzupełniała przypadkowe okoliczności, warunkujące pierwszy rozbiór. Monarchia Habsburgów po utracie jednej prowincyi doświadczała właściwej w takich okolicznościach niemal chorobliwej chęci nabytków na kimkolwiek dla podniesienia dawnego uroku; nabytek na Polsce uważała za przedmiot, mający być wymieniony na utracony Śląsk. Nieszczęśliwym przypadkiem, warunkującym drugi rozbiór, była wojna austriacko-francuska, neutralizowała ona nietylko siły Francyi, mocarstwa, które z nowego układu na wschodzie Europy, jaki wytwarzał podział, nie mogło być zadowolone; neutralizowała Austryę, która mogła patrzeć obojętnym wzrokiem na zabór przez Rosyę odległej od jej granic oraz od Turcyi Białej Rusi, ale odczuwać musiała zaszachowanie swych interesów, gdy Rosya zabrała Ukrainę, Wołyń i Podole, graniczące z nabytkiem Austrii na Polsce, t. j. z Galicyą i będące placami dla zdobyczy rosyjskich nad morzem Czarnem, spichlerzem zaopatrującym armię rosyjską w razie wojny z Turcyą.

POLSZCZYŻNA NA GÓRNYCH WĘGRZECH

i Stosunki polsko-słowackie.

I.

Jak państwo polskie pierwszych Piastów rozciągało się na północy i południu Karpat, tak ludność polska zajmuje do dziś dnia jeszcze ich stoki po obydwóch stronach, przechodząc ze Ślązka i Galicyi przez ich grzbiet na Górne Węgry, gdzie dość szerokim pasem granicznym ciągnie się od rzeki Kisucy na ziemi Żylińskiej (Csolna, Sillecu) żupaństwem trenczyńskim, orawskim, spiskiem, szaryskim i abanjeckim nieprzerwanym prawie łańcuchem wzdłuż pasma gór aż poza Preszow (Eperies) i Kuszyce, tworząc nadto wyspy etnograficzne w żupaństwie liptowskim, giemerskim, ziemlińskim i nugskim. Największe zwarte polskie terytorya znajdują się w północnej części żupaństwa trenczyńskiego, na Orawie i na Spiżu w tak zwanem Zamagurzu; w innych górno-węgierskich żupaństwach tworzą osady polskie jeszcze tylko mniejsze lub większe oazy etnograficzne, o ile je niezawiały piaski puszczy słowackiej lub ruskiej.

O polskiej ludności na Górnych Węgrzech, chociaż starostwo spiskie i okręg podoliniecki odpadły od Polski dopiero po pierwszym jej rozbiornie, bardzo mało kto u nas co wiedział i wie obecnie. Zapomnieliśmy o niej zupełnie. Do dziś dnia nikt z nas prawie nie troszczy się o nią zgoła. Pozostawiamy ją bez wszelkiej pomocy narodowej jej smutnemu losowi.

Nieszczęśliwszego ludu, jak górno-węgierscy Polacy, trudno sobie wyobrazić. Od wieków — tylko część Spiżu stanowi wyjątek — oderwani od pnia macierzystego, przez własny naród porzuceni i zapomniani, pozbawieni wszelkiej oświaty narodowej w kościele i szkole, prócz madyaryzacyi słowaczeni, pogrążeni w ciem-

nocie nieuświadomienia narodowego, w analfabetyzm, że się tak wyrażę, narodowy — ludność ta polska przecież, do obecnej doby utrzymała, jakoby cudem, największy skarb narodowy, język ojczysty, ukrywając go we wnętrzu chat swoich, w obrębie rodzi-nej wioski, jako świętość rodzinną, gdyż mówi tylko między sobą „po naszymu“ (po polsku), zaś na zewnątrz używa języka słowackiego, którego uczy się w szkole i w którym ćwiczy się w kościele.

Stosunki tego rodzaju nie przynoszą z pewnością chluby naszymu patriotyziŃmowi, ani też nie dowodzą naszej dbałości i zapobiegliwości narodowej.

Państwo węgierskie nie uznaje odrębności narodowej Polaków na Górnych Węgrzech, zaliczając ich w czambuł albo do Słowaków lub do Rusinów, czego następstwem jest, iż ludność polska nieużywa nawet tej odrobiny praw narodowych, jaką posiadają Słowacy i Rusini na Węgrzech. We wszystkich bez wyjątku gminach polskich sprawują księża Słowacy duszpasterstwo w języku słowackim. Z kościoła więc język polski wygnany zupełnie: kazania, modlitwy, śpiewy wszędzie słowackie, w niektórych zaś gminach są w użyciu nawet czeskie modlitewniki i śpiewniki. W gminie i w szkole ludowej, o ile tu nie rozpiera się madyaryszczyzna, zastępuje język ojczysty miast polskiego słowacki, jako urzędowo uznany za krajowy. Tym sposobem ludność polska wystawiona z dwóch stron na wynarodowianie: z jednej strony madyaryzuje ją wraz ze Słowakami rząd węgierski, z drugiej zaś słowaczą ją sąsiedzi-pobratymcy Słowacy względnie Rusini, przy-czem zauważyć należy, iż słowaczenie czyni daleko większe szczyer-by narodowe między ludnością polską, aniżeli madyaryzacya.

Język słowacki w okolicach z przeważającą ludnością słowiańską jest językiem krajowym jako też piśmienny, uważany za mowę ludzi wykształceńszych, za coś lepszego, wobec czego zni-żono polszczyznę do rzędu chłopskiej, grubej gwary. Dr. Czambel, ¹⁾ znakomity uczony słowacki i doskonały znawca stosunków na Górnych Węgrzech, pisze, że panowie węgierscy w północnych Węgrzech wywyższają słowaczyznę nad polszczyznę i ruszczyznę, z Polakami i Rusinami mówią po słowacku. W rodzinach pań-skich, w których życzą sobie, żeby dzieci znały mowę słowiańską, biorą do nich Słowaczki, nigdy zaś Polki lub Rusinki. Z tego

¹⁾ Słowenska Recz a miesto jej w rodzinie słowanskych jazykow. Turczanski Sw. Martin 1906.

wywyższenia mowy słowackiej między gwarami słowiańskimi przez madyarskie rodziny pańskie wytworzyło się powszechnie u pospolitego ludu mniemanie, że język słowacki jest mową pańską, w porównaniu z polską lub ruską mową wznioślejszą i jak mówią „fajniejszą.“ Drugą przyczyną wyższości słowaczyny jest wyższy jej poziom oświatowy w miejscu. O tem wyraża się rzeczony pisarz słowacki: „Lubo nieśmiemy nawet porównywać poziom oświatowego naszego języka z poziomem oświatowym języka polskiego a nawet galicyjsko-ruskiego, Polacy i Rusini Górnych Węgier nie doznają żadnej korzyści z oświaty swych narodów, oderwani od nich geograficznie. Węgierscy Polacy po największej części nawet czytać po polsku nie umieją. Księża u nich Słowacy, którzy z kazalnicy każą po słowacku. Rusinów przynajmniej chroni od tego wyznanie, chroni ich od nieswojskich księży... Język słowacki jest językiem kazań w 429 rzymskokatolickich, 42 ewangelickich, 6 kalwińskich kościołach—uwzględniam tylko większe gminy — ruski w 91 cerkwiach, polski zaś w żadnym kościele. . . Dodać trzeba, że Słowacy posiadają od kilkuset lat nietylko swoje piśmiennictwo kościelne, lecz także świeckie... Trzecią przyczyną są społeczne przesady i uprzedzenia. W całym kraju wyśmiewają się z ludzi, mówiących po słowiańsku inaczej, jak miejscowi ludzie lub okoliczni Słowacy. W obrębie narzeczy wschodnio-słowackich wydrzeźniają i wyszydają Polaków i Rusinów, mówiąc:

„Jedno jajo, co ma hore chwist, to su szist; co ma dolu chwist, to su dewjat,“ albo: „Jedna paliczka a dwa jaja, to su sto“ i t. p.

Takie mniej więcej panuje wyobrażenie o wyższości języka słowackiego pomiędzy całą stałą ludnością polską na Górnych Węgrzech, która obok swej gwary rodzimej, zwanej „po naszem,“ a używanej tylko pomiędzy sobą, w rodzinie, w obrębie wsi — wszędzie na zewnątrz posługuje się „wznioślejszą“ mową słowacką. Tak jest we wszystkich żupaństwach, posiadających ludność polską.

Tym sposobem utrudnione są bardzo wszelkie badania językowe i tem tłómaczą się też sprzeczności w orzeczeniu czy ta lub owa osada jest polską lub słowacką, napotykanie w źródłach zajmujących się tym przedmiotem. Stosuje się to w szczególności do czeskich i słowackich badaczy językowych, nieznających dokładnie języka polskiego. Nie można im nawet przypisywać złej woli lub chęci zaboreczej, jeśli tę lub ową osadę polską orzekną jako słowacką, gdyż wynika to z danego położenia. Gdy czeski lub słowacki badacz przemówi do kogokolwiek z ludności pol-

skiej w swoim języku, względnie Czech w mowie nagiętej do słowaczyny, otrzyma niezawodnie odpowiedź w mowie słowackiej, a trzeba dopiero głębszego rozpatrzenia się w stosunkach miejscowych i głębszego wniknięcia w istotę miejscowej ludności, by uniknąć omyłki i rozpoznać prawdziwie właściwą gwara osady, tembardziej, iż w niektórych osadach upośledzany i poniewierany lud polski kryje się ze swoim skarbem rodzimym, z gwarą ojczyzną, przed światem zewnętrznym, niedowierzając każdemu obcemu i cudzemu. Podobne zjawisko dostrzedz można u ludu polskiego w niektórych okolicach pod zaborem pruskim np. na Pomorzu, na Mazowszu pruskim, na Ślązku środkowym, w okolicach silnie zgermanizowanych, gdzie język polski znajduje się w większej poniewierce. Wynikiem tych osobliwych stosunków jest, iż nawet polski badacz, jeśli nie zdołał pozyskać ufności mieszkańców polskiej osady i zaufaniem zedrzeć osłonę, za którą ukrywa się gwara polska, otrzymuje na swe zapytania odpowiedzi słowackie i na ich podstawie orzeka, iż gmina jest słowacka, lubo jest istotnie polską. Dlatego też wykazy polskich osad i obliczenia polskiej ludności na Górnych Węgrzech, o ile je posiadamy ułamkowo i w rozrzuceniu tu i owdzie, szwankują bardzo na niekorzyść naszą, podając zarówno liczbę osad jako też ludności daleko mniejszą, niż jest w rzeczywistości.

Lud polski na Górnych Węgrzech żyje pod każdym względem w złowrogich warunkach. Madyarzy wynaradawiają go z urzędu w imieniu państwa: w szkole, ustawodawstwie i za pomocą wszystkich urzędów i ustanowień państwowych; Słowacy czynią to samo w swoim zakresie działania: w kościele, gminie, w szkole ludowej, o ile w niej uwzględniony język kraju, jako też w życiu społeczno-kulturalnem. Ludowi polskiemu brak absolutny ludzi z wyższem narodowem wykształceniem, brak mu wszelkiej tak zwanej „inteligencji“, wszelkiego wpływu oświaty i kultury polskiej. Lud ten znosił przez wieki ciężki ucisk i nędzę, nikt nieupomniał się krzywd jego, nikt o niego się nie troszczył, a własny naród pozostawił go bez najmniejszej pomocy duchowej, zapominając o nim zupełnie. Wpływy obce raziły go ze wszech stron i kaziły w nim ducha narodowego. Nie dziw przeto, iż w takich warunkach polskie terytoryum etnograficzne na Górnych Węgrzech wciąż zmniejszało się, że gwara polska okolicami ulegała większemu lub mniejszemu zepsuciu. Jeśli w takim położeniu lud polski zdołał wogóle utrzymać swą gwara, jest to wysiłek, bohaterstwo podziwu godne. Zaiste bowiem trzeba bohaterstwa niemałego, by w tak wyjątkowo wrogich warunkach ochronić naj-

droższy skarb narodowy, język ojczysty, od zagłady. Atoli, gdyby nieszczęsne położenie, w jakim żyje ta ludność polska, trwało dalej bez żadnej zmiany na lepsze, gdybyśmy wobec naszego ludu na Górnych Węgrzech pozostawali dalej w dotychczasowej karygodnej bierności i gnuśności, lud ten później lub prędzej musiałby zagać na — naszą wieczną hańbę.

Niemiec Olaf Broch, ¹⁾ mówiąc o stosunkach i narzeczeniach słowackich, dotykając przytem słowaczenia się Polaków i Rusinów, pisze:

„Es ist ein Gefühl der Schwäche, wodurch das Aufgeben der eigenen Sprache bedingt wird. Die kulturelle Ueberlegenheit der westlichen Nachbarn ist bei den Leuten anerkannt und die theilweise oder völlige Aufgabe der angeborenen Sprache ist eine naturgemässe Entwicklung, dess niemand Widerstand leistet.“

(„Jest to uczucie słabości, które warunkuje zaniechanie własnego języka. Kulturalna wyższość zachodnich sąsiadów (Słowaków) znajduje u nich uznanie, a częściowe lub zupełne zarzucanie rodzinnej mowy przedstawia się jako naturalny rozwój, przeciw któremu nikt nie stawia oporu“).

W stosunku do Rusinów, którzy wobec Słowaków zajmują równie słabe stanowisko, znajduje się ludność polska także w niekorzystnem położeniu. Rusini mają przynajmniej narodową ostoję w swoim grecko-katolickim kościele. U nich na terytoryum mieszanem polsko-słowacko-ruskim w żupaństwie: spiskiem, szaryskim, abaijckiem, ziemlińskiem i ingskiem każą księża ruscy ludowi ruskiemu w zrozumiałym, jego rodzinnym języku, podczas gdy nieszczęśliwy lud polski musi tam słuchać kazań słowackich i po kościołach używać obcych modlitewników i śpiewników. U Rusinów rozstrzyga na tem terytoryum obrządek grecko-katolicki o narodowości ruskiej. Tym sposobem w tej części Górnych Węgier, gdzie wogóle polszczyżna stanowi główny podkład gwar zarówno ruskich, jak słowackich, dużo osad polskich uchodzi za ruskie. Zwraca na to uwagę dr. Maksymilian Gumplowicz, ²⁾ wspominając o starej prałaturze spiskiej św. Marcina, której początki są niewiadome—w tym sensie, iż obrządek grecko-katolicki w tych stronach, będąc wy wpływem starego słowiańskiego obrządku cyrylo-metodyjskiego, nie wiąże się zupełnie z narodowością

¹⁾ Studien der Slovakisch-kleinrussischen Sprachgrenze im östl. Ungarn. Kristiania 1897.

²⁾ Polacy na Węgrzech. Lwów 1903.

ruską i obejmuje też ludność polską. Pisze on: „Przypomina ona tak bardzo osieroconą kapitułę nitrzańską, którą król Stefan ku wielkiej swej radości zastał niespodzianie w Nitrze, że mimowoli nasuwa się nam pytanie, azali osierocona kapituła spiska św. Marcina nie jest równie szczątkiem jakiego zniszczonego biskupstwa staro-słowiańskiego z czasów Swatopluka. Zgadzałoby się to z faktem, stwierdzonym przez d-ra M. Sokołowskiego, że chrześcijaństwo do Polski przyszło ze Słowaczyny drogą sądecką, która wychodzi ze Špiša. Wskazuje na to również krzyż prawosławno-grecki w herbie prałata spiskiego. To też Szemblera przypuszcza, że ta część ludności słowackiej, która jest obrządku grecko-unickiego, w stolicach (żupaństwach) spiskiej, szaryskiej, abańskiej i ziemlińskiej jest szczątkiem kościoła z czasów św. Metodego i Cyryla, kiedy państwo wielko-morawskie sięgało po Bug i Styr.“

W związku z tem pozostają zapewne naleciałości południowo-słowiańskie znaczne w języku słowackim, na które zwraca uwagę dr. Czambel, pisząc: „Przypomnę, że w pierwszej osobie liczby pojedynczej czasu teraźniejszego mówi Słowak: nese-m, pije-m; Rusin zaś: nesu, piju; Polak: niosę, piję; Czech: nesu, piju lub piji, zatem różni się język słowacki pod tym względem od wszystkich języków słowiańskich, które go otaczają. Tak jak Słowacy, mówią południowi Słowianie: nesem, pijem. Wiadomo powszechnie, że Słowacy nigdzie nie stykają się geograficznie z południowymi Słowianami. W języku Słowaków jest dużo polszczyzny, co znaczy, że Polacy mieli udział przy tworzeniu się języka słowackiego. Na język słowacki wywierali Czesi przez lat 500 niezaprzeczenie wielki wpływ. Jaka więc przyczyna, że w języku słowackim znajduje się południowo-słowiańska końcówka -m?“

Pomijając wysnuty z tego wniosek d-ra Czambela, jakoby Słowacy przynieśli te końcówki już gotowe z południa, wychodząc albo raczej wyrojając się z południowej słowiańszczyzny, dodać należy, że również dr. Jagicz dostrzega w słowaczynie ślady południowo-słowiańskie: obok berem, žnem — chlapom, dubom, zamiast czeskiego: chlapem, dubem, a polskiego: chłopem, dębem.

Jak to wytłómaczyć bez szukania kolebki Słowaków na południu?

Sądzę, że bardzo łatwo mogło się to wziąć z języka cerkiewno-słowiańskiego czyli tak zwanego „starosłowiańskiego“, wprowadzonego przez Cyryla i Metodego do kościoła w wielko-morawskim państwie Mojmirowiczów, języka, który w istocie

rzeczy nie jest językiem starosłowiańskim w ogólnem i ścisłem znaczeniu wyrazu, lecz starą gwara południowych Słowian, osiadłych w Bułgarii, skąd go też apostołowie słowiańscy zaczerpnęli.

Ta południowa słowiańszczyzna w kościele, rozpowszechniona w obrębie państwa wielko-morawskiego, a więc również na dzisiejszych Górnych Węgrzech, która, podług Szembery, zamieniła się w uniacyzm grecko-katolicki, skaziła przy wpływie ruszczyzny i czeszczyzny pierwotną polską gwara żupaństw tak zwanego mieszanego terytorium na tak zwane wschodnio-słowackie i zachodnio-ruskie narzecza, co do dziś dnia sama ludność tych ziem zaznacza, nazywając siebie zawsze, dla odróżnienia się od Słowaków i Rusinów, „Słowianami.“

Do określenia dokładniejszego stosunków narodowościowych na Górnych Węgrzech, może jedynie doprowadzić bezstronne, wyczerpujące i wszechstronne zbadanie i rozpoznanie gwar ludowych, przedsięwzięte przez zawodowych uczonych, posiadających dokładną znajomość języka polskiego, słowackiego, ruskiego i czeskiego, niemniej też biegłych w ludoznawstwie tych czterech narodów słowiańskich. Dotychczas nie wystąpili tacy badacze na widowni górno-węgierskiej. Posiadamy bowiem tylko ułamkowe, przedmiotu bynajmniej nie wyczerpujące badania, dokonywane głównie przez Czechów i Słowaków, nieznających dokładnie języka polskiego, a jeszcze mniej staropolszczyzny, której znajomość dla licznych archaizmów, znajdujących się w tamtejszych polskich gwarach ludowych, jest równie niezbędna. Do tego są te badania dość powierzchowne, a w części dyletanckie. Uderza w nich też rażąco brak znajomości polszczyzny, wskutek tego spotykamy w nich mylnie wysnuwane wnioski i orzeczenia na naszą ujme, przyczem zdarza się często, iż stronniczość narodowa tworzy okulary, przez które ci badacze patrzą na stosunki, usiłując dla swych stronniczych dążności krzesać ogień.

Stosunkowo najwięcej posiada wartości naukowej praca d-ra Czambela, który lubo jako Słowak patrzy przez pryzmat słowacki, mimo to usiłuje być przedmiotowym i sprawiedliwym dla wszystkich. Stwierdza on też, że sprawa narodowościowa Górnych Węgrów „nie jest tak jasną, jak sądzą.“ Piszę on: „My, Słowacy, mając na oczach okulary słowackie, widzimy wszędzie słowaczyżnę, lecz inni, nie Słowacy, mogą inaczej sądzić o stosunkach narodowościowych tych ziem.“

Polski dorobek na polu tych badań jest bardzo nieznaczny. Prócz pracy, wcale nie obszernej, doktora Romana Zawilińskiego

go¹⁾ przeważnie etnograficznej i ograniczonej głównie na jedną wieś—Skalitę w północnej części żupaństwa trenczyńskiego, nie posiadamy nic z zakresu samoistnych badań. Wszystko inne, co posiadamy wogóle o ludności polskiej na Górnych Węgrzech, opiera się, z bardzo małym wyjątkiem, na pracach czeskich badaczy: A. W. Szembery²⁾ i F. Poliwiki.³⁾ We wszystkim, co o tym przedmiocie pisali Polacy, przejawia się wogóle brak samoistości i wielka nieśmiałość w sądach, idąca w parze z dziwnie przesadzoną skrupulatnością i względnością dla obcej zaborczości. Pisarze nasi zwykli chylić kornie czoła przed orzeczeniami obcych stroniczych areopagów.

W szczególności w żupaństwie szaryskim, abańjeckim i ziemlińskim istnieją narodowościowe stosunki nadzwyczaj niejasne, zagmatwane i poplątane. Tu widać już na pierwszy rzut oka we wszystkich gwarach ludowych, słowackich i ruskich, bardzo silny podkład polski. Na tym terenie tak zwanych wschodniosłowackich narzeczy panuje nadzwyczajne zamieszanie językowe, istna narzeczuwa wieża babilońska. Prawie każda większa wieś ma swoje własne narzecze lub podrzecze. Polszczyżna miesza się ze słowaczyżną i małoruszczyżną. W takich okolicznościach nie łatwo orzec, czy ta lub owa gwara jest polską, słowacką lub ruską, lubo właściwie polszczyżna wszędzie przeważa.

Małoruska ludność Górnych Węgier w szczególności dzieli się na dwie gałęzie, dość różniące się gwarowo, etnograficznie i terytoryalnie, mianowicie na: góralską gałęź Łemków i Bojków, zamieszkujących żupaństwo spiskie, szaryskie, abańjeckie, ziemlińskie i w części űngskie i bereżskie, i na gałęź właściwie ruską zogniskowaną głównie w żupaństwach: Ugocz i Marmorosz i rozprzestrzenioną w części na żupaństwa: Ung i Bereg. Ruskich mieszkańców tych ziem ostatnich zowią „Lisakami“ dla odróżnienia ich od Łemków i Bojków. O pochodzeniu małoruskiej ludności na Śpiżu, w Szaryskim, Abańjeckim i Ziemlińskim nic nie wiadomo. Nie tworzą oni atoli pierwotnej ludności tych ziem, gdyż jak stwierdzają źródła słowackie,⁴⁾ Polacy byli już w dobie

1) Przyczynek do etnografii górali polskich na Węgrzech. Zbiór wiad. antropol. krajowej t. 18 i Materyały antrop. archeol. i etnograficzne t. I. Kraków.

2) „Zakładowe Dialektologie czesko-słowenskie“ Wiedeń 1864 i „Mnoho jest li Czechou, Moravanou i Slovakou? Časopis Muzeum Czeskiego, Praga 1876.

3) „Polsztina w horni stolici Orawske.“ Listy Filologicke. Praga 1876.

4) Dr. Czambel.

przedmadyarskiej na Śpiżu i prawdopodobnie w żupaństwie szaryskim. O drugiej gałęzi małoruskiej wiadomo, że w r. 1360 przyszło z litewskim księciem Koryatowiczem około 40,000 Białorusinów i Podolaków, których osiedlono w żupaństwach: Ung, Bereg, Uzocz i Marmorosz.

Jakie może być pochodzenie pierwszej gałęzi małoruskiej?

Prawdopodobnie powstała ona na miejscu na podstawie obrządku słowiańskiego. Najprzód język cerkiewno-słowiański wywierał wpływ na polskie gwary miejscowe, później zaś, gdy się ten pierwotny obrządek przeistoczył na grecko-katolickie wyznanie, kazili i psowali polską gwaraę księża ruscy kazaniami i liturgią małoruską, a w każeniu gwarowem pomagała im w niepoślednim rzędzie czeszczyzna i słowaczyzna, posiadające powszechne wzięcie krajowe. Tym sposobem powstałi ruscy „Copaki“ (na Śpiżu), „Łemki“, „Ceperjaki“ i wogóle cała ta część Rusinów, którą Hnatiuk ¹⁾ zowie „Słowiakami“, a których polskie pochodzenie, szczególnie w okolicach Preszowa i Koszyce, bije w oczy na pierwsze wejżenie. Hnatiuk widzi bardzo słusznie „wielką omyłkę etnograficzną“ w tem, iż „Słowiaków“, jak się sami zowią dla odróżnienia, poczytują za Słowaków. Pisze on: „Słowiaków nazywają Słowakami (po madyarsku: „totok“) i zaliczają ich do czesko-słowackiego plemienia, a narzeczę ich do mowy słowackiej, i wskutek tego uważają „Słowiaków“ także urzędowo i nieurzędowo za Słowaków, a wyróżniają ich od zachodnich Słowaków tylko tem, iż nazywają ich szaryskimi lub koszyckimi Słowakami, zowiąc gwaraę ich szaryską lub koszycką mowaę słowacką. A tymczasem przeciw takiemu poglądowni protestują najlepiej sami Słowacy, kiedy mówią: Nasza rjecz jest słoweńska, a nie słowacka, mi hutorimi po słoweńsku, nie po słowacku.“

Stwierdza on dalej, że kto tylko przypatrzy się bliżej Słowiakowi, ujrzy niezawodnie, iż „Słowiacy“ co do typu, co do mowy—mówią ze śpiewnem zacięciem i z akcentem na przedostatniej głosce, — co do zwyczajów nie są Słowakami, a gwara ich, choć podśłowaczona, z pewnością nie jest słowacką.

Zalicza on ich atoli wcale niesłusznie do Rusinów, przyznając przytem, iż polszczyżna wywarła silny wpływ na ich gwaraę.

Dr. Czambel, polemizując z Hnatiukiem jakoby „Słowiacy“ byli Małorusinami, powiada bardzo słusznie, że najpierw trzeba by na

¹⁾ „Rusyny w prasiwskiej eparchii i ich howori.“ Zapiski naukowe im. Szewczenki, 1900. Lwów.

dowód tego wykazać pierwobyłość zachodnio-węgierskich Rusinów, t. j. ich pierwobyłość w okresie przedmadyarskim za rzeką Toplą. Pisze on dalej: „Nie można wątpić o tem, że zachodnia część ziem wschodnio-słowackich aż po rzekę Toplę należy do szczepu narodowego polskiego, t. j. że pierwsze zaludnienie tych ziem było polskie. Na to wskazują też prawa głosowni terażniejszych wschodnio-słowackich narzeczy, które w swej podstawie są polskie, co też uzasadnia w sposób wyczerpujący pod względem gramatycznym, stwierdzając w końcu, iż pierwotni tych ziem mieszkańcy słowaczyli się pomalą wskutek wyższego poziomu oświaty słowackiej w tych stronach, zachowali atoli w podstawie swoją głosownię polską.

Dr. Janota ¹⁾ podaje nieco próbek gwary ludowej z okolic miasta Bardyjowa, leżącego w żupaństwie szaryskim. Oto niektóre z nich:

A mój ocec lutori, ²⁾	Ked ja iszoł od kurimi kukuricu młacić.
Że mi nie da powoli,	Cepi sze mi połamali, muszeł som sze wracić;
Że mi kupi złate pero,	Cepi sze mi połamali, bileń sze mi skriwił;
Że mnie poszle do szkoli.	O, Boże mój premileni. z czym sze budzem żywi?
Ja do szkoli nie pójdziem,	Ej, kedbi sze pocliwość na skale rodziła,
Ja sze uzić nie budzem,	Tobi każda dziweczka pocliwa chodziła.
Radniej szednem na konika	Ale że sze pocliwość na skale nie rodzi.
Za husara pojdziem.	Przeto nie każda dziweczina pocliwa chodzi.

Tak brzmi gwara „Słowiaków.“

Czy to słowacka lub ruska gwara? Stanowczo nie. To polskie narzecze zepsute, nawet niewiele, naleciałościami słowackimi i ruskimi, czemu nikt zgoła dziwić się nie może, uprzytomniwszy sobie, w jakich stosunkach ludność tych stron żyje od wieków.

Na terytoryum tak zwanych wschodnio-słowackich narzeczy znajduje się ludność polska, pomijając madyaryzację, zawisłą, jak zmora, nad całym krajem, w kleszczach wpływów sąsiedzko-pobratymczych, t. j. słowacko-ruskich, wpływów, z dwóch stron na nią wynaradawiająco działających. Z jednej bowiem strony Słowacy zabierają dla siebie polską ludność obrządku rzymsko-katolickiego, z drugiej zaś Rusini uważają Polaków obrządku grecko-

¹⁾ Bardyjów, histor.-topograficzny opis miasta. Kraków, 1862.

²⁾ Mówi. W gwarze podhalskiej znajduje się wyraz lutorzyć zamiast mówić.

katolickiego za swoich, i dopiero gdy się poczną spierać o zdobyć, o nie swoje, wychodzi prawda, jak oliwa w wodzie, na wierzch. Rusini dowodzą, że gwara ludności nie jest słowacką, Słowacy przeciwnie, iż nie jest ruską; jedni i drudzy mają słusność najzupełniejszą, ludność ta bowiem w istocie rzeczy posiada gwarę polską, nieco zepsutą, bo podstłowaczoną i podruszczoną powierzchownie.

Przy nadzwyczajnym chaosie gwarowym na tem terytoryum, gdzie niema granic językowych pomiędzy polszczyzną a słowaczysznią, ani też pomiędzy polszczyzną a ruszcysznią, jakoteż pomiędzy słowaczysznią a ruszcysznią, gdzie jedna gwara stopniowo a nieznacznie spływa w drugą i gdzie zepsucie gwarowe jest powszechne i szpeci w równej mierze polszczyznę, jak słowaczysznię i ruszcysznię, tam może łatwo narodowa ekspansywność, o ile posiada dostateczne siły, robić zdobycze. Polacy zupełnie zdani sami sobie, najnniej przedstawiają siły, są poprostu bierną masą bez siły odpornej, a dlatego jedni i drudzy wzmacniają się ustawicznie ich kosztem.

Czesi uważają wszystkie gwary słowackie za swoje, czemu też głośny nadają wyraz. W szczególności co do gwar wschodnio-słowackich musi się to każdemu ich znawcy wydawać uroszczeniem nielada. Jest to coś podobnego jak gdyby np. Anglicy reklamowali dla siebie niemieckie dolno-saskie narzecza zwane „platt.“ Wschodnie gwary słowackie nie mają z czeszcysznią bliższej wspólności, a nawet gwary środkowo-słowackie, lubo fonetycznie zbliżone do czeszcyszni, są gramatykalnie i leksykalnie bliższe polszczyźnie. Sami Słowacy założyli protest przeciw aspiracyom czeskim, utworzywszy sobie w latach czterdziestych zeszłego wieku osobny język piśmienny, pięknie się rozwijający, który wyparł z ich piśmiennictwa zagnieżdżoną od wieków czeszcysznię.

Za wspólnością narodową Słowaków z Polakami w okresie, kiedy Polacy i Czesi byli już narodowo zróżniczkowani, przemawia wiele objawów. Prócz polskiego podkładu gwar słowackich nawet w wielu z nich z polskim akcentem na przedostatniej zgłosce, wskazuje na to typowość ludu słowackiego, szczególnie w górach, i etnograficzne podobieństwo, wobec czego fonetyczną wspólność niektórych gwar słowackich z czeszcysznią nikt nie będąc przyrodzoną, lecz stanowiąc późniejszy nabytek, spowodowany przez wpływ czeszcyszni. Polszczyzna natomiast tak dobrze, jak żadnego prawie na słowaczysznię nie wywierała wpływu, nawet w tej części Śpiża, który należał do Polski, co stwierdzają sami pisarze słowaccy.

„Klasyczny świadek“ Czech dr. Pastrnak ¹⁾ pisze o tem: „Tembardziej zasługuje na uwagę okoliczność, iż pomiędzy kompleksami słowackiego języka a polskiego istnieje w całym szeregu faktów wspólność, przyczem jeszcze zachodzi znaczna różnica pomiędzy zachodem a wschodem. Rozdział tworzą Tatry, wystrzeliwujące z łuku Karpat w kierunku południowym. Część wschodnia, mianowicie żupaństwa: Špiš, Szarysz, Ziemlin wykazują pod względem głosowni następujące znamienne zjawiska: *tert* zamiast *trt*, *c* i *dz* zamiast miękkiego *t* i *d*, zniękczenie głosek *s* i *ž* (*š* i *ž*) ze stratą ilości („Quantität“), akcent na przedostatniej zgłosce. Gwara liptowska nie przedstawia szczególnego wpływu polszczyzny, tylko, podług Dobczyńskiego, w okolicy Ważec, położonych na wschodzie żupaństwa liptowskiego, daje się spostrzegać strata ilości, prócz tego zaś niema i tam żadnego charakterystyczniejszego objawu w tym kierunku. Daleko pewniej natomiast okazuje się wpływ polski w narzeczowych próbach żupaństwa giemerskiego, chociaż tu rzecz zdaje się posiadać inne znamię, aniżeli na terytoryum wschodniem. W próbach narzeczowych giemerskich występuje brzmienie *cz* i *dž* zamiast miękkiego *t* i *d*; w Drienčanach, w południowej części tego żupaństwa, słyszyny nawet drugorzędne brzmienia nosowe, odpadnięcie *l* w partic. acc. czasowników. I i II i inne znamiona. W szczególności dowodzi gwara w Pogoreli, mniej gwara w Szumaczu — obydwie miejscowości leżą na południowym stoku Kralovej Holy—że to... polskie osady. Podług B. Nemcovej (pisarki czeskiej) przychodzi nawet w gwarze okolic miasta Zwolenia i na południu żupaństwa zwolenińskiego *c* i *dz* zamiast miękkiego *t* i *d*. Na zachodzie słabnie wpływ polszczyzny. W północnej Orawie jeszcze teraz mówią czysto po polsku, także północne okolice żupaństwa trenczyńskiego posiadają gwarę (tak zwane „narzeczcie kisuckie“), która bliższą jest polszczyzny aniżeli słowaczyny. W południowo-zachodniej części Trenczyńskiego, w żupaństwie nitrzańskim i preszburkskiem znajdują się także pojedyncze ślady polszczyzny, mianowicie *c* i *cz*... Widząc jak ślady polszczyzny z wierchów i grzebieni gór nieprzystępnych na północy idą ku dołowi i gubią się stopniowo w kierunku urodzajnej doliny naddunajskiej, widzimy w tem obraz pochodów w części polskich, w części bezpośrednich sąsiadów ludu polskiego, zachowany w mowie, w wiernem zwierciadle prastarych ruchów ludowych.“

¹⁾ Lautlehre der slovakischen Sprache.

Dr. Pastrnak, nie mogąc lub nie chcąc wytłómaczyć inaczej śladów polszczyzny w gwarach słowackich, uciekł się do nieco mglistej hipotezy o „pochodach ludowych,“ o których — jak bardzo słusznie dr. Czambel czyni uwagę — nie nie wiemy z doby dziejowej.

Czem więc tłómaczą się te silne ślady polszczyzny w gwarach słowackich i co znaczy stała ludność polska na Górnych Węgrzech, o której osiedleniu się brak wszelkich dokumentowych wiadomości?

Już w przeddziejowej dobie należały Górne Węgry wraz z dzisiejszą Małopolską, Ślązkiem i Morawami do Białej Chrobacyi, co wskazuje na wspólne pochodzenie mieszkańców tych krajów. Jedność nie została zerwaną w pierwszych okresach historycznych, gdyż widzimy zarówno Górne Węgry, Morawy, Małopolskę i Ślązk, jako składowe części państwa wielkomorawskiego, które po jego upadku przechodzą w części na niedługi czas pod panowanie Czechów, poczem tworzą one w X w. znowu wszystkie razem, co każe ich uważać za całość narodową, część Polski i dopiero od połowy XI w. idą w rozsypkę, przedzielane granicami politycznymi.

Ujawniają się też wyraźnie ślady polszczyzny nietylko w gwarach słowackich i ruskich Górnych Węgiei, lecz tak samo w ludowych gwarach Moraw, mianowicie u plemion, zamieszkujących wschodnią i południową część kraju. Najsilniejsze ślady polszczyzny na Morawach widzimy w gwarze Lachów i Wałachów, nieco zaś słabsze u obydwóch najgłówniejszych plemion tego kraju: Hanaków i morawskich Słowaków.

Dla uwidocznienia tego wystarczy przytoczyć kilka morawskich prób gwarowych.

Lacka gwara:

Jeden sy ju milował —
Druhy mu ju wzal.
Jednemu se srdce kraje.
Że ji nie dostał.

.

Ej, co za myśliwee,
Dy nie nie spolował, welmi se frasował,
Stanął se prawie: „Ej, mój mocny Boże!
Bych nie nie spolował byé nie może.

Wałaska gwara:

Swoje liczka przilożila,
Hned obrazek ozdobila:
Stai Łukasz, stai ze spani,
Už je obraz malowani,
Czenstochowu obiecany.
Zaprzahajte šest' par wołu,
Wezte obraz k' Czenstochowu,
Budu lide putowati,
Zdravo tamo nabywati.

Hanacka gwara:

Hanak ma czerwene gatie—to se o nim wi,
On se może wirownati jeneralowi.

Jenerali si jich majodez parado dziwajo,
A Hanaci prze swe prace jich dzewajo.

Słowacka gwara (na Morawach):

Czemu si psa neczwał,	Ked som iszol ces ty hory.
Lebo sam nie bihal.	Szetci wtaszkwowie śpiewali.
Psi nie chcieli szczekać,	Żiadny nie płacze, kaźdi śpiewa.
Ja sam nie moch bihać.	Czos tak Naniuka żalościwa?
Z uterku na strzedu	Jak ja żalostna nie mam być.
Oweczarcziczka wedu	Stroji sa mi galan żenić.
Kaci po ulici	Galan żenić, druhu wzac—
Prosto k' szebenici.	Ej, co ja hrieszna budzem dziełac.

Powyższe przykłady pozostawić można bez wszelkich dalszych uwag. Ślady polszczyzny są w nich uderzające, prawie tak samo, jak w słowackich gwarach na Górnych Węgrzech. Pozwólę sobie postawić pytanie: Jakby brzmiała gwara Podhalan, a nawet ludu krakowskiego, gdyby te ziemie przeszły koleje, przez jakie przechodziły Morawy i węgierska Słowaczyna?

Jestem przeto zdania, że ślady polszczyzny w gwarach słowackich na Górnych Węgrzech są szczątkami pierwotnej jedności narodowej tych ziem, o czem też świadczy wymownie istnienie do dziś dnia polskiej ludności tamże, o której osiedleniu brak wszelkich wiadomości, dlatego, iż to ludność pierwobyła. Powtórzyć należy, że polszczyzna nigdy nie wywierała na słowaczynę nawet w przybliżeniu takiego wpływu, jak czeszczyna, a o Pastrnakowych pochodach polskich na Słowaczynę dzieje zupełnie milczą.

Do tego przedmiotu wrócę jeszcze poniżej.

O gwarach słowackich pisze pomiędzy innemi Szafarzyk: *) „Wziąwszy pod rozwagę język słowacki, jak on żyje w uścich ludu, nie zaś, jak się przejawia w dziełach pisarzy słowackich (ich język jest bowiem więcej lub mniej zesłowaczoną czeszczyną), spostrzegamy trzy jego główne różnorodności: 1) prawdziwą słowaczynę w żupaństwie turczańskim, orawskim, liptowskim, zwoleńskim, barskim, nowogradzkim, borodzkiem, giemerskiem i w osadach słowackich, pochodzących z tych żupaństw na Dolnych Węgrzech; 2) morawsko-słowacką odmianę w żupaństwie preszburskiem, nitrzańskim i trenczyńskim, jako też w osadach słowackich na Dolnych Węgrzech, pochodzących z tych żupaństw;

*) Geschichte der slawischen Sprache und Literatur. Ofen 1820.

3) polsko-słowacką odmianę w części żupaństwa orawskiego, na całym Śpiżu, w Szaryszu, Abauji i Ziemiinie.⁴

Szafarzyk wspomina też o czterech zboczeniach słowaczyny, mianowicie: o gwarze niemiecko-słowackiej na Śpiżu w okręgu miast górniczych, madyarsko-słowackiej w słowackich osadach na Dolnych Węgrzech, rusińsko-słowackiej w żupaństwie abaujeckiem, ziemlińskiem i beregskiem i serbsko-słowackiej w Baczce i Banacie, jakoteż o podrzeczach: sotackiem, hanackiem (w żupaństwie preszburskiem), trpackiem (w żupaństwie honckiem), krekackiem (w żupaństwie giemerskiem), zahorackiem, podhorackiem i t. d.

W grupie gwar polsko-słowackich znajduje Szafarzyk polskie *dz* i *c* zamiast słowackiego *d* i *t*: idzem, budzem, następnie wiele czysto polskich słów, odmian i form: barz zamiast welni, palec zamiast prst, droga zamiast cesta, hyba, choc, szukac zamiast hledat, widzałem, świnią i t. p.

Szembera ¹⁾ pisze o gwarach słowackich: „Podrzecza wschodnie rozszerzone są na Śpiż, w Szaryszu, jakoteż w żupaństwie abaujeckiem i ziemlińskiem. Na Śpiżu i w Szaryszu zbliżają się bardzo do polszczyzny, w dwóch ostatnich żupaństwach bliższe małoruszczyźnie.“

Główne znamiona gwar na Śpiżu i Szaryszu polegają na tem, że akcent spoczywa na przedostatniej zgłosce, samogłoski w przeciwieństwie do czeszczyzny zawsze się skrótują; *z*, *s*, *t* zseplawia się na *ž*, *š*, *č*: ciepły, čma. łązić, (lezti), w lesie; *ž*, *sz*, *cz* zamiast *z*, *s*, *t*: żeleny, oszika, poszwiczun, czeżki; *dz* zamiast miękkiego *d* i *d*: budzece, dziwy; *e* niejotowane w przymiotnikach: ciche hodziny, hole briżki, dobroho pana; *u* zamiast *o*: un (on), nus (w 2 przypadku nosa); *o* zamiast *e*: czomu (czemu), sobu; *ł* zamiast *l*: łuka, wydał; *do* zamiast *ku*, *k*: do pana (nie k'panu); *g* zamiast *h*: głupi (cz. hloupi), głupak, gadać, gałous, garnec, gensti, genšle, go, grób, gadze (świnie), guzicki, gwozdzicki i t. p.; wkładane samogłoski: tarhać (cz. trhati), ziarno, uszmiercić, Tyrnawa, nie Trnawa, pułny (pełny); mówią: buł, buli, zamiast: był, byli, zwłaszcza w Szaryszu; *a* zamiast *e* na Śpiżu: trhama, chodzima; *u* w instrumentalu słów rodzaju żeńskiego: tu silnu ruku. W Ziemińskiem mówią: maje zamiast mati, majceri zamiast matteri, hojscina zamiast hostina; *e* zamiast *i* w trybie bezokolicznosciowym, tak samo jak w żupaństwie gemerskiem: robec; przedstawka naproci (przeciw) łączy się z 4 przypadkiem: naproci otca

¹⁾ Dialektologie.

i occa, „prociwko mudre redzeni Boże.“ Tak samo mówią często w Giemerskiem i w Nowogradzkim... Mówią z polska: bym, bi-lić (bielić), bruch (brzuch), dudek (grosz), trimać (trzymać), welo ludzi (wiele ludzi), sosna i t. d. i t. d. Mają też niektóre własne wyrazy narzeczone: breh, briżek—wirsch, hutoric—mówić, niet—nie, rucić albo ruczać—chodzić, sieło albo sielica, dryżny—piękny, jako też wyrazy odrębne, które się znajdują we wszystkich gwarach i małoruskich zakarpaccich jak: niet (nie), czo, nicz (co, nic); lem, łem, ljem (tylko), ¹⁾ walal, wolal, wałal i wołal (wieś, dziedzina)... Na ziemi humeńskiej, jako też w miasteczku Sninie i we wsiach: Dłuhu, Bielu, Udawce (Udawske) i Papcu można dostrzedz następujące właściwości: s zamiast c w słowie so (co). Z tego powodu zowią mieszkańców tych okolic „Sotakami.“ Używają też c zamiast t: ceper (teraz), cirne (czarne), cahajte (ciągnijcie), uceknut (uciekł), mać (mieć) i t. p. Posiadają też własne wyrazy: kalup (kapelusz), postaw (sukno), jarek (rzeka), obłok (okno) i mówią też z polska: kowal albo kowacz, ślub, wesele i t. d., jako też z ruska: beszedować (gawędzić), dohovorac se (dogadać się) szleboda (swoboda, wolność), szlebodny (swobodny, wolny), bułszmy tam (bywszy tam) i t. d.

A. Bel, ²⁾ I. Csaplovics ³⁾ i Hodza ⁴⁾ dzielą narzecza słowackie na: 1) czesko-słowackie (w żupaństwie preszburskiem, nitrzańskiem i trenczyńskiem, jako też na Morawach południowo-zachodnich); 2) środkowo-słowackie (w żupaństwie turczańskiem, liptowskiem, zwoleńskiem, tiechowskiem, nowogradzkim, honckiem i gemerskiem) i 3) polsko-słowackie (w żupaństwie orawskiem, spiskiem, szaryskiem, ziemlińskiem i abanjeckiem. Dr. Zawiliński pisze o języku słowackim: „Można to śmiało powiedzieć, że ma tyle narzeczy ile komitatów, w których Słowacy mieszkają, zwłaszcza to twierdzić można o komitatach górskich; — na Słowaczyźnie mówiono mi z uśmiechem: „U nas tyle narzeczy i podrzeczy, ile prawie większych dziedzin (wsi) słowackich“—inne są właściwości w Treńczyńskiem, inne w Orawskiem, inne w Zwoleńskiem lub Liptowskiem, ale w gruncie rzeczy jest to ten sam język. Uczeni Słowacy połowy bieżącego stulecia wyróżniali trzy głów-

¹⁾ Polskie li, pokrewne temu.

²⁾ Compendium Hungariae geographicum 1753 r. Hungaria antiquaet novae Prodromus 1727.

³⁾ Gemalde von Ungarn, 1829.

⁴⁾ Der Slovak. Praga, 1849.

ne narzecza: zachodnie, środkowe i wschodnie, z których narzecza komitatu turezańskiego uznali za najczystsze i wzięli za podstawę języka literackiego... Tymczasem podług dawniejszych zasad podzieliwszy cały obszar języka na trzy główne narzecza, zaznaczamy, że stosownie do zetknięcia się języka słowackiego z tym lub owym sąsiadem-bratem, nabierają gwary wiele jego właściwości, zbliżających je do języka pobratymczego. I tak jest to już rzeczą naukowo stwierdzoną, że w komitacie nitrzańskim, trenczyńskim, graniczącymi z Morawami, wsi mają właściwości morawskie.“

Trudno się zgodzić z ostatniem twierdzeniem d-ra Zawilińskiego, mianowicie, że na pograniczu bliskość gwar słowackich z zakarpackimi sąsiadami rozstrzyga o ich znamionach, co miałyby być wynikiem tylko wpływu sąsiedzkiego. Wistocie rzeczy gwary ludowe są mniej więcej po obydwóch stronach Karpat blizkie siebie, lecz tego nie można uważać za wynik wpływu, tylko w tem właśnie tkwi dowód jedności pierwotnej narodowej ludów po obydwóch stokach gór. W Trenczyńskim np. widzimy te same ślady polszczyzny, jak w przylegającej do tej ziemi części Moraw. Ażeby daleko nie szukać, wystarczy powołać się pod tym względem na przytoczoną przez d-ra Zawilińskiego piosnkę „słowacką,“ przepelnioną polonizmami, podobnie jak mowa Moravian po drugiej stronie Karpat.

Oto wrzekomo „słowacka“ piosnka:

Pani mamó hersko cere macie,
 Prze co wi jo s nami przepoślecie?
 Tam wasza cera w szczirem polu stoi,
 Tam pleje ona rozmarin zieleny, tam.
 Husarici kied ona do końca dopleła,
 Piené huzarów na koniu widziela, tam.
 Husarici, prze Boga żywego,
 Widzieliście mojego miłego, tam?
 Widzieliśmy, ale nieżywego,
 Leży szabla kolo boczka jego, tam?
 A ten konik drobna nożko kracze,
 Jeho mila przewielice płacze, tam.

W pieśni tej „słowackiej“ znacznie więcej polszczyzny, niż słowaczyzny, dlatego trudno pojąć, dlaczego d-r Zawiliński przytacza ją jako pieśń słowacką a nie polską.

W dalszym toku, po przytoczeniu prób gwarowych ze Spiża i z Szaryszu, pisze d-r Zawiliński: „Już z tych przykładów można

poznać, że język słowacki ma wiele wspólności z polskim. W samogłoskach mają niektóre nosówki (*a* i *e*) lub ich odpowiedniki: *om*, *on*, *em*, *en* i *un*, w spółgłoskach mają: *č*, *dž*, *š*, *ž* i *ť* zamiast *l*... W ogólności, jak niektórym Polakom wydaje się czeszczyzna jakby jakąś zepsutą i pokaleczoną polszczyzną, tak jeszcze więcej czyni na zwykłego podróżnika to samo wrażenie język słowacki, zwłaszcza, jeżeli i akcent jest polski na przedostatniej zgłosce."

Wschodnie słowackie narzecza wogóle są tak blizkie polszczyźnie, iż mogą być bardzo dobrze poczytane za polskie. Środkowe zaś, stanowiące przejście do zachodnich, najbardziej przez czeszczyzną zepsutych, są zawsze jeszcze bliższe polszczyźnie, niż czeszczyźnie.

Gwara turczańska w szczególności, tworząca podstawę słowackiego języka literackiego, jest równie bardzo zbliżona do języka polskiego. W turczańskim Świętym Marcinie, duchowej stolicy słowackiej i w okolicy, może każdy Polak porozumiewać się łatwo z ludźmi miejscowymi. Zrobiłem osobiście to doświadczenie, bawiąc w tem mieście. Podczas przechadzki po mieście przeczytałem na jednym ze sklepów następujący napis: „Zposredkuje sie osadzanie obrazow do ramow, okladanie (*l* wymawiają tu wyraźnie jak *ł*) za sklo a naprawianie obrazow lacnie a rychlo.“ Zdumiałem się, gdyż napis z wyjątkiem jednego wyrazu, t. j. „sporedkuje“ zamiast pośredniczy, brzmiał po polsku. Gdy wieczorem tego dnia znalazłem się w kasynie Narodniego Domu w towarzystwie Słowaków, pomiędzy którymi znajdował się p. I. Szkalteti, redaktor najpoważniejszego słowackiego miesięcznika naukowo-literackiego: „Slovenske Pohľady,“ zarazem jeden z najlepszych słowackich językoznawców — wyraziłem w rozmowie z nimi swe zdziwienie z powodu odkrycia powyższego napisu, który, jak rzekłem, mógłby być poczytany za polski z wyjątkiem tylko wyrazu „zposredkuje.“ Na to uśmiechnął się p. Szkalteti i odrzekł:

— Ten jeden wyraz tylko zaczerpnięty z naszego literackiego języka, wszystko inne w miejscowej gwarze ludowej.

Drobny wprawdzie przykład, nie mniej przeto bardzo znamienny.

D-r Czambel pisze o wschodnio-słowackich narzeczach: „Mowa wschodnich Słowaków jest dwojaka: samoswoja, posiadająca wszystkie właściwości słowackiej mowy i w swej podstawie jednolita — i pomieszana, która dotąd niezdolała z pomieszania różnych języków albo narzeczy skryształizować pewną stałość, a w której dotąd nie stwierdzono wszystkich znamion języka słowackiego. Że pomieszane gwary różnią się podług gmin i okolic, wpływa

to już z ich istoty. Lecz także gwary samoswoje różnią się, głównie w pasie nadgranicznym, gdzie ostatnie wsie stykają się z najbliższymi innojęzycznymi, jako też wśród swojego uziemia ¹⁾ (terytorjum), gdzie innojęzyczne osady, ruskie lub polskie, nie przystosowały się jeszcze zupełnie do swego otoczenia słowackiego. Pomieszane gwary istnieją: 1) w żupaństwie ziemlińskim i ungskiem. Gwarę tę zowiemy podrzeczem ziemlińsko-ungskim; 2) w południowo-zachodnim kącie Spiża, a gwarze tej nadajemy miano podrzecza lucziwniańskiego.⁴

W szczególności należy nam zwracać uwagę na wschodnio-słowackie narzecza, które po rzekę Toplę stanowczo są polskie. D-r Czambel, który pomiędzy pisarzami słowackimi odznacza się stosunkowo największą przedmiotowością i sprawiedliwością wobec żywiołu polskiego, zalicza na Śpiżu wsi: Hnilca, Daniszowice, Odorin, Bratowce, Markuszowce, Smizany i Podlechnice albo Szwabę do miejscowości, zamieszkałych przez ludność słowacką. O ile jednak lud tych osad jest rzeczywiście słowacki, najlepiej poznać można z miejscowych pieśni ludowych. Przytaczamy niektóre przykłady ze zbioru słowackiego etnografa, St. Miszika.²⁾ Oto:

Z Hnilca:

Ej, ked'ja z huri do dolini zajdziem,	Hore, dolinkami, siwi konik biezi,
Ej, taku si ja frajerezku znajdziem.	Uż mój mili ocec w czarnej ziemi lezi,
Ej, czarne oczka, biele liczka miała,	Lezi mi on, lezi, uz mi wiac nie wstanie;
Ej, ozdaj ich si odmalowac dała.	To moje serdeczko plakać nie przestanie.

albo:

Z Daniszowiec:

Czerwieni kahel, bieli piec,	Ułapila kuru na mosec,
Moja matka nie zna hlieba piese,	Wytrepala kuru po hwosec:
Sem tu jednu kuru upiekła;	Preczo szí sie kuro nie piekla,
I ta jej z pieca uciekla;	Ale szí won z pieca uciekla.

albo: — „Haniczko, dusziczko, poc że do kosecla.“
 — „Nie idziem, bo som fczera boła.“
 — „Haniczko, dusziczko, poc że do karczmiczki.“
 — „Poczkaĵ mie Janiczko, obujem ciżmiczki.“

¹⁾ Ten wyraz słowacki moglibyśmy bardzo dobrze przyswoić językowi polskiemu zamiast obcego używanego wyrazu.

²⁾ „Piesne ludu slowenskeho.“ Soszit I. Piesne zo Spiża. Wyd. Muzealny Spolecznosti. Turezanski Sw. Martin.

Z Odorina:

Prileciał ptak z huri ku okienku,
A zawołał na swoju frajerku:
Czi spisz miła, czi czujesz?

A na hrob daj kriżik na znamienie
Ze tu leži twoje pocieszenie
Už twój mili wiwojował.

.....

albo:

Moja miła z czarnima oczima
Zarobiła trista zlati z niema,
A ja robiu jak najbardziej możem,
Trista zlati zarobic nie możem.

albo:

Poniżej Liewoczi, tam sie woda toczy,
Hto niema frejera, tu niech do niej skoczi,
Głupia bi ja buła do tej wodi skakać,
Pri jedno ladaco drobne repki łapać.

Z Bratowic:

— „Sziroki jareczek, bistra wodziczka.
Napoj mi, miła, mojho koniczka.“
— „Ja ho nie napojem.
Bo ja sie ho bojem, bo ja sie ho bojem,
Bo ja je maluczka.

albo:

I szła stara baba z Koszic,
Dała sobie cziżmi podszie,
Podszie, podszie i podkowac,
Żebi mała f czim tancowac.

Z Markuszowic:

Kebi ja miał, co ¹⁾ wi macie,
Jabi wam dał, co nie macie
Jabi wam dał konie wrane
Za to dziefcze malowane.

albo:

Co budzem robic z tima babami,
Idzeme do karczmi, oni za nami:
Mi sebe kupime, oni wipiju,
A jak przidze płocić, to sie pokriju

Ze Smizan:

Boże, Boże, jaki žal!
Ku mnie hodził, a druhu wziął
Ku mnie hodził ze dwe zimi,
Teraz druhej dre perini;
Ku mnie hodził za tri roczki.
Teraz druhej seiska boczki;
Ku mnie hodził za tri sztwerci,
Ku tej budze aż do smerci.

albo:

Za naszimi humni magerancyk bujni,
Fto sce do nas hodzie, musi bic bar szumni.
A za naszium humnom mageran kandrati²⁾
Fto sce do nas hodzie musi bic bohati.
„Kupże mi, mili moj, co ce budzem pitac,³⁾
Klateczku strebernu, serdeczko zamikac.“
„Na co że ci miła streberna klateczka?
Szak ja som klucziczek⁴⁾ od twojho serdeczka.“

.....

¹⁾ We wszystkich gwarach słowackich mówią: czo zamiast co, niez zamiast nic.

²⁾ Kandrati = strzępaty, strzępisty, po słowacku: strapati. Na uwagę zasługuje nowe brzmienie: an.

³⁾ Pitać = prosić. Wyraz ten znajduje się również w gwarze podhalskiej.

⁴⁾ Po słowacku: zamoczka.

albo: Kied som iszoł od mej milej,
 Eszczi nie był dzen,
 Widział ja tam szwarne dziefeze,
 Pleło ono len.

Z Podlechnicy albo ze Szwabów:

Zahucala dimbrowa,	— „A cemuz te ftedi nie plakała,
Zahucol i las.	Ked jef czy go broł?“
— „O co płaces nadobna dziewecko?	— „A jakze go ftedi plakać miała,
Ci czy wionka zol?“	Ked zes sie te smioł?“
— „Zol mi wionka, złotego piercionka	
Po cos mi go broł?“	

albo:	albo:
Jedenasto godzina,	Hop, ciup, na dolinie:
Odprowadz mnie ma mila,	Beł Jaś przy Marinie;
Odprowadz mnie mindzi dimbi,	Trzeba Jasia po czuprznynie,
Dom czy cukru na dwa zembi.	Niech nie chodzi ku Marinie.

albo: — „Mamuś moja, mamuś, wedaj mnie za Jasia.“
 — „Spodobali ci sie guziczki u pasa?“
 — „Mamuś moja, mamuś, dajcie ze mnie za muž,
 Bo ja już werosła, jako w lesie galuńś.“
 — „Choć beś te werosła, jako w lesie jodła,
 To ja ciebie nie dom, boś te sama jedna.“

albo: Od Krakowa jadom, w Meśłowicaf grajum,
 Jescef z konia nie zlož, juz mi dziefce dajum,
 Jak dajum, tak dajum, takiego durbaka:
 Posła krowi doie, siodla pod bujoka.
 Jak doi, tak doi, a bujak ji stoi;
 Ki to za czert krowa, co mluka nie dawa.

albo: — „Kasiu moja, serce moje,	— Kasiu moja, serce moje,
Fto po stajni hodzi?“	Przeco łózko skrzypi?“
— „Ha, ha, ha, tuli, tuli, tom,	— „Ha, ha, ha, tuli, tuli, tom,
Jaś konicka pojł.“	Bo ze suhej lipi.“
— „Kasiu moja, serce moje,	— „Kasiu moja, serce moje,
Fto po sini puko?“	Przeco krótko suknió?“
— „Ha, ha, ha, tuli, tuli, tom,	— „Ha, ha, ha, tuli, tuli, tom,
Kotek meske suko.“	Krawiec ukrod sukno.“

albo: Kumosza kumuszi gorzolecke nosi,
 Kumosza nie fce pić, gniewa sie o cosi.
 Dzie sie kurzi, tam sie kurzi
 Mojej milej z komina;
 Fcora wieczor geusi piekla,
 Zgorzała jej pierzyna.

Jeśli pieśni podlechickie są słowackie—a jako takie przytacza je Miszik, psując pisownią słowacką brzmienia gwarowe—to, zaiste, cały lud polski jest także słowacki.

Miejscowości, których pieśni ludowe przytoczyłem ze źródła słowackiego, są, jak każdy osądzić może, nie słowackie lecz polskie, choć gwara tu i owdzie popsuta, co łatwo sobie wytłómaczyć. Miszik idzie w zaborze polszczyzny na rzecz Słowaków jeszcze dalej, przytaczając ze Śpiża jako słowackie pieśni ludowe, nawet z takich miejscowości, które d-r Czambel uznaje jako czysto polskie, jak np. ze Słowiańskiej Wsi i z Magury Spiskiej.

D-r Czambel stwierdza dalej, że w narzeczach wschodnio-słowackich znajdują się brzmienia głosek: *ł, s, ć, d, dź, dź*, co niezawodnie stanowi w nich znamie polszczyzny. Z powyżej przytoczonych prób gwarowych widać, iż nie brak też w nich brzmień nosowych, że *g* zastępuje często słowackie *h*, a tak samo *rz* słowackie miękkie *r*, co razem stanowi dowód, iż w gwarach tych znajdują się wszystkie właściwości polszczyzny, nietylko zaś pod względem pisowni, lecz z drugiej strony także gramatycznie i słownikarsko przebijają z nich polszczyzna wyraźnie.

G. SMÓLSKI.

SZKOŁA POLSKA

przed czterdziestu pięciu laty.

Gdy w r. 1881 Józef Seweryn Zdzitowiecki dokonał swego długiego, pracą i wielką zasługą dla kraju wypełnionego żywota, pozostała rodzina zaszczyćiła mnie wezwaniem, abym przejrzał i uporządkował pozostałe po nim papiery. Jednym z pierwszych dokumentów, który wpadł mi w ręce, było nadzwyczaj starannie i troskliwie przechowane świadectwo ukończenia szkoły wojewódzkiej lubelskiej, wydane Zdzitowieckiemu w r. 1818. Na pięknie litografowanym pergaminie w pierwszym wierszu widniały słowa: Lecturis salutem. Dziwnie przejmujące wrażenie wywołało we mnie to pozdrowienie z odległej przeszłości, jak gdyby z zapadłej mogiły wychylił się ktoś bardzo swój i bardzo szanowny i słowem życzliwym przemówił do dalekiego potomka z ducha.

I znowu, po latach niemal trzydziestu, zabrzmiało mi podobne przywitanie. P. H. Wójcicki w zeszycie majowym Biblioteki Warszawskiej wspomniął rzewnem słowem tę samą szkołę lubelską, tę moją szkołę, która dzisiaj, z tak wielkiej odległości czasu, wygląda mi doprawdy „jak sen jakiś złoty.“ Dlaczegoż błogie tego snu wspomnienia tak ciężko zatruwają mi obrazy lat następných, w których, nie będąc już wprawdzie bezpośrednim współuczestnikiem, byłem wciąż blizkim i najgoręcej zainteresowanym świadkiem zmian, zachodzących w naszym szkolnictwie, a zarazem—w umysłach i usposobieniach młodzieży. Nie jestem z zawodu ani historykiem ani pedagogiem, ale zdaje mi się, że i proste opowiadanie, utrzymane w tonie zupełnej przedmiotowości, rzucić może trochę światła na pewne, ze szkołą związane, zagad-

nienia dzisiejsze, zwłaszcza, że dotyczyć ma czasów także wyjątkowych i szkoły, jakiej poprzednio nie znaliśmy w kraju.

Sądząc z treści opowiadania, p. Wójcicki pamięta ostatnie lata szkoły lubelskiej w gmachu jezuickim. Ukończył ją, zanim się przeniosła do nowego budynku. Dziwnym zbiegiem te przenosiny zeszyły się prawie zupełnie w czasie z wypadkami, dotyczącymi nietylko szkolnictwa, ale i całego ustroju naszego społeczeństwa, z dołą, od której przyszedli dziejopisowie liczyć będą może pewien okres w historii naszej. Ja zacząłem swoje lata szkolne już w nowych murach i w samą wigilię reformy Wielopolskiego. Przebyłem jednak i krótkotrwałą fazę przejściową.

Autorowi opowiadania o „Szkołach przed pół wiekiem“ pamiętać nie dopisała, o ile mi się zdaje, w jednym punkcie. Wspominając o rezurekcyi w katedrze lubelskiej w r. 1861, mówi, że wtedy właśnie poraz pierwszy wykonany był publicznie hymn Felińskiego. Ja tę rzecz pamiętam nieco inaczej: zanim jeszcze wstąpiłem do szkół, słyszałem tę pieśń w r. 1860 na nabożeństwie majowym w kościele Kapucynów. Uczniowie śpiewali ją, a tekst, przepisywany na kartkach, rozdawali publiczności. Śpiewali ją też w Warszawie i w całym kraju razem z innymi pieśniami nietylko w kościołach. I nie na śpiewach kończył się ruch umysłów młodocianych. Zbierali się starsi na nieskończone gawędy i rozprawy, którym tematów dostarczały wypadki współczesne, a młodszy, pod starszych przewodnictwem — na naukę historii Polski z czasów ostatnich i na odczytywanie utworów, przez cenzurę zabronionych. I to trwało przez cały rok 61 i, obok przygotowań do ostatecznego spolszczenia szkolnictwa, było jedną z przyczyn, że szkoły w Królestwie w tym roku miały niezwykle długie wakacje, ciągnące się od lipca aż do lutego następnego 1862 r., t. j. siedem miesięcy.

W lutym 1862 r. zaczyna się moja opowieść właściwa. Budynek szkolny, który, według p. Wójcickiego, był przyrzeczony uczniom przez ministra Norowa, już od dwu lat prawie oczekiwał na przyjęcie właściwych gości. W oczekiwaniu ich mieścił w sobie w ostatnich dniach sierpnia 1860 r. pierwszą w Królestwie (i na długo ostatnią) wystawę przemysłowo-rolniczą prowincjonalną, urządzoną staraniem Towarzystwa Rolniczego i uroczystie otwartą przez jego prezesa, Andrzeja Zamoyskiego. Gmach był obszerny i na użytek szkolny dobrze obmyślany. Na wysokim parterze znajdowało się w nim kilkanaście sal bardzo dużych, wysokich, opatrzonych ogromnymi oknami i rozłożonych po dwu stronach szerokiego, widnego korytarza. Powietrza i światła nie

brakowało, a wszystkie klasy mieściły się doskonale na tym jedynym poziomie. Wystarczało jeszcze miejsca na dużą bibliotekę, laboratorium chemiczne, gabinety fizyczny i mineralogiczny, na kancelaryę i poczekalnie nauczycielskie. Piętro mieściło ogromny lokal na „pensjonat“ (internat) i parę mieszkań dla przełożonych szkoły. Pod całym budynkiem były widne i suche sutereny, w części należące do pracowni chemicznej, a zresztą przeznaczone na składy i mieszkania dla służby. Korytarz tych suteryn, widny i ogrzewany, służył podczas niepogody do zabawy i przechadzki w przerwie między lekcjami, kiedy nie można było korzystać z dużego zadrzewionego częściowo dziedzińca, na którym były także przyrządy gimnastyczne.

Na tem tle świeżem i wesołem dziwnie wydawał się dawny dyrektor gimnazyum z czasów Mikołaja I, starzec już wtedy sędziwy, Józef Skłodowski, ojciec dobrze zapisanego w dziejach szkolnictwa przyrodnika, Władysława, a dziad znakomitej pani Maryi Curie. Dyrygował szkołą za czasów, kiedy „Duch święty radził,“ a władza wyższa nakazywała „różdżką bić dziecięcki,“ a tej radzie i temu nakazowi posłuszny był ponad ich wymagania. Teraz czuć było w powietrzu dziwne jakieś powiewy, niezrozumiałe dla pedagoga starego autoramentu. Nie wytrzymał ich dłużej nad ten jeden krótki rok szkolny.

W r. 1862 szkoły w Królestwie pozyskały nową ustawę i organizację, dzieło Wielopolskiego. Słyszałem nieraz, chociaż nie wiem, czy wiadomość ta ma jaką podstawę rzeczywistą, że Wielopolski ze szkoły lubelskiej chciał uczynić pewnego rodzaju stacyę doświadczenia dla swych pomysłów. Bez wątpienia w piśmiech peryodycznych z owego czasu musiały być ogłoszone zasady, któremi kierował się w urządzaniu swego „Liceum,“ oraz plan szczegółowy nauczania i postępowania w tym zakładzie. Powtarzam jednak — jako nie historyk ani pedagog, z żalem tylko zaznaczyć muszę, że dostępne dla mnie próby bliższego obeznania się z tą sprawą spotkały się z zupełnem niepowodzeniem. Wnioskuję z tego, że historia reformy szkolnej Wielopolskiego jest u nas zamała spopularyzowana, z wyjątkiem może Szkoły Głównej, o której w czasach ostatnich wyszło trochę wspomnień ściśle opracowanych. Ta okoliczność niech posłuży za wytłómaczenie, że w tych notatkach, z pamięci pisanych, znajdują się napewno usterki i niedokładności. Może one pobudzą kogo do opisu gruntowniejszego i opartego na źródłach.

Program nauk licealnych był humanistyczny w zasadzie i zakresie ogólnym, ale z szerokiem uwzględnieniem nauk ścisłych

i przyrodniczych. Pierwsze cztery lata dawać miały przygotowanie ogólne, o tyle w sobie zamknięte, że istniały nawet oddzielne świadectwa z ukończenia klas czterech, wydawane na zasadzie egzaminu z ich kursu. Od piątej klasy począwszy, szkoła dzieliła się na dwa oddziały: filologiczny i techniczny. W ciągu pierwszych czterech lat młodzież uczyła się: religii z historią biblijną i nauką o moralności, języka polskiego, rosyjskiego, łaciny (od 3-ej klasy dopiero), francuskiego, niemieckiego, historii powszechnej, historii Polski, geografii, nauk przyrodniczych opisowych (zoologia w 2-ej klasie, botanika — w 3-ej, mineralogia — w 4-ej), arytmetyki, geometrii (płaskiej w 3-ej klasie, stereometrii — w 4-ej), algebry (od 3-ej klasy). Zaczynając od klasy piątej, dla filologów przybywała greczyzna, powtórny obszerniejszy kurs historii; dla techników — wyższe działy matematyki, chemia, powtórny kurs nauk przyrodniczych, z początkami anatomii, fizjologii i geologii; oba oddziały miały jednak wiele wykładów wspólnych, między innymi fizykę, kosmografię, logikę, historię literatury polskiej. Kurs nauk był siedmioletni.

Sposób nauczania miał na celu rozwój wszechstronny umysłu. Łacina, ta straszna, przeklęta łacina, wyszukana tortura moich młodszych braci, dla mnie, w moich wspomnieniach przynajmniej, nie miała w sobie nic przerażającego. Miałem z nią do czynienia po trzy razy na tydzień i nie doświadczałem na sobie okropności wyjątków gramatycznych, ani kłęski ekstemporalistów. Doszedłem jednak do tego, że czytanie autorów klasycznych nie było dla mnie zbyt trudne, i nawet dzisiaj, po tak długim czasie całkowitego zerwania wszelkich stosunków z mową Rzymian, nie lękam się jej, z pomocą, naturalnie, słownika. Moi młodzi przyjaciele i dziś jeszcze zwracają się czasami do mnie o radę w miejscach trudnych do przetłómaczenia. Nie mówię tego w celu chętnienia się bezużyteczną obecnie dla mnie umiejętnością, ale dla porównania, młodzież bowiem z okresu apuchtinowskiego, obkuczana łaciną od klasy pierwszej, jeżeli nie wstępnej i uszczęśliwiana dziewięcioma jej godzinami na tydzień, w parę lat po skończeniu tych katuszy — twierdzą to stanowczo — nie rozumiała już najprostszego zdania łacińskiego. A że duch klasycyzmu stał się całkowicie obcym dla tych nieszczęsnych pokoleń, zapewne nikt u nas wątpić nie może. — Wogóle ten system nauczania, a zresztą nie wiem — może tylko ten dobór nauczycieli, jakim cieszyliśmy się w Lublinie — miał jeden skutek ważny i bardzo pożądany: Oto uczniowie od najwcześniejszych lat byli wdrażani do odróżniania rzeczy głównych od podrzędnych i treści istotnej od formy. Przy-

zwyczajano ich także do postrzegania łączności pomiędzy najdalszemi nawet pozornie dziedzinami wiedzy, a również pomiędzy tem, co daje nauka szkolna a tem, co przynosi życie praktyczne.

Czy liceum lubelskie było doświadczeniem udanem, zdaje mi się, wyrokować niesposób. Było raczej początkiem doświadczenia. Zakrótko trwało, w zbyt ciężkich czasach żyło, w podnieceniu nerwowem, w ekstazie. Musiało też liczyć się z mnóstwem możliwości i oczekiwać nieustannie na coraz nowe próby eksperymentatora.

Na czele zakładu stała rada pedagogiczna, której przewodniczył rektor liceum. Do atrybucyj tej rady należał ogólny bieg nauczania, więc i doprowadzanie do zgodności pomiędzy wykładami nauczycieli, i czuwanie nad metodami nauczania i, w razie potrzeby — proponowanie zmian lub ulepszeń w tych metodach. Referentem w tych sprawach był rektor, obowiązany do odwiedzania lekcyj i kontroli pedagogiczno-naukowej nad uczącymi. Nadzór nad postępowaniem młodzieży w obrębie gmachu szkolnego należał do prefekta liceum. Poza szkołą młodzież była pozostawiona staraniom rodziców i opiekunów, których zachęcano do porozumiewania się z władzami szkolnemi. Kara cielesna, wogóle usunięta, w razach bardzo wyjątkowych mogła być stosowana w klasach najniższych z rozporządzenia rady pedagogicznej. Areszt był najwyższą z kar zwykłych i mógł trwać tylko niewielką liczbę godzin. Dla klas najniższych utrzymana kara kłęczenia.

Był też w liceum internat, zwany „pensjonatem,“ pozostający pod kierunkiem inspektora pensjonatu. Trwał, jeżeli się nie mylę, rok tylko, był nieliczny i nie wyrobił sobie uznania — nie wiem, dlaczego.

Pomimo siedmioletniego kursu, klas było właściwie dziesięć, jeżeli przypomnimy sobie, że w trzech najwyższych było po dwa oddziały. Przedmiotów wykładowych była mnogość wielka, a oprócz tego pensjonat wymagał też liczego dla siebie personelu. To wszystko sprawiało, że ciało nauczycielskie składało się z liczby osób daleko znaczniejszej, aniżeli to zwykle widzimy w średnich zakładach naukowych. Na liczbę tę składali się: przedewszystkiem nauczyciele dawniejszego gimnazjum, przeważnie ludzie starsi, poważni i wyrobieni; dalej — kilku nauczycieli ze zniesionej w 1862 r. szkoły czteroklasowej realnej, t. zw. powiatowej; następnie — znaczna część nauczycieli zamkniętego na kilka lat przedtem gimnazjum szczeczeskiego, które, jako ostatnia pozostałość akademii zamoyskiej, istniało do owego czasu w Szczeczeszynie

w ziemi lubelskiej. ¹⁾ Ale i tego było mało. Wielopolski pragnął oprzeć szkołę polską na podwalinie zachodniej, a że klasycyzm uważał za element zasadniczy w wykształceniu średnim, ze szczególą troskliwością dobierał nauczycieli przedmiotów klasycznych. Dopomagała mu w tych zamiarach mądrość polityczna „losu,“ tego dziwnego losu polskiego, który sprawił, że akurat wtedy, kiedy w Królestwie tworzyć się zaczęła szkoła polska, rząd Księstwa spostrzegł niebezpieczeństwo, grożące państwu pruskiemu ze strony nauczania w języku narodowym i na gwałt rozpoczął germanizację szkół tamtejszych. Usuwanych nauczycieli poznańskich, przeważnie dobrze wykształconych filologów, rząd Królestwa przyjmował chętnie i z ich liczby paru przysłał do Lublina. Nie było więc w liceum tego braku, na który żaliły się w owym czasie wszystkie pozostałe szkoły w Królestwie, braku odpowiedniej liczby uzdolnionych pedagogów. Pod tym względem szkoła nasza znalazła się w warunkach istotnie wyjątkowych, bo wszakże przed laty czterdziestu kilku społeczeństwo nasze nie miało nadmiaru ludzi fachowo przygotowanych do stanu nauczycielskiego. Wszakże to już od trzydziestu paru lat nie mieliśmy w kraju szkół wyższych. W uniwersytetach cesarstwa przyjmowano ograniczony, niewielki procent Polaków, a że ogólna liczba uczniów w ówczesnych uniwersytetach rosyjskich była bardzo niska, procent ten wynosił na całe państwo zaledwie po kilkadziesiąt osób rocznie. Zagranicę wyjeżdżać prawie nie było możliwości, gdyż pasport otrzymać mogli tylko ludzie mający wysokie stosunki osobiste i protekcyjne, a obok tego opłata pasportowa wynosiła 500 rubli. Nauka uniwersytecka była bardzo trudno dostępna dla mniej zamożnych, ponieważ dla młodzieży polskiej, studyjacej w szkołach wyższych cesarstwa istniało tylko 24 stypendyów, utworzonych z funduszków Komisji Edukacyjnej. ²⁾ Jednak, rzecz dziwna, pomimo niskiego poziomu wykształcenia naukowego, kraj nie wpadał jakoś w stan zdziwienia, a w chwilach potrzeby znajdował zawsze ludzi, którzy chcieli i mogli brać na swe ramiona brzemię służby obywatelskiej. Nie do mnie należy sądzić, jak

¹⁾ Ordynacya zamoyska wypłaca dotychczas na utrzymanie szkoły szczebrzeskiej po 6,000 rb. rocznie. Zapomogę tę obecnie otrzymuje korpus kadetów im. Suworowa w Warszawie.

²⁾ Stypendya te, przeniesione w r. 1869 do Warszawy, służą od tego czasu wyłącznie dla młodzieży rosyjskiej wyznania prawosławnego, tutaj studyjacej.

wywiązywali się z przyjętych zobowiązań pracownicy na innych polach, to jednak powiedzieć mam prawo, a i obowiązek serdeczny, że nauczyciele moi ówczesni, może nie wszyscy jednakowo doskonali co do przygotowania naukowego i wyrobienia pedagogicznego, wszyscy byli wzorem uczciwego i rozumnego pełnienia obowiązku obywatelskiego. Rozumie się, że w tak licznej gronie znajdowały się i wyjątki. I wtedy dostrzegaliśmy, i dziś w pamięci naszej zostało, że jeden z naszych przewodników lubił knajpkę i karty, drugi posuwał się w niemoralności aż do przyjmowania zwierzyny czy zapasów zimowych od rodziców swych wychowañców, a trzeci był skończonym leniuchem. Ale, powtarzam, to były wyjątki, a i stopień tych wad czy ułomności nie groził zgorzeniem ani żadnemi złemi następstwami. I ci najgorsi byli dla nas usposobieni życzliwie, i oni widzieli w nas przyszłych członków tego nieszczęsnego społeczeństwa, któremu tak bardzo potrzeba jaknajwiększej liczby jednostek dobrze przygotowanych do życia w najtrudniejszych warunkach, jednostek, rządzących się chłodnym rozumem, a pełnych gorącego serca. Cóż dopiero mówić o tych, którzy wśród grona współtowarzyszów przodowali umysłem i cnotą.

Rektorem liceum został zamianowany przez Wielopolskiego Józef Zochowski, poprzednio dyrektor gimnazjum w Radomiu. Poprzedziła go zła sława zwierzchnika srogiego i wymagającego, czy jednak srogość ta była tylko przystosowaniem się do wymagań poprzedniego systemu, czy może nowa ustawa napawała przełożonych wyrozumiałością względem młodzieży, nie doświadczyliśmy wcale ostrego obejścia z jego strony. Zawiedły, drobny staruszek, pełen żywości, lecz bardzo poważny, z gotowym na każde zdarzenie tekstem z Pisma świętego, już przez samo wysokie wobec nas stanowisko nie budził może większej sympatii w młodych sercach, ale też nie przejmował nas obawą. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że pod powłoką zewnętrzną urzędowej sztywności było w naszym rektorze serce miękkie i ludziom przychylnie. Bo oto, kiedy w r. 64 każdy młody pod groźbą strasznych następstw musiał posiadać jakiś dowód urzędowy, legitymujący jego stanowisko społeczne, Zochowski zapisywał do liceum całe gromady wczorajszych wojowników, często ludzi zupełnie już dojrzałych, podobno niekiedy nawet żonatyh. Świadcstwo przynależności do szkoły wystarczało władzom administracyjnym... Piszący te słowa ma jeszcze inny powód do otaczania pamięci swego rektora najwyższą wdzięcznością. Rzecz tak się miała: W pierwszych dniach istnienia liceum, w klasie trzeciej wynika

awantura, o jaką w owych czasach nie było zbyt trudno. Jakieś mniej taktowne znalezienie się nauczyciela języka rosyjskiego, Stepanowa, wywołało oburzenie, posypały się kałamarze i przygotowane zawczasu w kieszeniach ziemniaki. Biedny Stepanow, człowiek zresztą spokojny i uczciwy, zżyty zupełnie ze społeczeństwem, tak wziął do serca tę historię, że, nie czyniąc urzędowej kwerendy, rozchorował się i opuścił posadę. Po jego usunięciu się liceum było zupełnie pozbawione nauczyciela języka rosyjskiego i tak przetrwało około lat czterech. Rektor spolitykował: może pocichu rad był, że uniknie zadrażnień, poszukiwał więc nowego nauczyciela, niebardzo usiłując znaleźć, a tymczasem w rozkładach lekcyj język rosyjski figurował po trzy razy na tydzień zgodnie z programem, uczniowie zaś, żeby nie zwracać uwagi włączoną po ulicach, siedzieli przykładnie w klasach przez owe puste godziny. Lecz i na zapełnienie czasu znalazła się rada w postaci głośnego czytania. Biblioteka licealna była obficie zaopatrzona w literaturę polską, a ja w swojej klasie, jako obdarzony głosem donośnym i jaką-taką wprawą w czytaniu, bywałem stałym lektorem. Rozporządzenie więc Żochowskiego miało dla mnie ten skutek, że w ciągu lat kilku, czytając głośno po trzy godziny na tydzień, poznałem wiele rzeczy, których inaczej z pewnością poznaćby mi się nie udało. Przypominam sobie, że w klasach wyższych do rzeczy bardzo chętnie słuchanych należały takie jak Wojna chocimska Potockiego, Przekłady Piotra Kochanowskiego i niektóre utwory Krasickiego.

Drugą w hierarchii szkolnej osobą był „prefekt liceum,“ Ludwik Wasilkowski, poprzednio inspektor Instytutu Panieńskiego w Puławach. Instytut ten w r. 1862 przeniesiono do Warszawy do gmachu po Instytucie szlacheckim (na ul. Wiejskiej) a w Puławach otwarto Politechnikę, która trwała w tymże roku od listopada do świąt Bożego Narodzenia, a w następnym—do lutego. ¹⁾ Oprócz nadzoru nad postępowaniem uczniów w szkole, prowadzonego w sposób wyrozumiały, zawsze sprawiedliwy i taktowny, Wasilkowski uczył przedmiotów matematycznych. Odnaczał się łatwą i piękną wymową, zrozumiałym wykładem, był znany z prężności niezłomnej i miał wielką dystynkcyę w obejściu.

¹⁾ Cały komplet politechników puławskich w liczbie około 500 przyłączył się do powstania. Politechnika została zawieszona, następnie w r. 1865 przeniesiona do Łodzi, gdzie jednak wykłady nie zostały rozpoczęte, a w r. 1869 ostatecznie zniesiona.

Teraz należy się kilka słów wspomnienia starszym nauczycielom, którzy przeszli do liceum z dawniejszego gimnazjum i ze szkoły powiatowej. „Z wieku i urzędu“ pierwsze miejsce w tym szeregu należy się Jakóbowi Daniewskiemu. Był magistrem uniwersytetu warszawskiego i, na długo jeszcze podobno przed rokiem 1830, nauczycielem szkół publicznych. Dotąd stoi mi przed oczyma szczupła postać czcigodnego starca, twarz, rysami i wyrazem przypominająca portrety profesorów i uczonych z pierwszej ćwierci wieku XIX, pamiętam nawet dźwięk głosu, kiedy krótkimi, urywanymi zdaniami objaśniał nam lekcye, zapalając się coraz bardziej w miarę rozwijania się wykładu, choćby to była tylko arytmetyka, którą przechodził z uczniami poraz czterdziesty może w życiu. Był to umysł niestłuchanie jasny i logiczny, zdolność pedagogiczna ogromna, a w parze z tem szło serce niezwykle szlachetne i charakter ze stali i kryształu. Był wymagający i surowy, ale sprawiedliwość jego bezwzględna, z każdego wyrazu przebijająca miłość młodego pokolenia i dziwna powaga sprawiała, że w mojej pamięci został na poły jak drogi sędziwy dziadunio, a na poły jak jakiś rzymski senator czy wielki prawodawca nauki. Musiało tak być i z innymi jego uczniami, bo nie pamiętam, ani słyszałem nigdy, żeby kiedykolwiek miał jakiś zatarg z młodzieżą, albo—żeby ktokolwiek, choćby najmłodszy i najżywszy, dokuczył mu najdrobniejszą pustotą.

A teraz nasz „ksiądz kanonik,“ ksiądz Szymon Misiński, nie Mysiński, jak mylnie a kilkakrotnie powtarza p. Wójcicki. Cóż to za postać świetlana, jaki prawdziwy „człowiek boży,“ chociaż bez nimbu nad skronią, a już zwłaszcza bez żadnych śladów zapachu kruchty czy zakrystyi. Słowo jego było proste i bez wyszukania wdzięczne, a ze wszystkiego, co czynił i mówił, wyzierała jakaś słoneczna pogoda duchowa. Jak wiernym był sługą ojczyzny i wiary, tego dowieść miał czynami w najcięższych chwilach, które nadeszły niezadługo, ale wszelka afektacya, wszelkie zapędy świętoszkowskie były dla niego wprost wstrętne. W małym miasteczku, jakim był Lublin przed czterdziestu kilku laty, gdzie było coś około piętnastu kościołów, dziewięć czy dziesięć zgromadzeń zakonnych, gdzie mieszkało zawsze dużo osób, oddanych praktykom religijnym, w czasach sprzyjających rozbudzaniu uniesień różnego rodzaju, w takich okolicznościach nie dziwnego, że i wśród młodzieży zdarzały się nieraz objawy bigoterii. Ksiądz kanonik otwarcie przeciw nim występował, jak znowu, odwrotnie, gdy po upadku powstania wzmógł się kierunek racjonalistyczny, rodził się „pozytywizm warszawski,“ a dalekie jego echa nie mo-

gły pozostawać bez wpływu na rozbudzoną, skłoną do łatwego filozofowania młodzież lubelską, ksiądz nie zamykał oczu na ujemne skutki tego prądu. Metody, jakich używał, mogą się wydać zbyt jednostajnymi, wiem jednak napewno, że były skuteczne. Oto, pamiętam, jak chłopiec z bardzo szlacheckiej rodziny już w starszej klasie pytał księdza, co stanie się z pacierzami, które ofiarowano za dusze cierpiące w czyśćcu, nie wiedząc, że one już zostały zbawione. Aż się zarumienił przezacny kanonik, aż biednymi choremimi nogami tupać zaczął. „Słuchaj, Leonie—zdaje mi się, przytaczam dosłownie—zostaw targi o pacierze babom z pod kościoła, a sam myśl o tem, żebyś całe życie był uczciwy i ludziom pożyteczny.“ A znowu kiedyindziej jakaś troskliwa dusza doniosła władzy szkolnej, że taki a taki uczeń, zdolny i wpływowy między kolegami, stracił wiarę i szerzy zgorszenie. I ten usłyszał od księdza radę, żeby w całym życiu był uczciwy i ludziom pożyteczny. Nie wiem, w jakich słowach tym razem było to wyrażone, bo ksiądz zastrzegł sobie, że z obwinionym rozmówi się na cztery oczy, ale wiem z pewnością, że dawny mój kolega do siwego włosa został i zupełnie uczciwym i bardzo pożytecznym członkiem społeczeństwa, podobnie jak tamten, którego kierowano na świętoszka, a równie dobrze wiadomo mi, że obadwaj czezą pamięć księdza Misińskiego i mówią o nim z miłością. Ten sposób zapatrywania się na obowiązki swego powołania ksiądz Misiński uwydatniał szczególnie w naukach niedzielnych podczas mszy uczniowskiej. Tu już nie krępowały go względy szkolne w wyborze treści i metodzie przedstawienia. Rozległe wykształcenie ogólne i wielki dar wymowy czyniły, że te kazania odbiegały daleko od zwykłej normy tego, co zwykło się mówić z ambony do uczniów szkoły średniej, i jeżeli nasze młodzieńcze umysły przywykały zawczasu do myśli, że każdy obywatel kraju ma przed sobą jakąś część pracy społecznej do podjęcia i spełnienia, to wdrożenie tej myśli w przeważnej części zawdzięczamy owym kazaniom. Na te nauki przychodziło wielu starszych w dobrze uzasadnionej nadziei, że za każdym razem coś ważnego przybędzie do skarbcza ich pojęć. Trzeba zaś dodać w tem miejscu, że Lublin w owych czasach miał mówców kilku bardzo niepospolitych: gwardyan kapucynów Anicet (hr. Sierakowski) rozmarzał słuchaczy swemi poematami z kazalnicy w duchu może nieco mesyanistycznym, młody dominikanin Lickendorf grzmiał z ambony, jak Danton z trybuny, przyprowadzając o ataki nerwowe nie tylko słabe niewiasty, ale i mężczyzn, wymowny był także i wielce uczony, gorący patriota, bernardyn Willanowski i wielu in-

nych księży, a i świeccy dawali upust swej elokwencyi na częstych zebraniach w resursie. Może to uprzedzenie — ale zdaje mi się, że z tych wszystkich słów niezliczonych, które wtedy padły w Lublinie, jedna tylko prosta przestroga księdza Misińskiego — „bądź przez całe życie uczciwym i dla ludzi pożytecznym“ — przetrwała gdzieś na dnie nieświadomej pamięci jego byłych uczniów i dosięgła celu, w którym była podawana.

Wdzięczną również pamięć zachowaliśmy nazawsze o serdecznym przyjacielu naszym, Pawle Dębowskim. Uczył łaciny, którą nie zakuwał jakoś głów naszych, pomimo bardzo poważnych wymagań, ale głównym przedmiotem jego umiłowania była historia powszechna. Tak umiał nią zajmować młodzież, tak roznamietniał wprost do niej, że, według utartego wśród nas wyrażenia, ta klasa, w której uczył historii, nie miewała już sił, ani czasu na inne przedmioty i chęci do nich traciła. Trzeba było mieć kilka „książeczek“ do historii, „z tej, widzisz, nauczysz się dat,“ z drugiej poznasz opis miejscowości historycznych, w innej są dobrze przedstawione życiorysy, a w jeszcze innej — obyczaje kraju i czasu. Pomimo „książeczek“ trzeba było pilnie notować wykład, bo w nim zawsze znalazło się coś takiego, czego „w żadnej książeczce nie znajdziesz.“ A do tego wszystkiego trzeba było rysować mapy, formować tablice chronologiczne i genealogiczne. Ale to dosłownie obowiązywało tylko zdolniejszych i okazujących jakieś zamiłowanie do historii; mniej zdolni zadowalali uczciwą chęcią i skromnem przyznaniem się do braku pamięci. Dla tych były jeszcze środki mnemoniczne: „Wandal, barbarzyńca, nie pamięta daty Białej-Góry! Jeden-szóstka-dwójka-zero, tak pysznie się skanduje, olaboga — jaka łatwa data!“ A pomimo surowej powierchowności, pomimo stanowczego brzmienia uwag i zarzutów, wypowiedzianych donośnym, cokolwiek nosowym basem, represye kończyły się na „wandalu i barbarzyńcy.“ Jeżeli zaś chłopiec naprawdę chwycił ducha dziejów, jeżeli było znać po nim, że uczy się nietylko na lekcję — jakież prawdziwie profesorskie, jakie ludzkie spotykało go traktowanie. Już i „książeczkę“ dostawał do przeczytania ciekawą a trudno dostępną, już, na przechadzce spotkany, z mądrej a prostej rozmowy dowiadywał się mnóstwa rzeczy najbliższych i najciekawszych, o których w szkole mówić nie wypadało. Rozum i prawość Dębowskiego w przysłówie niemal poszły wśród jego uczniów, a miał w sobie coś takiego, co bez frazesu, bez deklamacyi, do których nie był zdolny, wdrażało młodym cześć dla rozumu i ukochanie prawości.

Z dawniejszych nauczycieli gimnazyum został był jeszcze ksiądz Koziejowski, który jednak ustąpił wkrótce. Z gimnazyum również przeszli do liceum dwaj bracia Jezierscy. Starszy z nich, Feliks, najuczestniejszy z pewnością pomiędzy ówczesnymi przewodnikami naszymi, był człowiekiem niesłychanie poważnym, trudno dostępnym, małowównym. Krótko już tylko pozostawał w liceum: przeniósł się do Warszawy, poszukując kariery uniwersyteckiej w Szkole Głównej. Młodszy, Konstanty, przeciwnie, był uosobieniem żywości. Pełen niespodziewanych pomysłów, czasem aż dziwacznych, coraz nowych dostarczał tematów do opowiadań i anegdot. Uczył nas historii Polski, i do końca życia z wdzięcznością pamiętać będę, że w klasie czwartej od wakacyj aż do Bożego Narodzenia słuchałem jego wykładu o Bolesławie Chrobrym i pierwotnych dziejach Polski. Jak na szkołę średnią, była to rzecz z pewnością chybiona, ale czegośmy się dowiedzieli na tych godzinach, a przedewszystkiem—jak wysoko podnosiło nas we własnem mniemaniu takie poważne traktowanie, jakie dokładne wyobrażenie o rzeczywistej nauce wynosiliśmy z tych lekcyj, prowadzonych nadto z porywającym zapałem!

Języka polskiego w pierwszym roku uczył mnie Maciej Berliński, człowiek wówczas już stary i zużyty. Następcą jego został Marceł Jarnuszkiewicz. Starsi moi koledzy narzekali na zbyt schematyczne i powierzchowne traktowanie przez niego historii literatury, nas jednak, młodszych, nauczył prawdziwie dobrze ortografii (według zasad, przyjętych przez Szkołę Główną), gdyż na tym punkcie był pedantyczny i nieubłagany, a poniekąd i stylistyki, gdyż wypracowania stylowe pisać musieliśmy niestannie. W klasach wyższych języka i literatury polskiej uczył nas Wincenty Dawid, człowiek wykształcony, autor gramatyki, przez czas długi chętnie używanej, potrosze nawet poeta, a przedtem jeden z przymusowych zdobywców Kaukazu. Prawdziwą jego wartość ukrywała przed młodocianymi oczami schorowana i nieszczęśliwa powierzchowność, razem z pewnego rodzaju niezaradnością w postępowaniu. Poważniej jednak myśląca część młodzieży ceniła go za przymioty umysłu i charakteru. Z bratem jego, Leonardem, znaliśmy się krótko, bo, jeżeli się nie mylę, rok tylko jeden uczył nas geografii. Z filologów poznańskich wspomnę Wróblewskiego i Anielewskiego, którzy objęli w Lublinie łacinę i greczyznę, a po wyjeździe Dębowskiego—także i historię powszechną. Ta ostatnia później jeszcze była doskonale prowadzona przez zasłużonego pedagoga, pełnego wiedzy i powagi, Jana Nowodworskiego. Dzielnie dopomagał mu w wykładach

ognisty i wymowny Waligórski, którego uczniem ja jednak nie byłem, podobnie, jak dwu innych filologów, wychowawców Szkoły Głównej, później już do nas przybyłych, Horoszewicza i Sierocińskiego, ulegających właśnie w początkach swego zawodu rozmaitym trudnościom urzędowym z racji swego wyznania unickiego. Przedmioty filologiczne i języki, oprócz wyżej wymienionych, miały jeszcze przedstawicieli w osobach Mędrkiewicza, Kuczery, Skibowskiego, Waguera, Villaume'a, Méline'a i Roedera.

Matematyków i przyrodników mniej liczne było grono, ale i między nimi znajdowało się wielu wydatnych i dzielnych nauczycieli. I tak: Julian Doborzyński, zwolennik nauczania poglądowego (przypominam: przed 45 laty), zachęcał uczniów do powtarzania doświadczeń fizycznych, utrzymywał we wzorowym porządku gabinet stosunkowo dobrze zaopatrzony i na lekcjach udanie wykonywał dość nawet trudne eksperymenty. Doborzyński uczył nas również kosmografii, a nadto prowadził w czasach późniejszych dostrzeżenia meteorologiczne. Nie lękał się także doświadczenia chemicznego, pokazu, a nawet wycieczki przyrodniczej Aleksander Tołwiński, chociaż w owym czasie już stary i pracą nauczycielską zmęczony. Nie miałem sposobności być uczniem Ossuchowskiego, Matuszewskiego, Tłuchowskiego, Skrobiszewskiego, lecz wiem od kolegów, którzy ich słuchali, że i oni uczyli doskonale. Pomędzy nauczycielami przedmiotów czysto matematycznych z najwcześniejszych lat szkolnych pamiętam Józefa Łapińskiego, jedyne go z moich nauczycieli, którego złośliwość budziła w nas przestrach. Wyjechał on jednak z Lublina już w samym początku liceum, a na jego miejsce, po chwilowem zastępstwie Konstantego Tołwińskiego, pozyskaliśmy jednego z najdzielniejszych i najmilszych naszych przewodników, Aleksandra Gostkowskiego. Ten godny następca Daniewskiego w dwudziestu kilku latach swego życia łączył już w sobie dojrzałą powagę z młodzieńczym ogniem zapału. Wyrozumiął i pełen taktu, żądał od nas jednak uczciwego pełnienia obowiązku wzajemian za pracę i staranność, jaką wkładał w swe lekcye. Z prawdziwie rzadkimi zaletami umysłu szedł w nim w parze ujmujący sposób zachowania się wobec uczniów, a że i powierzchowność miał nadzwyczaj miłą i równą, zawsze pogodny humor, należał do najbardziej kochanych przez młodzież nauczycieli.

Liceum lubelskie przez cały czas swego istnienia miało zawsze uczniów bardzo wielu. W jednym z lat szkolnych liczono ich podobno do tysiąca. Oprócz odmiennego od gimnazyjów programu, składały się na to i inne jeszcze okoliczności. Przed-

wszystkiem więc Wielopolski zniósł pewne ograniczenia, praktykowane w szkołach średnich za poprzedniego porządku, jak np. wymaganie świadectwa szlacheckiego pochodzenia. Przedtem bowiem do gimnazyjów przyjmowano tylko jakiś procent młodzieży nieszlacheckiej. Wprawdzie znana była droga uboczna, bo wychowawcy szkoły powiatowej, po ukończeniu jej klas czterech, byli przyjmowani na zasadzie egzaminu dodatkowego do piątej klasy gimnazjalnej, ale z tej drogi korzystało niezbyt wielu. Podobnie i inne ograniczenie: pochodzenia z okręgu naukowego warszawskiego, upadło ze zwinięciem tego okręgu. Szkoła polska stanęła otworem dla wszystkich Polaków, a tego zdarzenia oczekiwała widocznie z upragnieniem ludność „gubernij zabranych,” bo, przynajmniej do Lublina, napłynęło mnóstwo młodzieży nie tylko z ościennego Wołynia, z Ukrainy i z Podola, ale i z dalszych okolic Litwy i Białorusi, aż z pod Witebska i bodaj samego Smoleńska. Na korytarzu szkolnym rozbrzmiewały akcenty i prowincjonalizmy z całej prawie przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej. Ze, oprócz tego, w tych czasach gorących marzeń i szlachetnych porywów, pęd ku nauce był ogromny, że, za sztuczną może podniętą, chwilowo, tłumnie dążyli też do niej i mieszczankowie i kmiotki, liceum nasze stało się prawdziwą rzeczpospolitą nie tylko prowincyj, ale i stanów. Rzecz godna uwagi — Żydzi, których wtedy po raz pierwszy w ich dziejach spotykało ludzkie i równe traktowanie, trzymali się na uboczu, niby niedowierzając swemu uprawnieniu. Przez cały ciąg szkoły średniej, nie miałem ani jednego kolegi Żyda. Kto nadawał ton naszemu liceum, to młodź zabużna. Weszła w znacznej liczbie i przyniosła ze sobą trochę zapachu stępów. Była w niej tężyzna i fantazja obok wykwintu w formach. Przeważnie byli to synowie rodzin szlacheckich, może nawet w cichości wyznawcy i czciciele uroku tarczy herbowej, ale w stosunkach koleżeńskich najpoprawniejsi demokraci. Jestem zupełnie pewny, że nie zdarzyło się ani razu, żeby ich pojęcia towarzyskie uraziły którego z kolegów, albo wogóle — żeby jakimkolwiek sposobem wyróżniali się lub wydzielali z grona uczniów. Owszem, pewien rodzaj rycerskości w ich upodobaniach znajdował na miejscu dobry grunt dla siebie i przypadał bardzo do smaku ogółowi.

Nie znaliśmy wtedy jeszcze w Lublinie zajęć i zabaw, które zaprzętać miały następnie naszych młodszych braci i synów. Tych urozmaiconych rodzajów sportu, uprawianych przez młodzież dzisiejszą, nikt jeszcze w kraju nie znał nawet z imienia. Jako sport zbiorowy latem kwitł stary pałant, klasyczna

zabawa szkół jezuickich, do której wspaniały teren dawały rozległe błonia bronowickie. Nasz ksiądz kanonik był mistrzem w tej grze, i kiedy w liceum obiegła wiadomość, że wybiera się na Bronowice, kto żyw, śpieszył, żeby pod jego kierunkiem stanąć na mecie. W zimie wzgórza i jary Kalinowszczyzny zamieniały się w fortece, które zdobywało się i broniło „gradami,” bryłami twardo ubitego śniegu. Jedna i druga zabawa dostępna była tylko dla zdrowych i silnych i niezbyt często można było jej się oddawać, bo odległość okolic podmiejskich i sam rodzaj zabawy sprawiały, że na każdą jej partycję trzeba było kilku godzin czasu. Szkoła zaś wymagała od nas pracy, a że i my jakoś nie wyobrażaliśmy sobie, żeby wiedzę można było zdobywać bez żadnego z naszej strony wysiłku, ogół więc uczniów miał czas dobrze wypełniony zadaniami szkolnemi. Trzeba było z większą zabawą czekać święta. Swoim dworem, oddzielnie lub grupami, uprawialiśmy — na co kogo stać było — jazdę konną, powożenie, pływanie, fechtunek, strzelanie do celu. Byli, naturalnie, i nieliczni zwolennicy bilardu, może i kart, ale ci działali w najgłębszej tajemnicy, bo przepisy szkolne tych przyjemności zabraniały bezwzględnie, a ogół kolegów patrzył na nie z uprzedzeniem, jeżeli nie z pogardą.

Niesłychane napięcie strony uczuciowej ogółu w tych krwawych, lecz zarazem świetlanych latach, udzielało się uczniom liceum. Wszakże każdy z nas miał najbliższych swoich w oddziałach powstańczych lub w organizacyi. Każdy, aż do najmłodszego, jeżeli nie wybierał się na wojnę, to przynajmniej ubolewał nad zbyt młodym swym wiekiem. Widywaliśmy powstańców na wakacjach i świętach, czasem na dalszych wycieczkach za miasto, nieraz — okrytych skrwawionemi strzępami odzieży, związanymi lub skutymi i pędzonymi przez miasto w niewolę. Żywsze jednak wrażenie na dzieciennych umysłach wywierały takie przykłady brawury, jakie zdarzać się zwykły tylko w awanturniczych powieściach. Pamiętam zucha, który w ślicznym ulańskim mundurku wpadł konno ze swym ordynausem do miasta, odlał komuś jakieś rozkazy, a potem... napił się kawy w cukierni i ordynansowi kazał podać wódki. Wieści z pola walki, nadzieje i rozpacz, nieraz widoki straszliwe, czasami bezpośrednio odgłosy bitew, toczonych pod miastem, wszystko to wstrząsało serca i podnosiło temperaturę myśli do granic najwyższych. A jednak lekeye szły w zupełnym porządku.

Dziwna była młodzież ówczesna. We krwi jakgdyby miała poczucie, że politykę robić wypada dojrziałym, a młodemu — o ile

już dojrzał do tego, o ile bieg zdarzeń, przez starszych osądzony, tego wymaga — nieść swoje siły na ołtarz obowiązku. Nieskończenie mądry wpływ czcigodnego Mianowskiego sprawia tedy, że młodzież uniwersytecka przez cały czas powstania zachowaniem się swoim utrzymuje Szkołę Główną przy życiu. I nasi Misińscy i Dębowscy, w mniejszym zakresie i z mniejszą trudnością zapewne, umieli jednak nam wdrożyć poczucie właściwego dla nas sposobu postępowania, nie chłodząc nigdy ani jednym wyrazem serc naszych, lecz tylko starając się mówić do rozumu.

Nie zaniedbując więc młodzieńczej zabawy i prostych, a użytecznych sportów, traktowaliśmy zupełnie seryo nasze zajęcia szkolne. Nie były one wcale zbyt łatwe, bo nauczyciele wymagali poważnej i sumiennej pracy nie tylko w klasie, ale i w domu. Obyczajem zachodnim i dawniejszym naszym zaczynaliśmy robotę od wczesnego ranka. O wpół do ósmej była codzienna msza w kościółku wizytkowskim, zbudowanym przez Jagiełłę na pamiątkę wiktoryi grunwaldzkiej. O ósmej już siedzieliśmy w klasach i, z dziesięciominutową przerwą, odbywaliśmy lekcye do dwunastej. Do drugiej trwał obiad, a po nim — do czwartej albo piątej — znowu lekcye. Cała szkoła we czwartki, a niższe klasy i we wtorki nie miały lekcyj po obiedzie, i wtedy to głównie odbywały się tłumne zabawy za miastem. Lekcye kończyły się uroczystym popisem „na św. Piotra i Pawła,“ 29 czerwca, a wakacje trwały do 15 sierpnia; na Wielkanoc i Boże Narodzenie (tylko według nowego stylu) miewaliśmy po dwa tygodnie feryj. Nie było jednak wtedy jeszcze we zwyczaju, żeby ktoś młody chorował z przepracowania lub wyczerpania, blednicę znały tylko panienki, a gdyby kto wspominał chłopcu o nerwach, spotkałby się z szyderstwem i śmiechem.

Znacznej bardzo ilości moich kolegów nie wystarczała nauka szkolna i dopełniali ją czytaniem. W modzie pomiędzy młodszymi były podróże i powieści rycerskie lub historyczne. Starsi obczytywali się nieraz literaturą bardzo ciężką. Większość nauczycieli nie miała przeciw czytaniu nawet na lekcjach, podczas przesłuchiwania — woleli to, niż szeptki albo bezczynne siedzenie... W samym końcu korytarza szkolnego było wielkie okno, na którym przed lekcjami albo podczas przerw zasiadał, jak na katedrze, któryś ze starszych kolegów; otaczał go tłum ciekawych z różnych klas i odbywał się wykład, połączony z dyskusją, a dotyczący najczęściej świeżo przeczytanej książki albo broszury. Przez czas pewien wychodziło pismo peryodyczne, rzecz prosta — rękopiśmienne, pod tytułem „Głos z kąta,“ w którym znaj-

dowały się pierwociny natchnień i pracy niejednego z późniejszych koryfeuszów literatury naszej. Zarysowywały się upodobania i kierunki, umysły kształciły się, może dorywczo i po dyktancku, ale w każdym razie nie próżnowały. Kształcił się też i język: do dobrego tonu uczniowskiego należało wyrażać się niezwykle, przytaczać teksty, używać przenośni i oryginalnie nazywać przedmioty i pojęcia. Prawda, że niektórych ten zwyczaj doprowadził do nieznośnej manieri, ale kto wie, czy u innych nie był początkiem wyrobienia literackiego.

Taki stan rzeczy trwał przez lat cztery. W r. 1867 przybył nam nowy nauczyciel, p. Sawin. Wkrótce potem odwiedził liceum nowo mianowany kurator wznowionego okręgu naukowego warszawskiego, senator Witte. Niezadługo po nim wizytował nas prezes „komitetu rządzącego,” książę Czerkasskij, a po nim — sam minister, Dymitr hr. Tołstoj. Liceum istnieć przestało, a nad wejściem do gmachu szkolnego zobaczyliśmy napis: „Smieszna gimnazja.“

*

*

*

Spisując te luźne wspomnienia, pomimo woli poddawałem się złudzeniu, że mówię o dniu wczorajszym, który tak samo żywo tkwić musi w pamięci ogółu, jak w mojej. Ale w rzeczywistości tak nie jest. Nam, którzy powinniśmy byli na zawsze zachować w skarbcu swych drogich pamiątek wspomnienia tych dni błogich, wir życia wytrącił je i zniszczył tak zupełnie, że już nawet nie mogliśmy o nich opowiedzieć młodszym. A ci, od nas nieszczęśliwsi i przez nas w tym względzie nie powiadomieni, uwierzyli głosom, twierdzącym, że w całej naszej przeszłości niema niczego, co byłoby godne pamięci, a tembardziej — naśladowania. Gdy więc nadeszła chwila, że o sprawach krajowych mówić i pisać zaczęto, posypał się szereg pomysłów ulepszenia szkół polskich. Zalecano coraz to dziwniejsze rzeczy, powołując się na wszelkie zagranice aż bodaj do Islandyi i rzeczypospolitej transwalskiej, tylko o tem jednym nie wspomniano ani razu, że przed czterdziestu kilku laty szkoła polska istniała w rzeczywistości, że zatem mieć musiała jakiś program i jakieś metody. Ten program nie był może nawet nieudatny, skoro wprowadzane dziś na Zachodzie

„gimnazya realne,“ o ile mi wiadomo, nie nazbyt różnią się od naszego liceum. Ze ono trwało lat zaledwie cztery, że było właściwie nie wytworem skończonym, ale raczej próbą, w początkach swoich zerwaną— to względy ważne i, chcąc snuć nanowo tę samą przedzę, wypadłoby z pewnością dołożyć niemało pracy i zachodu. Ale kto wie, czy trud taki nie opłaciłby się sownie, jeżeli tylko zgadzamy się na zdanie, że najcięższą zaporą w prawidłowym rozwoju umysłowości polskiej jest nieustanne zrywanie ciągłości tradycyi naukowej rodzimej.

BR. ZNATOWICZ.

Reforma sądów honorowych.

Była wieś bardzo ludna, a w tej wsi była studnia; woda z tej studni nie była zbyt smaczna, ale wszyscy musieli jej używać, gdyż w promieniu kilku mil dokoła nigdzie wody nie było. Nie zważano na to, że od czasu do czasu ktoś zachorował na jakąś gorączkę, a czasem nawet od tej gorączki umarł; trudno wszędzie ludzie umierają od tej, czy innej choroby. Ale pewnego razu, gdy jednocześnie znaczna ilość ludzi zachorowała, przybył do wsi lekarz i zajął się badaniem przyczyn epidemii: zbadał wodę bakteriologicznie i znalazł w niej chorobotwórcze mikroby. Wytłómaczył więc ludziom jaknajlogiczniej, że woda z tej studni jest niezdrowa i że pić jej nie powinni. Ludzie jednak pili; chorowało i umierało wielu, ale pili. Więc proboszcz, dbały o swoją owczarnię, począł z ambony napominać lud, mówiąc, że, kto pije z tej studni lub bliźniemu pić daje, ten niejako dopuszcza się samobójstwa lub zabójstwa, a więc grzeszy; lud wogóle był posłuszny swemu pasterzowi i w tym wypadku rad był go usłuchać; ale gdy podczas upału dokuczyło komu pragnienie, tedy, niepomyślne ostrzeżenie lekarza, ni napomnienie księdza, pił, bo pragnienie było większe, niż obawa śmierci i grzechu; a gdy się spowiadał, to i ksiądz nieraz, trudne okoliczności i skruche grzesznika mając na uwadze, nie mógł mu absolucyi odmówić. Wmieszały się i władze w tę sprawę: policya wydała zakaz czerpania wody ze studni, skarżyła winnych przekroczenia do sądu i pakowała „do kozy.“ Nic nie pomagało; wodę czerpano ukradkiem, a sędzia stosował minimum kary wobec „okoliczności łagodzących.“ Ludzie wciąż pili, chorowali, umierali. Gazety zaczęły krzyczeć na alarm; ten i ów proponował środek radykalny: zasypać studnię. Ktoś jednak słusznie zauważył, że ludzie pić muszą i że, w braku studni,

będą brali wodę z rowu lub sadzawki, a ta może się jeszcze gorszą okazać. Aż znalazło się grono ludzi, którzy sprowadzili inżyniera, a ten, po wielu nieudanych próbach, znalazł wreszcie wodę podskórną, wywiercił nową studnię, z której woda okazała się smaczną i zdrową. Starej studni nie potrzeba było zasypywać, bo nikt rozsądny z niej już nie pił. Jeżeli zaś od czasu do czasu jaki głupi chłopak napił się przez junakiery, dla pochwalenia się przed dziewczuchami, że się nie boi; jeżeli znalazł się we wsi taki uparty konserwatysta, który twierdził, że tylko tamta woda ze starej studni mu smakuje i na złość wszystkim pić ją będzie—to już o takich nikt nie miał potrzeby się troszczyć, bo wszakże: *volenti non fit injuria*.

I.

Religie, prawodawstwa i myśliciele oddawna zwalczają pojedynek: ze stanowiska religijnego jest to grzech śmiertelny, z prawodawczego — przestępstwo, z filozoficznego — nonsens, nie wytrzymujący krytyki zdrowego rozumu. Pomimo to jednak pojedynek nie dał się dotychczas usunąć: pojedynkują się najgorliwsi katolicy, a nawet studenci teologii; pojedynkują się najbardziej szanujący prawa obywatele, a nawet sami prawodawcy, członkowie parlamentów; pojedynkują się wreszcie nie ludzie z ciemnego i przesadnego motłochu, lecz właśnie ludzie, należący do warstw inteligentnych, najbardziej posunięci w kulturze.

Ta rażąca sprzeczność pomiędzy teoryami i praktyką powinnaaby naprowadzić na myśl, że pojedynek nie jest tylko grzechem i przestępstwem, barbarzyństwem i przesądem, który bez ceremonii usunąć należy, lecz że wynika on z jakiejś potrzeby społecznej, dla której zaspokojenia dotychczas lepszego nie znaleziono środka; że, wracając do przypowieści, jest on ową niesmaczną i niezdrową wodą, którą jednak, w razie pragnienia i braku lepszego napoju, pić się jest zmuszonym. Tak jest w rzeczywistości: pojedynek ma swoje uzasadnienie ze stanowiska historyczno-cywilizacyjnego, jest etapem w rozwoju pojęć o honorze, zdobyczą cywilizacji, wykazującą postęp w stosunku do etapów poprzednich. Jeżeli dzisiejsza procedura w sprawach honorowych nie odpowiada już bardziej rozwiniętym pojęciom naszym o istocie honoru i o sprawiedliwości, to należy ją ulepszyć, wprowadzić reformy, odpowiadające tym pojęciom, tak, jak się wprowadza ulepszone

narzędzia rolnicze, wobec których dawne powoli ustępują i narazie znikają, jako już niepotrzebne. Ale chcieć skasować pojedynki, nie dając nic na jego miejsce, jest równie nieracjonalnym i bezcelowym, jak chcieć skasować pługi, nie wynalazłszy innych, lepszych narzędzi do orki; trzeba by wówczas wrócić do sochy, łopaty lub jeszcze bardziej pierwotnych narzędzi, albo zaniechać zupełnie uprawy roli.

Nie sądzę, aby była pożądaną zamiana naszej wadliwej procedury na stosunki, jakie panują wśród ludów i warstw społecznych, stojących na niższym szczeblu cywilizacji i obchodzących się bez pojedynku. Wątpię, aby ktokolwiek z ludzi cywilizowanych przekładał nad pojedynki ordynarną rozprawę na pięści, kije, kłonicę, butelki lub noże; barbarzyńskimi wydają nam się sposoby zmywania zniewagi, praktykowane jeszcze w Hiszpanii, we Włoszech lub na Korsyce, a polegające na nieprzebierającej w środkach zemście; nie mamy słów oburzenia na ów nikczemny przymus do samobójstwa, zwany pojedynkiem amerykańskim; wstrętem przejinuje nas walka za pomocą oszczerstwa, wymyślamy sobie bez końca w prasie lub listach, a już poprostu za człowieka nie uważamy takiego, który za zniewagę płacić sobie każe lub puszcza ją zupełnie płazem przez tchórzostwo, podłość lub brak poczucia godności własnej.

Nikt chyba nie myśli na seryo o powrocie do tego stanu pierwotnego, o którym czytamy w opisie *mateczników*:

„Słychać, że w tej stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci.
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki,
Jak ojciec żyły w raju, tak dziś żyją wnuki.“

Wielkiego poetę razi despotyzm rządów, niesprawiedliwy podział bogactw, nienawiść wśród ludzi i walka o byt, okrucieństwa wojny i... pojedynki. Nie można jednak wyciągnąć stąd wniosku, że lekarstwem na te choroby społeczne jest powrót do pierwotnego Raju, wyrzeczenie się cywilizacji, jednym słowem zdziczenie. Powrót jest niemożliwy, a gdyby nawet był możliwym, to chyba byśmy się nań nie zgodzili. Rozwiązania tych zagadnień, przez cywilizację wywołanych, tylko w cywilizacji, w jej postępie szukać należy.

Pojęcie *czci*, rozwijające się i uszlachetniające w miarę postępu ludzkości, jest niewątpliwie jednym z najcenniejszych, jakie

nam dała kultura; nie masz chyba w naszym społeczeństwie jednego inteligentnego człowieka, któryby nie zgodził się na to, że pojęcie to raczej upowszechniać i wydelikacac, aniżeli ograniczać i przytępiać należy.

Cześć czyli *honor* jest to uznanie wartości osobistej człowieka przez innych ludzi. Nie należy zatem identyfikować honoru z wartością osobistą; gdy bowiem ta ostatnia w samym człowieku tkwi i od postępowania innych ludzi jest niezależną, honor manifestuje się tylko przez stosunki z ludźmi tej samej kultury, tej samej sfery, tych samych o *czci* pojęć.

Człowiek, żyjący w społeczeństwie i mający samowiedzę własnej wartości (godność, szlachetną ambicję), powinien dbać o utrzymanie swej dobrej sławy (opinii) w oczach tego społeczeństwa, o swoje „dobre imię“, o *cześć*, jaka mu się słusznie należy; dbałość ta nazywa się *punktem honoru*. Ten punkt honoru nie ma nic wspólnego z uganianiem się za hołdami i odznaczeniami, za rozgłosem i popularnością, za oklaskiem motłochu i pochwałą głupców — jak duma nie ma nic wspólnego z pychą, próżnością i snobizmem. Punktem honoru człowieka *czciwego* jest jego nieposzlakowana prawość, *uczciwość*; może on unikać t. zw. honorów i zaszczytów, ale nie może znieść nawet myśli, aby ktokolwiek mógł mu zarzucić kłamstwo lub czyn niegodziwy, aby mógł nim pogardzać. Nikt nie ma prawa wymagać dla siebie większego uznania, większych względów, niż na to zasługuje; zasłużone jednak uznanie stanowi *prawo* każdego człowieka. Nad tem prawem, jak zresztą nad każdym prawem, trzeba czuwać, aby go nie utracić. *Qui tacet consentire videtur* (kto milczy—ten się zgadza). Jeżeli pozwalam bez protestu, aby rzecz jakąś, którą mieniłem być moją własnością, ktoś inny jawnie zabrał i swoją nazywał, to tem samem przyznaję, że do niej bądź nie miał prawa, bądź je utracił. Jeżeli zbywam milczeniem zrobiony mi zarzut, to oczywiście uznaję jego słuszność. Jeżeli znoszę okazaną mi pogardę lub lekceważenie, to pozwalam mniemać, że na lepsze względy nie zasługuję.

Są wprawdzie ludzie, którzy, bądź wskutek dziwactwa i zbyt wybujałego indywidualizmu, bądź przejęci jakąś dla innych niezrozumiałą ideą, bądź przez pogardę dla całego ogółu współobywateli lub z jakichbądź innych powodów, nie dbają o opinię, o uznanie, o sąd społeczeństwa. Ludzie ci mogą mieć nieraz dużą wartość moralną, naukową lub artystyczną; dla prawodawstwa honorowego muszą jednak z konieczności pozostać za nawiasem;

skoro bowiem sami ze społeczeństwem się nie liczą, to trudno, aby społeczeństwo liczyło się z nimi.

Im lepiej zorganizowane jest społeczeństwo, im wyższym jest jego poziom kulturalny i moralny, tem droższem musi być dla jednostki „dobre imię,“ cześć—tem straszniejszą musi być dla niej utrata *czci* czyli infamia. Okropność infamii przedstawia nam w X księdze „Pana Tadeusza“ Jacek Soplica, niesłusznie o haniebny czyn—o zdradę—pomówiony:

„Odwracali odemnie twarz obywatele,
Uciekali odemnie dawni przyjaciele,
Kto był lękliwy, zdala wital się i stronił;
Nawet lada chłop, lada Żyd, choć się i pokłonił,
To mnie z boku szyderskim przebijał uśmiechem.“

Życie w społeczeństwie staje się dlań niemożliwem; mogąc zostać magnatem, ucieka z kraju i pod przybranem imieniem poświęca resztę życia rehabilitacyi swego nazwiska, choć wie, że ta rehabilitacya po śmierci dopiero nastąpić może; za życia nie wolno mu dostąpić tego szczęścia i to stanowi najstraszniejszą pokutę za popełnione przezeń zabójstwo. Jakoż dopiero po jego śmierci Podkomorzy ogłasza, że Jacek

„Zniósł infamii plamę, powraca do cześci
I znowu się w rząd prawych patriotów mieści.“

Cześć winna być dla każdego uspołecznionego człowieka droższą nad mienie, nad życie, nad wszystko w świecie i dlatego dziwić się nie można, gdy ludzie w obronie tego najdroższego dobra nie wahają się wszystkiego innego postawić na kartę. Czyż nie jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia zapewnienie wszystkim członkom społeczeństwa skutecznej tego najcenniejszego prawa obrony?

W okresach barbarzyństwa, w społeczeństwach nieucywilizowanych każdy ma tyle prawa, ile go przemocą lub podstępem zdobyć, a postrachem utrzymać potrafi. Z postępem cywilizacyi siła fizyczna coraz bardziej cofać się musi przed pojęciami sprawiedliwości, słuszności, egoizm musi ustępować przed ideą dobra publicznego; gwałtom, podstępom, złej woli, niesłusznym uroszczeniom jednostek, całe społeczeństwa wspólnemi siłami stawiają tamy, celem zabezpieczenia słusznych praw wszystkich swoich członków. Każdy, choćby najslabszy człowiek, powinien mieć możność obronienia na drodze legalnej swoich praw, których słuszności dowieść potrafi; każdy niesłuszny zamach na cudze prawo powinien nie-

tylko być odparty, ale nawet dla przykładu ukarany. Samowładność (wymierzenie sobie samemu sprawiedliwości, zadośćuczynienia) ustępuje miejsca sprawiedliwości legalnej, a tę ostatnią wymierzają *sądy*, których cechą winna być *powszechność* i *bezstronność*: powszechność—to znaczy, że z jednej strony każdy znaleźć może w nich opiekę, a z drugiej każdy podlegać im musi; bezstronność—to znaczy, że sądzą ludzie niezainteresowani, nieuprzedzeni i że każda ze stron ma prawo być wysłuchaną. Zasady te zostały już uznane przez wszystkie cywilizowane społeczeństwa i zastosowane zarówno do kwestyj cywilnych, jak karnych: nie podlegają im tylko dotychczas sprawy honorowe, w których panuje jeszcze samowładność, miarkowana jedynie przez zwyczaje, nibyto na tradycji oparte, ale w gruncie rzeczy niebardzo ustalone, jaknajdowolniej stosowane i nie wszystkim nawet, którzy się na nie powołują, dobrze znane. Każda ze stron (sekundanci lub pełnomocnicy są też stroną) sama decyduje o istnieniu i ciężkości obrazy, jak również o konieczności i formie zadośćuczynienia, przyczem pomiędzy poglądami obu stron zachodzić mogą i często zachodzą znaczne różnice. Ponieważ niema żadnego autorytetu, któremuby strony poddać się były obowiązane i któryby bezstronnie słuszność tych poglądów osądził, przeto rezultat sprawy zależy jedynie od układów pomiędzy przedstawicielami stron, a właściwie od tej strony, która jest bardziej wojowniczo usposobioną. Strona, okazująca pragnienie pokojowego załatwienia sprawy, daje nad sobą przewagę stronie „pobrzękującej orężem;“ nietylko odstąpić musi od swoich poglądów na rzecz strony przeciwnej, ale w dodatku naraża się zawsze na podejrzenie o tchórzostwo. To jest powodem, że obie strony starają się prześcignąć w „ostrem“ stawianiu kwestyj, w niechęci do ustępstw, że wiele bardzo spraw błahych, z prostego nieporozumienia wynikłych, kwalifikujących się do pokojowego załatwienia — kończy się na mecie.

Można śmiało powiedzieć, że w dzisiejszej procedurze honorowej panuje przymus do pojedynku, że prawo do honoru, wbrew uznanym w innych dziedzinach prawa zasadom sprawiedliwości, wymusza się po staremu przemocą, a utrzymuje postrachem. Jest to tak rażący anachronizm, że niema inteligentnego człowieka, któryby w głębi duszy przeciw niemu nie protestował. Jak niemożna dowieść własności przez to, że się jakąś rzecz przemocą zabiera i postrachem w posiadaniu zatrzymuje, tak niemożna dowieść prawa do honoru przez to, że się stawiało lub że się jest gotowym stanąć na mecie pojedynkowej. Odważnym bywa za-

równy człowiek, broniący swych słuszných praw, jak i opryszek, zarówno człowiek honoru, jak człowiek bezczelny.

Z pojedynku nie płynie więc dowód ani honoru, ani słuszności; i to jest chyba najważniejszy brak tej instytucji, gdyż nie osiąga się przez nią głównego celu, dla którego ma służyć.

Tembardziej bez znaczenia dla sprawy honorowej jest sam rezultat pojedynku. Oddawna znikły t. zw. pojedynki sądowe, czyli „Sądy Boże“ (znane i u nas w prawie magdeburjskim), i dziś już nikt nie uważa, aby rana lub śmierć w pojedynku równała się wymiarowi sprawiedliwości: jest to bądź dzieło przypadku, bądź, co gorsza, skutek przewagi jednej ze stron we władaniu bronią; *kary ani zadośćuczynienia niema tu w żadnym razie.* Dzisiejsza procedura honorowa *obraża nasze poczucie sprawiedliwości* jeszcze i przez to, że każe ponosić te same skutki krzywdzicielowi i pokrzywdzonemu, winnemu i niewinnemu, że stawia narówni próżniaka, chciwego wrażeń, i człowieka pracy, szukającego spokoju, awanturnika, lekceważącego życie, i ojca rodziny, któremu życia lekceważyć nie wolno, wreszcie tych, którzy w pojedynku szukają reklamy, zadowolenia, próżności lub oczyszczenia się ze słuszných zarzutów, i tych, którym nie na pojedynku z takimi osobnikami nie zależy, którzy, ryzykując życie, nie do zyskania nie mają. Jest to tak, jak żeby kazano np. właścicielowi zegarka rozgrywać się ze złodziejem o ten zegarek w „orla i reszkę.“ Mówiąc o zrównaniu tych i tamtych, mam na myśli już nie zrównanie szans spotkania z bronią w rękę, ale stanowisko, jakie jedni i drudzy w sprawie zajmują. Stanowisko pokrzywdzonego jest nawet poniekąd gorszem, aniżeli krzywdziciela, tem gorszem, im cięższą była wyrządzona mu zniewaga; choćby do zajścia nie dał żadnego powodu, chociażby zniewaga spotkała go zupełnie niezasłużenie, on nie jest w sprawie oskarżycielem, lecz raczej oskarżonym; on stoi pod pręgierzem opinii publicznej, dopóki t. zw. satysfakcyi honorowej nie otrzyma; a jeżeli ten, który go skrzywdził, na satysfakcyę pokojową przystać nie chce lub jeżeli zniewaga zalicza się w opinii ogółu do ciężkich, oskarżony jest obowiązany życie narazić dla ratowania swej czei, on, pokrzywdzony i niewinny, musi uważać za wystarczające zadośćuczynienie, za szczęście niemal dla siebie, gdy napastnik, który go skrzywdził, stanie z nim, jak równy z równym, na mecie pojedynkowej.

Wielkim też brakiem dzisiejszej procedury w sprawach honorowych jest jej *niedostępność* dla bardzo wielu ludzi, którzyby przecież o cześć swoją dbać i za postępkę swoje odpowiadać powinni. Nie mówiąc już o niezamożnych, dla których pojedynki

pociąga za sobą kosztą, ciężkie do poniesienia, a ewentualnie odpowiedzialność sądową, śmierć lub kalectwo, które pozbawić może chleba ich rodzinę, są całe kategorie ludzi, np. starcy, kaleki, duchowieństwo, kobiety, niepełnoletni, których procedura dzisiejsza czyni niezdolnymi do żądania lub udzielania satysfakcyi honorowej, a którzy jednak zarówno obrazić, jak uczuć się obrażonymi mogą. Wobec tych wszystkich wypadków nasza procedura jest bezsilną; pojedynkowanie się z ojcami, synami, zięciami, mężami, braćmi lub przyjaciółmi obrażających czy obrażonych, jeżeli nb. znajdą się tacy zastępcy, jest już zupełnym absurdem i tłómaczy się tylko chęcią wyjścia jakkolwiekby z nieznośnego położenia. Stokroć bowiem gorszą rzeczą od pojedynku bywa zwykle niezafatwienie sprawy honorowej, pozostawienie jej w zawieszeniu, odmowa satysfakcyi, kwestyonowanie „honorowości“, czyli prawa do żądania satysfakcyi i połączone z tem sądy honorowe (o czem niżej), wreszcie zerwanie układów pomiędzy sekundantami i protokoły jednostronne. Każda ze stron stara się wówczas pozyskać dla siebie opinię publiczną, potępiając przeciwnika i rozsiewając o nim krzywdzące wieści; wzajemne rozgoryczenie rośnie coraz bardziej i ogarnia często całe rodziny, obejmuje przyjaciół i znajomych obu przeciwników, doprowadza do całego szeregu zająć gwałtownych i intryg, odzywa się nawet niekiedy po wielu latach przy jakiejby okazji. Pojedynek ma przynajmniej tę dobrą stronę, że temu wszystkiemu zapobiega, że kończy sprawę prędko, przecina spór raz na zawsze; jakikolwiek jest jego rezultat, czy przeciwnicy, po odbytem spotkaniu na mecie, podali sobie ręce lub nie, sprawa uważa się za skończoną, stronom nie wolno nadal prześladować się i oczerniać wzajemnie, gdyż to im samym przynosiłoby ujmę; nawet wszelkie pretensye ze strony rodziny jednego z przeciwników są wyłączone, a wszelkie sądy wynikające zaczepki uważane za godną potępienia nieprzyzwoitość.

Tak więc, mimo wszystko, cośmy wyżej przeciw pojedynkowi powiedzieli, dochodzimy jeszcze raz do smutnego wniosku, że przy dzisiejszych stosunkach, w najblahszej nawet sprawie lub w takiej, do której żadnego nie daliśmy powodu, o ile świadkowie do pojednania nie doprowadzą, pojedynek jest prawie nieuniknionem i względnie najlepszem zakończeniem. Dopóki społeczeństwo nie zapewni wystarczającej opieki tym wszystkim, którzy o cześć swoją dbają, dopóty utrzyma się i będzie przez ogół tolerowaną instytucya pojedynku: nie pomogą surowe artykuły prawa, dowodzenia myślicieli, prośby i zaklęcia matek i żon, a nawet przepisy Kościoła. Jak w zamieszczonej na początku tej pra-

cy przypowieści o niesmacznej i niezdrowej wodzie, jest i tu jeden tylko sposób: trzeba postarać się o wodę lepszą i zdrowszą, o sposób obrony czci sprawiedliwszy, przystępniejszy, nie wchodzący w kolizję z prawem świeckiem, przepisami religii, uczuciami ludzkości i zdrowym rozsądkiem, a przedewszystkiem... *skuteczniejszy.*

Mówiąc o obronie praw wogóle, powiedzieliśmy wyżej, że w krajach kulturalnych obrona samowładna ustąpiła już miejsca wymiarowi sprawiedliwości przez sądy, których powagę uznano powszechnie zarówno w kwestyach cywilnych, jak karnych. Dlaczego postęp ten nie ogarnął dotychczas kwestyj honorowych? Dlaczego ludzie oświeceni tak uparcie obstają przy dawnych środkach obrony honoru, zabronionych przez prawo i nielogicznych, kiedy mają sądy, którym w wszystkich innych spraw swoich nie wahają się powierzać? Czy jest to jedynie upór, niczem nieumotywowany konserwatyzm? Nie; przyczyny tego zjawiska dadzą się łatwo wykazać. Przedewszystkiem sądy stałe, ustanowione przez państwa, muszą sądzić na zasadzie kodeksów obowiązujących; kodeksy te, obejmujące materje cywilne i karne, nie wystarczają w sprawach o obrazę czci, stanowiących zupełnie odrębną grupę. Prawo karne zna przestępstwa, objęte definicyą „obrazy czci,“ i zawiera określone za te przestępstwa kary. Ale to prawo jest równe dla wszystkich i właśnie dlatego jest niewystarczającym, gdyż ludzie, żyjący w rozmaitych warunkach i do różnych warstw należący, różne o czci mają pojęcie; co dla jednego jest ciężką obrazą, na to drugi nie zwróci nawet uwagi. Prawo zna tylko najgrubsze formy obrazy: obelgi ustne, piśmienne i czynne; my zaś wiemy, że obraza nie polega jedynie na zelżywych wyrazach lub pobiciu. Kilka przykładów wystarczy: niepodanie ręki lub nieoddanie ukłonu równa się najcięższemu zarzutowi i wymaga koniecznie wyjaśnienia; wzruszenie ramionami lub uśmiech niedowiarstwa równa się w pewnych razach zarzutowi kłamstwa, którego człowiek honoru znieść nie może; najbardziej uprzejme wyrazy, powiedziane tonem ironicznym, mogą zawierać zarzut nieetycznego czynu, np. „dziękuję za przysługę“ lub „zachwycony jestem pańskim postępowaniem“ i t. p.; powstanie od gry wobec przybycia nowego partnera może być w pewnych okolicznościach wytlómaczone, jako zarzut nieuczciwości; w spojrzeniu nawet, w rozmaitych drobnych szczegółach zachowania się, może się mieścić całe morze lekceważenia lub pogardy.¹⁾

¹⁾ Niema niecznośniejszych ludzi w towarzystwie, jak ludzie obraźliwi, dopatrujący się złośliwej intencji w najniewinniejszym żarcie, podejrzewający

Dla kodeksu karnego, a więc i dla sądu takie obrazy nie egzystują. Ale i w wypadkach przez kodeks przewidzianych sąd nie zajmuje się wcale osobą pokrzywdzonego, jego poczuciem honoru; przywrócenie dobrej sławy, uznanie honoru obrażonego nie należy wcale do atrybucyi sądu; sąd ma obowiązek tylko ukarać „przestępcę,“ a czy zwymyślałem lub uderzyłem parobka, który mi szkodę w gospodarstwie uczynił, czy też człowieka o subtel-nem poczuciu honoru, „przestępstwo“ jest jednakowem, gdyż w obliczu prawa wszyscy są równi. Kara, najczęściej pieniężna, jest też jednakową bez względu na zamożność podsądnego, jest zatem dla ludzi bogatych bez znaczenia. Dodajmy do tego, że sędziowie, którzy są urzędnikami państwowymi, obowiązany mi znać tylko prawo obowiązujące, rekrutują się z rozmaitych sfer i pojęcia o honorze mogą mieć najrozmaitsze, a będziemy mieli aż nadto przyczyn, dla których sądy państwowe nie przedstawiają instytucyj kompetentnych do wyrokowania w sprawach honorowych.

A sądy honorowe? Te przecież, jak sama nazwa wskazuje, przeznaczonymi są do rozstrzygania spraw o obrazę honoru i nie przedstawiają tych braków, o których tylko co mówiliśmy: sędziami są arbitrowie, *ad hoc* przez strony wybrani, a więc cieszący się ich zaufaniem, i nieskrępowani artykułami ustaw państwowych. Dla czego tak niechętnie uciekamy się do sądów honorowych? Dla czego cieszą się one u nas tak niepochlebną opinią?

Nie raz słyzy się zdanie: „Wolę mieć kilka pojedynków, niż jedną sprawę z sądem honorowym.“ W zdaniu tem jest bardzo wiele słuszności. Myliłby się jednak, ktoby stąd wyprowadził wniosek niekorzystny dla arbitrow, zasiadających w sądach honorowych. Zło leży w samym założeniu tych sądów.

Sąd honorowy bywa obecnie zwoływany jedynie w tych wypadkach, kiedy „honorowość“ jednego z partnerów jest zakwesty-onowana; zadaniem sądu jest orzec jedynie, czy zarzut *nienonoro-wości* jest słusznym, czy też nie; chodzi więc, ni mniej ni więcej,

każdego o chęć ubliżenia im. Ta podejrzliwość świadczy albo o braku inteligencyi lub obycia towarzyskiego, albo o chorobliwej drażliwości. Ale z drugiej strony nie można udawać głuchego lub ślepego tam, gdzie intencya ubliżenia jest dla każdego inteligentnego człowieka widoczną; kto pozwala się w jakiejbądź formie poniewierać, ten albo na to swymi czynaniami zasłużył i dla tego nie śmie ująć się za sobą, albo znosi niesłuszną poniewierkę dla jakichbądź względów, co dowodzi braku poczucia godności, albo wreszcie rzeczywiście nie umie dostrzedz obrazy, co niepochlebnie świadczy o jego inteligencyi.

tylko o wydanie wyroku *infamii*. Zadanie jest nadzwyczaj przykre, a procedura przytem wysoce niesmaczna.

Jedna strona wygrzebuje najróżniejsze fakty z życia drugiej, — fakty nie mające często nic z daną sprawą wspólnego, — a sąd musi przetrząsać całą przeszłość partnerów, przesłuchiwać ogromną ilość świadków, odczytać stopy listów i dokumentów, aby wkońcu dojść do jednego zawsze rezultatu, że zakwestyjonowanemu partnerowi nie można zupełnie odmówić „honorowości.“ Wyrok taki nie zawsze dowodzi, że zarzuty były potwarcze lub lekkomyślne, nie jest też koniecznie (jak chcą niektórzy) dowodem braku odwagi ze strony sędziów; jedno i drugie zdarza się czasem, ale najczęściej jest to rezultat pobłażliwości sędziów, za którą nie można ich potępiać. Tak dzieje się często w sądach przysięgłych, gdy kodeks karny jest zbyt surowy: przysięgli mają tylko na zadane pytanie odpowiedzieć „tak“ lub „nie;“ ale gdy wiedzą, że „tak“ pociąga za sobą wyrok śmierci, cofają się przed tym wyrazem, choć w głębi duszy przekonani są o winie podsądnego. Wyrok infamii równa się w oczach ludzi honoru wyrokowi śmierci, jest nawet straszniejszym; nie dziw zatem, że mając do wyboru utorowanie drogi pojedynkowi lub wyrzeczenie infamii, sędziowie honorowi cofają się prawie zawsze przed tą ostatnią alternatywą.

Jakież są jednak skutki dzisiejszych sądów honorowych: oto, ponieważ nie rozstrzygają one sporu *in merito*, przeto pojedynek musi się i tak odbyć, z tą tylko różnicą, że sprawa, zamiast zakończyć się we 24 godzin lub w kilka dni, — jak to bywa, gdy strony odrazu zgoda się na *metę*, — ciągnie się niekiedy całe miesiące; że partnerzy, wskutek wzajemnych oskarżeń, doprowadzeni zostają do ostatnich granic nienawiści, która pozostaje na całe życie; że do sprawy zostają wciągnięte osoby trzecie, skąd często nowe zajścia i nowe nienawiści powstają; że wywleka się na wierzch mnóstwo zapomnianych skandalów; że obie strony są zwykle niezadowolone z wyroku, skąd wynikają nieprzyjemności dla sędziów; że, wskutek nieuwzględnienia zarzutu niehonorowości przez sąd, w oczach jednych skarżący uchodzi za potwarcę, w oczach zaś innych wyrok nie dowodzi niewinności oskarżonego. Jednem słowem sąd honorowy w dzisiejszej formie nie tylko zastąpić pojedynek nie może, ale bywa większem złem, niż pojedynek, i tylko ostateczność zmusza niekiedy uciec się do tej instytucji, aby uniknąć zarzutu, że się dobrowolnie stanęło na mecie z człowiekiem niehonorowym.

Gdzież tedy szukać mamy sposobu obrony czci, któryby nie tylko zastąpił pojedynek, ale okazał się odeń skuteczniejszym, sprawiedliwszym i dla wszystkich, o cześć dbających, dostępnym?

Sposób ten znaleźć możemy jedynie chyba w utworzeniu nowego typu sądów, przeznaczonych do rozstrzygania spraw o obrazę czci, lub, jeżeli kto woli, w *zreformowaniu sądów honorowych*, oparciu ich na zupełnie odmiennych od dzisiajszych zasadach. Od tej reformy zależy reforma całego postępowania w sprawach honorowych, powiedziałabym nawet: reforma obyczajów.

II.

Zanim przystąpimy do rozważenia treści proponowanych przez nas reform, musimy zastanowić się nad kwestyą, czy jest wogóle możliwem wprowadzenie jakichkolwiek zmian do t. zw. kodeksu honorowego, którym rządzą się wyższe warstwy społeczne u nas i w całej prawie Europie; jaką należy obrać drogę, aby te zmiany zyskały uznanie tych warstw przynajmniej w obrębie naszego kraju, jeżeli już nie całego naszego narodu.

Zdarzyło nam się słyszeć zdanie, że zreformowanie kodeksu honorowego w drodze inicjatywy prywatnej jest choćby dlatego niemożliwem, ponieważ ma on za sobą powagę „prawa zwyczajowego.“ Zdanie to, pozornie słuszne, nie jest jednak ścisłem, gdyż kodeks honorowy nie odpowiada w zupełności definicyi „prawa zwyczajowego.“

„Prawem zwyczajowem“ (*jus moribus constitutum*) nazywają się zasady prawne, nieobjęte przez „prawo pisane“ (*jus scriptum*) t. j. nieopublikowane w drodze prawodawczej, — tkwiące jednak głęboko w przekonaniu ogółu i utrwalone przez tradycyę, przez długoletnią, nieprzerwaną praktykę (*consuetudo inveterata, longaeva, tenaciter servata*). Prawo zwyczajowe może wypełniać luki w prawodawstwie (*praeter legem*), ale nie może wchodzić w kolizyę ani z prawem pisanem (*contra legem*), ani ze zdrowym rozsądkiem (*contra rationem*). Pod tymi jedynie warunkami wiele prawodawstw nowożytnych, za przykładem prawa rzymskiego, uwzględnia „zwyczaje miejscowe“ (*coutumes*—we Francyi) i przyznaje im powagę prawa. Tak więc pozyskały powagę prawa rozmaite zwyczaje handlowe, przepisy cechowe i t. d.; nigdy jednak nie staną się „prawem“ choćby najdawniej praktykowane nadużycia, przesady, szkodliwe nałogi i t. p. np. zwyczaj brania łapówek, nożowiectwo etc.

Postępowanie w sprawach honorowych, praktykowane wśród cywilizowanych społeczeństw Europy, ma pewne cechy prawa zwyczajowego: wypełnia lukę w prawodawstwie i opiera się na długoletniej, nieprzerwanej tradycji; nie odpowiada jednak wszystkim, wyżej wymienionym warunkom, jest bowiem nietylko *contra legem* i *contra rationem*, ale przede wszystkim, przestało już odpowiadać rzeczywistym pojęciom ogółu o istocie honoru. Przekonanie ogółu, opinia publiczna (*opinio juris*, *necessitatis*, *obligationis*) to zarazem źródło i sankcja każdego „zwyczaju.“ Otóż kodeks honorowy nie tylko nie jest prawem zwyczajowym, ale nawet, jako prosty „zwyczaj“ stanowi dziwną na pozór anomalie, gdyż utrzymuje się, pomimo ogólnego przekonania o jego niewłaściwości. Czem się to dzieje? Czemu ogół pozwala się tyraniżować temu zwyczajowi, chociaż buntuje się przeciw niemu w głębi duszy? Oto dla tego, że zwyczaj może ustać bądź wtedy, gdy ustały zgoła warunki, niezbędne do jego egzystencji, lub potrzeba, która go wywołała, bądź, gdy inny zwyczaj tamten zastąpił i wyrugował. A w danym wypadku ani warunki się nie zmieniły, ani potrzeba nie ustała. Zwyczaj utrzymuje się dlatego, że nie zastąpiono go innym, któryby tej potrzebie zadosyćczynił i będzie się dopóty utrzymywał, jako *malum necessarium*, dopóki go inny zwyczaj nie wyruguje.

Jaką drogą jednak zaprowadzić nowy zwyczaj, nową procedurę, lub bodaj zreformować dawną? Rozprawy teoretyczne, odczyty, wpływanie przez prasę—to droga bardzo powolna, a przytem nie chodzi tu tak dalece o przekonywanie,—bo większość jest już przekonaną i z łatwością zgodziłaby się na reformę, tylko o jednoczesne uznanie i przyjęcie pewnych jednakowych zasad, gdyż najgorszym byłby ów stan przejściowy, w którym każdy kierowałby się innemi zasadami; byłby to okres anarchii, „nierządu,“ który jest zawsze gorszym od najgorszego „rządu.“

Reforma musi być wprowadzoną odrazu i przyjętą od pewnej określonej daty, jeżeli nie ma wywołać tych niepożądanych skutków. Jak tego jednak dokonać? Niektórzy proponują zawiązanie ligi, na wzór tej, którą obecnie zawiązano w Austrii. Mojem zdaniem środek ten nie rozwiązuje kwestyi. Liga jest rodzajem stowarzyszenia, do którego można należeć, lub nie należeć, które może przyjąć lub nie przyjmując nowego kandydata; liga jest armią, która walczy o pewne zasady, ale przeciw której też walczyć można; przepisy ligi obowiązują tylko tych, którzy do niej należą, ale nie tych, którzy stoją po za nią; liga to partya, a partya może egzystować kilka jednocześnie. Jednocześnie więc będą

istniały różne zasady, co niewątpliwie wywoła ogólny zamęt. Członkowie ligi będą zawsze w gorszym położeniu od t. zw. „dzikich:“ będą musieli stosować się do zasad ligi, gdy to będzie na rękę przeciwnikowi „dzikiemu:“ nie będą zaś mogli zmusić go do poddania się tym zasadom, gdy tamten nie zechce. „Opinia publiczna“ nie będzie też mogła wywierać presji na „dzikich,“ bo liga—to jeszcze nie ogół. Reforma wówczas tylko uzyska poparcie opinii publicznej, gdy ją uznają za dobrą i jako powszechnie obowiązującą ogłoszą ludzie, których ogół za kompetentnych i miarodajnych w tej kwestyi uważa.

Dawniej (a w niektórych krajach i dziś jeszcze) miarodajną w tej sprawie była armia i arystokracja. Chateauvillard, wydając swój Code de Duel podał we wstępie listę osób, które swym podpisem powagę dzieła stwierdziły; lista składa się z podpisów wyższych dostojników armii i członków rodzin arystokratycznych różnych narodów. U nas klasy społeczne, uznające potrzebę kodeksu honorowego, dzielimy obecnie na t. zw. inteligencyę, zamieszkałą w miastach, i t. zw. ziemiaństwo, do którego można też zaliczyć niezbyt liczną arystokrację. Jedna i druga sfera trzyma się obecnie tych samych przepisów postępowania w sprawach honorowych: w jednej i drugiej są ludzie uważani za biegłych i wyrobionych w tej materji i ludzie z których opinią liczy się ogół lub choćby tylko znaczna ilość współobywateli. Gdyby udało się ułożyć pewne zasady i pozyskać dla nich najpoważniejszych przedstawicieli społeczeństwa, gdyby można było ogłosić te zasady z nadmienieniem, że zostały przyjęte przez kilka tysięcy obywateli, wśród których każdy znalazłby takich, z których opinią się liczy, — to byłby to mojem zdaniem jedyny sposób rozwiązania kwestyi, wprowadzenia reformy, obowiązującej ogół. Wszak i dotychczas w razie sporu o obowiązujące na mocy zwyczaju zasady lub celem załatwienia sprawy polubownie — zwykli sekundanci zwracać się do ludzi poważnych lub kompetentnych, których autorytet uznają i których orzeczeniu strony poddać się muszą. Czemuz ogół nie miałby przyjąć zasad, uznanych i wygłoszonych przez bardzo liczne grono ludzi, z których każdy w ciaśniej-szem lub szerszem kole cieszy się powagą, a których zdanie zbiorowe musi być uważanem za „poważny głos opinii całego społeczeństwa.“

III.

Zasadniczym brakiem w organizacji dzisiejszych sądów honorowych jest to, że nie wchodzą one w istotę zajścia, które wywołało sprawę, nie rozstrzygają ostatecznie, kto zawinił lub miał słuszność, jednym słowem, mówiąc językiem prawniczym, nie sądzą sprawy *in merito*; natomiast zajmują się rozpatrywaniem ogólnej „honorowości“ stron, chociażby ta kwestya nie miała ścisłego związku z zajściem; w rzadkich zaś wypadkach, w których sąd zdobywa się na odmówienie „honorowości“ jednemu z przeciwników, drugi zwolniony zostaje od wszelkich następstw zajścia, choćby wina była po jego stronie. Widzieliśmy już, jakie trudności następuje taka procedura i jak ujemne są jej następstwa: zastanówmy się teraz, czy tego rodzaju rozpatrywanie sprawy jest słusznem.

Cobyśmy powiedzieli, gdyby sąd w sprawie cywilnej, choćby to był sąd polubowny, zamiast rozpatrzeć sporną kwestyę, wyrokła np. ze sprzedaży gruntu, zaczął wchodzić w szczegóły życia prywatnego sprzedawcy i nie zasądził należnej mu sumy z tej racji jedynie, że prowadzi on życie niemoralne?

Czy powinien uniknąć kary morderca, jeżeli dowiedzie, że zamordowany był człowiekiem małej wartości?

Nie ma dwóch zdań w tej kwestyi. Pod opieką prawa są wszyscy, zarówno źli, jak dobrzy; krzywdzić nie wolno nikogo; nawet ludzie, skazani sądownie na „pozbawienie wszystkich praw,“ są pod opieką prawa.

Ktokolwiek jest moim wierzycielem, winienem uiścić mu się z długu; na kimkolwiek dopuściłem się przestępstwa, winienem ponieść za to karę. Sądy mają obowiązek brać pod uwagę tylko okoliczności, mające ścisły ze sprawą związek; tak np.: jeżeli mój wierzyciel jest jednocześnie moim dłużnikiem, może nastąpić potrącenie, które mój dług do wysokości jego długu umorzy; jeżeli człowiek zraniony lub zabity przezemnie godził na moje życie, sąd może uznać, że byłem w stanie obrony koniecznej i uniewinnić mnie zupełnie lub ukarać tylko za przekroczenie prawa obrony. Wartość moralna stron, ich życie dotychczasowe, stanowisko i zasługi mają dla sądu tylko znaczenie dodatkowe: recydywista podlega karze cięższej, niż ten, kto pierwszy raz zblądził; człowiek oświecony powinien być ukarany surowiej za kradzież, niż człowiek ciemny i nierozwinięty; ludziom nieposzlakowanym daje się więcej wiary przy ocenie zeznań, niż ludziom podejrzanym mo-

ralności. Uwzględnia się też do pewnego stopnia afekt, wiek, położenie, wzajemne stosunki stron, słowem to wszystko, co logika i ludzkość uwzględniać nakazuje.

Czy nie możnaby tych samych zasad logiki i słuszności zastosować w sądach, przeznaczonych do rozpatrywania spraw honorowych?

Z dwóch przeciwników w sprawie honorowej nie zawsze ma rację człowiek większej wartości. Niekiedy najbardziej zasłużeni ludzie grzeszą brakiem taktu, niepohamowanym temperamentem lub nawet arogancją. Z drugiej strony nawet najlichszego człowieka nie powinno się znieważać bez powodu; można go unikać, nawet odsunąć od siebie w sposób przyzwoity; ale obrażać kogoś w tem przekonaniu, że się za to nie będzie pociągniętym do odpowiedzialności — jest oczywiście nieszlachetnością, podobnie jak nieszlachetnem jest szukanie zaczepki z tchórzem, z notorycznym antyduelantem lub z człowiekiem, nieumiejącym władać bronią.

Niesłusznie skrzywdzony powinien w każdym wypadku uzyskać zadosyćuczynienie, winny zaś — być ukarany.

Główne zadanie sądu honorowego powinno zatem polegać na rozpatrzeniu samego zajścia, które wywołało sprawę, oraz okoliczności, mających z niem związek. Tak np. ważną jest rzeczą, czy obrażony dał powód do zajścia, lub nie; czy obraza nastąpiła wskutek nieporozumienia, pomyłki, usprawiedliwionego rozdrażnienia lub oburzenia, czy też była objawem swawoli, junakieryi, arogancji lub nietrzeźwości; dalej nieobojętną jest kwestya, gdzie, kiedy i w jakich warunkach wynikło zajście; jaki był sam rodzaj obrazy; czy zachowanie się którejś z stron było parlamentarnem, czy też nieprzyzwoitem; czy nie dotknęło pośrednio osób trzecich, czy nie skompromitowało jakiejś instytucji, korporacji, albo całego społeczeństwa; czy, czyniąc komuś zarzut, obrażający miał do tego jakieś podstawy, czy też działał lekkomyślnie, lub, co gorsza, ze złą wiarą; czy był zapytywany o opinię i miał obowiązek ją wygłosić, czy też wygłaszał ją bez racji lub w celach nieszlachetnych. Te i tym podobne okoliczności stanowiące powinny przedmiot badania dla sądu i mieścić się w motywach wyroku, którego konkluzją będzie uznanie względnej lub bezwzględnej słuszności albo winy każdego z przeciwników. Wyrok taki konstatuje tylko fakty, wyraża o nich opinię, ale niema na celu odsądzenia kogokolwiek od czci i wiary.¹⁾

¹⁾ Czy i w jakich przypadkach honorowość przeciwnika może być kwestionowaną i przez sąd rozpatrywaną, o tem będzie obszerniejsza wzmianka w dalszym ciągu tej pracy.

Z powyższej reformy wynika dwojaka korzyść: 1) pokrzywdzony otrzymuje moralną satysfakcyę przez stwierdzenie winy przeciwnika i uznanie słuszności po swojej stronie: jest to satysfakcyą, jakiej ani pojedynki, ani obecne sądy honorowe dać nie mogą; 2) nieporozumienia nie będą tak często doprowadzały do zajść gwałtowniejszych, gdyż od zachowania się każdej ze stron zależeć będzie wyrok sądu; w korzystniejszym położeniu znajdzie się zawsze ta strona, która okazała więcej taktu i umiarkowania. Dotychczas dzieje się wprost przeciwnie: po wyzwaniu sytuacja obu stron jest zawsze jednakowa; ani gwałtowność, ani brutalne zachowanie się, ani nawet brak słuszności nie pogorszą stanowiska na mecie, a sąd honorowy, zajęty wyłącznie kwestyą „honorowości ogólnej“, nie bierze zupełnie zachowania się stron pod uwagę; wszystko idzie na jeden rachunek; nie dziw zatem, że wielu ludzi na najłżejsze uchybienie odpowiada najgwałtowniejszą zniewagą, uważając, że w ten sposób są górą. W ostatnich czasach brutalność zajść „honorowych“ przybrała przestrasające rozmiary; wstrętne policzkowanie już nie wystarcza: zaczynają wchodzić w grę butelki i kije. Nie da się zaprzeczyć, iż, z pewnego punktu widzenia, wobec dzisiejszej procedury górą jest ten, kto z większą siłą używał pięści i kija lub celniej rzucał butelkami, bo i gniewowi swemu ulżył i wzbudził postrach na przyszłość; sprawa kończy się „rozprawą honorową“ na mecie i wszyscy są w porządku. W obliczu nowych sądów honorowych sytuacja się zmieni: poprawne zachowanie się znajdzie uznanie w wyroku sądu, nieprzyzwoite zaś spotka się z potępieniem lub choćby tylko naganą sędziów.

*

*

*

Z kolei nasuwa się pytanie: czy nowe sądy honorowe mają się ograniczyć tylko do kar moralnych, wyrażonych pod postacią łagodniejszej lub ostrzejszej nagany? Z jednej strony, mogą się znaleźć ludzie tak mało wrażliwi, że lekceważyć będą nagany lub tak gwałtowni, że sama tylko obawa nagany nie zdoła ich od wybuchów gniewu powstrzymać; z drugiej strony bywają wypadki, w których czuje się dotknięciem całe społeczeństwo, jak np.: jeżeli burda została zrobioną w miejscu publicznem lub

w chwili jakiegoś obchodu uroczystego, jeżeli zachowanie się czyjeś kompromituje jakąś instytucję, korporację lub nawet cały naród wobec obcych; wówczas przyznanie racyi jednemu z uczestników zajścia nie daje wystarczającej satysfakcyi społeczeństwu, uznanie zaś winy drugiego lub nawet nagana wydaje się niewystarczającą karą za przewinienie. Zdaje mi się, że byłoby rzeczą z wielu względów właściwą zastosowanie w sądach honorowych *kar pieniężnych na cele publiczne*. Kary te muszą różnić się zasadniczo od kar pieniężnych, na jakie skazują sądy państwowe. Przedewszystkiem kara ta nie dyshonoruje skazanego na nią, owszem, jedynie na ludzi honoru nałożoną być może, choćby dla tej prostej przyczyny, że nie masz dla jej wykonania innych środków poza przymusem moralnym; niewykonanie wyroku sądu honorowego musi mieć taki sam skutek, jaki miewa niezalatwienie sprawy honorowej: dyskwalifikuje do następnych spraw honorowych; kto nie zapłacił oznaczonej kary, od tego nie można żądać satysfakcyi honorowej; można go zaskarżyć przed sąd państwowy lub zrzec się satysfakcyi, jak się to obecnie czyni z ludźmi, uznanymi za „niezdolnych do satysfakcyi honorowej“ (*satisfactionsunfdhig*); wrazie wyniknięcia nowej sprawy honorowej przed upływem terminu, na zapłacenie kary oznaczonego, sprawa pozostaje w zawieszeniu aż do zapłacenia lub upływu terminu, tak jak to obecnie dzieje się z pojedyńkiem, gdy pojedynek, z wcześniejszej sprawy wynikający, jeszcze się nie odbył.¹⁾

Drugą ważną różnicę stanowi wysokość kar i sposób ich obliczania. W sądach państwowych kary za obelgi są śmiesznie małe i stosowane jednakowo do wszystkich, bez uwzględnienia majątku winnego. W sądach honorowych powinna być przyjętą następująca zasada:

„Strona, skazana na zapłacenie kary pieniężnej, powinna odczuć tę karę materyalnie, a zarazem mieć możność uiszczenia się w terminie. Wysokość kary ma być zależną 1-o od stopnia winy, 2-o od majątku lub dochodów (ewent. wydatków) winnego.“

W tym celu sąd honorowy, składający się zwykle z ludzi, znających stosunki majątkowe i tryb życia stron, powinien, zarówno przy oznaczeniu terminu, jak i wysokości kary, rozważyć te okoliczności lub zasięgnąć potrzebnych informacyj. Dla uboższego studenta, utrzymującego się z korepetycyj, równie dotkliwym będzie zapłacenie kilku rubli w przeciągu paru miesięcy,

¹⁾ Nie wolno strzelać się z człowiekiem, który ma niezalatwioną sprawę honorową.

jak dla bogatego kapitalisty zapłacenie kilku albo kilkunastu tysięcy rubli w przeciągu paru dni.

Inne różnice rzucają się same w oczy: tam kary pieniężne idą na skarb i instytucje sądowe lub na rzecz pokrzywdzonego,—tu na cele publiczne, podług uznania sądu; tam zapłacenie kary niema nic wspólnego z honorem,—tu jest niejako długiem honorowym; tam skazują urzędnicy, nie uwzględniający, a często i nie rozumiejący naszych subtelności w rzeczach honoru,—tu współobywatele, wybrani z pośród najlepiej znających się na tych rzeczach.

Pomijając korzyść uboczną, jaka z wprowadzenia tych kar dla celów publicznych wypływa, zaznaczę tylko, że będą one znacznie pewniejszym i skuteczniejszym hamulcem dla awanturników i krzywdzicieli cudzego honoru, niż pojedynki. Przewszystkiem znaczna część ludzi, zachowujących się arogancko lub opryskliwie, liczy na to, że nie każdy będzie miał ochotę wyzywać na pojedynek; tak też jest w rzeczywistości, i dlatego wiele nieprzyzwoitości uchodzi płazem, co sprzyja rozwojowi tak niepożądaney pseudo-junakieryi; dalej, nie każde wyzwanie kończy się pojedykiem; burda, wszczęta przy szampanie, kończy się często zapiciem całej sprawy szampanem; wreszcie niewielki procent pojedynków kończy się krwawo, co też biorą pod uwagę owi pseudo-junakowie. Nie brak i prawdziwych junaków, zwłaszcza wśród ludzi bardzo młodych, którzy pragną mieć pojedynek, bo to ich pasuje na dorosłych rycerzy, pozwala dowieść odwagi i robi interesującymi w oczach kobiet. Są także ludzie tak krewkiego temperamentu, że dając folgę gniewowi, nie myślą wcale o następstwach swego postępowania. Są nareszcie starcy, kaleki, duchowni i t. p. ludzie, z którymi niepodobna się pojedynkować. Jeżeli jednak pojedynek nie jest wystarczającą tarczą od wielu nieuzasadnionych napaści, to, powtarzam, będzie nią w znakomitym stopniu obawa sądu honorowego, a zwłaszcza dotkliwej kary pieniężnej. Pozwolę sobie twierdzić z całą stanowczością, że niema człowieka niewrażliwego na stratę materyalną; można być pewnym, że nawet ten, kogo nie powstrzyma obawa przed pojedykiem lub naganą sądu, zdąży w większości wypadków zastanowić się nad słowem albo czynem, który go narazi na dotkliwą stratę pieniężną. Kogo zaś raz dotknie podobna kara, ten z pewnością będzie ostrożniejszym na przyszłość, zwłaszcza, gdy przyjętą będzie zasada, że kary dla recydywistów zwiększają się stopniowo.

*

*

*

Czy oprócz stwierdzenia faktów, wyrażenia o nich opinii, ewentualnie wymierzenia kary moralnej (nagany) lub pieniężnej, sąd honorowy ma nakazywać stronom przeproszenie, cofnięcie obrazy lub podanie ręki? Logiczna odpowiedź na to pytanie musi wypaść przecząco.

Weźmy przykład analogiczny: *A* ma pretensję cywilną do *B* i przedstawia mu ją w drodze prywatnej. Jeżeli *B* uzna w całości słuszność żądań i wypełni je dobrowolnie lub jeżeli obie strony zawrą kompromis, to pretensja tem samem jest umorzona. W przeciwnym razie, jeżeli *B* kwestyonuje słuszność pretensyi lub wzdraga się uczynić zadość żądaniom *A*, sprawa przechodzi na drogę sądową. Sąd, po zbadaniu sprawy, zasądza akcyę w całości lub w części, albo ją oddala. Żadnemu jednak prawodawcy nie przyszło do głowy żądać, aby sąd nakazał stronie, przegrywającej sprawę, przyznać publicznie słuszność przeciwnikowi lub go przeprosić. Uważalibyśmy to za śmieszne i zbyteczne. Strony muszą się poddać wyrokowi prawomocnemu, nie mogą go publicznie krytykować, byłoby to bowiem obrazą sądu; ale w głębi duszy wolno każdemu myśleć, co mu się podoba i nikogo nie można zmuszać, aby wypowiedział swe wewnętrzne przekonanie lub go się wyparł. *E pur si muove* — mógłby powiedzieć każdy, na kimby podobnego gwałtu dokonano. Wreszcie stronie wygrywającej nic już nie powinno zależeć na wewnętrznem przekonaniu przeciwnika, skoro uzyskała to, do czego miała prawo. To samo stosuje się do spraw honorowych. *A*, czując się dotkniętym na honorze przez *B*, może znaleźć zadosyćuczynienie bądź w dobrowolnem oświadczeniu przeciwnika, bądź w uznaniu ludzi bezstronnych i nieposzlakowych, składających sąd honorowy. Jakąż jednak wartość może mieć dla niego oświadczenie, złożone przez przeciwnika pod przymusem? Jaką przyjemność stanowić może podanie ręki przeciwnikowi nieprzekonanemu, który w duszy myśli zapewne to samo, co przedtem?

Zarówno odwołanie, jak przeproszenie i podanie ręki może być tylko rezultatem polubownego załatwienia sprawy, dobrowolnej umowy stron, — nigdy jednak wyroku sądowego, przymusu; przypominałoby to nazbyt ów system „odszczekiwania“, o którym pamiętał woźny Protazy, jako o ekscesie, dawno wyszłym z użycia.

Każdemu wolno mieć o innych pojęcie dodatnie lub ujemne, sprawiedliwe lub niesprawiedliwe, żywić dla nich sympatyę lub antypatyę; nie wolno tylko ujawniać swych uczuć i wrażeń w sposób, obrażający czyjś honor.

Co innego, gdy nieporozumienie zaszło pomiędzy przyjaciółmi, kolegami, sąsiadami, członkami jednej rodziny, słowem, pomiędzy ludźmi, blisko z sobą żyjącymi, i gdy nieporozumienie to zostało oddane do rozstrzygnięcia sądowi, złożonemu z przyjaciół stron obu, z ich wspólnych kolegów, sąsiadów albo krewnych. Zadanie arbitrów stanowi wówczas nietylko osądzenie sprawy, ale i pogodzenie stron. Jest to właściwie sąd rozjemczy, stanowiący jedną z form polubownego załatwienia sprawy, praktykowanych oddawna: czy rozjemcy doprowadzili do zgody bez żadnych formalności, czy też występując w charakterze sekundantów lub arbitrów, to istoty rzeczy nie zmienia; strony się godzą i wówczas odwołanie zarzutu, cofnięcie obrazy, przeproszenie i podanie ręki jest na swoim miejscu. Sąd rozjemczy, dążący do pogodzenia stron, niema nic wspólnego z omawianym przez nas sądem honorowym, którego zadaniem jest tylko wymiar sprawiedliwości w tych przypadkach, w których do polubownego załatwienia sprawy nie doszło. Nikt nie przeszkadza stronom pogodzić się podczas procesu lub po zapadnięciu wyroku sądu, jak to niekiedy się zdarza w sprawach cywilnych lub karnych z oskarżenia prywatnego: jeżeli zgoda nastąpiła przed wyrokiem, sąd umarza sprawę, ale zmuszać stron do pogodzenia się — nie może.

*

*

*

Należy nam jeszcze zastanowić się nad pytaniem, poruszonem wyżej, czy t. zw. *honorowość* stron może być kwestyonowaną i rozpatrywaną przez sąd honorowy.

Dotychczasowe sądy honorowe, jako wywoływane jedynie *ekscępcją* niehonorowości, t. j. zarzutem, że przeciwnik nie kwalifikuje się do satysfakcyi honorowej, zajmowały się jedynie tą kwestyą. W zreformowanych sądach honorowych kwestya *honorowości* może się zjawić w dwojakiej formie: jako meritum i jako ekscępcya.

Jeżeli powodem sprawy był zarzut niehonorowości lub zarzut jakiegoś czynu konkretnego, niezgodnego z honorem, to kwestya ta eo ipso do meritum sprawy bezpośrednio należy i musi być przez sąd rozpatrzoną. Gdy zarzut okaże się niesłusznym, to sąd ogłosi w wyroku, że obrażony wolnym jest od uczynione-

go mu zarzutu (rehabilitacja): obrażającego zaś skaże na większą lub mniejszą karę, stosownie do okoliczności. Gdy obrażający udowodni w całości lub w części swe zarzuty, wówczas sąd konstataje fakty z przytoczeniem dowodów, przyczem obrażający może być bądź zupełnie od kary zwolnionym, jeżeli zachowanie się jego okaże się całkowicie usprawiedliwionem—bądź skazanym na karę, jeśli, mimo słuszności zarzutów, postępowanie jego w danym zajściu uznanem zostanie za naganne. Tak nakazuje słuszność, gdyż sam fakt, że ktoś jest niegodnym szacunku, nie upoważnia jeszcze, aby go ktoś inny, choćby najuczciwszy człowiek, bez przyczyny i potrzeby lżył i znieważał.

Jeżeli zarzuty, uwłaczające honorowi, nie były przyczyną wyzwania, lecz zjawiają się dopiero w toku sprawy, to należy odróżnić dwa wypadki:

1-o) *Przeciw obrażonemu* zarzut taki nie może być postawiony, jako *ekscepcyja*; obrażający tylko wtedy ma prawo dowodzić zarzucanych faktów, gdy one miały wpływ na jego zachowanie, t. j. gdy pośrednio do meritum sprawy należą, stanowiąc niejako okoliczność łagodzącą dla niego; natomiast przytaczanie faktów, nie mających z daną sprawą nic wspólnego, jako też faktów, o których obrażający dowiedział się już po wyzwaniu, nie powinno być dopuszczone, gdyż nie usprawiedliwia obrazy, nie przeszkadza sądowi przyznać w danej sprawie słuszności obrażonemu i wymierzyć kary obrażającemu ¹⁾.

2-o) Ime natomiast ma znaczenie *ekscepcyja przeciw obrażającemu*. Zniewaga ze strony notorycznego szubrawca lub człowieka, nie mającego o honorze pojęcia, nie jest i dziś uważaną za obrazę honoru i nie pociąga za sobą żądania satysfakcji: uważa się ją za napaść, wobec której bądź nie reaguje się wcale, bądź wzywa się pomocy policyi i sądów państwowych. Jeżeli jednak niehonorowość obrażającego nie jest faktem oczywistym, ogólnie znanym i uznanym, lub jeżeli obrażony dopiero w toku sprawy, t. j. po wyzwaniu, dowiedział się o niehonorowości swego przeciwnika, naówczas wolno mu postawić zarzut w formie ekscepcyi. Sąd wówczas rozpatruje przedewszystkiem ekscepcyę, decyduje o jej słuszności i, gdy zarzut zostanie dowiedzionym,

¹⁾ Jeżeli sam obrażony zarządza rozpatrzenia postawionych przeciw niemu w toku sprawy zarzutów, sąd może się do tego żądania przychylić i o słuszności zarzutów orzec, przyczem zarzut bezzasadny może wpłynąć na powiększenie kary.

wyduje rezolucyę, że, z powodu wniesionej ekscpepcyi, sprawa nie podlega jego kompetencyi; na żądanie obrażonego, sąd może się zająć rehabilitacyą jego honoru i wydać opinię o jego zachowaniu się w danem zająściu, na zasadzie złożonych przezeń dowodów — ale obrażającego, jako nie podlegającego kompetencyi sądów honorowych, zostawia za nawiasem i w żadnym razie kary mu nie wymierza. Jest to rzeczą naturalną, gdyż człowiek nie-honorowy nie przedstawia żadnej rękojmi, że uszanuje i wykona wyrok, którego egzekucya tylko na przymusie moralnym polega. Z tego powodu nie może być ukaranym przez sąd honorowy ten, kto już raz wyroku sądu honorowego nie wypełnił; ukaranie go, jak wogóle ludzi niehonorowych, należy już do instytucyj państwowych, które posiadają inne kary i inne środki egzekucyi.

Rozumie się samo przez się, że jeżeli obie strony uznane zostaną przez sąd honorowy za nieposiadające kwalifikacyj honorowych, sprawa musi być przez sąd odrzuconą, a przeciwnicy pozostawieni własnemu losowi.

Tak więc, jak widzimy, i nowe, zreformowane sądy honorowe będą niekiedy musiały rozpatrywać kwestyę honorowości, sądzę jednak, że będą to wypadki bardzo rzadkie, a to dla następujących powodów. Dotychczas ekscpepcya niehonorowości miała na celu uniknięcie pojedynku kosztem infamii przeciwnika; to też często zbyt gorliwie grzebano w przeszłości i zbyt lekkomyślnie oskarżano ludzi, z którymi wczoraj jeszcze w najlepszych się było stosunkach.

Na łatwość, z jaką się oskarżano, wpływała jeszcze i bezkarność oskarżenia. *Calomniez! Calomniez! Il en restera toujours quelque chose*; oskarżający nic nie ryzykował, a do oskarżonego, nawet w braku wystarczających dowodów, zawsze się coś przylepiło.

Obecnie, gdy już nie będzie chodziło o pojedynek, należy się spodziewać, że zarzut niehonorowości będzie się zjawiał rzadziej; na większą ostrożność wpłynie i to, że za lekkomyślne oskarżenie sąd będzie wymierzał kary.

Zresztą i dla tego jeszcze mniej będzie okazji do kwestyowania honorowości, że ludzie, których sumienie nie jest czyste, nie będą tak skorzy, jak dotychczas, do wywoływania awantur i żądania satysfakcyi; przy dawnej procedurze mogli zawsze liczyć na to, że sprawa zakończy się w najgorszym razie pojedynkiem, który im dawał pozór ludzi honorowych; obecnie będą woleli uniknąć sądu, który z korzyścią dla nich wypaść nie może.

Należy też przypuszczać, że i same sądy honorowe tylko w rzadkich wypadkach będą zwolywane. To rzecz jasna. Dotychczas nie można było wielu spraw załatwić polubownie dlatego jedynie, że przeproszenie, cofnięcie obrazy, przyznanie się do winy, mogło być poczytane za obawę przed pojedynkiem. Niejeden czuł, że niesłusznie kogoś obraził, że uniósł się bez powodu lub padł ofiarą plotki czy nieporozumienia: wolał jednak „tę nadstawić“, niż narazić się na podejrzenie, że boi się pojedynku. W takich warunkach przeproszenie, które sama słusność dyktuje, wymaga odwagi cywilnej, na jaką trudniej się zdobyć człowiekowi honoru, niż na stanięcie na mecie.

Przy nowej procedurze, gdzie brawura w grę już nie wchodzi, słusność odzyska swoje prawa. Każdy, kto niesłusznie drugiemu krzywdę wyrządził, będzie mógł bez wahania tę krzywdę dobrowolnie zmasać, tembardziej, że w przeciwnym razie narazi się na sąd honorowy, który jego postępowanie niezawodnie potępi.

Nie ulega wątpliwości, że w przeważnej części spraw honorowych brawura główną dotychczas odgrywała rolę; gdy dla niej nie będzie miejsca, zmniejszy się przedewszystkiem ilość spraw honorowych: ustanie niepożądana junakierya, fantazyja po pijanemu, opryskliwość, arogancya — jednym słowem poprawią się obyczaje i formy towarzyskie, które pozwalały niekiedy wątpić o dobrem wychowaniu ludzi, mających do tego preteusę.

Nietylko zatem sądy honorowe, ale i sekundanci będą mieli w przyszłości ułatwione zadanie. Wielu z tych ostatnich będzie, co prawda, musiało się wyrzec „brawury“ (?), która czasem prowadziła na metę ludzi, gotowych podać sobie ręce, i stwarzała powód do pojedynku w najbliższej sprawie. To też największy opór przeciw tej reformie przewiduję ze strony tych „sekundantów-amatorów“, którzy, ryzykując cudzą skórę, szukali chluby w stawianiu „twardych warunków“ i w uporze przy układach. Obecnie upór nie zda się na nic, gdyż, w razie niedojścia układów do skutku, sąd honorowy zdecyduje, kto miał rację i przy wymiarze sprawiedliwości weźmie pod uwagę, czy strona skłoną była załatwić sprawę polubownie.

IV.

W ten sposób zreformowana procedura w sprawach honorowych nietylko zastąpić może pojedynek, nietylko lepiej od pojedynku odpowiada istotnym pojęciom o honorze i sprawiedliwości,

ale posiada jeszcze i tę wyższość, że staje się dostępną dla wszystkich ludzi, uznających pojęcie honoru. Będą więc mogli żądać satysfakcyi i będą w stanie udzielić jej ci wszyscy, którzy dotychczas, przy grożącej zawsze ewentualności pojedynku, byli „poza prawem“ i z którymi czasem niewiadomo było, jak postąpić¹⁾. Wobec tego można ustanowić następujące zasady, obowiązujące wszystkich ludzi honoru:

1) *Nikomiu nie wolno wymówić się od poddania sprawy o obrzęę czci rozpatrzeniu sądu honorowego, jeżeli przeciwnik tego żąda; odmowa w tym względzie równa się odmówieniu satysfakcyi honorowej i pociąga za sobą protokół jednostronny.*

2) *Wyrok sądu honorowego rozstrzyga każdą sprawę ostatecznie i nie podlega krytyce, ani apelacji; nieuszczeganie lub niewykonanie go pociąga za sobą dla strony niepostusznej niezdolność do spraw honorowych.*

Rozpatrzmy bliżej te punkty.

Żądania satysfakcyi honorowej, czyli t. zw. „wyzwanie“ osobiste, listowne lub przez pełnomocników, nie stanowi i dzisiaj koniecznie „wyzwania na pojedynek,“ satysfakcyja bywa bowiem udzielaną także w formie wyjaśnienia, cofnięcia słów obrażających lub przeproszenia²⁾. Następstwem wyzwania w tej lub in-

¹⁾ Sądę, że odtąd i kobiety, które na innych polach dążą do samodzielnosci i równouprawnienia, zechcą uważać się za „ludzi honorowych.“ Będzie to stanowiło niezmiernie doniosły czynnik w poprawie obyczajów. Z jednej strony kobiety samotne, za któremi nie ma się kto ująć, nie będą tak łatwo narażone na uchybienia, gdy będą w możności same bronić swego honoru; z drugiej zaś strony kobiety, które dotychczas mogły bezkarnie szerzyć waśni, obmawiać, rozsiewać plotki lub wprost ubliżać, będą musiały osobiście odpowiadać za swoje słowa lub czyny, co je uczyni ostrożniejszymi. Jest to, mojem zdaniem, najpierwszym warunkiem zrównania kobiet z mężczyznami w życiu społecznem, aby stały się one „honorowemi,“ t. j. miały te same, co „honorowi mężczyźni,“ pojęcie o swej godności, o kłamstwie i obmowie, o ważności danego słowa i odpowiedzialności za swoje postęпки.

²⁾ Owo niemieckie *gefordert* (co po polsku znaczy „wyzwany“) jest tylko wyrazem, przerywającym spór lub zajęcie, gdy jedna ze stron uczuła się obrażoną. Z chwilą wypowiedzenia tego wyrazu przez kogokolwiek z uczestników zajęcia, ustaje wszelka bezpośrednia dyskusya i akcyja pomiędzy stronami. Przeciwnicy aż do ukończenia sprawy lub postawienia ich na mecie przez sekundantów nie istnieją dla siebie; mogą się rozejść spokojnie lub pozostać w jednym towarzystwie, jakby się nie widzieli; pod żadnym jednak pozorem nie wolno jednej stronie zaczepić drugiej; byłoby to najwyższą nieprzyzwoitością, największem przestępstwem przeciw kodeksowi honorowemu

nej formie jest zwykle spotkanie pełnomocników stron, celem ułożenia warunków satysfakcyi. Rezultat tych układów bywa obecnie trojaki: 1) *pokojuowe załatwienie sprawy*, jeżeli sekundanci (pełnomocnicy) dojdą do porozumienia co do formy wyjaśnienia, przeproszenia lub cofnięcia obrazy; 2) *rozprawa z bronią w rękę*, czyli pojedynek, jeżeli obie strony tylko na takie rozwiązanie zgodzić się mogą (przyczem, w razie kwestyonowania honorowości, odbywa się uprzednio sąd honorowy dla usunięcia tej kwestyi); 3) *zerwanie układów i jednostronne protokoły*.

Ten ostatni rezultat zdarza się obecnie w następujących wypadkach: a) jeżeli wyzwany odmawia bezwarunkowo wszelkiej satysfakcyi honorowej; b) jeżeli, w razie zakwestyonowania honorowości, jedna ze stron nie zgadza się na rozpatrzenie tej kwestyi przez sąd honorowy; c) jeżeli jedna ze stron nie uznaje pojedynku lub go sobie w danym wypadku nie życzy i proponuje załatwienie sprawy w innej formie, a druga na nic innego prócz pojedynku zgodzić się nie chce, lub gdy jedna strona na zbyt ostre warunki spotkania nie przystaje, a druga od nich nie odstępuje. ¹⁾ Jednostronne protokoły w takich okolicznościach są

(t. zw. po niemiecku *Nachtusch*). U nas tę samą rolę odgrywa wymiana biletów wizytowych. Należy jednak przyznać, że w pewnych wypadkach ustne wyzwanie jest praktyczniejsze; gdy chodzi o szybkie przerwanie zajścia, w chwili gniewu, rozdrażnienia, a szczególnie w razie nietrzeźwości, łatwiej jest znaleźć wyraz, niż bilet wizytowy, którego notabene można niekiedy nie mieć przy sobie; wyraz można rzucić zdaleka, podanie zaś biletu wymaga zbliżenia się przeciwników, często niepożądanego; nareszcie, gdy się nie chce zwrócić uwagi obecnych na nieporozumienie, można łatwiej niepostrzeżenie szepnąć wyraz, niż zamienić bilety. Jeżeli strony nie znają wzajemnie swych nazwisk lub adresów, wówczas, po ustnem wyzwaniu nastąpić powinna wymiana biletów, najlepiej przez osobę trzecią. Uwagi te wtrąciłem nawiasem, ażeby wskazać na pewne, drobne na pozór, ulepszenia, mające jednak znaczenie, gdy chodzi o niedopuszczenie do skandalu, o powstrzymanie w porę zwaśnionych. Na obrazę nie należy odpowiadać cięższą obrazą lub zniewagą, bo to prowadzi do burdy lub bijatyki; daleko lepiej jest przerwać zajście wyzwaniem. Praktykowane przez studentów niemieckich stopniowanie obraz (t. zw. „awan-taże”) — niema sensu.

¹⁾ Strona łagodniejsza jest tu zawsze w gorszym położeniu, gdyż grozi jej zarzut tchórzostwa; ma ona wprawdzie w zasadzie możność żądania sądu honorowego „*questione materiae*“ (t. j. w kwestyi doniosłości obrazy), ale sąd w tej kwestyi niema praktycznego znaczenia, gdyż ten, komu na pojedynku i ostrych warunkach zależy, zawsze stroną przeciwną swoim postępowaniem zmusić do tego może.

zawsze najgorszym rezultatem sprawy honorowej, jak o tem mówiliśmy wyżej.

Podług naszej reformy strony mają wybór jedynie pomiędzy polubownem załatwieniem sprawy i sądem honorowym; tylko w takim wypadku, gdy jedna ze stron, wbrew propozycji drugiej, na sąd honorowy przystać nie chce, pełnomocnicy strony proponującej sporządzają protokół jednostronny. Jeżeli odmówił wyzywany, wyzywający może uważać go za człowieka nie uznającego praw honoru i stosownie do tego postąpić; przysługuje mu też prawo na mocy protokołu swoich pełnomocników, zebrać jednostronny sąd honorowy, który wydaje wyrok, jego jedynie dotyczący; postępowanie przeciwnika może znaleźć w tym wyroku właściwe określenie, ale on sam, jako człowiek niehonorowy, wyrokowi nie podlega.

Jeżeli wyzywający na sąd się nie zgadza, wówczas protokół jednostronny, sporządzony przez pełnomocników wyzwanego, zasłania tego ostatniego przed zarzutem odmowy satysfakcyi, gdyż każdemu przysługuje prawo na tej drodze jedynie żądać rozwiązania sprawy.

Ponieważ, jak się wyżej rzekło, zreformowany sąd honorowy nie zajmuje się kwalifikowaniem stron i przedmiotu sporu do pojedynku, tylko sądzi sprawę *in merito*, przeto wyrok jego stanowi ostateczne rozstrzygnięcie sporu. Ktoby, nie chcąc poprzestać na załatwieniu sprawy przez sąd honorowy, nowej z przeciwnikiem szukał awantury, ten narazi się tylko na nową sprawę przed sądem honorowym i niewątpliwie na surową karę pieniężną, która powinna być zawsze następstwem tak nieprzyzwoitego postępowania. Wyraźne nieuszanowanie lub niewykonanie wyroku dyskwalifikuje do następnych spraw przed sądem honorowym; dla kogo egzekucya moralna — zobowiązanie honorowe — okazała się raz niewystarczająca, ten już sądom honorowym nie podlega.

V.

Czy każdemu sądowi honorowemu poddać się jesteśmy obowiązani? Jaki powinien być skład sądu? Wielu sędziów?

Odpowiedź na te pytania nie należy właściwie do tej pracy, gdyż w tym względzie powinny obowiązywać zasady, ogólnie przyjęte w sądach polubownych i dotychczasowych sądach honorowych. Pozwolę sobie tylko na kilka krótkich uwag. Sprawę

honorową można prowadzić tylko z ludźmi honorowymi i zapatrującymi się poważnie na tego rodzaju sprawy; na szykany, podstępne działania albo żarty—niema tu miejsca. Zarówno wybór pełnomocników, jak i sędziów, powinien być rozważny i uczciwy. Jedni i drudzy muszą być ludźmi nieskazitelnymi, przyczem na pełnomocników można wybrać nawet bliskich krewnych lub przyjaciół, byle ci nie traktowali sprawy namiętnie i nie mieli osobistej niechęci dla strony przeciwnej; natomiast na sędziów należy wybierać ludzi możliwie bezstronnych; takt zatem i przyzwoitość nakazuje nie proponować na sędziów ludzi, jakimikolwiek węzłami z nimi związanych. Niewłaściwem jest szykanować stronę przeciwną i robić jej niepotrzebne trudności; ale traktując sprawę poważnie i z dobrą wiarą, mamy prawo wymagać tego samego od strony przeciwnej; można nie przyjąć proponowanego sędziego, jeżeli się ma poważny zarzut co do jego osoby lub stosunku względem stron; jeżeli zaś po stronie przeciwnej widoczną jest zła wiara lub lekceważenie, to nie pozostaje nic innego, jak sporządzenie jednostronnego protokołu z jego następstwami; wówczas to osobistość pełnomocników ważną odgrywa rolę, gdyż od ich powagi i opinii, jaką się cieszą w społeczeństwie, i nasza dobra sława zależy.

W korporacjach, klubach, stowarzyszeniach, w instytucjach, liczących znaczną ilość współpracujących, wreszcie z pośród ludzi jednego zawodu bywa wybierany stały sąd koleżeński do rozstrzygania zatargów pomiędzy kolegami lub członkami instytucji wynikłych. Jest to już jakby gotowy sąd honorowy; tylko w każdej instytucji powinny być dostateczna ilość sędziów, ażeby strony mogły z pośród nich wybrać takich, którzy wszystkim warunkom odpowiadają.

Jak w każdym sądzie polubownym, arbitrowie, wybrani do sądu honorowego, zapraszają superarbitra, który przewodniczy obradom i, w razie równości głosów, swoim głosem rozstrzyga.

VI.

Tyle o reformie sądów honorowych; streszcza się ona w kilku postulatach:

- 1) Sąd honorowy sądzi sprawy o obrazę czci *in merito* i ostatecznie;
- 2) Orzeka o słuszności i winie w postępowaniu stron;

3) Wyraża winnemu naganę i może skazać go na zapłacenie określonej sumy na cel publiczny, która to kara, jako honorowa, jedynie na ludzi honoru nałożoną być może;

4) Poddanie się sądowi honorowemu, uznanie i wykonanie jego wyroku—stanowi obowiązek każdego człowieka honoru.

Reforma ta nie usuwa innych, znanych dotychczas sposobów kończenia sporów o obrazę honoru, jak pogodzenie bezpośrednio, przez przyjaciół, sekundantów lub arbitra, załatwienie sprawy przez sąd koleżeńcki, familijny lub polubowny, wreszcie nawet przez sądy państwowe, gdy jedna ze stron nie uznaje „kodeksu honorowego“ lub notorycznie do sprawy honorowej się nie kwalifikuje.

Jakież jednak jest stanowisko tej reformy względem pojedynku? Czy ma ona potępić go bezwzględnie lub zakazać? Czy ma uznać pojedynki za dopuszczalny w pewnych wypadkach, a w innych nie? Nie trudźmy się zbyt nad kazuistycznym rozwiązaniem tego pytania; bądźmy tylko logiczni i konsekwentni, a odpowiedź znajdzie się sama.

Dotychczas widziano w pojedynku cel podwójny: 1) *oczyszczenie honoru* i 2) *pomszczenie obrazy*. Są to dwa pojęcia zupełnie odrębne, z których pomieszania wynikają takie dziwolagi logiczne, jak używane często wyrażenie „pomszczenie honoru.“

Oczyszczenie honoru—rehabilitacja—jest prawem i obowiązkiem każdego dbałego o cześć człowieka; kto cześci swęj ubliżyć pozwala, ten jakoby przyznawał, że cześci nie posiada, że na cześć nie zasługuje. Przyznając sobie samym *prawo* ujmowania się za swą cześć, musimy też przyznać to prawo innym, którzy o cześć swą dbają; mamy więc *obowiązek* dać zadośćuczynienie tym, którzy go się słusznie domagają.

Co innego zemsta: tej ani poszukiwać, ani jej się poddawać nie mamy obowiązku; nikomu za złe mieć nie można, że krzywdę szlachetnie przebaczył — nikomu dziwić się niepodobna, gdy się przed zemstą chroni lub broni.

Zemsta jest niejako koniecznością tam, gdzie człowiek praw swoich w drodze legalnej obronić nie może, gdzie społeczeństwo nie dopomaga jednostce do skutecznego odparcia zamachów, gdzie niema sądów lub władzy, zdolnej wykonać wyrok sądowy, gdzie sądy są przekupne lub ulegają wpływowi możniejszych, gdzie jednym słowem niema sprawiedliwości. W takich warunkach dziwić się trudno, gdy każdy broni się sam, jak może. Sąsiad zabrał mi wołu lub konia: jeżeli mam możliwość, odbiorę mu siłą mój dobytek, a jego samego zbiję w dodatku, aby go zniechęcić do czy-

hania na moją własność; podpalił mi stóg—spalę mu stodoły, żeby mnie popamiętał; uderzył mnie—kości mu połamię, żeby wszyscy wiedzieli, że mnie bezkarnie dotknąć nie wolno. Gerwazy w „Panu Tadeuszu“ ma jeszcze tego rodzaju pojęcia o prawie cywilnem i karnem, gdy radzi Hrabiemu „procesów zaniechać,“ a natomiast „najechać, zajechać“ i „nietylko tę część gruntów zabrać“ Soplicom, którą Horeszkom wydarto, ale i „resztę“ — „za karę.“ Dziwić mu się nie można: pamiętał on czasy, w których zartowano sobie z wyroków sądu, w których „Wołodkowiec, pan możny, zuchwały, ... rozpedzał sejmiki, gwałcił trybunały;“ to też mówi do szlachty: „Czyż to ja wzywam na rozboje? Broń Boże! Bracia szlachta! ja przy prawie stoję.“

Gdzie niema prawa i wymiaru sprawiedliwości, tam zemsta jest prawem, jest niejako punktem honoru, uważa się za wymiar sprawiedliwości. Dziś nikt już nie podziela poglądów Gerwazego na sprawy cywilne i karne, nikt nie waha się zwrócić do sądu o odbiór własności lub ukaranie przestępcy. Nie było tylko dotychczas forum, do którego można by się zwrócić ze sprawą o obrazę czci; dla tych więc spraw zemsta pozostała prawem, stała się punktem honoru.

Nie da się zaprzeczyć, że czynnik zemsty mieści się istotnie w pojedynku: kto pożąda krwi znienawidzonego przez siebie człowieka, ten ma możność godzenia na jego życie lub zdrowie, nie popełniając przytem skrytobójstwa; zemsta ta ma charakter rycerski, gdyż poszukujący jej sam własne życie naraża; że zaś przytem jest jawną, dokonywa się z wiedzą i wolą drugiej strony, w obecności świadków i podług ścisłych przepisów — przeto w stosunku do innych sposobów zemsty, skrytych i podstępnych lub bardziej okrutnych, jest niejako więcej kulturalną (jeżeli wogóle uczucie zemsty godnem jest jeszcze ludzi naprawdę i głęboko kulturalnych).

O ile jednak zemsta jest realnym czynnikiem w pojedynku, o tyle „zmazanie plamy,“ oczyszczenie honoru, naprawienie krzywdy — jest w nim tylko *fikcją*, jakieśmy już o tem wyżej mówili. Fikcja ta była może konieczną wobec niemożności osiągnięcia tych celów na innej drodze, stanic się jednak zbyteczną z chwilą, gdy rzeczywista rehabilitacja będzie możliwa, gdy *istotna* obrona honoru będzie dla każdego dostępna. Pojedynek będzie można uważać wówczas za *rozprawę honorową* wprawdzie, ale już nie *o honor*. Czy taka rozprawa, pozbawiona głównego, najszlachetniejszego swego celu — obrony czci — może być jeszcze do czego potrzebną? Jeżeli kto powie, że „dla ukarania winnego,“ to mu

odpowiemy: *nie*; bo w pojedynku kara nie jest pewną i jest dziełem przypadku, a nie wymiarem sprawiedliwości, gdy tymczasem sąd honorowy będzie miał pewny sposób wymierzenia kary dotkliwej i sprawiedliwej. Dopuszczanie pojedynku w wypadkach „bardzo ciężkiej zniewagi“ nie wytrzymuje również krytyki, gdyż cześć obrażonego nie może być zależną od grubiaństwa lub złej woli obrażającego; „lekkość“ lub „ciężkość“ obrazy nie powinna wpływać na logikę naszego rozumowania, a tem samem i na sposób obrony honoru.

Jest jednak pewna kategoria spraw tak delikatnych i wymagających takiej dyskrecyi, że nie podobna roztaczać ich przed sądem honorowym; często nawet sekundanci, układający warunki spotkania, nie są wtajemniczeni w rzeczywisty powód pojedynku: strony oświadczają im, że chcą się bić, podają czasem jakiś fikcyjny powód, dla upozorowania pojedynku przed światem, ale rzeczywista przyczyna pozostaje tajemnicą niewielu tylko osób. Czyż takie sprawy *muszą* być poddawane sądom honorowym? Czy wobec obustronnej woli przeciwników walczenia z bronią w rękę, społeczeństwo powinno się pomiędzy nich wtrącać? Odpowiemy na to znów: *nie*, przedewszystkiem dlatego, że tego rodzaju sprawy nie są właściwie *sprawami honorowymi*, t. j. sprawami „o honor.“ Honor, jak to już wyżej było powiedziane, jest to dbałość o cześć, o opinię ogółu: obrona honoru ma na celu uniknięcie publicznej niesławy i dla tego musi być publiczną. Kto stoi pod zarzutem utraty honoru, temu tylko cofnięcie zarzutu lub rehabilitacya przez sąd honorowy pomódz może — ale nie pojedynek, który niczego nie dowodzi. W tych jednak sprawach „delikatnych,“ wymagających tajemnicy, nie o publiczną rehabilitacyę chodzi, bo ogół o niczem nie wie, — nie o obronę dobrej sławy, honoru — bo niema obrazy honoru, niema niesławy; chodzi w nich zwykle o jakąś tajemnie wyrządzoną krzywdę, o tajemną rywalizacyę lub nienawiść, o ból tajemny, który szuka ulgi w zemście. Jaką formę zemsty pokrzywdzony obiera: rycerską czy zbrodniącą — to już rzecz jego i kodeksu karnego, który łagodniej karze za pojedynek, niż za inne sposoby godzenia na zdrowie i życie bliźniego. Czy przeciwnik przyjmuje walkę, czy jej odmawia, to także jego rzecz. Opinia publiczna nie powinna tu wywierać presyi, bo nie wie, o co chodzi. Społeczeństwo niema racyi napraszać się z opieką tam, gdzie go nikt o opiekę nie prosi; stosuje się tu zasada: *volenti non fit injuria*; wola stron jest dla nich prawem, o ile praw osób trzecich nie obraża. Dla społeczeństwa jest obojętnem, czy dwaj przeciwnicy dla dania folgi uczuciu nie-

nawiści, dla wykazania swej brawury lub wreszcie dla sportu— postanowią strzelać do siebie, bić się na białą broń lub w inny sposób ryzykować życie; niech ich straż bezpieczeństwa i kodeks karny mają w swojej opiece!

Wystarczy zatem, gdy, w związku z reformą sądów honorowych, wygłoszoną zostanie następująca zasada:

„Pojedynek nie posiada własności naprawienia obrażonej czci; naprawę tę uzyskać można jedynie bądź w drodze polubownego porozumienia stron, bądź przez sąd honorowy.“

Proponowana przez nas reforma ma na celu umożliwienie każdemu obrony czci, uszlachetnienie poczucia honoru, wykształcenie opinii publicznej i poprawę obyczajów; nie zakazuje pojedynku, tylko domaga się, aby odjętą mu była fikcyjna własność „oczyszczania honoru,“ czyli *nie uznaje jego znaczenia w sprawach honorowych*—nie obejmuje go wcale; nie można jej nazwać *anty-duelistyczną*, jest ona poprostu *aduelistyczną*.

FRANCISZEK BRZEZIŃSKI.

Ludwik Gumplowicz.

Pisząc przed kilku miesiącami pomieszczone niżej studjum o teoriach Ludwika Gumplowicza, nie przeczuwałam, że wypadnie mi je poprzedzić smutną notatką o jego śmierci, — nie sądziłam, że praca moja będzie hołdem pośmiertnym...

Dn. 19 sierpnia profesor Gumplowicz w Gracu, wraz z żoną odebrał sobie życie, a do tego rozpaczliwego kroku popchnęła oboje nieuleczalna choroba.

Twardem jest prawo śmierci, ale twardszem jeszcze prawo życia, — życia w bólu, życia ciągle świadomego męczarni ukochanej istoty. Nie pytajmy, czy wolno uchylać się od tego prawa, ale uszanujmy wielką boleść i wielką miłość...

*

*

*

Socjologia pozytywna jest jedną z najmłodszych umiejętności i jako taka, nie dosięgła jeszcze pełni swojego rozwoju. Wprawdzie przed stu laty określono już jasno jego cele i zadania, ale w ciągu ubiegłego wieku zdołano zaledwie zgromadzić poważną ilość materiału socjologicznego. Materiały te stanowią bogate zdobycze wiedzy i cenną tworzą dla badań socjologicznych podstawę, ale, zarówno w grupowaniu i zestawianiu danych, jako też i w wyprowadzaniu ostatecznych wniosków, zdania socjologów XIX-go stulecia były rozbieżne, a cała nauka czyniła jeszcze wrażenie przedstworzeniowego chaosu.

Wyprowadzanie z całości znanego przebiegu dziejów ludzkości pewnych praw ogólnych, ustalenie w zamęcie zjawisk społecznych punktu oparcia, z któregooby budowę skończonego zarysu socjologii przedsięwziąć można, uchodziło jeszcze do niedawna za próbę bardzo ryzykowną i nie wielu socjologów kusiło się o nią.

Jednym z pierwszych, którzy podjęli śmiało to zadanie, jest uczony nasz Ludwik Gumplowicz, a myśliciele tej miary, co Ratzenhofer ¹⁾ i Eleutheropulos, przyznali mu zaszczytną nazwę jednego z pionierów właściwej socjologii. Śmiało powtórzyć za nimi można, że Gumplowicz przez ustalenie metody badania i jasne wskazanie środków, którymi socjologia do swych celów dążyć powinna, przyczynił się do wydobycia jej ze stanu zamętu, w jakim dotąd się znajdowała. W fazie „stawania się,“ w jakiej jeszcze socjologia przebywa, ostatnie 20-lecie jest okresem bujnego rozkwitu, którego zasługę słusznie świat naukowy przypisuje mężom, co, jak Gumplowicz, przyczyniali się do torowania właściwych dla niej dróg. Żywym wyrazem uznania tych zasług był obchodzony zeszłego roku w Gracu, stałej siedzibie Gumplowicza, jubileusz z okazji 70-tej rocznicy jego urodzin. W uroczystości tej wzięli udział wybitni przedstawiciele instytucyj naukowych z całego cywilizowanego świata, a czynnym objawem hołdu i zarazem upamiętnieniem zasług jubilata było założenie w Gracu socjologicznego towarzystwa.

Jak wszystkie umysły bardzo indywidualne i samodzielne, Gumplowicz nie trzymał się utartych szlaków myślowych, lecz znalazłszy własny punkt wyjścia, wytknął z niego swoją właściwą drogę. Ta jego odrębność, to odrzucenie śmiało popularnych podziałek myślowych, zyskało mu ze strony jednych gorący poklask i uznanie prawie z uwielbieniem graniczące, ze strony innych wywołało ostre krytyki i kategoryczne zaprzeczenia. Zaciętość, z jaką bywają zwalczane śmiało i niezależne poglądy, już w pewnym względzie daje miarę ich wartości, tylko bowiem lekceważonego przeciwnika zbywa się milczeniem. Tą drogą pogardliwego milczenia próbowano pogrzebać teorye Gumplowicza w Niemczech, gdzie ukazały się pierwsze jego prace, stanowiące w połączeniu skończony zarys systemu socjologii. Spełzła jednakże na niczem ta chęć zlekceważenia naszego uczonego, gdyż jego

¹⁾ Ratzenhofer, zm. w r. 1904, autor niemiecki wielu cennych prac socjologicznych;—Eleutheropulos, prof. w Zurychu, autor dzieła socjologicznego, uwieńczonego nagrodą akademii w Jenie.

„Zarys socyologii,“ tłómaczony na sześć obcych języków, zjednał mu olbrzymi rozgłos w całym świecie. Odtąd i przeciwnicy zmuszeni byli liczyć się z Gumplowiczem, jako jedną z powag na terenie danej umiejętności, twórcą nowej metody i nowej teorii.

Jedną z głównych zalet Gumplowicza jest właściwość umysłu, rzadko wśród innych socyologów spotykana, mianowicie zdolność opanowania olbrzymiego materiału wiedzy, którym ta umiejętność posługiwać się musi; posiada on rzadki dar oryentowania się w chaosie szczegółów, nie ztraca nigdy obrazu całości i nie zbacza od swej wytycznej linii. Stąd dziwna panuje w jego wywodach jasność i przejrzystość; można się godzić lub nie godzić na jego punkt wyjścia, ale przyznać trzeba, że z wielką logiką i konsekwencją wyprowadził ze swych założeń ostateczne wnioski.

Te wnioski zdają się same wyłaniać z ogólnego biegu dowodzenia, a ścisłość argumentacji Gumplowicza posiada wielką moc przekonywającą, pomimo wszelkich zarzutów, które z punktu widzenia ideologii można by przeciw teoryom Gumplowicza podnosić. Buntująca się ideologia skwapliwie odszukuje w budowie systemu Gumplowicza pewnych załamania i szczelin, które urażonej dumie ludzkiej przyniosłyby pociechę, a sam Gumplowicz ze spokojem i obiektywizmem mędrca przyznaje,¹⁾ „że jego zapatrywanie na kwestyę powstania ustrojów państwowych nie jest sympatyczne...“

Zadaniem nauki jest przecież odsłanianie prawdy, bez względu na to, czy ona jest czy nie jest sympatyczną, czy godzi się czy mija z postulatami ideowych prądów swej epoki. Bádacz podaje społeczeństwu wynik swych dociekań i formuluje wnioski tak, jak w jego umyśle powstają; obowiązany jest tylko do sumienności w badaniu i szczerości w wypowiedzaniu się. Wyciąganie praktycznych wskazań już do niego nie należy, jak nie należy również zastosowanie życiowe prawd socyologicznych; jest to raczej zadanie polityki. Odgraniczenie nauki od wiru i zamętu walk politycznych uważa Gumplowicz, jako konieczny warunek stanowiska obiektywnego, tak niezbędnego dla badacza-socyologa. Stosunek socyologii do polityki określił on w sposób następujący: „Polityka robi historię, socyologia ją tłómaczy... Polityka działa żywiołowo i żywiołowo myśli; socyologia nie należy do żadnego obozu, nie jest stroną wojującą, lecz jakby stacyą, z nadziemskiego punktu obserwacyjnego badającą ruchy stron walczących. Celem jej nie jest zwycięstwo, lecz poznanie...“ „...Rządzić nie jest

¹⁾ „Zarys socyologii,“ str. 84.

rzeczą filozofów. Rząd jest stroną wojującą, tak samo jak rządzeni...“

Działając zgodnie z wyrażonemi powyżej poglądami, Gumplowicz trzymał się zdala od polityki i starć stronnicych. Jego sposób myślenia, ściśle obiektywny i obejmujący rozległe widnokręgi, nie skłaniał się do postulatów polityki bieżącej, na bliską obliczonych metę. Nie jest on człowiekiem partyi, i w tej okoliczności tai się może przyczyna pewnego chłodu i obojętności, z jakim własne społeczeństwo do niego się odnosi. My żyjemy przede wszystkim chwilą, obchodzi nas tylko aktualność; lubimy zgiełk polityczny i dlatego cenimy najwięcej działaczy, mniej dbając o tych, co zapatrzeni w bezmiary czasu, do skarbownicy wszechludzkiej wiedzy zdobywają swe znośną. Wartoby jednak uprzytomnić sobie, że ci myśliciele zdobytymi na szerokim świecie laurami i naszej skromnej chacie zaszczyt przynoszą, chlubnie świadcząc o rozwoju naszego życia duchowego.

*

*

*

Urodził się Gumplowicz dn. 8-go marca 1838 r. w Krakowie, tamże przechodził szkołę średnią i odbywał studia uniwersyteckie, ukończywszy je ostatecznie w Wiedniu, w roku 1861. W r. 1875 habilitował się na uniwersytecie w Gracu, gdzie objął katedrę prawa państwowego austriackiego, najpierw jako docent, następnie jako profesor nadzwyczajny, a od r. 1893 jako zwyczajny. W przeszłym roku, po 33-letniej działalności profesorskiej, przeszedł w stan spoczynku, pozostawszy przy tytule profesora honorowego. Działalność jego w sferach oficjalnych nie była odznaczana i dekorowana, jak to bywa nieraz udziałem uczonych wiele niższej miary; dowód to, że sfery urzędowe innym miernikiem oceniają zasługi uczonych, niż niezależna republika międzynarodowej nauki.

Między 1860 a 70-ym rokiem zajmował się Gumplowicz dorywczo publicystyką w dziennikach politycznych, a wtedy, przyglądając się zblizka namiętnej grze politycznej, wszystkie spostrzeżenia swoje odnosił do *różnorodności żywiołów społecznych*, w której widział wynik ogólnego prawa społecznego. Podstawowa idea systemu Gumplowicza, idea *walki i współzawodnictwa ras*,

kiełkowała w umyśle jego już od czasu studyów uniwersyteckich, a pierwsze prace naukowe, wydane w Krakowie, „O woli ostatniej w rozwoju dziejowym i umiejętnym“ (r. 1864) i następna: „Prawodawstwo polskie względem Żydów,“ już noszą ślady tych poglądów.

Szerszą działalność piśmienniczą Gumplowicza datować należy od ukazania się jego dzieła p. t. „Rasa a państwo.“ Poruszone tu zasadnicze myśli rozwinął później autor w wydanej w r. 1881 „Filozofii prawa państwowego.“ Pierwsze te dzieła stanowią debiut naszego uczonego na właściwym polu socyologii, a napisał je po niemiecku, pragnąc, jak to sam przyznaje, „usłyszeć bezstronną krytykę zagranicy.“ Chęć odparcia czynionych przez krytykę niemiecką zarzutów, a również i żywe zainteresowanie, które te dzieła za granicą wzbudziły, pociągnęły autora do pisania w dalszym ciągu w obcych językach, przeważnie niemieckim i francuskim. Socyologia może więcej niż jakakolwiek inna nauka ma znaczenie międzynarodowe, co skłania wielu jej adeptów do wypowiedzania się w językach najszerszej w świecie znanych. Przykłady takie często spotykamy: między innymi rozgłośni socyologowie rosyjscy, de Roberty, Maksym Kowalewski i Nowikow, przeważnie w języku francuskim prace swe wydają, nie powinniśmy więc i naszemu uczonemu czynić zarzutu, że więcej w obcych, niż w rodzimym języku pisze. Nie możemy obwiniać go o obojętność dla naszego piśmiennictwa, zasila on bowiem stale swem współpracownictwem i nasze czasopisma naukowe: „Przegląd historyczny,“ „Krytykę“ i inne.

W r. 1881 napisał Gumplowicz: „Państwo prawne a socyalizm,“ a w r. 1883 „Walkę ras,“ która ukazała się prawie równocześnie w 3-ch językach: niemieckim, francuskim i hiszpańskim. Następnie wydanemi zostały: w r. 1884 „Idea socyologiczna państwa“ (w niemieckim i włoskim) i wreszcie w r. 1885 „System socyologii,“ który wstępny bojem zjednał sobie wszechświatowe powodzenie i wyszedł w sześciu językach: polskim, francuskim, niemieckim, angielskim, hiszpańskim i japońskim. W r. 1905-ym wyszło w niemieckim języku powtórne wydanie tego dzieła, rozszerzone licznemi dodatkami, zwłaszcza w dziale literatury socyologicznej, który mieści streszczenie wszystkich wybitniejszych prac, jakie na tem polu w ciągu ostatniego 20-lecia się pojawiły. W r. 1892-gim ukazała się „Socyologia i polityka,“ (w francuskim, niemieckim i włoskim językach), w r. 1900-ym, równocześnie w niemieckim i francuskim wydaniu wyszły „Szkice socyologiczne.“

Wreszcie ostatnimi większemi pracami Gumpłowicza są: wydana w r. 1907-ym p. t. „Ogólne prawo państwowe,“ w której rozwinął w dalszym ciągu poglądy wyłożone poprzednio w „Fizjologii prawa,“ i „Prawo państwowe austriackie,“ jako uzupełnienie powyżej wymienionych dzieł.

*

*

*

Gumpłowicz jest pozytywistą i stoi na gruncie światopoglądu monistycznego, uznającego jedność przyczyny wszystkich zjawisk. Z tego poglądu wynika dążność do traktowania socjologii, jako nauki ścisłej, opierającej się na doświadczeniu, oceniającej tylko realne fakty i wyprowadzającej z nich wnioski, niezależnie od wszelkich, czysto myślowych spekulacji.

Stosunek socjologii do życia realnego określa Gumpłowicz w ten sposób:

Zadaniem socjologii jest sformułowanie praw naturalnych rządzących zjawiskami społecznymi, a poznanie i ustalenie praw socjologicznych powinno w przyszłości regulować wszystkie między-ludzkie stosunki w myśl powszechnego dobra. To zastosowanie praktyczne odkryć socjologicznych powinno być jednakże zadaniem nauk politycznych, jak prawoznawstwo, ekonomia polityczna i t. d.; socjologia, jako nauka, nie powinna się o te zadania troszczyć, taka troska bowiem może ją sprowadzić na manowce idej apriorystycznych, dążeń bezwiednie kierujących się w stronę sympatycznego ciężenia ku pewnym optymistycznym koncepcjom—może złudnie zabarwiać jasność jej sądu o rzeczach.

W swej metodzie naukowej dzieli Gumpłowicz wszystkie zjawiska dostępne badaniom ludzkiego umysłu na trzy kategorie: fizycznych, psychicznych i społecznych. Rozważając krytycznie znane dotąd teorie socjologiczne, widzi w nich Gumpłowicz wielką niezgodność i chaotyczność, co przypisuje głównie błędom metody naukowej, a nadewszystko niedość ścisłemu rozgraniczeniu tych trzech pól badania. Każdy z powyżej wymienionych działów zjawisk z innego kryterium traktować należy, każdy z nich wymaga innego rusztowania naukowego, z którego-by jego pole obserwować i nad dalszą budową pracować można.

W objaśnieniach swej metody Gumplowicz polemizuje równie wytrwale z teoretykami szukającymi analogii między procesami biologicznymi a społecznymi, jak i z tymi, którzy w rozwiązaniu zagadnień psychologicznych szukają odpowiedzi na problemy społeczne.

Chociaż dzieje ludzkości odbywają się jako proces naturalny, nie można wszakże podciągać ich pod prawa rządzące innemi, znanemi dotąd procesami naturalnemi. Nowe pole zjawisk społecznych, wymaga nowych, odmiennych dróg badania. Do czterech znanych procesów naturalnych (animaliczny, planetarny, chemiczny i roślinny) przybywa więc piąty, ogarniający nowe pole zjawisk. Otóż tu leży jądro nieporozumienia, które Gumplowicz w ten sposób wyjaśnia:

Ani biologiczne, ani psychologiczne analogie nie mają właściwego zastosowania w badaniach socyologicznych, albowiem *czynnikami zjawisk społecznych nie są jednostki, lecz gromady ludzkie*, a psychika jednostek różni się wielce od psychiki gromad.

Zbiorowościami ludzkimi rządzi instynkt społeczny, jako wyższe prawo naturalne, którego nakazom oprzeć się one nie mogą. Ścisłe uzależnienie jednostki od jej grupy społecznej przeprowadzone jest przez naszego socyologa bardzo konsekwentnie we wszystkich poszczególnych działach, w których zjawisko psycho-społeczne rozważa, a więc w poglądach na religie, powstanie idej moralnych, prawo i t. d.

Ustaliwszy w powyższy sposób swój punkt oparcia w psychicznej odrębności jednostek a gromad, poszukuje Gumplowicz z tego punktu drogi do odnalezienia pobudek działających na ruchy gromad i wzajemne tychże stosunki. Jeżeli bowiem rozwój społeczny rozważamy jako *proces naturalny*, to musimy w nim odszukać tego, co stanowi warunek każdego procesu naturalnego, t. j. *prawa, wedle którego różnorodne pierwiastki działają na siebie w sposób stały i niezmienny*.

Prawa, rządzące tem oddziaływaniem w dziedzinie zjawisk społecznych, ujmuje Gumplowicz w formułę: *walki ras, wynikłej z wieloplemiennego początku ludzkości*. Ta formuła stanowi jego punkt wyjścia, fundament, na którym buduje cały gmach rozwoju ludzkości, podając go w pełnem wykończeniu w swym „Systemie socyologii.“

Wytyczną linią w rysunku tego systemu jest przyjęcie za pewnik twierdzenia, że: pierwotną cechą grup społecznych jest bezwładność i bierność, a pozostają one dopóty w tym stanie spokoju, dopóki inna grupa społeczna ze stanu spoczynku nie wpra-

wi ich w stan ruchu. Chwila rozpoczęcia takiego *wpływu społecznego* stanowi ów zaczyn procesu naturalnego, który powoduje ruch cząstek i oddziaływanie pierwiastków różnorodnych; tu następuje starcie sił żywiołowych i powoduje zmiany, które, jako wiekowy przebieg dziejów, notuje historia.

Otóż dziejopisarstwo nie wykazuje nam innej formy owego oddziaływania i ruchu cząstkowego, jak *gwalt i podbój*. Dążenie do wyzysku obcej grupy w swoich celach jest wrodzonym i niepohamowanym instynktem każdej gromady ludzkiej; bez tej dążności nie byłoby owej gry sił naturalnych zmian społecznych, które wytwarzają pęd ewolucyjny, prowadzący w dalszych wynikach do rozwoju kultury i cywilizacji.

Warunkiem kultury i cywilizacji jest bowiem podział pracy, ten zaś nie mógł powstać inaczej, jak drogą przymusu: „szczep, który podbiwszy obcoplemienną ludność nie zabija jej, ale w celu trwałego wyzysku sprowadza do niewoli—szczep taki kładzie pierwsze podwaliny państwa i kultury. Możliwość zmuszenia innych do pracy, umożliwia zwyczajem życie swobodniejsze, będące pierwszym warunkiem podniesienia ducha i rozwoju umysłowego“ (System socjologii).

Dopiero wśród dwuwarstwowego społeczeństwa, złożonego z panującej mniejszości i posłusznej większości, mogła powstać instytucja własności, którą Gumplowicz uważa za podstawę porządku społecznego, i która nie mogłaby się jako taka utrzymać, gdyby na jej straży nie stało państwo. Powstanie państwa uważać musimy, jako konieczny wynik stosunków, wywołanych najazdem, jako pierwsze ogniwo w ukształtowaniu organizacji społecznej.

Państwo jest ustaleniem ładu w panowaniu jednych nad drugimi, „strażnikiem porządku nierówności społecznych.“ Wysnuwając te poglądy, zwalcza Gumplowicz wszelkie idealizmem zabarwione teorie, dowodzące możliwości powstania państwa drogą dobrowolnej umowy społecznej ¹⁾, zawartej między wolnymi i równymi ludźmi, w celu zapewnienia sobie wzajemnej pomocy, prawa i sprawiedliwości. Żadna ewolucja w formach ustroju państwowego, jak twierdzi nasz socjolog, nie zmieni tego, co stanowi podstawowy warunek jego istnienia, t. j. ustosunkowania rządzenia i poddaństwa. Władza może przybierać rozmaite formy, niemniej władzą pozostać musi, a państwo nie może wyrzec się

¹⁾ Contrat social, Rousseau'a.

swego posłannictwa i musi stać na straży takiego porządku, jaki zapewnia normalny rozwój cywilizacji. Psychicznym podkładem, na którym odbywały się przeobrażenia społeczne, dające początek silnym ustrojom państwowym, była nienawiść rasowa do obcych plemion. Nienawiść ta, wraz z niepokohamowaną żądzą dobrobytu, sprawia, że instynkt podboju kieruje się zawsze na zewnątrz — natomiast zaś poczucie wółplemiennosci silnie wiąże członków jednej grupy etnicznej, nadając jej spoistość na wewnątrz i odporność na zewnątrz.

Instynkt przynależności do swoich, dziś solidarnością narodową zwany, jest wyrazem odwiecznego prawa natury, drogą, którą ona niezmiennie do celów swych dąży.

Tkwiący więc w naturze ludzkich gromad popęd do wyzysku obcych plemion, nazywa Gumplowicz „jednem z zasadniczych praw socyologicznych.“ Z tego założenia wynika wniosek, że duszą polityki będzie zawsze egoizm bezwzględny, a ciągłe walki grup etnicznych między sobą są nieubłaganą koniecznością dziejową.

W dalszem rozwinięciu roli państwa usiłuje Gumplowicz dowieść, że wszystkie tegoż funkcyje, a mianowicie ustawodawstwo, noszą na sobie „kainowe piętno swego pochodzenia,“ t. j. genezy gwałtu. Każde prawo jest wyrazem nierówności, a jeżeli przez ograniczenie praw silniejszego, bierze ono i żywioły słabsze w opiekę, to przecież nie jest to jego zasadą i jego głównym celem; jest to tylko wynikiem potrzeby, narzuconej przez konieczność równowagi. Prawodawstwo państwowe nie czerpie bynajmniej swych natchnień w bezwzględnem, raz na zawsze ustalonym, pojęciu sprawiedliwości; spostrzeżenia czerpane z dziejoznawstwa wykazują, że tendencją państwa było zawsze utrzymywanie takiego porządku, jaki był potrzebny dla żywiołu silniejszego.

Ustosunkowanie sił wśród grup społecznych, wchodzących w skład państwa, ulega jednakże wahaniom i zmianom, otóż te zmiany wpływają na modyfikacye i reformy w ustawach. Mrzonkami i utopiami nazywa Gumplowicz te konstrukcyje polityczne na podstawie pseudo-naukowej stawiane, które nam przepowiadają nastanie powszechnej równości, i powstania ustrojów państwowych, opartych na bezwzględnej idei sprawiedliwości. W idee bezwzględne i niezmiennie wogóle nie wierzy; idee objawiają się jako wytwory swego czasu i swego środowiska, i, jak wszystko co ludzkie, ulegają zmianom i przeobrażeniom.

Tak samo rzecz się ma z ideą sprawiedliwości. Ideę tę wysnuwamy sobie z naszego poczucia moralności i nie możemy jej nadać żadnych form oderwanych, ale musimy ją sobie interpretować

wać na tle otaczających nas, znanych nam stosunków. W miarę jak się te stosunki zmieniają, zmieniają się i nasze pojęcia moralne, a zatem i nasza idea sprawiedliwości. Nie idea sprawiedliwości daje początek prawu, ale raczej stosunek czynników jest tutaj odwrotny: panujące prawa urabiają w danem zbiorowisku pojęcie sprawiedliwości.

Logicznej linii wywodów Gumplowicza grozi w tem miejscu pewne załamanie, gdyż w obec tego twierdzenia trudno byłoby wytłómaczyć zwycięstwa walk wolnościowych i hasel wyzwolenicznych, przedstawiających się w historii, jako wyniki parcia idei sprawiedliwości. Wiemy przecież, że pod naciskiem takich usiłowań pękały przeżyte formy ustrojów państwowych...

Zwycięstwa walk emancypacyjnych w ten sposób tłómaczy Gumplowicz: Pod wpływem zmieniających się warunków życiowych, zmieniają się ustosunkowania sił w grupach społecznych; to samo prawo, które zapewnia uprzywilejowanym mniejszościom dobrobyt, polepsza równocześnie warunki bytu i wzrost oświaty stanów upośledzonych. Oddziaływanie tych czynników sprawia, że idee prawne rozszerzają się, a nabierając prężności, siłą rozpędu rozsadzają dawne rany, usiłując rozszerzyć je według dążeń uciskanej dotąd większości. Jeżeli jednakże dążności te zbyt daleko wybijają po nad granice prawami naturalnemi zakreślone, wzburzony prąd emancypacyjny powraca w dawne, wązkie łożysko. Tak wyjaśnia Gumplowicz zjawiska rewolucyi i następujących potem okresów reakcyi. Idee wolności i równości, głoszone jako przyrodzone prawa człowieka, nigdy zupełnego urzeczywistnienia znaleźć nie mogą, gdyż są zaprzeczeniem państwa, które jest przede wszystkim *organizacją nierównych żywiołów*.

Idea sprawiedliwości wypowiada się w naturze tylko jako ścisła zależność skutków od przyczyn; ta sprawiedliwość, w odniesieniu do gromad ludzkich, nigdy nie zawodzi, a nasz socyolog nazywa ją *sprawiedliwością historyczną*. Natura narzuca tu więc grupom etnicznym pewien imperatyw moralny, podnoszący uczucie solidarności i spoiwości gromadnej do godności cnoty. Naród rozumny i pracowity rozwija się, gnuśny, pozbawiony cnót obywatelskich, nie umiejący się rządzić, ginie. Oto wykładnik działania sprawiedliwości historycznej.

To poczucie przynależności gromadnej reguluje stosunki między kolektywizmem a indywidualizmem, temi dwoma przeciwnemi biegunami, wśród których oscylują wszelkie społeczne kombinacje myśli współczesnej. Rozstrzygnięcie antagonizmu między temi dwoma prądami widzi Gumplowicz w ustaleniu granicy w od-

działaniu altruizmu i egoizmu, a raczej w pewnym zlaniu się tych dwóch popędów w jeden, który *społeczną sympatyą* czyli *syngenizmem* nazywa. Egoizm człowieka, jako jednostki, jest zarazem egoizmem społecznym, altruizm jego, altruizmem społecznym, uczucie to wszakże nie może sięgać poza naturalne granice i ogarnąć pojęcia całej ludzkości, jak tego postulaty humanitarne żądają. „Ludzkość“ jest dla rozmiarów uczucia jednostki polem za szerokiem, oddalonym i niedosięgalnym.

Rozwiązanie problemów społecznych leży w harmonijnem współdziałaniu i ustosunkowaniu grup społecznych, tylko bowiem solidarność gromadna stanowi oparcie dla jednostki i tylko swej grupie społecznej może jednostka owocnie służyć. Ofiar w imię nieuchwytnego pojęcia całej ludzkości, nie mamy prawa żądać od jednostki.

Przyjęcie, jako punktu wyjścia różnoplemiennego początku ludzkości i walki ras, narzuca dalej, jako elementarną podstawę jedności i spójni gromadnej, uczucie narodowej odrębności. To założenie wyłącza możliwość ujednostajnienia interesów ludzkości w myśl idealistów, marzących o pokoju powszechnym i rozjemczym trybunale międzynarodowym. Antagonizmy narodowościowe zawsze będą źródłem zatargów, przewiduje jednakże Gumplowicz, że świadomość wspólnego interesu powiąże kiedyś odrębne narodowe całości w rozmaite, dziś jeszcze mało prawdopodobne, ugrupowania.

Socjologiczne teorie Gumplowicza, zdumiewając świat naukowy swą śmiałością i oryginalnością, wywołały jednakże z bardzo poważnej strony zarzuty i zaprzeczenia. Obudziły one zwłaszcza gorycz wśród idealistycznych reformatorów, czerpiących natchnienie swego postannictwa w idei wszechludzkiego braterstwa i uważających tę ideę za główną sprężynę przyszłego postępu moralnego. Zarzucono uczonemu, że jest pesymistą, że wywodami swemi przeczy idei postępu, że podkopuje ideę moralną państwa i t. d.

Rozważmy stosunek teorii naszego socjologa do owej drażliwej dla socjologów kwestyi—kwestyi postępu.

Opierając się na danych historycznych, dowodzi Gumplowicz, że dzieje ludzkości, wykazując szereg tych samych procesów naturalnych, rozgrywających się w różnych czasach i miejscach, nie przedstawiają jednolitego rozwoju całości. Są to raczej niezliczone zjawiska poszczególnych rozwojów społecznych, które wywołują kultury naprzemian wznoszące się i upadające. Z takiego jednakże poglądu nie powinna wynikać inercya w dążeniu do pos-

tępowych reform, „podobnie, jak jednostki myślącej nie wstrzymuje od działań szlachetnych myśl, że raz umrzeć musi.“

W swych dziełach większych z wielką przezornością strzeże się autor wyprowadzania wszelkich, daleko w przyszłość sięgających wniosków. Znajdujemy jednakże w jego pracach drobniejszych bliższe określenia przewidywanych w przyszłości zmian. I tak w swych szkicach socyologicznych odsłania nam zarysy możliwych z biegiem czasu przekształceń. Postęp oświaty i niezależnej myśli wśród mas ludowych sprowadzi wszędzie upadek monarchij absolutnych z dążnościami zdobywcami (imperyalistycznymi); powoli wszystkie ustroje państwowe staną się parlamentarnymi z podkładem społecznym, przyczem przewidywać można powstanie wielkich federacyj narodów, wspólnym związanych interesem.

Własność nigdy istnieć nie przestanie, gdyż jest nieuniknionym faktem społecznym, ale przybrać może odmienne od dzisiejszych formy. Kodeksy prawne ulegać będą licznym modyfikacjom, w miarę uznania przez prawodawców ścisłej zależności pojęć moralnych jednostki od jej środowiska społecznego. To ścisłe uzależnianie jednostki od jej grupy społecznej, nadanie zbiorowościom ludzkim jakiejś psychiki odrębnej, nic nie mającej wspólnego z psychiką jednostek, jako jej składowych części, spotkało się z dość surową krytyką socyologów francuskich, grupujących się w paryskim Towarzystwie socyologicznym. Uważano tę koncepcję społeczeństwa, zupełnie zatracającego w masie charakter swych pierwiastków składowych, za metafizyczną, a wiemy, że dla uczonego empiryka zarzut *metafizyczności* równa się zarzutowi niekonsekwencji... W nauce tak niesłychanie skomplikowanej, jak socjologia, łatwo jest o nieporozumienia, to też krytyczna ocena pewnych punktów teorii Gumplowicza nic nie obniża tego wysokiego stanowiska, jakie w świecie naukowym zajmuje, a które ciż sami francuscy socyologowie w zupełności mu przyznają.

Sam autor wyraża w przedmowie do powtórnego wydania „Zarysu socjologii,“ że dzieło jego było traktowane zanadto „szkicowo,“ że były tam luki i niedopowiedzenia, które mogły powodować niedość jasne uplastycznienie jego poglądów czytelnikom. Pomimo to, następne wydanie z 1905 r. rozszerzone zostało, (jak to już wyżej nadmieniono) tylko w dziale literatury socyologicznej, która w okresie rozdzielającym dwa wydania, znacznie się wzbogaciła. Gumplowicz to tłumaczy okolicznością, że książka, która była pierwszą wogóle socjologią wydaną w języku niemiec-

kim (i polskim) ma znaczenie literackie i powinna przejść do pokoleń następnych w niezmienionej osnowie. Sądziły jednak, że autorowi chodziło o zaznaczenie, że w jego podstawowych poglądach żadne nie zaszły zmiany. Idee, które jak powiada, naszkicował tylko w ogólnym „zarysie socjologii,” znalazły dalsze swe uzupełnienie i rozszerzenie w dziełach następnych; są to zawsze te same kontury myśli, wypełnione tylko bogatszym rozwinięciem treści.

Widzimy chociażby z powyżej przytoczonych przewidywań przyszłości, że linie, które Gumplowicz dalszemu rozwojowi postępu w granicy praw naturalnych zakresła, nie są bynajmniej tak ciasne, jak to niektórzy jego przeciwnicy utrzymują. Bez cofania się ze swego empirycznego stanowiska, gwoli ustępstw dla idealizmu, Gumplowicz rozwijając własne teorie w zastosowaniu do dążeń natury ludzkiej, musiał się liczyć z owym skrzydlatym wzlotem reformatorskim, z którym, jako ze zjawiskiem konkretnym i realnym, każdemu pożytywiście liczyć się wypada.

Nie może więc zaprzeczyć, że idee są czynnikami postępu, ale działaniu idei i woli człowieka wyznacza on, w imię uznania praw socjologicznych, pewien ściśle ograniczony zakres działania. „Wymysłem fantazyi jest, że człowiek jest istotą wolną; jest to wolność zwierza zamkniętego w klatce, który ma swobodę poruszania się w jej obrębie, ale którego właściciel obwozi razem z klatką po szerokim świecie.“ Zdanie to na pozór jest pesymistyczne i przygnębiające, jeżeli jednak uzupełnimy je określeniem, że przez ową „klatkę“ rozumiał tu autor całe nasze ziemskie siedlisko, więzienie naszej woli nie wydaje się znów tak ciasnym... Jego determinizm nie jest determinizmem pesymistycznym, obywatelnym; Gumplowicz wierzy w siłę twórczą człowieka i w zasoby jego duchowej treści, które z czasem coraz lepiej będzie umiał spożytkować w celu doskonalenia organizacji życia. Popęd twórczy i reformatorski u człowieka jest żywą siłą i wartością rzeczywistą, z którą każdy uczony, i najwięcej w prawa ogólne i niezmiennie zapatrzony, liczyć się musi.

Cokolwiekbyśmy jednak na złagodzenie ostrych konturów teorii Gumplowicza przytoczyli, faktem jest, że nieublagana ciągłość jaką on w prawach socjologicznych wykazuje, zakłóca niewątpliwie nasze, tkwiące jeszcze w metafizyce poczucie o sile idei i wielmożności czynów z tych idei poczętych. Myśl nasza, przepojona ideami mesyanistycznymi, doszła do owego *etnocentryzmu*, który Gumplowicz zwalcza, jako poważną przeszkodę do kształcenia zdrowego, nieuprzedzonego sądu o rzeczach. Myśl

nasza zboląta, chora i drażliwa, buntuje się przeciw wszystkiemu co godzi w jedyną jej pociechę, pociechę złudzeń; żądamy prawdy, ale tylko takiej, któraby nam przepowiadała szybką realizację najgorętszych pragnień; żądamy postępu etyki wszechludzkiej, ale takiej, któraby się rozszerzyła na sumienie zbiorowisk i regulowała działanie ich organizacji politycznych. Dlatego to olbrzymiem powodzeniem cieszył się u nas Buckle, zwiastun pokoku powszechnego, Marks, przepowiadający ład na sprawiedliwości społecznej i powszechnej równości oparty, i inni.

Czyż jednak winą socjologa jest, że przykłada do tych sympatycznych teoryj swój skalpel krytyczny, że wykazane przezeń tendencje natury stają w sprzeczności z teoryjami budowanymi na postulatach naszej etyki? Czy wreszcie owe naukowe dowody obniżają dla nas *wartość* tych pięknych pojęć, które nasz idealizm wykołysał i z których czynimy kierowniczą busolę naszych dążeń postępowych? Nie o to chodzi, aby obniżać linię idealizmu życiowego, nie o to, żeby tracić z oczu wysokie cele postępu, ale o to, żeby do nich *możliwemi* dążyć środkami!

Wolno mówić poecie: ¹⁾ „Jeśli naturalne prawa siły deptać mają z woli bóstwa prawa uczuć i upragnień człowieka, jeśli ten ma mieć berło i królowanie, kto używa rozumu swego do przystosowania się łaadowi bytu, jeśli etyka przyrody ma zawsze święcić tryumfy nad przegraną najlepszych naszych dążeń, to człowiekowi, który z tym boskim porządkiem pogodzić się nie chce, nie pozostaje nic innego, jak rzucić w obszary świata swój protest i walczyć na to, by zginąć... Lepiej bo paść, niż żyć rozumem świata...“

Tak przecież nie mogą mówić ludzie zwykli, tkacze szarej przędzy życia, ci, co godząc się z dokonanyim faktem swego istnienia żyć chcą, nie tylko życiem indywidualnem, ale i zbiorowem. Wielkie zbiorowości ludzkie, muszą iść w drogę przeznaczeń, świadome swych celów i środków, a im ta świadomość pełniejszą i jaśniejszą będzie, tem prostszemi i krótszemi będą drogi, któremi społeczeństwa, w granicach „przystosowania się łaadowi bytu,“ do postępu dążyć będą.

Tylko ludzie krótkowzroczni wyprowadzać mogą szkodliwe wnioski z nauki na doświadczeniu opartej: umysły głębiej myślące, przyznają zawsze, że żadna stwierdzona prawda nie może położyć tamy życiowym twórczym siłom, ale raczej ułatwi im za-

¹⁾ Monsalwat, Artura Gorskiego.

danie, a w wielu wypadkach oszczędzi próżnych wysiłków i daremnych zabiegów. Bo i na cóż się zda obsiewać pracowicie obeschłe wybrzeże rzeki, jeśli się wie, że pierwszy przybór fali zniszczy całą pracę? Iluż bolesnych pomyłek, ilu błędów krwią i nędząznaczonych uniknęłyby grupy społeczne, gdyby się kierowały trzeźwym sądem, znajomością prawd przez socyologię stwierdzonych!

Zdawałoby się wskazanem, że naród, który przeszedłszy ciężkie kłęski, utracił swój organ państwowy i skazany jest na podtrzymywanie swego bytu li-tylko własną, do swego położenia zastosowaną politykę, politykę trudną, która musi zawsze iść przeciw prądowi, że taki naród powinien oprzeć tę swoją ciężką walkę na wszystkich rezultatach socyologicznej logiki, na ściśle obliczonym wydatkowaniu swych zasobów i stosowaniu swych środków.

Naród tak często oszukiwany, jak nasz, nie powinien nigdy opierać swej rachuby na prawdopodobieństwach, ale na pewnikach; powinien tych pewników szukać i szukać umiejętnie, za wskazówkami praw przyczynowości. Kult nauk socyologicznych powinien być u nas tak rozwiniętym, jak w Ameryce, gdzie socyologia wchodzi w programy wyższych uczelni; tą drogą moglibyśmy powoli dojść do rozwinięcia w jednostkach krytycznego sądu o rzeczach, tego zdrowego zmysłu politycznego, który jest właściwie *zdolnością socyologicznego myślenia*. Tymczasem młodzież nasza kształci swoją myśl polityczną przygodnie, na wiecowych przemówieniach i broszurkach agitacyjnych — chwytając efektowne teorie, popularyzowane tendencyjnie, nie mając żadnej podstawy do krytycznego ich ocenienia.

Ubolewać nad tem należy, że zainteresowanie socyologią jest u nas wogóle bardzo małe, a dzieła, po całym świecie rozśławione, młodzieży naszej nawet częstokroć z tytułów nie są znane.

ZOFIA BIELICKA.

PIŚMIENNICTWO.

LEOPOLD MÉYET. *Kiedy się urodził Juliusz Słowacki?* Kilka uwag historyczno-prawnych o dacie urodzin poety; z pięcioma rysunkami. Warszawa, 1909. Księgarnia Ludwika Biernackiego i S-ki. 8-o, str. 32.

W dotychczasowych biografiach Słowackiego podawano stale, jako dzień jego urodzenia 23 sierpnia 1809 r. Data powyższa, wywnioskowana z listów poety i niektórych dokumentów urzędowych nie ulega wątpliwości. Może być natomiast kwestyą sporną czy ową datę obliczać należy według nowego czy też starego stylu. Odpowiedź na to daje studjum historyczno-prawne p. Méyeta. Autor na podstawie całego szeregu mozolnych poszukiwań i badań krytyczno-analitycznych przychodzi do ostatecznego i, zdaniem naszym, niezaprzeczalnego wniosku, że dzień urodzenia Słowackiego, 23 sierpnia, należy liczyć według starego stylu, t. j. 4-go września nowego.

Jednym z najważniejszych w danej sprawie argumentów jest fakt, że w dobie urodzenia autora „Kordyana“ na ziemiach litewsko-ruskich w powszechnem był już użyciu kalendarz juliański. W krajach odpadłych do Rosji po pierwszym rozbiore wynikiły znaczne niedogodności z powodu różnic kalendarzowych, uwydatniło się to zwłaszcza w sądownictwie przy określaniu terminów sądowych. Dopiero ukaz senatu z 16 czerwca 1782 r. ostatecznie postanowił, aby w „namiestnictwach mohylewskim i połockiem,“ czyli świeżo zagarniętych prowincjach, „bezwarunkowo przestrzegano terminów według starego kalendarza, używanego w Rosji.“ W przyłączonych po drugim rozbiore ziemiach również wprowadzono kalendarz juliański, wszakże nie jest dokładnie wiadomem, w którym to nastąpiło roku. Opierając się na retro-

spektywnej wzmiance w ukazie z 1799 roku, oraz na kalendarzu berdyczowskim z 1797 r., p. Méyet przypuszcza, iż w gubernii kijowskiej, podolskiej, mińskiej i wołyńskiej wprowadzono kalendarz juliański od 1 stycznia 1797 r. Wreszcie ukaz cesarza Pawła I-go z 26 lipca 1799 r. ostatecznie polecał, „ażeby z nastaniem przyszłego 1800 roku w gubernii litewskiej wprowadzony był, w pozostałych zaś potwierdzony w wykonaniu ogólny kalendarz rosyjski.“

Niezależnie od wzmiankowanych wyżej rozporządzeń urzędowych, p. M. cytuje jeszcze postanowienie metropolity Siostrzencewicza, „by od początku 1784 r. obchodzono w dyecezyi białoruskiej święta katolickie według starego stylu.“ Podana tutaj data jest nieścisłą. Dyecezya białoruska, utworzona w r. 1774, przestała istnieć w roku 1782, respective 1784 r., postanowienie przeto Siostrzencewicza, cytowane na podstawie niejasnej wzmianki w książce ks. Szantyra („Zbiór wiadomości o kościele i religii katolickiej w cesarstwie rosyjskiem.“ Poznań, 1843, t. I, 59), wydane zostało w okresie 1774 — 1783, najpewniej około 1782 roku.

Sprawa zmiany kalendarza, pierwszorzędnej doniosłości w sferze interesów handlowych i administracyjnych, przedewszystkiem zaś w życiu kościelno-religijnem, niewątpliwie musiała zainteresować szerokie warstwy społeczeństwa ówczesnego. Nie spotykamy wszakże ani w literaturze pamiętnikarskiej, ani w nielicznej wprawdzie, lecz istniejącej już od paru dziesiątków lat prasie polskiej na Litwie, żadnej prawie wzmianki, żadnej ubocznej choćby wskazówki, która byłaby świadectwem głębszego zainteresowania tem ważnem zarządzeniem. W rękopiśmiennym dzienniku biskupa wileńskiego, Jana Nepomucena Kossakowskiego, pod datą 30 listopada 1799 r. znajdujemy następującą dość lakoniczną wiadomość o zmianie rachuby czasu: „Ostatni dzień tego miesiąca (t. j. listopada) ostatnim jest dniem dla nas nowego kalendarza. Dla porównania nowego roku następującego i świąt naszych z ruskimi zdało się (*wyraz nieczytelny*) te dni jedenaście, którymi rok ruski od naszego później zaczyna się, przyłączyć do teraźniejszego miesiąca; jutro tedy, daj Boże doczekać, cofniemy się wstecz miesiąca i znowu powtórnie dwudziesty listopada liczyć będziemy.“ Notatka biskupa Kossakowskiego jest dowodem, że zdecydowana ostatecznie przez ukaz z 26 lipca 1799 r. zmiana kalendarza na Litwie nastąpiła jeszcze przed określonym w ukazie terminem, mianowicie w listopadzie 1799 r. Potwierdzeniem tegoż jest do pewnego stopnia „Kuryer litewski“ z 1799 r. — do № 118 z dn. 5 (16) listopada drukowano w nagłówku dwie daty,

starego i nowego stylu, od № 119 z 9 (20) listopada już tylko jedną, według kalendarza juliańskiego; pozatem nie znajdujemy w „Kuryerze“ żadnej wzmianki o dokonywanej właśnie zmianie rachuby czasu. Kalendarz nowego stylu na krótko tylko przywrócony został na Litwie w r. 1812; ówczesne Komisyje tymczasowe wznawiały kalendarz gregoryański, mińska np. od 9 (21) lipca t. r.; rząd rosyjski wszystkie te postanowienia w następstwie unieważnił.

Niezależnie od wywodów historycznych, mających znaczenie ogólniejsze, p. Méyet z niezwykłą sumiennością zebrał wszystkie możliwe dane dla potwierdzenia swego wniosku o dacie urodzenia genialnego poety. Dowodem najbardziej przekonującym jest metryka chrztu Słowackiego, znajdująca się w aktach kościoła liceum wołyńskiego w Krzemieńcu. Słowacki, jak się z metryki powyższej okazuje, został ochrzczony z wody w dn. 24 sierpnia st. st. W dawnej Polsce było we zwyczaju, aby dziecię, zwłaszcza słabowite, chrzcic przedewszystkiem z wody zwykle nazajutrz po urodzeniu, i tak się stało z Juliuszem, który dopiero w wieku młodzieńczym, gdy miał lat 17, został uroczyście ochrzczony. Data metryki pierwszego chrztu z dnia 24 sierpnia st. st. zostawia miejsce na dzień urodzin, przypadający w dniu 23 sierpnia st. st.

Studjum p. Méyeta, będące wzorem umiejętności krytycznej autora, raz na zawsze rozstrzyga kwestyę ustalenia dokładnej daty urodzin Juliusza Słowackiego.

Podnieść należy z uznaniem piękną szatę wydawniczą książki, wytłoczonej w krakowskiej drukarni uniwersyteckiej i ozdobionej czystymi odbitkami widoków Krzemieńca oraz portretami poety i jego rodziców.

H. M.

Źródła dziejowe. Tom XVII, część II. „Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym.“ Tom VI, część II. „Podlasie (województwo), opisane przez Aleksandra Jabłonowskiego.“ Warszawa, 1909. Skład główny u Gebelmera i Wolffa.

Nestor historyków warszawskich pan Aleksander Jabłonowski obdarzył nas znów pracą nadzwyczaj cenną. Świeżo wypuszczone z pod drukarskiej tłoczni jego „Podlasie“ zaliczyć trzeba do najważniejszych studyów, mających umożliwić stworzenie naprawdę naukowych dziejów społeczno-ekonomicznych naszego narodu.

„Podlasie“ Jabłonowskiego miało być właściwie opracowaniem tego materiału statystycznego, jaki nasz uczony wydrukował w zeszłym roku w „Zróżdłach Dziejowych,“ ale autor wyszedł daleko poza pierwotnie nakreślone rany. Przewertował cały materiał do Podlasia się odnoszący, jaki się zawiera w księgach metryki litewskiej do końca XVI wieku, zbadął parę archiwów prywatnych, przedewszystkiem zaś bogate archiwum knyszyńskie, przechowywane obecnie przez bibliotekę ordynacką hr. Krasieńskich, wreszcie wyzyskał cały bogaty materiał, zawarty w wydawnictwach uczonych rosyjskich, przedewszystkiem zaś prof. Lubawskiego i Downara Zapolskiego. Jednym słowem obraz Podlasia, jaki nam dał Jabłonowski, to mozaikowa prawdziwie Benedyktyńska praca.

Studjum swe rozpoczyna nasz uczony od wyjaśnienia samej nazwy Podlasia, którą, zgodnie z uczonymi rosyjskimi, wyprowadza nie od lasu, ale od lachów (Podlasze). W dziewięciu treściwych rozdziałach zastanawia się dalej autor nad wytworzeniem się politycznym ziem i województw, powierzchnią kraju, podziałem na parafie, zależnością dyecezyalną, charakterem topograficznym, prawnopaństwem stanowiskiem ziemi, która do Unii Lubelskiej należąc do państwa litewskiego, ma w szlachcie mazurskiej klasę rządzącą się prawem polskim, a w możnowładztwie ostoję litewskiego feudalizmu. Stosunkami feudalnymi, jakie przechowały się na Podlasiu jeszcze w wieku XVI, zajmuje się autor obszernie w rozdziale IV, poświęconym stosunkom własności ziemskiej, tudzież w rozdziale IX zatrzymuje się dłużej nieco na Rajgrodzko-Goniądzkich dobrach Radziwiłłów, którym i niżej podpisany poświęcił przed laty paru studjum specjalne. Najciekawszą i bodaj najważniejszą część studjum Jabłonowskiego stanowią rozdziały, poświęcone dziejom osadnictwa na Podlasiu: autor bada kolonizację mazurską i ruską, które skierowały się do tej ziemi po wytepieniu Jadźwingów, zastanawia się dalej nad „ustawą włóczną,“ nadaną przez Zygmunta Augusta, która wprowadzała podwaliny prawidłowej gospodarki w olbrzymich królewsczych podlaskich. Ustawa ta, będąc jednym z najzaszczytniejszych pomników naszej kultury gospodarczej, dotąd była wprost po macoszemu traktowana przez naszych uczonych, dobrze się więc przysłużył Jabłonowski, przypominając ją polskiemu społeczeństwu, może też który z naszych historyków-ekonomistów poświęci jej studjum oddzielne. Na specjalną uwagę zasługuje też rozdział, poświęcony rozmieszczeniu geograficznemu parafij, włości, który odda ogromne zasługi przyszłym wykonawcom atlasu ziem

polskich, a nadto daje dokładne pojęcie o stosunku wielkiej własności do średniej, o grupowaniu zaścianków, latyfundijskiej na ówczesnem Podlasiu.

Niełatwo było zgromadzić szczegóły, oświetlające stan kultury w opisywanej przez Jabłonowskiego ziemi. Ale i tutaj autor może się poszczycić niemałemi rezultatami. Zgromadził więc daty założenia kościołów i cerkwi, zebrał wiadomości o szpitalach podlaskich, podał nieco szczegółów nawet o szkolnictwie. Tom niniejszy nie wyczerpał jednak wiadomości o Podlasiu, zebranych przez Jabłonowskiego, wkrótce ma się ukazać jeszcze część druga, opisująca ludność we wszelkich onej odłamacz, gospodarkę we wszystkich postaciach, etnografię mieszkańców, oraz różne uboczne przyczynki źródłowe do uzupełnienia ogólnego obrazu.

Strona zewnętrzna wydawnictwa przedstawia się bardzo dobrze, indeksy osób, miejscowości, ułożone specjalnie dla tej części „Podlasia,” możnaby już nawet uważać za pewnego rodzaju luksus wydawniczy.

IGNACY BARANOWSKI.

Etnograficzno-statystyczny Zarys liczebności i rozszedlenia ludności polskiej. Opracował Edward Czyński przy współpracownictwie T. Tillingera. Wydanie II. Warszawa, 1909.

„Tylko wiedząc ilu nas i jak jesteśmy rozsypani na terytorjum przez siebie zajmowanem, możemy sobie zdać sprawę z naszego społecznego i politycznego znaczenia.“ Oto idea, która przyświecała panu Edwardowi Czyńskiemu przy pierwszym zarówno jak i przy drugim wydaniu dzieła, będącego owocem zmudnej i długiej pracy. Obliczenie bowiem narodu, znajdującego się w takim położeniu politycznem, w jakim my jesteśmy, napotyka na niemałe trudności: dane spisów urzędowych są często, o ile chodzi o nas, planowo niedokładne, trzeba wielkiej przeczności i bezstronności, by zdobyć cyfry, oświetlające istotny stan rzeczy. I przyznać trzeba, że autor wywiązał się ze swego zadania najzupełniej zadawalniająco, że umiał się zdobyć na godną uwagę bezstronność.

Oto np. w drugim wydaniu swego dzieła pan Czyński nie zaliczył do naszej narodowości przeszło miliona Białorusów, katolików, zamieszkujących tak zwany kraj Zachodni, zwraca jedynie uwagę czytelników, że spis urzędowy zaliczył zapewne do Biało-

rusów również część Polaków. Podobnie z 621 tysięcy Żydów galicyjskich, podających się za Polaków, autor zalicza do narodowości polskiej tylko 31 tysięcy, przypominając, że w Galicyi procent tych Izraelitów, którzy faktycznie są Polakami, nie jest większy, niż w Królestwie, gdzie z pośród ogólnej liczby 1,321,323 Żydów uważa się za Polaków 46,390, t. j. około 3%. Z uznaniem należy dalej podnieść, że autor przy obliczeniach narodowości, zamieszkujących w danej miejscowości, oddziela od reszty ludności wojsko, jako element nie osiadły na stałe; metoda taka oszczędza czytelnikom wielu wątpliwości i broni ich od wyrobienia sobie fałszywego pojęcia o stosunkach, panujących na naszej ziemi. Ogólną ilość Polaków wszelkich wyznań, zamieszkujących obie półkule, oblicza Czyński na przeszło 20 milionów, z czego wypada na Polaków na dawnym terytoryum państwowem 15,6 miliona, na terytoryum etnograficznem poza dawnym państwem 1,965 miliona, w rozproszeniu w Rosyi, Niemczech i Austryi 0,725 miliona, wreszcie Polaków w Ameryce według bardzo ostrożnego obliczenia Czyńskiego powinno być przeszło 2 miliony. Uwydatniając stosunki narodowościowe, panujące w poszczególnych jednostkach terytoryalnych Polski, dochodzi autor do przekonania, że najwyższy procent polskiej ludności posiadają zachodnie powiaty Galicyi. W 46-iu mianowicie okręgach tej prowincyi Polacy stanowią więcej niż 90% ludności, w 5 okręgach stanowią nawet nie mniej jak 98%, tymczasem w Królestwie jeden tylko powiat miechowski posiada więcej niż 90% (93%). Wysoki procent Polaków zachodnia Galicya zawdzięcza małej ilości żydowskiej ludności, mającej, według zdania Czyńskiego, łatwy odpływ do Wiednia i Budapesztu. Do dzieła swojego dołączył autor cały szereg starannie wykonanych map: mamy tu więc etnograficzno-statystyczną kartę rozsiedlenia ludności polskiej na terytoryum dawnej Rzeczypospolitej i krajów ościennych, mapy etnograficzne Galicyi, Królestwa, tak zwanego kraju Zachodniego i t. d. Nadto autor wykreślił pełne aktualnego znaczenia mapy polskiej własności ziemskiej w kraju Zachodnim, granicy etnograficznej polsko-litewskiej w gub. Suwalskiej, tudzież polsko-biało- i małoruskiej w powiecie bielskim gub. Grodzieńskiej, wreszcie mapę granicy etnograficznej litewsko-białoruskiej w gub. Wileńskiej. Śmiało rzec można, że „Etnograficzno-statystyczny Zarys ludności polskiej” należy do tych książek, które znaleźć się powinny w każdym polskim domu.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z Archiwum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie. Tom XX, str. XXIV i 638. Lwów, 1900, staraniem wydziału krajowego wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego.

W dwudziestym tomie aktów grodzkich i ziemskich archiwum Bernardyńskiego rozpoczął niestrudzony dr. A. Prochaska wydawnictwo *Laudów Sejmikowych*. Obecnie wyszły w świat lauda wiszmeńskie za czas 1572—1648, zawierające pierwszorzędny materiał do dziejów wewnętrznych Czerwonej Rusi. O rosnącej stale od wygaśnięcia Jagiellonów potędze sejmików, tych jak słusznie mówi Prochaska „piastunów samorządu prowincyałnego,“ wiedzieliśmy już z monumentalnej pracy Pawińskiego, poświęconej ziemi kujawskiej, obecnie ten sam proces możemy śledzić i na drugim końcu Rzeczypospolitej. Orientacye w wydanym przez Prochaskę materiale ułatwia treściwy wstęp, w którym wydawca charakteryzuje główne momenty w rozwoju sejmiku wiszmeńskiego, rozciągającego swą władzę nad ziemią lwowską z powiatem żydaczowskim, ziemią przemyską i sanocką. Wszystkie te ziemie zamieszkiwała szlachta niesłychanie ruchliwa. Z jej ideałami zapoznajemy się wybornie z laudów wiszmeńskich. Widzimy jej dążność do decentralizacyi, na niekorzyść sejmu, widzimy jednocześnie ruch odśrodkowy jaki zachodzi w samym sejmiku wiszmeńskim, od którego stopniowo odsuwa się szlachta sanocka i przemyska, tworząc oddzielne ciało autonomiczne. Wszystkie zjawiska społeczne zachodzące wówczas w Rzeczypospolitej, czy to dążenia do reformy najwyższego sądownictwa, czy do decentralizacyi w skarbowości znajdują odbicie w laudach wiszmeńskich, w których jednocześnie znaleźć można ważny materiał do działalności Jana Zamoyskiego, Żółkiewskiego, Koniecpolskiego etc. Szczegółowy indeks zarówno osobowy, jak rzeczowy ułatwia korzystanie z cennego wydawnictwa, którem czcigodny wydawca oddał nową rzetelną usługę nauce polskiej.

I. B.

Dawne Przysięgje cechu Piwowarów miasta Warszawy. Z pierwowzoru wydał i objaśnienia dołączył B. Ślaski. Warszawa. 1900. Nakładem zgromadzenia piwowarów m. Warszawy.

Były czasy, gdy zajmowano się energicznie historią Warszawy: dwaj niestrudzeni badacze Sobieszczański i Wejnert zebrali i opublikowali wówczas dużo pierwszorzędnego materiału, ale

później i na tem polu nastąpił zastój. Dopiero rok obecny zapowiada zmianę na lepsze: przed paru miesiącami wyszedł „Opis Warszawy z 1643 roku“ Jarzębskiego, a świeżo opuściły tłocznię drukarską „Dawne Przywileje cechu Piwowarów miasta Warszawy.“ Piwowarstwo w ostatnich wiekach Rzeczypospolitej należało do najważniejszych gałęzi naszego przemysłu, to też przywileje, wydane obecnie, są ważnym źródłem dla dziejów naszej produkcji; przedewszystkiem jednak przyczynią się one do wyświetlenia organizacyi cechowej w czasach nowożytnych, gdy reglamentacya nakładana przez cechy zaczęła już na dobre ciążyć społeczeństwu. Historyk obyczajów mieszczan warszawskich znajdzie też niejedną ciekawą rys w dokumentach piwowskich, np. w przywileju króla Michała z roku 1670, opowiadającym szeroko o tem, jak mają się panowie piwowarzy zachowywać na kolacyach zaszczyconych obecnością burmistrza i rajców.

W zbiorze przywilejów wydrukował pan Ślaski sześć dokumentów z lat 1545 — 1672, objaśniając w przypisach bardziej niezrozumiałe słowa. Przypisy te są dowodem, że wydawca, przystępując do swej pracy, liczył na szersze koła czytelników, a jeśli tak, to czy nie należało dołączyć choćby krótkiego wstępu historycznego, któryby ułatwił zrozumienie materiału. Przypuszczamy również, że zmodernizowanie pisowni, przyjęte już dzisiaj przy wydawaniu dokumentów, spotkałoby się z uznaniem czytelników, przedewszystkiem warto było usunąć to wszystko, co jest właściwie osobliwością alfabetu, a nawet nie ortografii, np. pisanie v zamiast u. Ale oczywiście te drobne usterki nie zmniejszają bynajmniej zasługi pana Ślaskiego; mamy nadzieję, że dzięki uczonemu wydawcy jeszcze nie jeden przywilej cechowy warszawski zostanie wydrukowany, a szlachetna inicjatywa zgromadzenia piwowarów, nie pozostanie bez wpływu i na inne cechy naszej stolicy.

Kronika miesięczna.

Wystawa Częstochowska. — Nasz przemysł ludowy. — Po wizycie Czechów w Warszawie.—Zamknięcie Towarzystwa wpisów szkolnych.

Kiedy powstała myśl urządzenia w r. b. Wystawy przemysłowo-rolniczej w Częstochowie, nasuwały się wątpliwości, czy chwila obecna jest odpowiednia dla popisu gospodarczego na większą skalę, czy kraj, wycieńczony wypadkami lat ostatnich, przebywający ciężki kryzys ekonomiczny, wyczerpany materialnie, a jednocześnie pogrążający się pod wpływem rozwielenionej i wszechstronnej reakcyi w beznadziejną toń apatyi i odrętwienia, odezwie się na rzucone hasło, czy przemysłowcy i rolnicy polscy będą mieli dość siły i energii, aby wziąć udział w Wystawie i czy wzięcie takiego udziału znajdzie poza motywami obywatelskimi także motywy rachunkowe.

Dzisiaj, kiedy Wystawa jest już otwarta, wszystkie tego rodzaju obawy okazały się najzupełniej płonne. Dzisiaj też można już twierdzić, że chwila została wybrana dobrze.

Przemysł i rolnictwo polskie stanęły do popisu wystawowego chętnie i tą chęcią swoją zadokumentowały, że w dziedzinie naszych stosunków ekonomicznych nastąpiło tyle pożądane ożywienie.

Wystawa udała się w całym znaczeniu tego wyrazu, przestając znacznie zamiary swoich twórców i stając się — z małemi zastrzeżeniami — wystawą krajową.

Znakomicie wybrany punkt — Częstochowa — ośrodek, przyciągający ku sobie setki tysięcy ludu polskiego, przyczynił się niemało do osiągniętego powodzenia. Największym jednak i najpomysłniejszym wynikiem, jaki Wystawa dała, jest to pokrzepienie wewnętrzne, jakie towarzyszy każdemu z odwiedzających, a o to właśnie przedewszystkiem chodziło.

Jesteśmy narodem, który posiada niezmiernie mało ufności we własne siły, którego stałą chorobą jest hyperkrytycyzm w stosunku do wszystkiego co swojskie, a przesadne uwielbienie dla rzeczy obcych.

Nie znamy samych siebie, nie wiemy o realnych i utajonych wartościach, spoczywających w naszym narodzie i w naszej ziemi. Lepiej częstokroć znamy stosunki gospodarcze krajów obcych, sąsiednich, niż swoje własne i nieraz z rzetelnym podziwem dowiadujemy się, że przecież i to i owo istnieje u nas, rozwija się i utrwała. Oczywiście, wiele położyć tu należy na karb tych specyficznych warunków i tej atmosfery, w jakiej wyrasta u nas przeciętny obywatel, pozostawiony wyłącznie samemu sobie, własnej inicjatywie odkrywczej i własnej intuicji w dziedzinie stosunków ogólnokrajowych. Odsunięci od wszystkiego, zacieśniamy się w szczupłym kole najbliższych spraw i interesów i rzadko kiedy ogarniamy całość. Dotyczy to zwłaszcza Warszawy, która dumna z tego, że jest mózgiem i sercem kraju, z dziwną obojętnością patrzy na prowincję, nie zna zupełnie jej życia, nie widzi jej pracy i wysiłków. A tymczasem—tam właśnie, na owej prowincyi odbywa się właściwy postęp. Tam buduje się przyszła Polska, owa Polska, o której marzyny—dobrze zagospodarowana, dobrze zabudowana, zasobna w zadatki na przyszłość. Dokonywa się to powoli, niedostrzeżenie, bo warunki są ciężkie, ale dokonywa się nieustannie. Wielkie gospodarstwa rolne zdobywają się na coraz wyższą kulturę ziemi, poprawia się hodowla bydła i koni, powstają wzorowe łąki, zużytkowują się nieużytki, osuszają mokradła, zarybiają stawy i t. d. Na to wszystko patrzy drobny rolnik i własnymi oczami przekonywa się o znaczeniu maszyn rolniczych, o pożytku nawozów sztucznych, o korzyściach, jakie daje wiedza. I oto tu i owdzie włościanie zaczynają sprowadzać ulepszone nasiona, superfosfaty, a nawet zbiorowemi siłami kupują rozplodowe buhaje i krowy. W ten sposób wieś idzie naprzód. Pęka obręcz starej, odwiecznej rutyny, a doświadczenie uczy nawet najbardziej opornych i zacofanych. Jednocześnie rozwija się na prowincyi życie przemysłowe. Miasta, które przed laty kilkadziesiąt nie odgrywały jeszcze żadnej roli w życiu ekonomicznym kraju, w okresie, dzielącym nas od ostatniego powstania, urosły do rozmiarów prawdziwych ognisk przemysłowych, skupiły w sobie setki i tysiące robotników, zaczęły oddziaływać na bliższą i dalszą okolicę. Kultura przemysłowa kraju, zatrzymana w swoim rozwoju przez rewolucję i narażona na ciężkie próby—przetrwiała je i oto staje przed nami na Wystawie

częstochowskiej, abyśmy, widząc jej owoce, nie biadali próżno i bezpożytecznie, ale dopomogli jej do dalszych zdobyczy.

Oczywiście, nie można i niewolno narkotyzować się Wystawą, bo to, co widzimy w jej pawilonach, to zaledwie wzory, to pogładowa nauka, wołająca do widza obrazami i nauczająca go, jak być powinno. Dla pesymistów jednak, dla ludzi małej wiary, małej ufności i małego zapału—to, co zgromadziły na Wystawie częstochowskiej nasz przemysł i nasze rolnictwo—stanowiąc powinno poważny argument na rzecz i na korzyść naszej przyszłości.

Jesteśmy w okresie zwątpienia. Słyszeliśmy dokoła siebie złowróźbne przepowiednie, widzieliśmy perspektywy zagłady, dzwiewczał nam w uszach brak ufności w możliwość walki ekonomicznej z Niemcami—bo i czemże, mówiono, mamy walczyć, jak współzawodniczyć, kiedy nie mamy własnego przemysłu.

Otóż na ten zarzut Wystawa częstochowska daje odpowiedź i odpowiedź ta brzmi nadzieją i pokrzepieniem.

Nie mamy przemysłu tak wielkiego i na tak wybornej opartego organizacyi, jak przemysł niemiecki, mamy jednak u siebie w domu zadatki i zapoczątkowania na przyszłość. Nawet w tak niepomyślnych warunkach, w jakich znajduje się całe nasze życie gospodarcze, znaleźli się w naszym rozbitem, chorem, pozbawionem szerokiego i zdrowego oddechu, społeczeństwie ludzie dobrej woli, śmiałej inicjatywy i dostatecznego zasobu sił twórczych. Oni to reprezentują na Wystawie przemysł polski, którego dalszy rozwój zależy od poparcia całego społeczeństwa, od zbiorowego naszego wysiłku w kierunku stopniowego urzeczywistniania naszych marzeń.

Nie piszemy tu bynajmniej peanu pochwalnego na cześć przemysłu krajowego, doskonale bowiem zdajemy sobie sprawę z jego stron słabych, z jego braków i niedomagań, z jego potrzeb najpilniejszych.

Z radością jednak i z otuchą stwierdzamy, że przecież nie jest tak źle, jak przypuszczano i to, że Wystawa częstochowska potrafiła przekonać nas o tem, stanowi już ogromną jej zasługę.

Żyjemy, ruszamy się, tworzymy przecież i wytwarzamy nie gorzej od innych. Patrząc na to, nabieramy też przekonania o wartości naszej, o możliwości udoskonalania się naszego. „Dajcie nam — mówimy sobie w duchu — 10, 20, 30 lat normalnego życia, takiego życia, jakie mają narody inne, wolnego od trucizn duchowych, od ciężkiej, przygnębiającej atmosfery naszego dnia powszedniego, dajcie nam pracować w spokoju o nasze jutro, a dorównamy innym, dościgniemy ich, nie powstydzimy się owocami

swojej pracy przed światem, bo posiadamy dość inteligencji, dość energii i dość miłości dla ziemi ojczyznej, żeby ją dźwigać wysiłkiem naszych ramion ku pomyślniejszej przyszłości.“

Jesteśmy wytrąceni z normalnej orbity, idziemy do naszych celów drogami bocznymi, zepchnięci z bitych, szerokich traktów, po których dążą narody inne, a przecież idziemy naprzód, podnosimy się, nie zamykamy oczu na nic, ratujemy się na każdym polu.

Oto, rozejrzawszy się w dorobku przemysłu fabrycznego, trafiamy na Wystawie na pawilon przemysłu ludowego. „Przemysł ludowy“—mówiono nam do niedawna— to fikcja, to rzecz, skazana na zagładę. Nie może on wytrzymać współzawodnictwa z przemysłem wielkim, a istniejące tu i owdzie drobne jego ogniska muszą wygasnąć jedno za drugim.“

I ogromny odłam naszego społeczeństwa uwierzył w to i przestał zupełnie zajmować się tą gałęzią pracy naszego rolnika. Znaleźli się jednak ludzie, którzy nie poszli na ślepo za rozumowaniem teoretyków-doktrynerów, ale spojrzeli życiu w twarz i przekonali się, że szybka proletaryzacja naszej wsi, że niedostateczne uposażenie włościan w ziemię przy jednoczesnem zwiększaniu się kosztów wyżywienia przeciętnej rodziny włościańskiej, grożą ludowi nędzą większą od dotychczasowej, jeżeli nie będzie on mógł pracować dodatkowo w czasie zimy. I tak wbrew teoryom rozpoczęta została praca nad krzewieniem kultury przemysłowej po wsiach i małych miasteczkach. Zwrócona została uwaga na tkactwo, na koszykarstwo, na zabawkarstwo. Towarzystwo popierania przemysłu ludowego wykształciło już cały szereg instruktorów i przedstawiło nam owoce swej kilkoletniej pracy w wyrobach ludowych na Wystawie. Jak pawilon ten był potrzebny i jaką pedagogiczną korzyść przynosi—świadczy fakt, że odwiedzają go włościanie chętnie i licznie.

Wogóle Wystawa częstochowska powinna stanowić w życiu włościanina polskiego moment ważny, kto wie nawet, czy nie moment zwrotny.

Dzisiaj można już twierdzić, że *gros* gości wystawowych— to przedstawiciele ludu, przybywający tu z rozmaitych stron kraju z licznymi o tej porze pielgrzymkami na Jasną Górę.

Lud polski w takiej masie zetknął się tu poraz pierwszy z obrazem stanu ekonomicznego kraju, zobaczył poraz pierwszy dorobek tego kraju i tem samym już wzniósł się o kilka stopni wyżej, ogarnął więcej i zapragnął więcej.

Dotychczas na wystawach bywały jedynie grupy zamożniejszych włościan, tu przyszły tysiące i to z całej Polski, z najdalej-

szych jej krańców. Gości wystawowych w sierniegach i sukmanach, w ferezyach i kapotach dostarczyło nietylko Królestwo, dostarczyła ich także Litwa i Ruś, Galicya, Poznańskie i Śląsk.

Te ziarna postępu, jakie padły do ich umysłów na Wystawie, rozniesione będą daleko i tam dopiero, w ciszy i spokoju dni pracowitych, zaczną kiełkować i wydawać plony.

I w tem tkwi jeszcze jeden atut Wystawy, jeszcze jeden tytuł do chluby dla jej inicjatorów, którzy nie szczędzili pracy, nie lękali się przeszkód i potrafili w trudnych, chwilami nawet zgoła niepomysłnych warunkach, stworzyć dzieło piękne i pożyteczne.

Powiedzieliśmy wyżej, że Wystawa czyni wrażenie *pokrzepiające* i kończąc te krótkie słowa o niej, podkreślamy to raz jeszcze.

Nie do nas należy szczegółowe zdawanie na tem miejscu sprawy z tego, co zawierają poszczególne pawilony, z czem przyszli poszczególni wystawcy, za co spotkała ich nagroda lub odznaczenie.

Zabierając głos, pragnęlibyśmy tylko stwierdzić, że w okresie zwątpienia, jakie ogarnia jeszcze w chwili obecnej kraj, otucha, wypływająca z pokazu częstochowskiego, posiada znaczenie czynnika, budzącego energię i chęć do pracy, prowadzonej wytrwale, z wytężeniem wszystkich sił, pod hasłem „naprzód,“ ku większemu dobrobytowi kraju i narodu.

*

*

*

W doniosłej a naglącej kwestyi pracy „Z ludem—dla ludu“ zabrał niedawno głos w „Kuryerze Polskim“ p. L. Straszewicz. Artykuł ten w całości przytaczamy:

„Podczas pobytu gości czeskich powtarzaliśmy im: siła wasza to lud czeski! Tu tkwi największa zasługa wasza, tu źródło waszego uzdrowienia, zdobywania coraz większych praw, tu nieskruszona niczem rękojmia waszej przyszłości. I to prawda! Wielka prawda! Kmieć czeski na zagonie swoim jest robotnikiem i żołnierzem. Pracuje nietylko dlatego, aby zaspokoić potrzeby własne, ale czuje na sobie obowiązek utrzymania każdej grudki ziemi i nieoddania jej wrogowi — Niemcowi. Pracując, walczy o kraj, o jego przyszłość z całą świadomością, z całym zrozumieniem rzeczy, z jasnym pojęciem celu.

Przyświeca mu nie tylko słońce, ale i wiedza, ale i płomienna miłość Ojczyzny. U nas tego jeszcze, niestety, niema. I oto bodaj główna przyczyna naszej słabości, naszych nieszczęść. Kmieć czeski — to Czech i obywatel w całym znaczeniu tych słów.

„Nas, Polaków, w samym Królestwie Polskiem więcej jest, niż Czechów na świecie całym, a tymczasem myśmy od nich słabsi. Bo tam cały naród — jedność. Wszyscy o wszystkim wiedzą, wszyscy chcą tegoż samego — szczęścia Ojczyzny. Wśród milionowych rzesz u nas dotąd jest może 300, może 500 tysięcy prawdziwych Polaków i obywateli. Reszta się jeszcze nie przebudziła, nie przejrzała. Dopóki zaś to nie nastąpi, na nic wszystkie zabiegi, — pozostaniemy słabi, krzywdzeni, upośledzeni. Wlec się będziemy za innymi narodami, zamiast iść z nimi w jednym szeregu, w pracy cywilizacyjnej. Więc tu tkwi najgłówniejsze, najpilniejsze zadanie nasze. A ono nie rozwiąże się inaczej, jak przez pracę. Przez pracę wszystkich. Przez pracę mozolną, wytrwałą, ofiarną, której owoce zbierać będą może dopiero wnuki nasze, ale bez niej pozostaniemy tam, czem jesteśmy. Praca ta jest do wykonania możliwa — dowodem Czesi. Jeszcze lepszym, bo bliższym, dowodem Poznańskie. Tam już lud jest wojownikiem narodu o byt, o przyszłość. Może to nawet praca łatwa, ale wziąć się do niej trzeba całą siłą, całą duszą. Lud nasz jest materiałem doskonałym — trzeba go dźwignąć. Czy nie wstyd, czy nie srogi wstyd, że jeszcze tak niedawno wrogowie nasi mogli ludzić się nadzieją, że Polskę zgubią przez chłopą polskiego? Parę lat zaledwie temu niejaki Kojałowicz radził: oderwijcie włościaństwo od inteligencji polskiej, a więc od przeszłości polskiej, od dziejów, od duszy narodu! Pisał głupstwa wierutne, ale jakieś pozory nadawać mogły słowu jego podobieństwo do prawdy — pozory te co rychlej zginąć powinny.

„Masy rolnicze muszą stać się podstawą naszego narodowego istnienia — to konieczny warunek pomysłowości. Ale trzeba wiedzieć, trzeba pamiętać, że wezelenia ludu do narodu nie dokona polityka, jej hasła, jej ferment, jej waśń. Ona najczęściej zaszkodzić jedynie może — przez zawody zniechęcić. Ona nie podniesie wartości ludzi, ani sił ich, a w istocie o to chodzić musi. Więc powtarzam, a chciałbym, aby wszyscy to powtarzali sobie i innym: nieodzowna jest praca społeczna — mądra i ofiarna. Form pracy dla ludu i nad ludem jest wiele. Jednej z nich poświęcił życie swoje niezapomniany, niesmiertelny Promyk. I to go uczyniło najzasłużeńszym może Polakiem naszych czasów.

„Głównie i przede wszystkim chodzi o dwa czynniki; o światło nauki i o zamożność. Ciemny człowiek nie może zostać ani dobrym gospodarzem, ani dzielnym obywatelem. Kto zaś dziś głodny, a jutro niepewny — temu braknąć musi i sił, i chęci, i czasu do szerszego objęcia świata i swoich na nim obowiązków.“

W dalszym ciągu artykułu autor przychodzi do wniosku praktycznego, na który pragnęlibyśmy zwrócić szczególniejszą uwagę czytelnika:

„Od lat kilku, czy kilkunastu małe gronko ludzi ze skóry wylazi, aby utworzyć i rozwinąć w kraju naszym *przemysł ludowy*.

„Zamiary ich i usiłowania są jasne, jak dzień słoneczny. Rola sama nie wyżywi coraz wzrastających milionów ludu wiejskiego. Musi uciekać za morze—i tam ginąć! Musi uciekać do miast—i tam ginąć. A ta masa, co zostaje, za ciężką pracą ma nieco chleba czarnego. I dźwigać się nie ma czem. To niedola ludzka, to nieszczęście narodowe! Jedynie rozwój przemysłu ludowego może zmienić postać rzeczy. Zapytajcie Czechów.

„Tymczasem ta gromadka ludzi, która zajmuje się budowaniem fundamentów naszej pomyślności narodowej, jest słaba, nieraz bezsilna, bo nie ma poparcia ogółu, bo ją otacza obojętność powszechna. Mrowie przechodzi! Zgroza i strach śmiertelny przejmuje, gdy się na to patrzy! Bez dokonania tej pracy—nie! Nikt za nas tego nie zrobi, nikt nam nie pomoże. A my sami nie możemy, czy nie chcemy poruszyć się, zrobić wysiłku bardzo lekkiego, aby pomódz współobywatelom do ratowania kraju, więc nas samych, dzieci naszych.

„Gromadka ludzi dokazuje wielkich rzeczy, podziw wzbudza, ale wszystko, czego dokonać może, jest czerpaniem łyżką bezmiarów morza. Takiej wielkiej rzeczy tylko wielki ogół dokonać może. Kilka lat doświadczenia daje nam jak najbardziej decydujące dowody, iż ludzie, co się wzięli do popierania przemysłu ludowego, zasługują jak najzupełniej na zaufanie i pomoc, dają wszelkie rękojmie, że pracę prowadzą tak właśnie, jak trzeba.

„A chodzi tylko o to, aby do „Zarządu Towarzystwa Popierania Przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem“ *Krakowskie-Przedmieście* № 5, w Warszawie, posłać, co kto może: 100 rubli, rubla, złotówkę.

„A przecież też powinno się znaleźć w narodzie naszym kilka setek, a może parę tysięcy ludzi, którzy zechcą dać wielkiej idei dźwignięcia ludu nieco pracy, nieco myśli, nieco serca.

„Ogół, przynajmniej część ogółu, musi poznać sprawę i zainteresować się nią; żyć ciągle polityką i plotkami miejscowymi—to przecie jawna zguba.

„I znowu to takie łatwe, takie proste: napisać na *Krakowskie-Przedmieście* № 5, a przyślą wyjaśnienia, broszury—wszystko.

„Trzeba tylko interesować się dobrem publicznem, trzeba chcieć służyć krajowi!”

Wymowne słowa zachęty do współdziałania w tej ważnej sprawie społecznej autor kończy następującą informacją:

„Gronko ludzi, kierujących popieraniem Przemysłu ludowego, robi, co może, czasami daleko nawet więcej: *wyłazi ze skóry*. Na wystawie w Częstochowie ma własny pawilon i tam prowadzi naukę poglądową różnych gałęzi przemysłu ludowego, a mianowicie: 1) przeróbki przędzy; 2) tkactwa, (mianego, samodziałów, kilinków); 3) koszykarstwa; 4) zabawkarstwa (stolarstwa, tokarstwa, rzeźbiarstwa); 5) łyżkarstwa; 6) garncearstwa; 7) guzikarstwa nicianego; 8) jedwabnictwa. Robi zaś to w sposób następujący: obok starych, używanych dotąd przez lud nasz przyrządów i sposobów, stoją przyrządy nowe, a odpowiedni specjaliści objaśniają, pokazują, o ile lepiej, łatwiej, zyskowniej pracować na przyrządach udoskonalonych.

„Kto to zrozumie i zachęci się — temu na miejscu ułatwiają wszystko: dokładną naukę, kupno, przesyłkę. Jeszcze przez cały wrzesień trwać będzie taka nauka pogładowa—ratunkowa. Pomóście, aby usiłowania gorliwych patriotów przyniosły ludowi jak największy pożytek.

*

*

*

Wizyta czeska w Warszawie należy już do przeszłości, należy jednak do niej tylko, jako aktualność dziennikarska, gdy jako fakt znaczenia politycznego i ekonomicznego, nietylko nie zeszła jeszcze z porządku dziennego, ale przeciwnie, teraz dopiero zarysowuje się wyraźniej na horyzoncie naszego życia i nabiera wagi istotnej.

Minęły dni entuzjazmu. Uciszyła się Warszawa. Odjechali goście, witani sercem, uwołając, jak sami dają zgodne temu świadectwo, wspomnienia dobre.

„Wspaniałe przyjęcie — mówi czeska Rada narodowa w piśmie, wystosowanem do ks. Zdzisława Lubomirskiego — przyjęcie, zgotowane przez wszystkie warstwy narodu polskiego w Królestwie Polskiem i wszędzie po drodze, poczynając od granic ziem korony czeskiej aż do niezapomnianej Warszawy, *uczyniło na całym narodzie czeskim wrażenie głębokie i trwałe*. Polacy dostarczyli przedstawicielom narodu czeskiego przed całym światem nowego dowodu, że starodawne związki pokrewieństwa i braterstwa potomstwa Lecha i Czecha, związki, które przetrwały burze tysiącolecia, nietylko wiernie zostały dochowane, ale, przeciwnie, spotężniały i przetrwają wieki, jako niewyczerpane źródło wzajemnej miłości, pracowitego życia i szczęśliwej przyszłości obu bratnich narodów i całej wielkiej rodziny słowiańskiej.“

Chcemy wierzyć w tę szczęśliwą przyszłość. Należy się ona i Czechom i nam i wszystkim narodom słowiańskim. Nie możemy jednak taić, że droga ku niej, szczególnie *droga nasza*, jest jeszcze daleka i niewolna od przeszkód. Czesi w ciągu wieku XIX-go poszli bardziej naprzód. Największe ich nieszczęścia są już za nimi. Naród, który w ciągu dwóch wieków, dzielących go od bitwy Białogórskiej, zdawał się być skazanym na to, że fala niemiecka zmyje go z powierzchni ziemi, w ciągu wieku trzeciego odrodził się. Zdrowy pień narodowy okrył się nowym liściem

i strzela ku nowej koronie. Dokonały tego nietylko sprzyjające warunki, w jakich znaleźli się Czesi z chwilą, gdy monarchia habsburska przekształciła się w państwo konstytucyjne, ulegając konieczności dziejowej, ale dokonało się także drogą pracy, zabiegliwości, skupienia i wyteżenia wszystkich sił, jakie tkwiły w narodzie.

Kto pamięta Czechy z przed lat kilkadziesiątu, a kto je odwiedzi dzisiaj—nie może oprzeć się zdumieniu. Kto pamięta germanizujących Galicyę Precliczków, a kto spotka się dzisiaj z działaczem narodowym czeskim, sypiącym nieustannie wały przeciw niemieczyźnie, ten musi nabrać przekonania o głębokich zmianach, jakie zaszły w zbiorowej duszy narodu czeskiego w ciągu ostatniego półwiecza.

Dusza ta obudziła się. Zrzuciła z siebie skorupę niemieczyny i wzięła na się odrodzony kształt własny. Czesi nie potrzebują już lękać się o swoją przyszłość. Zaprawieni w walce na wszystkich polach z nieprzyjacielem, znacznie od siebie silniejszym, zdobyli oni takie doświadczenie i potrafili spiąć się w tak silny hufiec, że go już nie rozpręganie napór niemiecki. Świadomość narodowa, oświata i dobrobyt ekonomiczny są dziś podwaliną *jutra* czeskiego.

Takich podwalin — w tym zakresie i o takiej mocy — my, jako naród, nie posiadamy jeszcze obecnie, a jeżeli nie zbywa nam na świadomości narodowej, to brak oświaty i dobrobytu tłumy objawy tej świadomości na każdym kroku — i dla tego wiele możemy się od Czechów nauczyć, wiele wziąć od nich w tem przekonaniu, że bierzemy dobre.

Stosunki polsko-czeskie, początkami swojemi sięgające w odległą przeszłość, z konieczności dziejowej musiały się rozluźnić i zerwać. Oba narody z biegiem czasu znalazły się w takim położeniu, że musiały dbać jedynie o siebie, że nie mogły nawet myślał wybiegać poza miedzę graniczną. Nadto Czesi, zajęci całkowicie walką z Niemcami i szukający nieustannie sprzymierzeńców do tej walki, przez długi czas ulegali daltonizmowi politycznemu i zgoła nie umieli oceniać stosunków, panujących u nas. Odwrotnie, ich panslawizm był walorem, nie mogącym mieć kursu u nas. W takich warunkach, przy tak odmiennym układzie pojęć, nie mogło być oczywiście mowy o porozumieniu, o przyjaźni w ściślejszem znaczeniu. Nastąpiła jednak chwila wyjaśnienia. Prąd neosłowiański i akcyja, zapoczątkowana przez postów Kramarza i Dmowskiego, przyczyniły się znakomicie do wyświeśtlenia stosunków polsko-czeskich. Rzucone na zjeździe petersbur-

skim i powtórzone potem w Pradze hasło „równi z równymi“ znalazło oddźwięk w Czechach. Przyjęcie, jakie zgotowano Polakom w Pradze, dało dowód, że to, co ze strony rosyjskich panslawistów w stosunku do nas nazywane było „brakiem uczuć słowiańskich“ zostało nareszcie należycie zrozumiane.

Obecnie wizyta czeska, aczkolwiek w założeniu swoim pozbawiona charakteru politycznego, potwierdziła to jednak w całej rozciągłości i dla tego znaczenie jej stało się głębsze i szersze.

Akcentując z naciskiem, że jadą do Polski, że są gośćmi Polaków, Czesi podkreślili raz jeszcze, że ich orientacya w naszych stosunkach jest trafna i umożliwili tem samem społeczeństwu polskiemu wystąpienie w roli istotnego gospodarza. W tem tkwi to skromne znaczenie polityczne, jakie wizyta czeska mieć dla nas może, po raz pierwszy bowiem od wielu lat Warszawa miała możność powitać w swoich murach gości, przybywających do niej w odwiedziny i na powitanie takie uzyskała sankcyę rządu, który zadokumentował przez to, że do pewnego stopnia uznaje nasze prawa narodowe.

Już to samo, że w Warszawie podczas pobytu Czechów nagle zniknęła atmosfera „ochrony wzmacnionej“, że na ulicach, w teatrach, na zebraniach zapanował nastrój, którego społeczeństwo nasze nie zaznało od czasu pamiętnych a złudnych dni październikowych w r. 1905, że ludzie chodzili z rozjaśnionemi twarzami, witali się radośnie, rozmawiali głośno, że w duszach ich pękała skorupa pesymizmu, zwątpienia i apatyi, które tam warstwami kładły lata ostatnie — już to jedno stanowi korzyść, z którą należy się liczyć, mimo, że była tylko korzyścią chwilową. I za to, że się przyczynili do tego, jesteśmy Czechom wdzięczni. Od-ruchowe objawy tej wdzięczności wybuchały też doraźnie przy każdym zetknięciu się szerszej publiczności z gośćmi czeskimi. Czesi zaś odpowiadali na to gorąco i owacyjnie. W ten sposób zadzierżgnięty został węzeł niewątpliwej sympatyi pomiędzy dwoma społeczeństwami.

Przejdźmy jednak na grunt realny. Podstawą wszelkich stosunków międzynarodowych, a więc nawet stosunków pomiędzy narodami takimi, jak nasz i czeski, które oba nie mają samodzielności politycznej, nie może być sentyment, ale musi być interes. Interes, dobrze zrozumiany, zbliża bardziej i łączy silniej, niż jakiegokolwiek czynniki uczuciowe. Prawda, że należymy do jednej rodziny, że jesteśmy od wieków sąsiadami i że będziemy nimi zawsze. Nie to jednak nas zbliża w tej chwili. Cementem przy-

jaźni polsko-czeskiej, zapoczątkowanej obecnie, jest potrzeba wspólnej obrony. W interesie Czechów, którzy prowadzą walkę o swój język i o swoją przyszłość narodową na terenie państwa austriackiego, leży utrwalenie siły materyjalnej narodu, jako podstawy kultury narodowej. Przemysł czeski potrzebuje obecnie ekspansyi. W bankach czeskich nagromadziły się miliony, które pracowity, oszczędny naród zbiera w dalszym ciągu. Miliony te potrzebują fruktyfikacyi. Od kilku lat Czesi operują już w Galicyi, ale Galicya nie ma przemysłu, nie ma handlu. My natomiast posiadamy i jedno i drugie w stopniu znacznie większym, tylko przemysł nasz jest częściowo jeszcze w rękach obcych, a w dziedzinie handlu jesteśmy niemal całkowicie w niewoli u Niemców.

Hasło bojkotu towarów pruskich, hasło walki ekonomicznej z Niemcami, rzucone w całej Polsce w odpowiedzi na prawo o wywłaszczeniu, nie mogło pozostać bez echa wśród Czechów, którzy taką walkę już przeprowadzili, którzy stworzyli swój własny przemysł czeski i zwycięsko idą naprzód. Zbliżenie się więc polsko-czeskie posiada w chwili obecnej charakter i znaczenie *interesu* dla obydwóch narodów. Dla Czechów, ponieważ mogą zbywać swoje wyroby u nas i lokować korzystnie nadmiar swoich kapitałów w naszych przedsiębiorstwach, dla nas, ponieważ przy pomocy czeskiej łatwiej będziemy mogli toczyć ciężką, długą, upartą, rozłożoną na lata całe walkę z Niemcami.

Nietylko jednak towary i pieniądze powinniśmy brać od Czechów. Mamy w nich także dobry przykład, rzecz również nie pozbawioną ceny i wartości.

Czech jest doskonałym pracownikiem, dobrym przemysłowcem i dobrym kupcem. Organizacya całego życia ekonomicznego w Czechach wyprzedziła znacznie organizacyę naszą. Nadto Czech jest także doskonałym i oświeconym rolnikiem. Uprawa ziemi stoi w Czechach wyżej, niż u nas, a chłop czeski żyje o wiele lepiej od naszego, w większym dostatku, w wyższej kulturze.

Wytworzenie więc stosunków przyjaznych między narodem polskim a czeskim i zbliżenie się ekonomiczne obu narodów może mieć dla nas skutki pomyślne. Młodzież nasza, pozbawiona w kraju szkół zawodowych, znajdzie gościnę w szkołach czeskich, które postawione są świetnie. Początkujący technicy i handlowcy będą mogli odbywać praktykę w Czechach, a zbiorowe wycieczki naszych włościan do Czech, celem zwiedzania tamtejszych gospodarstw postępowych, przyczynić się mogą do podniesienia i u nas kultury ziemi.

Niepodobna przedstawiać tu w całym zakresie korzyści, jakie z dobrego układu stosunków polsko-czeskich wyniknąć mogą. Nie można jednak przeoczyć faktu, że od układu tych stosunków zależy także i wielkiej wagi dla nas sprawa zatargów czesko-polskich na Śląsku, która, przy dobrej woli może być załatwiona zgodnie i pomyślnie. W nadziei też, że i to z sobą niedaleka przyszłość przyniesie, witamy zaczątek przyjaźni czesko-polskiej z otuchą i wiarą w dobry plon.

*

*

*

Z rozporządzenia władz przestało istnieć w Warszawie Towarzystwo wpisów szkolnych — instytucya, która w stosunkach obecnych odgrywała u nas rolę bardzo ważną. Wspierając niezamożną młodzież szkolną, przyczyniała się ona tem samem do zapewnienia prywatnej szkole polskiej istnienia, a warstwom, nie posiadającym dostatecznych środków na kształcenie dzieci, umożliwiała dostęp do światła — tego niewątpliwego zadatku lepszej przyszłości społecznej i narodowej.

Zamknięcie Towarzystwa jest przeto ciosem podwójnym — z jednej strony dotyka ono szkołę polską, która opiera byt swój jedynie na wpisach, z drugiej — zatrząskuje drzwi tej szkoły przed licznym zastępem uczniów niezamożnych.

Spółceństwo odczuło też bardzo silnie tę nową klęskę, jaka spadła niespodziewanie na kraj. Opinia publiczna nie może jednak pogodzić się z tym faktem, jako z czemś dokonanem i nieodwołalnym. Rozumiejąc, że rozporządzenie, dotyczące zamknięcia instytucyi tej wagi i tego pożytku mogło nastąpić jedynie na podstawie mylnego tłumaczenia sobie przez władze celów i założeń Towarzystwa, oczekuje ona w rychłym czasie wyjaśnienia sprawy i ufa, że w okresie płacenia wpisów instytucya będzie mogła na nowo działalność swoją rozpocząć.

Gdyby jednakże to nie nastąpiło, gdyby i tu czekać nas miał zawód, to i tak nie wątpimy, że społeczeństwo utrzyma dotychczasową ofiarność swoją i nie zapomni o ubogiej młodzieży szkolnej, która bez opieki i pomocy zbiorowej prędzej czy później będzie musiała znaleźć się poza szkołą.

Wszystkie pisma polskie mają prawo przyjmowania takich ofiar — w tę stronę powinien więc skierować się pieniądz publiczny, przeznaczony na cele oświaty. Jesteśmy głęboko przekonani, że go nie zbraknie, że zgłaszający się do redakcyi dzienników uczniowie prywatnej szkoły polskiej nie odejdą stamtąd z próżnemi rękami, że zamknięcie Towarzystwa nie wykolei ani jednego dziecka polskiego, które przez szkołę chce zdobyć naukę i lepszą przyszłość dla siebie.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Prof. Ludwik Gumplowicz.

Zmęczony życiem, wycieńczony długotrwałą chorobą, dobrowolnie odszedł ze świata prof. Ludwik Gumplowicz, wysoko ceniony socjolog, uczony o sławie europejskiej, Polak, pracujący, jak tyłu innych, na obcym zagonie, pod sztandarami obcej nauki, dla obcego społeczeństwa...

Urodzony w Krakowie w r. 1838, po ukończeniu w mieście rodzinnem studyów prawnych, Gumplowicz poświęcił się na razie publicystyce i przez czas pewien redagował dziennik postępowy „Kraj.” Gdy jednak życie zwolna tępiło ostrze jego zapędów polemicznych, młody publicysta zwracać się zaczął ku nauce, której z czasem miał zostać wiernym i całkowicie oddanym sługą. Losy złączyły go na zawsze z uniwersytetem niemieckim w Gracu. Tam habilitował się i tam przeszedł wszystkie szczeble kariery profesorskiej, rozwijając na katedrze prawa publicznego cały zasób rozległej swej wiedzy i niepośledniej zdolności konstrukcyjnej. Sławę jednak zjednał mu dopiero samodzielne badania socjologiczne, którym poświęcił się z całym zapałem. Jego system socjologii, oparty na teorii walki ras, miał licznych przeciwników, miał jednak także i gorących zwolenników. Obok tego Gumplowicz zajmował się gorliwie pracami historycznymi i pozostawił kilka rozpraw, dotyczących położenia Żydów w Polsce.

Ocenę naukowej jego działalności, którą, niestety, chlubią się przede wszystkim Niemcy, gdyż większość prac swoich ogłaszał Gumplowicz w tym języku, znajdzie czytelnik na innem miejscu. Tu pragniemy tylko złożyć hołd pamięci człowieka i uczonego. Pierwszy, mimo, iż całe życie spędził na obczyźnie, nie zerwał węzłów,

łączących go z krajem, szczerze i głęboko interesował się jego sprawami i o ile mógł, służył mu z daleka. Drugi—był wzorem pracy, podejmowanej z najczystszych pobudek, mających jedynie prawdę na widoku. Skromny, oddany całkowicie zawodowi profesorskiemu, zjednał sobie Gunpłowicz niepowszednią miłość uczniów i wysoki szacunek wszystkich, którzy wchodzili z nim kiedykolwiek w stosunki naukowe i mieli sposobność poznać go, jako myśliciela i badacza. Tragiczna śmierć jego w dniu 19 sierpnia r. b., otwierająca wspólny grób profesorowi i jego małżonce, znalazła też szeroki odgłos i odbiła się echem żałoby daleko poza murami Gracu, który był świadkiem życia i pracy zmarłego.

Cześć jego pamięci!

ś. p. Tadeusz Smoleński.

Dn. 29 sierpnia r. b. zmarł w Krakowie ś. p. Tadeusz Smoleński, młody, rokujący wielkie nadzieje, uczony polski.

Z wykształcenia historyk, z powodu słabego zdrowia musiał Smoleński zaniechać studyów i badań źródłowych. Wysłany przez lekarzy do Egiptu, poświęcił się tam archeologii i w krótkim czasie zdobył sobie imię i rozgłos nowemi odkryciami, dokonanemi w Szarunie i El Gambudu. Plony tych odkryć wzbogaciły zbiorę wiedeńskie, a tylko niektóre z nich, stanowiące prywatną własność Smoleńskiego, dostały się w darze Krakowskiej Akademii Umiejętności.

Dzięki wybitnym zdolnościom i usilnej pracy, Smoleński zapowiadał się jako pierwszorzędnny egiptolog. Niestety, gruźlica, która nękała wąty jego organizm, przeciąć miała przedwcześnie jego życie.

Zmarł w kwiecie wieku, rojąc plany i zamiary, które byłyby niewątpliwie chlubę przyniosły nauce polskiej. Niezależnie od tego i ten dorobek, z jakim Smoleński odszedł, imię jego zapisał trwałemi zgłoskami w rocznikach naszej nauki.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— ARCHYTEKT. Lipiec. Z Wawelu; — Z. Słomiński: Zamek Sandomierski; — W. Ekielski: Złe ziarno; — X. G. Kowalski: O styl dla architektury kościelnej; — Kronika; — Piśmiennictwo; — Konkursy.

— ATENEUM KAPŁAŃSKIE. Czerwiec. Ks. B. Łubieński: Po kanonizacji św. Klemensa; — ks. d-r J. Ciemniowski: U źródeł modernizmu; — II. ks. d-r St. Trzeciak: Obchodzenie sabbatu w czasach Chr. Pana; — ks. d-r I. Radziszewski: Geneza religii; — ks. R. Filipski: Bł. Joanna d'Arc; — Prawo i liturgia; — Sprawy kościelne: — Przegląd naukowy; — Ruch społeczny; — Z książek i prasy; — Poradnik; — Recenzje i krytyki; — Notatki bibliograficzne; — Przegląd czasopism; — Bibliografia.

— BIBLIOTEKA NOWA... KAZNODZIEJSKA. Sierpień. Kazania ks. ks.: Stanisława Budaszewskiego w Bninie. P. d-ra Hozakowskiego w Poznaniu, Biernackiego, prob. w Starymgorodzie, Edmunda Grydlewicza, prob. w Ślesinie (2), R. (2), Adama Żegockiego w Nieznańcu, księdza z pod Miłostawia, A. F. . . . , d-ra A. Kopycińskiego (na ślubie Stefana Dunikowskiego i Maryi z Trzeciejskich), Stanisława Okuniewskiego z Bnina (na pogrzebie s. p. prof. Antoniego Celichowskiego), Władysława Wolińskiego, prałata w Strzelnie (na poświęceniu kościoła).

— BULLETIN POLONAIS, 34 année, 15 juin 1909. Le Don de Grunwald (Dar Grunwaldzki) (R); — Les écoles en Pologne, d'après le discours du d-r Rząd à la Douma (R); — Pour le centenaire de la bataille de Raszyn (19 avril 1809), par A. M. Skalkowski, trad. par A. Budzyński (suite et fin); — Le songe d'argent de Salomée, roman dramatique en 5 actes, par Jules Słowacki, trad. p. V. Gasztowtt (suite); — Vincent Migurski ou 28 ans d'évil, trad. par Mme Rivet, née Migurska (suite); — Les expositions de 1909, par Alexandre Schurr; —

Variétés Littéraires; — Petite chronique scientifique; — Variétés politiques; — Nouvelles diverses; — Nécrologie M-lle Zofia Żukowska, Docteur Felix Oknińcyc).

— CZYTELNIĄ LUDOWĄ. Lipiec. Od Gł. Zarządu. Regulamin dla walnych zebrań; — Porządek obrad walnego zebrania; — Uzasadnienie regulaminu i porządku obrad naszego sejmiku oświatowego; — Polskie Towarzystwo krajoznawcze z siedzibą w Warszawie; — Wiadomości i sprawozdania; — Piętnastoletnia praca oświatowa Tow. rob. polskich w Jeżycach; — Niemieckie biblioteki ludowe na Górnym Śląsku; — Dar Grunwaldzki na polskie szkoły kresowe; — Dział sprawozdawczy T. C. L. w Poznaniu; — Komunikaty; — Wiece T. C. L. w Wielowsi, Chynowie i Przygodzicach; — Sprawozdanie Komitetu T. C. L. na powiat Ostrzeszowski za rok 1908; — Sprawozdanie kasowe.

— DAS LITERARISCHE ECHO. Dwutygodnik literacki. Rok 11. Zeszyt 21/21, 1 sierpień, 1909. Treść: Heinrich Spiero: Der neue historische Roman; — Hans Franck: Eduard Stucken; — Otto Julius Biernbaum: Schorlemorle; — Oskar J. Walzel: Klemens und Sophie; — Harry Mayne: Neues von und über Meyer; — Hermann Kienzl: Hauptmann in Hellas; — Richard M. Meyer: Neue Essais; — Olga Wohlbrück: Frauenschicksale; — Oskar Bulle: Ein deutscher Dante; — Emile Berhaeren: Die belgische Literatur; — Echo die Zeitungen; — Echo der Zeit-schriften; — Echo des Auslandes; — Echo der Bühnen.

— GRUŻLICA. № 3. I. Sterling Seweryn d-r: Rola szpitali w walce z gruźlicą u nas; — Janiszewski Tomasz d-r: Walka z gruźlicą w Galicji; — Dział sprawozdawczy; — Międzynarodowa konferencja przeciwgruźlicza w Filadelfii; — Niemiecki komitet centralny do walki z gruźlicą; — Ranke: Sprawozdanie z działalności opieki nad chorymi gruźliczymi w Monachium; — Morax: Ankieta urzędu sanitarnego w Lozannie; — Armaingaud: Przyczyny spadku śmiertelności z gruźlicy; — Walka przeciw gruźlicy w Kopenhadze; — Środki skierowane przeciw sprzedaży mleka gruźliczego w Belgii; — Walka z gruźlicą w Bośni i Hercegowinie; — W sprawie walki z wilkiem (lupus); — Arloing i Courmont: Opieka przeciwgruźlicza w Lyonie; — Hulcux R.: Przyczynę do stanu gruźlicy w szkole i do jej profilaktyki; — James Alex. Miller: Gruźlica płuc u zecerów; — Bernheim S. i Dienpart L.: O roli kobiety w walce przeciwgruźliczej; — Wiadomości bieżące; — Ogłoszenia.

— HOMILETYKA, pismo miesięczne, zawiera dział kaznodziejski, teologiczno-pasterski, ascetyczny i społeczny z dodatkiem popularnym. Rok XII. Zeszyt VII. Lipiec, 1909. Redaktor i wydawca ks. Maryan Nassalski magister teologii. Treść: Rozprawy; — Encyklika Ojca św. Piusa X do czcigodnych braci patryarchów, arcybiskupów, biskupów i ordynaryuszów (dokończenie); — Nietzsche i chrześcijaństwo; — Moralny upadek młodzieży akademickiej; — Dział kaznodziejski; — Kazania katechetyczne; — Kazania na Niedziele; — Kazania na uroczystości; — Przemówienia przygodne; — Ascetyka; — Wiadomości teologiczne pastoralne; — Bibliografia.

— KOSMOS. Zeszyt 5—6, 1909. Treść: d-r L. Słowicki: O młodszych ruchach górotwórczych w Karpatach; — prof. d-r M. Ernst: Budowa naszego układu gwiazdowego (z 12 ryc. cynk. i 3 tabl. litograf.); — K. Szulc: Spostrzeżenia

meteorologiczne w Dublinach w r. 1908;—H. Raabe: Antinomixidra i Haplosporidia, dwa nowe rzędy w systematyce Neosporidia;—d-r W. Schreiber: Trzy najświeższe odkrycia człowieka kopalnego;—Z. Chmielewski: Zmienność kwiatów u *Anemone nemerosa* L.;—d-r M. Grochowski: O istocie antropologii i jej zadaniach;—B. Dybowski: Notatki naukowe;—Sprawozdania i oceny podali: Wł. Szafer, R. Reiserówna, F. Lilienfeldówna, Z. Chmielewski, Br. Niklewski, W. Kajruksztys, H. Raabe, St. Pawłowski, B. Duchowicz;—Korespondencya „Kosmosu;”—Wiadomości bieżące;—Odezwa;—Konkursy.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej pod kierunkiem literackim J. K. Kochanowskiego. Rok 9. № 8. Sierpień 1909. Warszawa. Treść. Krytyka. Belmont Leo: Trzy odczyty;—Biernacki Bolesław: Nawrócony;—d-r Burek Józef: Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków, od traktatów wiedeńskich do ustaw wyjątkowych z 1906;—Dąbkowski Przemysław: Wierna ręka czyli pokład;—Dicey A. V.: Wstęp do nauki o prawie konstytucyjnym;—Duda Franciszek: Rozwój terytorjalny Pomorza polskiego. (Wiek XI—XIII);—Grabowska Helena: Narzeczeństwa róże i ciernie;—Jaroszyński Tadeusz: Dwie nowele;—Tenże: W nawiasach życia;—Kleiner Juliusz: Studya o Słowackim;—Konar Alfred: W syrenim grodzie;—Kosiakiewicz Wincenty: Żywe obrazki;—Kraushar Aleksander: Miscellanea historyczne, XXXV;—Król Kazimierz: Książka do czytania i na odczyt;—Lilientalowa Regina: Święta żydowskie w przeszłości i teraźniejszości;—Łoziński Walery: Starsza siostra Zygmunta Augusta;—Niemcewicz J. U.: Pamiętniki z 1830—1831 roku;—Olchowicz Gustaw: Kilka zasadniczych pojęć społeczno-politycznych;—Perkowska Z. i Hertzberżanka M.: Dyktanda do pisowni polskiej w ćwiczeniach;—Też: Pisownia polska w ćwiczeniach;—Przeгляд Sądowy i Administracyjny;—Salz Henryk: Kwiat bagna. Stypa;—Sikorska Helena: Baśń o szczęściu;—Skąpski Bronisław: Pieśń wyklęta;—Słoński Edward: Przebudzenie;—Sułowski Romuald: Wzory opisów i rozpraw do ćwiczeń stylistycznych, logicznych i estetycznych;—Thugutt Stanisław: Księstwo Warszawskie, jego utworzenie się i dzieje;—Woyczyński Kazimierz: Polska a chwila obecna;—Zalewski Władysław: Pieśń Asmuzda;—Pod prasą;—Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

KULTURA POLSKA. Lipiec, 1909. Demokracja Poznańska:—Z polityki;—Pokłosie;—Środek przeciw wywłaszczeniu;—Konkurs na pomnik Szopena;—Miasta-ogrody;—Literatura polska;—Nowe książki;—Z czasopism polskich;—Ze stowarzyszeń polskich;—W Towarzystwie Kultury Polskiej;—Odezwa T. K. P.;—Kronika;—Dary dla Tow. Kultury Polskiej;—Odpowiedzi redakcyi;—Ogłoszenia.

— KWARTALNIK ETNOGRAFICZNY „LUD,” wydawany przez Towarzystwo Ludoznawcze. Założony przez Antoniego Kalinę, pod redakcją Szymona Matusiaka. Lwów, 1909. Tom XV. Zeszyt I i II. Treść: Nekrologia. Władysław Nehring. Karol Estreicher. Rozprawy;—Żmigrodzki Michał dr.: Totemizm;—Klinger Witold: Do wpływów starożytności na folklor I—II;—Fischer Adam: Ludowy piosennik Edwarda Porętcowicza;—Matusiak Szymon: Wieliczka i Bochnia, Opisy i Notatki;—Króliński Kazimierz: O muzyce ludowej i jej ka-

planach; — Nuzikowska: Kometa r. 1812 w Muszynie; — Gawełek Franciszek: Z Jaworza na Śląsku austriackim; — Kołodziejczyk Edmund: Zwyczaje, obrządki, zagadki i pieśni ludu kaliskiego w okolicach Wielunia; — Materyały i poszukiwania; — Gonet Szymon: Śpiewki z okolicy Andrychowa; — Rozmaitości; — Smoleński Tadeusz: Dodatek do słownika polskiego. Recenzje i sprawozdania. Sprawy Towarzystwa.

— KWARTALNIK HISTORYCZNY. Organ Towarzystwa Historycznego, założony przez Ksawerego Liskiego, pod redakcją Aleksandra Semkowicza. Rok XXIII. Zeszyt 3. Lwów, 1909. Piotr Stabelski: Lwów w 1848 roku; — A. Brückner: O Rusi normañskiej jeszcze słów kilka; — Jan Ptaśnik: Miscellanea: Testamenty Piotra Wedelienisza z Obornik i jego żony Otylii; — K. M. Morawski: Pamiętnik marszałka Stanisława Lubomirskiego z czasów konfederacji barskiej; — A. J. Brawer: Przyczynek do polityki austriackiej w czasie wojny polsko-rosyjskiej w r. 1792; — Emil Kipa: List Napoleona do gen. Sokolnickiego; — Recenzje i sprawozdania; — Bibliografia historii powszechnej; — Bibliografia historii polskiej; — Kronika; — Polemika.

— LITERARISCHES ZENTRALBLATT. Inhalt. Theologie (1065). John Toland's: Christianity not mysterious (Christentum ohne Geheimnis); — übersetzt v. Lunde hyb. v. Zscharnack; — Philosophie; — Psychologie; — Münsterberg: Philosophie der Werte. Geschichte. Naturwissenschaften. Mathematik; — Medizin; — Staatswissenschaften. Sprachkunde. Literaturgeschichte. Mythologie. Altertumskunde. Kunstwissenschaft. Vermischtes. Bibliographischer Theil. Nachrichten.

— ŁAN MŁODZIEŻY. № 12, 1909. Wynik sądu konkursowego na temat: Ideał studenta polskiego; — Cypryan K. Norwid: Z zakończenia pieśni współczesnej; — Stanisław Cywiński: O Cypryanie Norwidzie słów kilka; — M. Z.: Najmilsza chwila; — E. Mirohorska: Vade mecum przysłzemu laureatowi; — L. Świada Z.: Geneza spisku podchorążych; — Aleksander Grzybowski: Prorok tułacz. Pieśni wtóra; — W sprawie spornego artykułu „Z życia wśród młodzieży;“ — Wi-szor: Dwie wystawy sztuk pięknych; — Ze sportu; — Z życia młodzieży; — Zestawienie działalności; — Dar Grunwaldzki; — Nasze pisma; — Konkurs miesięcznika „The Studio;“ — Sprawy szkolne; — Kalendarz symboliczny.

— MIESIĘCZNIK HERALDYCZNY. Organ Towarzystwa Heraldycznego we Lwowie. Lwów. Czerwiec i lipiec 1909. Treść: Ks. dr. Zygmunt Kozicki: Inscriptiones elenodiales; — Franciszek Jaworski: Nobilitacya miasta Lwowa; — Dr. Władysław Semkowicz: Czy Skargowie byli szlachtą?; — Józef ks. Puzyna: W sprawie pochodzenia Luberskich; — Miscellanea; — Sprawozdania i recenzje; — Uzupełnienie; — Zagadnienia i odpowiedzi; — Pokwitowania; — Dodatek; — Dr. M. Dunin Wąsowicz: Metryki. Parafia Janów Trembowelski.

— MIESIĘCZNIK PEDAGOGICZNY. Czerwiec, 1909. P. Bobek: Jak się przedstawia stan zdrowia naszej dziatwy szkolnej?; — Wilhem Greger: O posłuszeństwie; — Kronika; — Fr. Popiołek: Dzieła autorów śląskich.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORIA. — BIOGRAFIA. — HERALDYKA. — NUMIZMATYKA.

BACZYŃSKI JULIAN: Dzieje Polski ilustrowane. Opracował ... Wydanie drugie poprawione i powiększone. Poznań, 1909. Nakł. Karola Kozłowskiego i Zdzisława Rzepeckiego i Sp. 4-o, str. 882.

BARTOSZEWICZ K.: Dzieje insurekcyi Kościuszkowskiej. Wiedeń, 1909. Nakł. Fr. Bondego. Oprawa wedle rysunku H. Uziembly. 8-o, format duży, str. 365 + 3 nlb.

BLOS WILHELM: Rewolucya francuska. Przekład z niemieckiego przejrany i poprawiony przez D-ra Bolesława Limanowskiego. Wyd. II. Z 2 rycinami. Kraków, 1909. Spółka nakł. „Książka.“ Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. Lwów, H. Altenberg. New York, The polish book importing Co. 8 o, str. VII + 414.

CZERMAK WIKTOR, PROF.: O Stefanie Czarnieckim. Wyd. III. Lwów, 1909. Nakł. Macierzy Polskiej. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 45.

JABLONOWSKI ALEKSANDER: Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym, tom VI, cz. II. Podlasie (województwo). Opisane przez ... Źródła dziejowe t. XVII, cz. II-ga. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, format duży, str. 252 + XXXV.

KALLIMACH BUONACORSI FILIP: Życie i obyczaje Grzegorza z Sanoka, arcybiskupa lwowskiego (przekład polski z oryginału łacińskiego). Poprzedza spór o Grzegorza z Sanoka przez Prof. D-ra Tadeusza Sinkę. Lwów, 1909. Staraniem „Kółka filologicznego.“ 8-o, str. 87.

KONSTYTUCYA trzeciego maja. Kraków, 1909. Nakł. W. Korneckiego i K. Wojnara. 8-o, format mały, str. 28.

OSIŃSKI KAZIMIERZ: O medalu wystawy przemyskiej z r. 1904 i o herbie miasta Przemysła. Kraków, 1909. Nakł. autora. 8-o, format mały, str. 10.

POSADZY LUDWIK, D-R: O posłannictwie narodów europejskich. Pomyśły do filozofii dziejów Francyi, Niemiec i Polski. Inowrocław, 1909. Nakł. autora. Lwów, Gubrynowicz i Syn. 8-o, str. 143 + 1 nlb.

STA-RY: Pod Raszynem, pod Górą Kalwaryą (stulecie kampanii—1809). Kraków, 1909. Nakł. „Ojczyzny.“ 8-o, format mały, str. 39.

ZALESKI J.: Panowanie Stanisława Augusta do czasu Sejmu czteroletniego. (Dzieło pośmiertne). T. II. Poznań, 1909. 8-o, str. 334.

HISTORIA I TEORIA LITERATURY.

CEPNIK HENRYK: Nieco o najnowszym dramacie polskim. Wrażenia i uwagi. Lwów, 1909. Wydawnictwo „Dziennika Polskiego.“ 8-o, format mały, str. 26.

CIOŁKOSZ KASPER: Słowacki—Shelley. W Szwajcaryi — Epipsychidion. Beatrix Cenci—The Cenci. Tarnów, 1909. Nakł. fund. nauk. 8-o, str. 40.

CZARNOWSKI S. J.: Literatura przeddziejów Polski i ziem sąsiednich słowiańskich. Opracował ..., członek-współpracownik komisji antropologicznej Ak. Um. krak. i Tow. nauk. warsz. Warszawa—Kraków, 1909. Gebethner i Sp. Polska przedhistoryczna. Badania, poszukiwania, spisy zabytków przedziejowych, bibliografia, sprawozdania, przeglądy i t. p. 8-o, format duży, str. 148.

GRABOWSKI T., D-R: Słowackiego lata ostatnie 1843—1849. Kraków, 1909. Odbitka ze „Sprawozdania“ c. k. I szkoły realnej w Krakowie za rok 1909. 8-o, str. 33.

JANIK MICHAŁ, DR.: Juliusz Słowacki. Próba syntezy. Lwów, 1909. Nakład dyrekcji c. k. II wyższ. szk. realnej. Odbitka ze „Sprawozdania“ II szk. real. we Lwowie za rok 1909. 8-o, str. 95.

KIELSKI B.: Ślady wpływu Wiktora Hugo w dramatach Słowackiego. Szkic literacki. Krosno, 1908. Odbitka ze „Sprawozdania“ c. k. wyższej szkoły realnej w Krośnie za r. szk. 1908/9. 8-o, str. 14.

KOSSOWSKI STANISŁAW, D-R: Matka poety, Salomea Słowacka-Bécu i wpływ jej na syna w okresie młodości. Lwów. 1909. Nakł. Tow. pryw. gimn. żeńsk. im. J. Słowackiego. 8-o, str. 63.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Z dni niedoli Karola Szajnochy. Miscellanea historyczne XXXIX. Warszawa, 1909. 16-o, str. 16.

KRETZ JÓZEF, D-R: Glossy nad Balladyną. Krosno, 1908. 8-o, str. 15.

LAM STANISŁAW: Stanisław Wyspiański. Napisał ... Jarosław, 1909. Nakł. Aug. Meinharta. 8-o, str. 56.

M. G.: Z życia aniołów. Studium literackie. Wyd. III uzupełnione. Kraków, 1909. Nakł. druk. Związkowej. 8-o, str. 40.

MAZANOWSKI ANTONI: Klucz do symboliki „Anhellego.“ Kraków, 1909. Nakł. autora. Odbitka ze „Sprawozdania“ III gimn. w Krakowie. 8-o, str. 44.

MÉYET LEOPOLD: Kiedy się urodził Juliusz Słowacki? Kilka uwag historyczno-prawnych o dacie urodzin poety. (Z pięcioma rysunkami). Warszawa, 1909. Księg. L. Biernackiego i Sp. 8-o, format duży, str. 32.

POLLAK JÓZEF: Słowackiego „W Szwajcaryi“ a powieści szwajcarskie „Lizli“ i „Mimili.“ Tarnów, 1909. Nakł. fund. nauk. Odbitka ze „Sprawozdania“ c. k. gimn. I w Tarnowie za r. 1908/9. 8-o, str. 27.

RUSZCZYŃSKA MARYA: „Konrad—Wacław—Kordyan.“ Studium analityczno-porównawcze. Kraków, 1909. Nakł. I pryw. gimn. żeńsk. Odbitka ze „Sprawozdania“ I pryw. żeńsk. gimn. w Krakowie 1909. 8-o, str. 30.

SOKOLICZ ANTONINA: Juliusz Słowacki. Życie i dzieła poety. Poznań, 1909. Nakł. Wydziału oświatowego „Straży.“ 8-o, str. 80.

TRZPIŚ HENRYK: Estetyczno-krytyczne poglądy Słowackiego w Beniowskiu. Kraków, 1909. Nakł. autora. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 87.

POEZYZA. — POWIEŚĆ. — DRAMAT.

BRANDOWSKI STANISŁAW: Moja menażerya. Obrazki, szkice i humoreski. Lwów, 1909. Nakładem księgarni J. Maniszewskiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 122.

BUGSKI ALEKSANDER: Z cyklu „Dusza“ Szal. Serya I. 8-o, str. 85 i 2.

HIŻ TADEUSZ: Wybór wierszy. Warszawa, 1909. Nakład księg. E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł). 8-o, format podłużny, str. 92.

JACZEWSKI CEZARY: Bój!... Bój!... Kraków, 1908. 8-o, str. 361.

KRÓLIŃSKI KAZIMIERZ: Autologia współczesnych poetów polskich. Z podobiznami niektórych autorów. Ułożył ... Lwów, 1908. Nakładem księgarni Maniszewskiego i Meinharta. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 626+XXIV.

— I mówi do mnie wieś. Poezye. Serya druga. Lwów, 1908. Nakładem księgarni Maniszewskiego i Meinharta. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 110.

LEOPARDI JAKÓB: Myśli. Przełożył z włoskiego Józef Ruffer. Lwów, 1909. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 113.

MROZOWICKA ZOFIA: Drama społeczne i miłosne. Jako się pono raz wydarzyło za rządów Jego Mości Króla Michała o czem w historyach XVII w. wypisano. Lwów, 1909. Księgarnia polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł). 8-o, str. 296.

ORKAN WŁADYSŁAW: Miłość pasterska. Lwów, 1908. Nakładem Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i Sp. Lwów, H. Altenberg. 8-o, str. 142.

PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ: Nowele. Zbrodnia. Zwycięstwo. Złodziejka. Idealny lokator. Dwa światy. Wyrodne dziecko. Dobra opinia. Uczeń Sherlocka Holmesa. Folie de la ritem. Choroba. Fiziologia. Codzienne troski. W gabinecie. Tęsknota. Fluid. Wróżba. Majowe święto. Lwów, 1909. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł). 8-o, str. 141.

PLATON: Uczta. Dyalog o miłości. Przełożył, wstępem poprzedził i objaśnieniami opatrzył Władysław Witwicki. Lwów, 1909. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 156.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Byli i będą. Powieść z niedawnej przyszłości. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 323.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z roku 1909.

HISTORIA.

Str.

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE,—przez <i>Z. Miłkowskiego</i>	1, 209 i 425
POLSKA A EUROPA,—przez <i>Szymona Askenazego</i>	42
WYPRAWA DENISKI,—przez <i>Maryana Kukiela</i>	270
BITWA GROCHOWSKA,—przez <i>Stanisława Szpotańskiego</i>	449
GENEZA UPADKU POLSKI,—przez <i>Wł. Studnickiego</i>	495
SZKOŁA POLSKA PRZED CZTERDZIESTU PIĘCIU LATY,—przez <i>Br. Znatowicza</i>	542

SPRAWY SPOŁECZNE I EKONOMICZNE.

ORGANIZACYA POŚREDNICTWA PRACY,—przez <i>d-ra Żeliszawa Gro-</i> <i>towskiego</i>	288
REFORMA SĄDÓW HONOROWYCH,—przez <i>Fr. Brzezińskiego</i>	560

NAUKI PRZYRODNICZE.

TEORIA EWOLUCYI,—przez <i>Kazimierza Lutosławskiego</i>	76
BUDOWA ŚWIATA,—przez <i>M. Ernsta</i>	325

STUDYA ETNOGRAFICZNE.

POLSZCZYzna NA GÓRNYCH WĘGRZECH,—przez <i>G. Smólskiego</i>	520
-----------------------------------------------------------------------	-----

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

CATULLE MENDES,—przez <i>Orvida</i>	93
TEATR POGLĘBIONY,—przez <i>Wł. Bogusławskiego</i>	111
NOWE KIERUNKI W POEZJI FRANCUSKIEJ,—przez <i>J. Szarotę</i>	134
MICKIEWICZA „KSIĘGI PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO“ i LAMEN- NAIS'GO „PAROLES D'UN CROYANT,“—przez <i>Man- freda Kridla</i>	238
Z LITERATURY ANGIELSKIEJ,—przez <i>Maryę Rakowską</i>	308
SZTUKA WE FRANCYI,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	363
LUDWIK GUMPLOWICZ,—przez <i>Zofię Bielicką</i>	592

W I Z E R U N K I.

Ś. P. WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI,—przez <i>M. G.</i>	388
-----------------------------------------------------------	-----

K R Y T Y K A.

FERDYNAND HOSICK: „Miłość w życiu Zygmunta Krasińskiego,“ — przez <i>H. M.</i>	171
„Zygmunt Krasiński i Ary Scheffer.“ Listy z nieznanych rękopisów wydał, wstępem i przypisami opatrzył Leopold Wel- lich,—przez <i>Z. D.</i>	175
S. M. GORJAINOW: „Staryje Gody,“ październik 1908. „Wrażenia ar- tystyczne króla Stanisława Augusta podczas jego po- bytu w St. Petersburgu r. 1797,“—przez <i>M. O.</i>	177
ERNEST LUNIŃSKI: „Berek Joselewicz i jego syn,“—przez <i>H. M.</i>	380
„Kościół zamkowy, czyli katedra wileńska, w jej dziejowym, liturgicz- nym, architektonicznym i ekonomicznym rozwoju.“ Na podstawie aktów kapitulnych i dokumentów histo- rycznych opracował ks. Jan Kurezewski,—przez <i>I. B.</i>	384
KONSTANCYA SKIRMUNT: „Nad Niemnem i nad Bałtykiem,“—przez <i>I. B.</i>	386
„Archiw Jugo-Zapadnoj Rossii.“ Część III, t. IV,—przez <i>I. B.</i>	386
LEOPOLD MÉYET: „Kiedy się urodził Juliusz Słowacki?“—przez <i>H. M.</i>	607
„Źródła dziejowe.“ Tom XVII, część II. „Polska XVI wieku pod wzglę- dem geograficzno-statystycznym.“ Tom VI, część II. „Podlasie (województwo), opisane przez Aleks. Jabło- nowskiego,“—przez <i>I. B.</i>	609
„Etnograficzno-statystyczny Zarys liczebności i rozsiedlenia ludności pol- skiej,“—przez <i>I. B.</i>	611
„Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z Archi- wum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie,“— przez <i>I. B.</i>	613
„Dzielnice i cechy Piwowarów miasta Warszawy,“—przez <i>I. B.</i>	613

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Str.

LIPIEC :

- Pierwsze sprawozdanie Centralnego Towarzystwa Rolniczego. —
Sprawa ordynacyi rydzynskiej. — Pomnik Mickiewicza
w Paryżu 181

SIERPIEŃ:

- Zjazd lekarzy-internistów polskich w Krakowie i Muzeum historii
medycyny polskiej.—Ofiara na rzecz Instytutu nauk do-
świadczalnych w Warszawie.—Walka z miastem współ-
czesnem i jej odgłosy u nas.—Lektorat języka polskie-
go w Uniw. Warszawskim. — Głos Sienkiewicza nad
trumną Modrzejewskiej. 394

WRZESIEŃ:

- Wystawa Częstochowska.—Nasz przemysł ludowy.—Po wizycie Cze-
chów w Warszawie. — Zamknięcie Towarzystwa wpi-
sów szkolnych 615

WSPOMNIENIA POZGONNE.

- Ś. p. Juliusz Niemirycz, ś. p. Kazimierz hr. Badeni, ś. p. Adam Fredro-
Boniecki, — przez *Z. D.* 191
Ś. p. Zygmunt Noskowski, — przez *Z. D.* 408
Prof. Ludwik Głunpłowicz i ś. p. Tadeusz Smoleński, — przez *Z. D.* 628

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

- LIPIEC 196
SIERPIEŃ 410
WRZESIEŃ. 630

DODATEK „PRACA.”

- PRZY ZESZYCIE LIPCOWYM (№ 5): „Sprawa podatku od dochodu z nieru-
chomości miejskich w Królestwie Polskiem,” — podpisał *Wła-
dysław Grabski.*
PRZY ZESZYCIE SIERPNIOWYM (№ 6): „Stan obecny Towarzystw Drobne-
go Kredytu w gubernii Warszawskiej,” — przez *D-ra Wikto-
ryna Kosmowskiego.*
PRZY ZESZYCIE WRZEŚNIOWYM (№ 7): „O obecnym stanie posiadania lu-
du litewskiego,” — przez *Piotra Zubowicza.*